

**KONRAD T. LEWANDOWSKI**

**Bursztynowe Królestwo**

POWIEŚĆ PRZYGODOWA

Wydawnictwo Dolnośląskie

Ilustracja na okładce © Michael Mogensen

Projekt okładki Mariusz Banachowicz

Bożena Sęk

Korekta Iwona Huchla

Redakcja techniczna Natalia Wielęgowska

Copyright © for the Polish edition by Publicat SA MMIX

ISBN 978-83-245-8749-0

Wrocław 2009

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66

e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

[www.wydawnictwodolnoslaskie.pl](http://www.wydawnictwodolnoslaskie.pl)

[wwNajlepszyPrezent.PL](http://ww.NajlepszyPrezent.PL)

TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:

[sklep@NajlepszyPrezent.pl](mailto:sklep@NajlepszyPrezent.pl)

+48 61 652 92 60

+48 61 652 92 00

Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań

książki szybko i przez całą dobę • tatwa obsługa • pełna oferta • promocje

Tego dnia Patrycja Branwen McGinn przekonała się ostatecznie, że podróże kształcą w bardzo przewrotny sposób. Dotychczas bowiem wszelkie fakty i zdrowy rozsądek wyjątkowo opornie przebijały się przez jej miłosne zauroczenie. Dopiero po przebyciu połowy świata, w pociągu z Tientsinu do Pekinu, zdobyła się na pierwszą przytomną decyzję, ale było już za późno, by wysiąść i zawrócić. Ta koszmarna japońska ryba niewątpliwie zrobiła jej dobrze na rozum, jednak nie uprzedzajmy wspomnianych wyżej faktów.

Pochodziła z Leithbhear pod Londonderry, miała dziewiętnaście lat, piegi jak indyjskie jajo, niebieskie oczy oraz włosy szczególnej barwy, którą nazwać wściekle rudą byłoby za mało. Sarah McGinn mawiała zawsze, że gdyby wszechmocnemu Bogu spodobało się, aby miedź zardzewiała, ta wzięłaby przykład z jej córki. Mimo niskiego pochodzenia Patrycja uważała się za osobę światową - nie z powodu tej szalonej podróży przez dwa oceany i jeden kontynent, lecz z racji trzech lat pracy w charakterze osobistej pokojówki lady Adelajdy Shaftesbury. Już wcześniej towarzyszyła swojej pani w podróży na Kontynent - do Francji, Szwajcarii i Austrii, gdzie w Wiedniu lady Adelajda poddała się eksperymentalnej terapii hysterii u zdobywającego właśnie rozgłos ekscentrycznego doktora Freuda. Zaraz potem pani Shaftesbury została sufrażystką, co było niewątpliwym rezultatem operacji na jej psychice, nie wiadomo tylko: zamierzonym czy ubocznym? Natomiast przed Patrycją stanęła perspektywa awansu na damę do towarzystwa, a nawet towarzyszkę walki o prawo głosu dla kobiet. Ponieważ la-

dy Adelajda odnalazła swoje życiowe powołanie w wieku lat pięćdziesięciu, zwłokę w nawróceniu nadrabiała typowym zaangażowaniem neofitki. Zaczęła od ideowego uświadomienia żeńskiej połowy swego domowego personelu. Rozmiar absurdu, jakim było wdrażanie do walki o prawa angielskich kobiet córki irlandzkiego dzierżawcy, katolika pozbawionego elementarnych praw obywatelskich i ludzkich, w pełni dotarł do Patrycji, dopiero gdy mijała Góry Skaliste. Nie to było więc powodem, że podziękowała za służbę.

Powód nazywał się Jimmy Somers, był zabójczo przystojnym komiwojażerem, miał olśniewający uśmiech i mówił jak poeta. Co dokładnie mówił, to rozanielonej Patrycji całkowicie umknęło, z wyjątkiem tego, że przy trzeciej wizycie poprosił ją o rękę. Zgodziła się bez namysłu, a Jimmy wywarł tak korzystne wrażenie na lady Adelajdzie, że wygłosiła tylko jedno płomienne przemówienie na temat szaleństwa dobrowolnego poddawania się męskiej tyranii, po czym dała im swoje błogosławieństwo oraz czek na czterdzieści pięć funtów w charakterze posagu. Zaczęły się przygotowania do ślubu, a Patrycja była w siódmym niebie.

Tydzień przed terminem Jimmy otrzymał telegram od kuzyna z Ameryki, który zawiadamił, że właśnie załatwił mu doskonale płatną stałą posadę w dużej firmie handlowej. Warunkiem jej objęcia było jednak możliwie najszybsze stawienie się w centrali w Nowym Jorku. Okazja zapewnienia solidnego bytu rodzinie od razu na starcie nie mogła czekać. Jimmy natychmiast wsiadł na pierwszy dostępny statek, a ślub przełożono. Poprzestano na solennych zaręczynach i uzgodniono, że Patrycja dołączy do narzeczonego w USA i tam się pobiorą.

Atlantyk przebyła jak na skrzydłach. Niestety, w Nowym Jorku czekały na nią przeprosiny i bilet na pociąg do San Francisco. Jimmy jako najmłodszy stażem pracownik został delegowany do filii na Zachodnim Wybrzeżu, za to w charakterze samodzielnego kierownika z procentem od zysku. To też była okazja, której nie

można było zmarnować. Patrycja nie namyślała się wiele, a właściwie wcale. Tymczasem jej największym zmartwieniem było to, że po drodze nie zobaczyła ani jednego bizona, a Indianie nie napadli na pociąg. Żałowała, bo bardzo miała ochotę to narysować, musiała zaś poprzestać na preriowych krajobrazach i portretach współpasażerów. Dryg do rysunku był samorodnym talentem Pa-trycji, oszlifowanym już nieco przez kilka fachowych lekcji i konsultacji, do których doszło za sprawą lady Adelajdy. Ponadto trafiło się parę okazji poszerzenia salonowej francuszczyzny dziewczyny, ograniczonej dotąd do zasobu słów i zwrotów niezbędnych podczas obsługi zagranicznych gości. Patrycja była z siebie bardzo dumna, że tak szybko osiągnęła poziom francuskiej konwersacji pozwalający imponować Amerykanom.

Za przesadę uznała dopiero fakt, że Jima Somersa nie zastała również w San Francisco. Narzeczony popłynął do Jokohamy zakładać tam nową placówkę handlową. Wszyscy jego znajomi twierdzili zgodnie, że otwierająca się na świat Japonia to kraj nieograniczonych interesów i możliwości bogacenia się. Należało chwytać wiatr w żagle i iść z postępem cywilizacji. Pełne tęsknoty listy Jima oraz bilet drugiej klasy sprawiły, że po krótkim odpoczynku Patrycja zaokrętowała się na parowiec do Jokohamy. Na swoje usprawiedliwienie miała to, że wciąż była bardziej zakochana niż rozczarowana. Poza tym czuła się też trochę winna. Jako kobieta za sprawą lady Adelajdy co nieco wyzwolona, Patrycja uznała, że powinna dać narzeczonemu do zrozumienia, że z nocą poślubną nie muszą czekać aż do ślubu. Wprawdzie miała spore wątpliwości, czy istotnie wytrzymałaby w tym postępowym postanowieniu, gdyby przyszło co do czego, do zrozumienia jednak dała. Jimmy ku jej zdumieniu jakby się tej propozycji wystraszył. Na pewno nie był nią zachwycony i teraz Patrycja obawiała się, że narzeczony postanowił ją wypróbować, przekonać się, czy nie jest płochą dzierlatką, czy potrafi wytrwać w postanowieniu lub coś w tym rodzaju. No dobrze, nie ma co owijać w bawełnę! Musiała szczerze sama przed sobą przyznać, że mi-

mo niewątpliwego salonowego obycia w gruncie rzeczy była tylko głupią rudą irlandzką gęsią!

Także Ocean Spokojny okazał się całkiem inny, niż wynikało z pozorów. Przede wszystkim zupełnie niegodny swej nazwy. Połowa rejsu upłynęła w mniejszym lub większym sztormie, a choroba morska omal nie przyprawiła Patrycji o somnambulizm. Po dwóch tygodniach, kiedy szła nocą do ubikacji, by zwymiotować, nie wiedziała już, czy to jawa czy sen. A był to dopiero początek orientalnej egzotyki, której miała doświadczyć.

Nieobecność narzeczonego w Jokohamie przyjęła obojętnie. Tłumaczenia, że Chiny stanowią jeszcze większy rynek zbytu niż Japonia, więc trzeba koniecznie rozwijać handel z Państwem Środka, też Patrycji nie poruszyły. Po prostu nie miała siły się złościć. Siłą inercji wsiadła na wskazany statek płynący do Taku. Był to stary japoński żaglowiec pamiętający chyba czasy mongolskich inwazji, z załogą wyglądającą jak banda piratów pourywanych z szubienicy bądź niedogotowanych żywcem, co praktykowano ponoć w tych stronach, a zwłaszcza charakteryzujący się brakiem wygod odpowiednich dla Europejki. Największe wrażenie zrobiła jednak na Patrycji surowa ryba, którą podano trzeciego dnia podróży. Struła się nią tak, że wcześniejsza choroba morska wydawała jej się przy tym zaledwie niewinnym katarem żołądka. Przewieszona bezwładnie przez burtę statku niedoszła pani Somers całymi godzinami czyniła bolesne wysiłki, by wyrzucić z siebie wnętrzności, jak zwykły robić strzykwy. W desperackim przypiływie wisielczego humoru, kolejny raz rzygając żółcią do Morza Żółtego, zastanawiała się, czy aby nie stąd wzięła się nazwa tego akwe-

nu.

Uratowała ją miejscowa herbata. Zupełnie inna niż w salonie lady Adelajdy, bardziej zielonkawa i aromatyczna. Dzięki tej herbacie oraz dziedzicznej krzepie irlandzkiej chłopki po dwu dniach wiszenia na burcie oraz trzech przeleżanych w prymitywnej kajucie Patrycja stanęła na nogi i doświadczyła pierwszych przeżyć-

8

sków jasnego myślenia. Zauważyła na przykład, że kapitan, pan Shiro, i jego załoga traktują ją w dość dziwny sposób - z troską, lecz bez szacunku - całkiem jakby była jedną z wypełniających ładownię pak. Wtedy pierwszy raz przyszło jej do głowy, że jest towarem, ale ta myśl pozostała jeszcze bez logicznych wniosków. Bardziej zajmowało ją co innego, mianowicie to, czy nadal chce zostać żoną pana Jima Somersa. Godzinami zastanawiała się, czy takie traktowanie można wybaczyć. Tymczasem na znak protestu zdjęła zaręczynowy pierścionek. O zerwaniu zaczęła myśleć poważnie, a raczej krzyczeć, gdy w hotelu w Tientsinie zamiast wytęsknionego oblubieńca zjawił się postaniec z biletem na pociąg do Pekinu.

Młody Chińczyk bez przerwy kłaniał się, uśmiechał i nic a nic nie mógł pojąć, czego chce ta rozwrzeszczana cudzoziemska wariatka wyglądająca i zachowująca się, jakby właśnie uciekła z dziewiątego piekła. Na wszelki wypadek kiedy miotająca się po hotelowym pokoju zamorska diablina odwróciła się do niego plecami, dyskretnie napluł jej na kraj sukni, by odczynić zły urok.

Patrycja zaś, pomijając zbędne szczegóły geograficzne i stylistyczne, głośno domagała jeszcze biletów na kolej transsyberyjską oraz statek do Belfastu, aby móc wreszcie wziąć ślub w swoim parafialnym kościele z pierwszym lepszym napotkanym po drodze wioskowym głupkiem lub pijakiem z przydrożnego rowu. Koniec końców gdy ochłonęła, zaintrygowało ją, że goniec z kamiennym uśmiechem przeczekał cały jej wybuch i nie ruszył się z miejsca, póki nie dostał napiwku. Przykład ten sprawił, że postanowiła odtąd miarkować swoje emocje. Tym bardziej że spostrzegła już, jakie wrażenie robi na tubylcach jej typ urody. Kiedy szła ulicą, nawet najnędrniejsi żebracy cofali ręce wyciągnięte po jałmużnę.

Tak oto 2 czerwca 1899 roku Patrycja McGinn, poddana brytyjskiej Korony, z zawodu pokojówka z dobrymi referencjami, na dworcu kolejowym w Tientsinie wsiadła w poranny pociąg do Pekinu. Tu urywał się ślad, co po trzyletnim śledztwie zdołały ustalić

służby konsularne działające na wniosek jej byłej chlebodawczyni. Młodej Irlandce przypadł ten wątpliwy zaszczyt, że znalazła się jako pierwsza na liście cudzoziemców zaginionych w Chinach w okresie niepokojów nazwanych rok później powstaniem bokserów. Nigdy więcej jej nie szukano. Jak dla obywatelki drugiej kategorii i tak zrobiono wiele.

Na nową, acz niespodziewaną drogę życia, zaczęła na pekińskim dworcu niedaleko dzielnicy ambasad, Patrycja włożyła długą zieloną suknię z seledynowym dekoltem i beżowy kapelusz, na który dodatkowo narzuciła Inianą chustkę, by lepiej ukryć gorszące Chińczyków włosy.

Jima Somersa na peronie już nie oczekiwała. Po drodze postanowiła, że jeśli nie spotka się z nim w Pekinie, odeśle zaręczynowy pierścionek przy najbliższej okazji, a sama poszuka sobie pracy u jakiejś europejskiej lub amerykańskiej rodziny, których jak słyszała, mieszka tutaj niemało. Ostatecznie, jak mawiała lady Adelajda, niezależność i wyzwolenie kobiety zaczyna się od jej zdolności utrzymania się z pracy własnych rąk. Brzmiało to dziwnie w ustach angielskiej damy, której ród nie skalał się żadną

pracą od czasów Wilhelma Zdobywcy, ale Patrycja nie zamierzała tej reguły kwestionować, wręcz przeciwnie! Stała na pekińskim bruku dumna i zagniewana, a także pełna wiary we własne siły. Cóż, gdyby to była cała prawda i gdyby od razu przystąpiła do realizacji swych zamierzeń, może zdołałaby jeszcze uniknąć kłopotów. Niestety, w głębi duszy Patrycja myślała tylko o tym, jak bardzo utrże nosa sprawcy tej paskudnej podróży przedślubnej i jak Jimmy na kolanach będzie błagać ją o przebaczenie. Mimo wszystko nadal ani przez chwilę nie potrafiła podejrzewać go o złą wolę.

Na końcu peronu czekała starsza Chinka w czarno-srebrnym kaftanie z prostym sztywnym kołnierzykiem i taką miną, jakby usta miała pełne octu. W dłoniach trzymała kartkę z nazwiskiem Patrycji - do góry nogami i z błędem ortograficznym na dodatek. Chince towarzyszył zwałisty osiłek, którego w pierwszej chwili

10

wzięła za kulisa od bagaży. Po angielsku oboje nie umieli ani słowa. Ze swej strony Patrycja poznała już kilka japońskich zwrotów grzecznościowych, ale przypomniawszy sobie, że Chińczycy i Japończycy niedawno prowadzili ze sobą wojnę, więc w porę ugryzła się w język.

Chinka bezceremonialnie chwyciła Patrycję za łokieć i poprowadziła do stojącego przed dworcem krytego powozu na dwóch kołach. Kulis szedł za nimi i ani myślał przejść rzeczy od bagażowego ze stacji, który truchtał na samym końcu. Wziął je dopiero

woźnica.

Opiekunowie dziewczyny spieszyli się bardzo, zupełnie jakby chcieli, aby nikt ich nie zauważył. Stara próbowała nawet zabronić Patrycji oglądania miasta z powozu, lecz ta udała, że nie rozumie zakazu. Potem uświadomiła sobie, że byli za blisko dzielnicy ambasad, w części Pekinu, gdzie spotykało się zbyt wiele cudzoziemskich oczu i uszu, by ryzykować szamotaninę i krzyki.

Po dwóch kwadransach zostawili za sobą część miasta z domami w europejskim stylu i opuścili Pekin przez wschodnią bramę dzielnicy mandżurskiej. Tyle Patrycja zdołała wywnioskować, zerkając na swój plan miasta. Przez następną godzinę jechali prosto na wschód, gruntową drogą między polami pszenicy i ryżu ciągnącymi się w dolinie rzeki Ta-tung.

Ich celem była stojąca na skraju miasteczka San Kjen-fang elegancka podmiejska willa w formie dwupiętrowej pagody, otoczona wysokim murem i ogrodem. Gdy podjechali, otworzono wrota ozdobione malunkami jakichś kolorowych straszdeł, po czym wóz minął stojący zaraz za bramą dziwny murek uniemożliwiający prosty wjazd na dziedziniec. By tego dokonać, trzeba było dwa razy skręcić zupełnie nie wiadomo po co.

Bramę zatrzaśnięto, a wóz obstało jeszcze pięciu mężczyzn podobnych do tego, który przyjechał z nimi. Polecono przybyłej wysiąść i choć może to wydać się dziwne, Patrycja nadal żywiła nadzieję, że za chwilę stanie przed nią Jimmy Somers we własnej

U

osobie i krzyknie: „Niespodzianka!”, a ona wyrznie go w łeb parasolką.

Zamiast narzeczonego na dziedziniec wyległa z domu grupka kolorowo ubranych chińskich dziewcząt, które zaczęły oglądać Patrycję jak osobliwe zwierzę. Wymieniały jakieś uwagi, machały wachlarzami i śmiały się drwiąco, wyraźnie z niej. Nie było najmniejszej wątpliwości, kim są. Ladacznicę we wszystkich krajach i epokach zawsze wyglądają tak samo.

Krew odpłynęła Patrycji z twarzy. Zrozumiała. W końcu zrozumiała. I to, gdzie jest, i bezmiar swojej naiwnej głupoty. Wszystkie fakty ułożyły się jej w głowie tak jasne i oczywiste, że zupełnie nie pojmowała, jak mogła nie wpaść na to wcześniej! Przecież wiedziała! Słyszała, i to nieraz, opowieści o prostych dziewczynach pod pretekstem małżeństwa zwabianych do domów publicznych przez fałszywych narzeczonych. Ale takie rzeczy zdarzały się innym, jakimś głupim dzierlatkom, nie jej! Przecież ona i Jimmy to było całkiem co innego! Całkiem co... Ona i Jimmy... Niemożliwe! Nie ona... ona... nie!

Żołądek skurczył się jej jak po tamtej japońskiej rybie. Zatrucie, choroba morska i wyczerpanie podróżą wróciły naraz z całą siłą. Patrycji zabrakło tchu, a świat zawirował gwałtownie i odpłynął...

Ocknęła się na jakimś łożku. W pierwszej chwili po odzyskaniu świadomości mocno zacisnęła powieki, zapewniając się solennie, że kiedy otworzy oczy, po prostu obudzi się w swojej służbówce w domu lady Adelajdy. Nim jednak powiedziała sobie: „Teraz!”, dotarło do niej, że leży w podwiniętej do kolan sukni i nie ma na sobie majtek. Poderwała się jak oparzona.

Młoda Chinka rzuciła się w kąt pokoju, wydając przeciągły jęk przerażenia. Nie wiadomo, która z nich wystraszyła się bardziej. To zaskakujące spostrzeżenie sprawiło, że Patrycja uspokoiła się trochę, po czym ignorując Chinę, zajęła się sobą. Ostrożnie sięgnęła między uda... Za moment odetchnęła z ulgą. Nie zgwałcono jej.

12

Jeszcze nie... Domyśliła się, że na razie ktoś tylko sprawdzał jej dziewictwo. Wciąż była importowanym towarem pierwszej kategorii, którego nie ośmielił się tknąć ani pan kanalia Somers, ani japońscy piraci, przemytnicy czy kimkolwiek byli. Z pewnością była cenna. Wiele osób mocno się natrudziło i wydało mnóstwo pieniędzy, aby egzotyczną zamorską diabolicę w stanie nietkniętym sprowadzić do tej jaskini rozpusty. Po co? Patrycja raczej nie miała wątpliwości, że jej przeznaczeniem jest zaspokojenie wyrafinowanej zachcianki jakiegoś wysoko postawionego Chińczyka o upodobaniach erotycznych kwalifikujących się tutaj na zboczenie z pogranicza zoofilii i satanizmu. Dziwiła ją jedynie własna przenikliwość, która spłynęła na nią tak nagle. Ponure objawienie, jakiego doznała na dziedzińcu przed omdleniem, trwało nadal. A może tak nagle spadła na nią dorosłość? W każdym razie głupia zadurzona gąska odleciała w siną dal. Została dziewczyna myśląca szybko i jasno. Szkoda, że dopiero teraz... Lepsze jednak to od czarnej rozpaczy.

Jej majtki leżały na łożku. Patrycja wciągnęła je szybko i poprawiła suknię. Spozobregła, że ktoś ją porozpinał i też próbował zdejmować, ale nie poradził sobie z europejskim systemem guzików, haftek i tasemek, co przyjęła ze złośliwą satysfakcją.

Zachciało jej się pić. Pod ścianą stał stolik z kilkoma filiżankami, flaszami i czymś wyglądającym na bardzo uduziwniony dzbanek do herbaty. Patrycja ruszyła ku niemu. W chwili gdy jej intencje stały się jasne dla postronnego obserwatora, skulona w kącie Chinka ożywiła się nagle i też ruszyła szybko w stronę stołu. Wciskając głowę w ramiona i odwracając ją w bok, mimo wyraźnego strachu dołożyła

starań, aby znaleźć się tam przed Patrycją. Przetawiła filiżankę, po czym zaczęła nalewać herbatę z oczywistym zamiarem usłużenia cudzoziemce.

Patrycja zamarła zdumiona. Wyglądało na to, że przydzielono jej osobistą służącą. Poniekąd było to zrozumiałe, gdyż bez znajomości języka i miejscowych zwyczajów młoda Irlandka nie poradziłaby sobie z najprostszymi codziennymi sprawami. Mimo po-

13

nurych okoliczności ten niespodziewany awans społeczny Patrycję rozbawił, a po trosze zaintrygował. Postanowiła lepiej przyjrzeć się swojej „pomocy domowej”.

Dziewczyna podawała jej właśnie filiżankę z herbatą, trzymając naczynie w obu rękach i bardzo nisko pochylając głowę. W tym momencie Patrycja dotknęła jej podbródka, chcąc, aby Chinka uniosła buzię do światła.

Rozległ się przeraźliwy krzyk i trzask rozbijającej się o podłogę filiżanki. Śmiertelnie przerażona Chinka poderwała się i rzuciła do ucieczki z powrotem do swego kąta, a Patrycja, ujrawszy jej twarz, zakryła ręką usta, żeby samej nie wrzasnąć.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki, ktoś odsunął masywne drzwi. W progu stanęła starsza kobieta, chyba ta sama, która odebrała Patrycję z dworca. Spojrzała na rozbitą porcelanę w kałuży herbaty i szybko przeniosła wzrok na skuloną w kącie nieszczęśnicę. Powiedziała coś z gniewem w głosie, a młoda Chinka skuliła się jeszcze bardziej.

Patrycja zareagowała jak w natchnieniu. Zanim jej pokojówka zdążyła coś odpowiedzieć, szybko pokazała na skorupy i zrobiła przeproszającą minę, tak jak niejedną raz na początku swej kariery służącej, kiedy przychodziło jej udobruchać lady Adelajdę za spowodowaną nieumyślnie szkodę.

Stara Chinka łatwo uwierzyła, że zamorska dzikuska nie umie poradzić sobie z serwisem do herbaty. Powiedziała coś łagodniejszym tonem i służąca Patrycji zabrała się do sprzątnięcia. Nadal starała się przy tym nie patrzeć na cudzoziemkę, ale nie próbowała już kryć zajęczej wargi okropnie szpecącej jej młodą twarz.

Patrycja spoglądała na nią ze smutkiem i współczuciem. Odgadła, co je ze sobą łączy i dlaczego skazano je na wzajemne towarzystwo. Obie z racji swojego wyglądu były w tym kraju najędzniejszymi pariaskami. Można było teraz snuć iście hamletyczne rozważania, która z nich znajduje się w gorszej sytuacji.

. - , ...,,,: ^..•..| -.;i:..... -.:| .;'- .\*| ,:v;

14

Gdy znów zostały same, Patrycja dotknęła ramienia swej towarzyszki. Tym razem ostrożnie, sygnalizując zamiar, aby znówu jej nie przestraszyć. Dziewczyna mimo to zadrzała z obawy, ale teraz przynajmniej nie narobiła krzyku i nie uciekła.

- Spójrz na mnie - powiedziała Patrycja najłagodniej, jak umiała. Popatrzyła tak, jakby rozumiała słowa. Patrycja wskazała na

siebie i powoli, wyraźnie wypowiedziała swoje imię. Powtórzyła ten gest kilka razy, aż w oczach Chinki pojawiło się zrozumienie. Potem wskazała na nią.

Długo czekała na odpowiedź. Dziewczyna wahała się i uciekała wzrokiem. Patrycja cierpliwie i spokojnie powtórzyła całą sekwencję gestów i słów.

- Pa-try-cja!

- Maokou... - usłyszała wreszcie cichy szept.

Pułkownik Stanisław Jakub Lawendowski siedział przy ognisku i w zadumie przesuwiał patykiem rozżarzone węgle. Noc była pochmurna i mglista. Szczyty okolicznych gór ginęły w lepkim ołowianym mroku, a cała dolina wyglądała, jakby zamknęło się nad nią oślizgłe wieko starej trumny. Dobrze, że na dodatek nie padało, lecz i tak trudno było wyobrazić sobie paskudniejszą pogodę. Człowiek robił się chory od samego patrzenia w niebo. Wiek średni ma swoje prawa i najrozsądniej byłoby nie narażać się na kolejny atak lumbago, tylko łyknąć wódki i iść spać na kwaterę, a nie przesiadywać w wilgotnym chłodzie, choćby i przy obozowym ogniu. Stanowczo już nie te lata na tak romantyczne atrakcje. Przecież nie musiał czekać osobiście. Przyjdzie, to strażę obudzą albo każą tamtemu czekać do rana. Iść spać byłoby

O wiele godniej i rozsądniej, ale cóż z tego, skoro dusza ciskała się z niecierpliwości, jakby wciąż miała dwadzieścia lat. Może zresztą i miała, kto ją tam wie? Myśli kłębiły się żywo jak te płomienie, ciało jednak coraz mniej chętnie poddawało się ich porywom. Koniec końców dusza ostatecznie powadzi się z ciałem

1 każde z nich podąży swoją drogą. Znać było pierwsze tego oznaki.

- Panie pułkowniku, melduję, że przyszedł! - rozległ się głos wartownika.

- Przeprowadzić! - Lawendowski wstał i szczerzej otulił się płaszczem.

Przybyły wyglądał jak rodowity Chińczyk. Miał około trzydziestu lat. W słabym, migotliwym świetle nie dało się dostrzec w jego ry-

16

sach żadnych cech słowiańskich. Domyślił się jednak, że tych w nim szukają.

- Proszę mi się nie dziwić, panie oficerze, przeszło dwa wieki mieszania krwi zrobiły swoje. - Mówił po polsku z silnym chińskim akcentem, mocno kalecząc słowa, ale zrozumiale.

- Pułkownik Lawendowski... - Stanisław wyciągnął do rodaka

Ten nie odwzajemnił gestu, tylko uniósł ramiona na wysokość piersi, lewą dłońią nakrył prawą pięść i pokłonił się chińskim obyczajem.

- Nie jestem godny wymieniać mego imienia wobec szlachetnych ludzi honoru - odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

- Jak wobec tego mam się do was zwracać?

- Proszę nazywać mnie Ałbazińcem.

- Cóż... jak sobie życzycie. - Lawendowski usiadł i wskazał gościowi miejsce obok siebie.



Ten ani drgnął. Wolał stać.

- Wiecie już, kim jesteśmy i czego chcemy - przeszedł do rzeczy pułkownik. - Jaka jest wasza odpowiedź?

Ałbaziniec milczał długą chwilę.

- Nie tak miało być - odezwał się wreszcie. - Nie taką przyszłość widzieli przed sobą król Jan III i cesarz Kangxi...

Lawendowski domyślił się, że nie dostanie prostej i jasnej odpowiedzi. Należało uzbroić się w cierpliwość i spokojnie słuchać. Jak to na Wschodzie... Zrezygnowany dorzucił do ognia kilka dREW.

- Jesteśmy ostatnim echem sławy wiedeńskiej wiktorii, która obiegając cały cywilizowany świat, dotarła także na pekiński dwór - mówił przybysz. - Cesarz Kangxi był naprawdę wielkim i mądrym władcą - Ałbaziniec pochylił głowę - jak niewielu przed nim i jak nikt po nim. Potrafił nie tylko zadawać, ale i leczyć rany, jednocząc Mandżurów i Chińczyków siłą oraz rozumem, a także ogarniał myślą cały ziemski glob i jego sprawy. W przeciwieństwie

17

do swoich poprzedników nie lekceważył doniesień z końca świata i na wieść o bitwie pod Wiedniem posłał królowi Sobieskiemu gratulacje, a wraz z nimi swój wiersz własnoręcznie wykaligrafowany oraz trzy niezwyklej piękności wazy. Król Jan z podziękowaniem wysłał cesarzowi swój portret. Na gestach przyjaźni rzecz się jednak nie zakończyła i obaj monarchowie zawarli sojusz przeciwko Rosji.

Pułkownik skinął głową na znak, że zna tę historię. Ałbaziniec jednak mówił dalej:

-Kilka lat później, w roku 1685, gdy wojska Kangxi wyparły Rosjan z północnych Chin, w mieście Ałbazin spisano traktat pokojowy, w którym ustalono granicę między oboma cesarstwami i nakazano wszystkim cudzoziemcom opuścić ziemie Państwa Środka. Wszystkim z wyjątkiem Polaków, jeńców z czasów wojen polsko-moskiewskich, zesłanych na Syberię i stamtąd zbiegłych do Chin lub też przybyłych z Rosjanami, lecz niezamierzających z nimi wracać. To byli nasi przodkowie.

- Cesarz Kangxi pozwolił im osiedlić się w Pekinie - dopowiedział Lawendowski, aby przyspieszyć wywód. - Doprawdy rzadki przywilej w tamtych czasach. Bodaj żadna inna europejska nacja nie mogła się takim pochwalić.

- Pradziadowie nasi, z błogosławieństwem króla Jana, mieli odtąd służyć nowej ojczyźnie, zachowując w pamięci starą. Tak miało być... - głos Ałbazińca się załamał. - Bóg świadkiem, że gdyby umowy dochowano, byłibyśmy wierną podporą Nefrytowego Tronu i nie pozwolilibyśmy upokorzyć tej ojczyzny w wojnach opiumowych. Angielskie statki spotkałby pod Kantonem taki sam los jak szwedzkie pod Oliwą! Przeważała jednak nikczemność... -mówca przerwał i zebrał się w sobie. - Następcy wielkiego Kangxi okazali się nadętymi pyszałkami i głupcami oczekującymi, że władcy Europy będą padać przed nimi na twarz. Umowy z nimi mieli za nic. Według własnego kaprysu dotrzymywali ich albo nie. Każdy kolejny cesarz okazywał się bardziej zaślepionym tyranem.

18

Nam bez powodu odebrano szlacheckie godności oraz prawa nadane z woli obu władców, zabroniono nawet praktykować domowe zwyczaje, pojmować żony z naszej krwi i rasy. Nakazano stać się jak inni Chińczycy, wszelki sprzeciw każąc ze ślepym okrucieństwem. Dziadom naszym przyszło wybierać między honorem a życiem. My jesteśmy z tych, którzy wybrali życie. Dlatego nie mam prawa szczyć się swoim imieniem i przodkami ani rozmawiać jak równy z wami, którzyście nigdy nie złożyli broni.

- Nasz król, tak samo jak Jan III Sobieski, jest królem z łaski Boga i woli Narodu, wyniesionym w wolnej elekcji zgodnie z naszymi odwiecznymi prawami oraz zaprzysiężonym na konstytucję - oznajmił z powagą pułkownik Lawendowski. - Nie mogę jeszcze ujawnić imion Jego Królewskiej Mości, ale on jest w mocy podnieść was z powrotem do godności szlacheckiej.

- Nie zasługujemy i nie ośmielimy się prosić - odparł Ałbaziniec.

- Czegóż więc chcecie?

- Zemsty! - W oczach przybysza błysnęła nienawiść. - Zemsty na tej dynastii zwyrodniałych tyranów, którzy zmusili nas do życia w hańbie. Tylko po to wciąż zachowujemy język i pamięć. Krew i sromota naszych przodków muszą być pomśzczone, choćbyśmy nasze dusze postradać mieli!

- Będziecie zatem służyć Ukrytemu Królestwu?

- Czy możecie pokazać mi jakiś jego znak? Lawendowski wstał.

- Chorąży Filipiak, proszę rozwinąć proporzec! - rozkazał.

- Tak jest, panie pułkowniku! - odpowiedział ktoś w mroku. Kilka minut później w krąg światła wkroczył młody żołnierz

w mundurze żuawów śmierci z białym krzyżem na piersiach. Pochylił przed obecnymi prostokątny biało-czerwony proporzec z wydłużonym prawym dolnym rogiem. Na płacie sztandaru znajdowało się pięć czarnych chińskich znaków.

- Hu-po-kuo... - odczytał je półgłosem Ałbaziniec. - Kraj Bursztynu. Wymawia się też jak Kraj Duszy Tygrysa... - Głos za-

19

drżał mu ze wzruszenia. Wyciągnął rękę, lecz nie ośmielił się dotknąć jedwabnej materii.

- Czy przysięgacie służyć pod tym znakiem Ukrytemu Królestwu? - zapytał uroczyście pułkownik Lawendowski.

- Przysięgamy służyć, ale inaczej niż wy. Nie w świetle dnia, bo tego nie jesteśmy godni, lecz tak, jak uczył nas wieszcz Mickiewicz - wypowiedział nazwisko poety z chińską artykulacją, skutkiem czego zabrzmiało ono niczym miauczenie kota, lecz o dziwo, nie było to wcale śmieszne. - Będziemy służyć w mroku! - oświadczył Ałbaziniec i podniósł głos o jeden ton. - „Mową truc z cicha jak zgnitym wyziewem, a postać mieć skromną jako wąż wystygły”... Tak nam dopomóż Bóg! A jeśli Bóg nie zechce, niech pomoże szatan!

Lawendowski bez słowa odprawił chorążego i spojrzął gdzieś w bok.

- Panie Lao! - rzekł głośno. - Czy usłyszał pan wszystko?

Z mroku wyszedł drugi Chińczyk w ceremonialnej szacie dworskiego urzędnika i skinął twierdząco głową. W odróżnieniu od Ałbazinca nie nosił mandżurskiego warkocza, lecz włosy miał luźno rozpuszczone na ramiona, a głowę okrytą czerwoną chustą, jakby piracką, jednak znacznie misterniej zawiązaną i udrapo-waną.

- To jest pan Lao Ping, niższej rangi plenipotent Ukrytego Króla - przedstawił go pułkownik. - Nie mówi po polsku, ale wszystko rozumie.

- Nie nosi warkocza - zauważył Ałbaziniec, mrużąc oczy. -Czyżby Jego Wysokość był z...

- Wszelkie domysły proszę zachować dla siebie! - Lawendowski uciął stanowczo te dywagacje.

- Już zapomniałem! - zapewnił szybko Ałbaziniec. - Ale gdybym miał jakiegokolwiek skojarzenia, będę służyć tym chętniej.

- Pan Lao niniejszym bierze was na służbę i pod opiekę Ukrytego Króla - oznajmił pułkownik, a wymieniony znów twierdząco skinął głową. , , , . , , \* ● ^

20

Ałbaziniec pokłonił się bardzo nisko. Pan Ping odwrócił się z godnością i oddalił. Lawendowski usiadł znowu, poprawił ułożenie płonących w ognisku polan.

- Niechże pan wreszcie siądzie, panie Ałbaziniec! - zażądał, podnosząc wzrok. - Dość będzie tych ceremonii! Za stary jestem, by gadać na stojąco, a i zadzierać głowy mi się nie chce!

- Jak pan pułkownik rozkaże... - pół-Chińczyk przycupnął po drugiej stronie ogniska.

- Napijcie się grzanego wina?

- Dziękuję najuprzejmiej za ten wielki zaszczyt.

- To znaczy tak czy nie?! - zirytowany oficer skinął na ordynansa.

- Tak... - Ałbaziniec z wyraźnym trudem ograniczył się do wypowiedzi monosylabowej.

Pierwsze kubki pachnącego korzeniami napoju wypili w milczeniu.

- Zatem tak... - zaczął pułkownik, gdy ordynans nalał im drugą kolejkę wina i odszedł z czajnikiem. - Czy znacie nazwisko Juan Czżun-ju?

- Mandaryn trzeciego stopnia? - upewnił się zapytany. - Z szafirową gałką na kapeluszu?

- Zgadza się.

- Wszyscy znamy go i przeklinamy - wycedził przez zęby Ałbaziniec. - To on, jego krewni i wasale całymi latami kradli pieniądze przeznaczone na naprawę wałów wzdłuż Żółtej Rzeki, doprowadzając

do powodzi tej wiosny. Miliony ludzi cierpią teraz przez niego rozpacz i głód, a on, kpiąc sobie z ich nędzy, kradnie jeszcze ryż przysyłany z innych prowincji dla nakarmienia nieszczęśników.

- Wcześniej zaś, kiedy zaczynał urzędniczą karierę w Mandżurii, jego pośrednicy sprzedawali tę samą ziemię kilku chłopskim rodzinom - dodał Lawendowski. - Tych, którzy się spóźnili, a nie mieli już więcej pieniędzy, ścigano i tracono jako rozbójników.

21

- Oby demony bez końca gotowały go we wrzącym oleju! -wybuchnął Ałbaziniec. - Ale na tym świecie żadna kara nie może go spotkać! Przeszło tysiąc lat temu przeminęły czasy nieprze-kupnego sędziego Di, który pewnie płacze teraz w Niebiosach, widząc ten upadek i zniewagę praw. Juan Czzun-ju ma na dworze zbyt wielu krewnych i popleczników, by ktokolwiek ośmielił się wnieść oskarżenie. Jest bliskim kuzynem generała Juan Szy-kaja, tego samego, który w zeszłym roku w zмовie z Cesarzową Wdową pozbawił władzy młodego cesarza, zamordował brata Kang Ju-weja i innych patriotycznych reformatorów. A razem z nimi... - Ałbaziniec przełknął ślinę - także mojego stryjecznego brata... Tak odeszła nasza ostatnia nadzieja.

- Nadzieja jest zawsze - odparł spokojnie pułkownik. - Oto bowiem wołą Ukrytego Króla jest, aby człowieka imieniem Juan Czzun-ju dosięgła wreszcie ręka sprawiedliwości.

- W samym Pekinie?! Jednego z najwyższych dostojników dworu? - zdumiał się Ałbaziniec, lecz oczy mu rozbłyły.

- Tak - rzekł Lawendowski.

- Myślę, że uda się zorganizować zamach.

- Nie! - zaproponował szybko oficer. - To nie może być skrytobójstwo! Należy winowajcy przedstawić zarzuty i pozwolić mu przemówić w swojej obronie.

- Znaczący, trzeba go porwać - skwitował Ałbaziniec. - W samej stolicy... wysokiej rangi mandaryna... Proszę o wybaczenie, ale to czyste szaleństwo! Któż mógłby się na to poważyć?

- My! Polacy w służbie Ukrytego Króla. Chcemy uczynić to właśnie dlatego, że jest takie trudne. Wiele od tego zależy.

- Ludzie innej rasy, zwracający na siebie powszechną uwagę?! Istnieją o wiele prostsze sposoby nadstawienia karku pod katowski

miecz.

- Nie nasze karki mają się pod nim znaleźć! I nie wszyscy z nas będą wyglądać jak cudzoziemcy. Można na was liczyć? Ałbaziniec namyślał się długą chwilę.

22

- Trzeba by tego łajdaka śledzić, poznać wszystkie jego ścieżki i sekrety - powiedział wreszcie. - Potem...

- Potem obmyślimy właściwy plan - wszedł mu w słowo La-wendowski. - Teraz, panie Ałbaziniec, powiedzcie mi, ilu macie ludzi. Ile i jakiej broni wam potrzeba? Ile srebra i złota?

- Dużo.

- O to proszę się nie kłopotać. Ukryty Król nie jest nędzarzem.

To, że Patrycja wzięła na siebie winę za stłuczoną filiżankę, nie przełamało lodów pomiędzy nią a Maokou. Dziewczyna nadal się jej bała, choć może już nie panicznie. Mimo strachu wywiązywała się z obowiązków z podziwu godną sumiennością. Wyglądało na to, że dla nieszczęsnej Chinki ta sytuacja też stanowi społeczny awans, paradoksalny, lecz niewątpliwy. Piękną, wielobarwnie haftowaną suknię Maokou nosiła bez wprawy i wdzięku, wyraźnie nie była przyzwyczajona do takich strojów. Resztę mówiły jej dłonie, które do tej pory musiały wykonywać prace o wiele cięższe i brudniejsze niż usługiwanie cudzoziemce.

Lęk i rezerwa Chinki znikły nagle trzeciego dnia, gdy znudzona Patrycja wyjęła swój szkicownik i zaczęła rysować martwą naturę zestawioną z serwisu do herbaty oraz innych znajdujących się w pokoju bibelotów. W pewnej chwili zorientowała się, że Maokou zerka jej przez ramię, a kiedy się obejrzała, po raz pierwszy zobaczyła w oczach dziewczyny podziw i szacunek. Zaraz pokazała Chince inne obrazy z podróży i tak nawiązała się między nimi pierwsza nić porozumienia.

Przez tydzień nikt nic od Patrycji nie chciał, nie pozwalano jej też wychodzić z pokoju. Jedynym wyjątkiem było przedstawienie jej - a właściwie próba przedstawienia - pani Liu, tutejszej burdelmami. Patrycja widziała już wiele zdziwaczałych i brzydkich starych panien, znajomych lady Adelajdy, ale tak szkaradnej istoty doprawdy jeszcze nigdy! Pani Liu była monstrualnie roztyłą, wyblakłą ropuchą o cerze przypominającej gnijący żółty ser. Oczy miała przekrwione, wylupiane jak u żaby i otępiałe od opium, które paliła w małej fajeczce. Ponadto kiedyś najwyraźniej tram-

24

waj elektryczny przejechał jej po nogach i odciął połowę obu stóp. Nie mogła chodzić, nawet po domu noszono ją w lektyce. Wszystkimi sprawami zajmowała się ochmistrzyni - owa ponura starsza kobieta, którą Patrycja poznała w Pekinie, wciąż jednak nie mogła się zorientować, jak się ona nazywa. Słyszała, że zwracano się do niej sylabą „tu”, ale czy to mogło być ludzkie imię? Na swój użytek nazwała ją Starą Tu.

Przed obliczem pani Liu usiłowano Patrycję skłonić, by uklęknęła, lecz ona udała, że nie rozumie, o co chodzi. „Prędzej pocałuję w dupę starego Anglika”, wycodziła przez zęby po irlandzku i poprzestała na nieznacznym dygnięciu. To było aż nadto szacunku, który porządna dziewczyna mogła i powinna okazać jakiejś rajfurce. Audiencja skończyła się w następnej chwili, gdy Patrycja zaczęła się wyzywająco wpatrywać w oczy pani Liu. Ta przeraziła się tak, że mało nie trafiła jej apopleksja, po czym kazała cudzoziemską diabolicę natychmiast odprowadzić do pokoju. Maokou, choć nieobecna przy prezentacji, musiała szybko się dowiedzieć, co zaszło, ba, nawet bardzo ją to ucieszyło, kiedy bowiem zostały same, po raz pierwszy obdarowała młodą Irlandkę obiema połówkami swojego uśmiechu. Przez cały wieczór Patrycja była z siebie szalenie dumna i czuła się niczym bogini niszczycielka. Niestety, nie była Morrigan ani Badb, toteż na koniec zasnęła, płacząc w poduszkę.

Oczywiście myślała o ucieczce. Była wszak zaledwie sześć czy siedem mil od Pekinu i gdyby udało się jej tam przedrzeć, z pewnością mogłaby poprosić o pomoc pierwszego napotkanego cudzoziemca. Na mur i strażę też powinien znaleźć się jakiś sposób, aczkolwiek nie one były tutaj największą przeszkodą, lecz ów z pozoru niewielki dystans dzielący ją od miasta. W praktyce była to przepaść bez dna i pustynia nie do przebycia. Chociażby z tego względu, że wyróżniała się w tłumie jak wróbel wśród kanarków. Ale nie to było najgorsze. Patrycja dobrze zdawała sobie sprawę, że pierwszy napotkany w polu chłop na jej widok mógłby się tak

25

przerazić, że bez wahania zarębałby ją motyką w obronie własnej. Cudzoziemki nie poruszały się nigdy bez orszaku służby i tragarzy, a przeważnie noszono je w palankinach. Samotna, idąca pieszo, biała, niebieskooka, ruda kobieta mogła być tylko demonem z piekła rodem, którego należało niezwłocznie wysłać tam, skąd przyszedł, po czym wszystkim dobrym bogom złożyć hojną ofiarę w podzięce za szczęśliwe ocalenie. By uniknąć takiej przygody, powinna raczej uciekać nocą, tyle że zbyt słabo orientowała się w okolicy i bała się zgubić.

Gdyby Patrycja umiała jeździć konno, mogłaby się pokusić o szaleńczą galopadę. Na to jednak musiałyby być albo prostą wiejską dziewczuchą, której nieraz zdarzało się jechać na oklep, gnając konie do wodopoju czy na pastwisko, albo wyrafinowaną amazonką. Tą pierwszą nie była nigdy, drugą jeszcze nie.

Słowem, nie miała szans. Świadomość, że musi pogodzić się z ponurym losem, docierała do Patrycji nieubłaganie z każdym dniem. Reagowała na to huśtawką nastrojów. Najpierw był wisielczy humor: przecież właśnie po to przebyła pół świata, truła się rybą i rzygała do morza, aby w nagrodę za te trudy stracić cnotę, więc w czym problem? Potem myśli wzniosło-samobój-cze: prędzej się zabije, niż pozwoli zhańbić. Innym razem roiło się jej, że skoro już musi zostać dziwką, to zostanie tak wyuzdaną i okrutną femme fatale, że mężczyźni wszystkich ras gorzko pożałują, iż ją skrzywdzili. Wreszcie szukała zapomnienia w dziecinnych zabawach z Maokou, którą przekonała do gry w ciuciubabkę.

Tak czy owak, przyszłość Patrycji została przesądzona. Była niewolnicą. Musiała czekać, aż jej nieznany pan i właściciel zdecyduje, kiedy i w jaki sposób zechce się nią zabawić. Wbrew sobie z trzepotem serca podbiegała do okna za każdym razem, gdy usłyszała, że ktoś wjeżdża na podwórze. Mieszkała na pierwszym piętrze, w oknach były grube drewniane kraty obite szczelnie gęstym czerwonym muślinem, ale Maokou pokazała jej, w jaki sposób

26

można go nieznacznie rozedrzeć i odsunąć, tak by dyskretnie wyjrzeć na dziedziniec.

Klientów było niewielu, czasem nawet przez cały dzień nikt nie przyjeżdżał. Kiedy się jednak zjawiali, ich bogate stroje i liczna służba wskazywały, że należą do tutejszej arystokracji. Rzadko bywali młodzi. Ten przybytek z pewnością nie był zwykłym domem publicznym, gdzie mógł wejść każdy, kto miał pieniądze. Był raczej czymś prywatnym haremem czy lupanarem, do którego zapraszano tylko najbliższych przyjaciół lub partnerów w interesach. Po przybyciu gościa na dole zaczynała się długa biesiada, a do pokoju Patrycji dolatywały śmiechy dziewcząt, dźwięki jakiejś zupełnie niemelodyjnej kociej muzyki oraz zapach palonego opium, który nauczyła się rozpoznawać na japońskim statku. Później zza ścian dochodziły głośne krzyki i jęki rozkoszy, przyprawiając młodą Irlandkę o dreszcze

wstydu i zgrozy pomieszane z niezdrowym zaciekawieniem, od którego robiło się jej gorąco. W czasie tych wizyt Maokou ani na chwilę nie opuszczała pokoju Patrycji. Oszepecionej dziewczynie wyraźnie pod żadnym pozorem nie wolno było pokazywać się gościom na oczy.

Człowieka, który przybył ósmego dnia jej niewoli, Patrycja widziała po raz pierwszy. Z pewnością nie był jednym z dostojników, których oglądała do tej pory. Przyjechał na osle, ubrany znacznie bardziej pstrokato niż tamci i obwieszony jak bożonarodzeniowa choinka mnóstwem najrozmaitszych błyszczących talizmanów. Wisiały mu one na szyi, na pasie oraz na nadgarstkach, wychylając się z szerokich rękawów przy każdym ruchu, na przykład wachlarza, którym mężczyzna wciąż wymachiwał, jakby był omdlewającą damą siedzącą w operowej łoży. Głowę okrywał mu czarny czepiec, na którym wyhaftowano złote swastyki oraz srebrne, zygzakowate meandry. U pasa miał jeszcze gruszkowatą tykwę i sakwę, z której wystawał zwój papieru. Przybysz liczył sobie jakieś sześćdziesiąt lat. Zachowywał się niezmiernie wyniośle, jednak w porównaniu z ludźmi w pełni świadomymi swej powagi wypadł pre-

27

tensjonalnie i groteskowo. Jego osła prowadził młody Chińczyk w drucianych okularach i ciężowej sukni barwy indygo. Doprawdy, przed nimi powinien jeszcze kroczyć karzeł w zielonym kubraku trzymający w obu rękach garnek pełen złota, a wtedy byłby już komplet! Ta myśl tak rozbawiła Patrycję, że zaczęła chichotać jak szalona i za nic nie mogła się opamiętać, aż znowu wystraszyła Maokou.

Pół godziny później zjawiała się Stara Tu i na migi kazała Patrycji iść ze sobą. Maokou jak zwykle została w pokoju. Ochmistryni zaprowadziła Irlandkę na dół, do pomieszczenia pełniącego funkcję głównego salonu. Przy herbacie siedzieli tam pani Liu na swoim przenośnym krześle i ów pstrokaty przybysz. Gospodyni na przyjęcie gościa tak się wystafirowała, że wyglądała, jakby specjalnie dla niego wstała z grobu dwa tygodnie po własnej śmierci. Widok warstw pudru i różu na jej rozpadającej się twarzy przyprawiała o zimne dreszcze.

Dziwny mężczyzna sączył herbatę i patrzył na Patrycję, jakby był samym cesarzem. Mimo to zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto przyjechał odebrać jej wianek. Choć może bliższe prawdy byłoby powiedzenie, iż to w głowie panny McGinn kompletnie nie mieściła się myśl, że ona mogłaby położyć się z kimś takim. Ten stary nadęty błazen miałby... Brr! Za jego krzestem stał ów młody Chińczyk w okularach. Były tu jeszcze dwie dziewczyny, które usługiwały pani Liu.

Cóż, mimo wszystko nie wypadało zapominać o dobrym wychowaniu. Zwróciła się do najważniejszej osoby w salonie, dygnęła i powiedziała głośno po angielsku: „Dzień dobry panu!”.

Młody Chińczyk wyraźnie zrozumiał i powiedział parę słów do swego pryncypała. Był tłumaczem! Serce Patrycji zabiło mocniej.

- Ma panienka ogromny zaszczyt stać przed obliczem najczcigodniejszego pana Zang Tunga - oznajmił młodzieniec chropawą, acz znośną angielszczyzną, wskazując siedzącego, który przybrał jeszcze bardziej wyniosłą pozę. - Największego wśród żyjących

uczonego, wróżbitę i astrologa, znawcy geomancji oraz przeszłych i przyszłych dziejów, człowieka, który cudownie udoskonalił akupunkturę, a przede wszystkim posiadał wszelką wiedzę tao i jedynie w

swej niezmiernie wielkoduszności, kierowany litością dla podrzędnych istot, nie zechciał jeszcze zostać dziewiątym nieśmiertelnym.

Patrycja nie wybuchła śmiechem, ale nie dlatego, że była pokojówką z dobrymi referencjami potrafiącą zachować się odpowiednio w każdej oficjalnej sytuacji. Cała ta przemowa po prostu niewiele ją obeszła. Myślała tylko o tym, by skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Proszę zawiadomić brytyjską ambasadę, że jestem tutaj podstępnie uwięziona - powiedziała, nadając swemu głosowi taką intonację, aby wszyscy nieznający angielskiego pomyśleli, że grzecznie odpowiada, jak bardzo czuje się zaszczycona. - Królowa Wiktoria hojnie wynagrodzi pana za pomoc udzieloną jej osobistej pokojówce i powiernicy. - Patrycja postanowiła zrobić jak największe wrażenie.

Tłumacz zaczął mówić po chińsku natychmiast, gdy ona skończyła. Trochę za szybko. Przecież dla wymyślenia fałszywej odpowiedzi powinien potrzebować przynajmniej paru sekund namysłu. Dopiero gdy wszyscy wokół parsknęli pełnym politowania śmiechem, Patrycja zrozumiała, że ten fajdak przełożył jej słowa tak, jak naprawdę brzmiały. Poczzerwieniała i zagryzła wargi.

Starszy mężczyzna powiedział coś z pogardą.

- Pan Zang Tung uważa, że kłamstwo, niewdzięczność i łamanie umowy są w najwyższym stopniu niestosowne - oznajmił tłu-

macz.

- Co takiego?!! - Patrycję zamurowało.

- Panienska kłamie, bo nigdy nie służyła królowej, ale osobie pozbawionej wszelkich wpływów na dworze. Czy panienska zapomina, że przepelniona wdzięcznością za zaszczyt, jaki ją spotyka, sama zgodziła się ofiarować swoje dziewictwo najdostojniejszemu

29

panu Juan, którego sława dotarła aż do Europy? Czyż aby tu przybyć, nie korzystała panienska bez ograniczeń z hojności pana Juan, który zapewnił jej bajeczną podróż z najlepszymi wygodami do wspaniałego Państwa Środka? - Tłumacz nie posiadał się z oburzenia.

Jedno było pewne. Mister Somers zakpił sobie z obu stron!

Ale to była jakaś szansa... Patrycja, siląc się na spokój, zaczęła wyjaśniać nieporozumienie, nie zapominając przy tym poinformować, jak naprawdę wyglądała kajuta pierwszej klasy na statku japońskich piratów.

- Rzecz już bez znaczenia! - przerwał jej pstrokaty szarlatan. - Ważne, że najistotniejsza część umowy została zrealizowana. Pan Juan przybędzie tu dziś wieczór, aby uzyskać to, za co zapłacił.

Podłoga zachwiała się pod nogami Patrycji. Zrozumiała, że jest bezradna i zgubiona.

- Co ze mną będzie? - poczuła, że zbiera się jej na płacz.

- Ależ proszę się nie obawiać! Już jutro wyruszy panienska w drogę powrotną do domu - oznajmił tłumacz. - Po nocy, podczas której, w co absolutnie nie wątpimy, uczyni panienska wszystko, by



zadowolić pana Juan, z samego rana otrzyma panienska pieniądze i bilety na podróż. Wyjedzie panienska tak, jak tu przyjechała.

W pierwszej chwili Patrycja nie wierzyła własnym uszom. Potem dotarła do niej pokusa. Zatem znów miała zobaczyć dom, rodziców i lady Adelajdę?! Na pewno też mogła liczyć na ponowne przyjęcie do pracy. Jedna noc, kilka miesięcy w podróży i będzie tak, jakby nigdy nic się nie wydarzyło... Wobec tego... Chyba może się położyć, zacisnąć zęby i myśleć o Irlandii? Tym bardziej że nie musi tego robić z tym śmiesznym starcem.

Tylko z kim? Może kimś jeszcze starszym i żałośniejszym? Czy tym ludziom można ufać? Niby dlaczego koszty poniesione na jej sprowadzenie do Chin miałyby odpracować jako sprzedajna dziewczka tylko przez jedną noc? Czyż potem inni nie będą chcieli

30

posmakować jej egzotycznej urody z tutejszego piekła rodem? A jeśli zamiast obiecanej odprawy jutro rano nagrodą będzie szyderczy śmiech taki jak przed chwilą? Potem każą jej iść do następnego klienta i tak już bez końca...

Lecz z drugiej strony na co innego mogła liczyć? Cóż by zyskała, okazując nieufność wobec tej propozycji? Jednak ulegając jej i potem zostając z niczym, straciłaby na dodatek resztkę szacunku do samej siebie.

Patrycja nie odpowiadała, bijąc się z myślami. Tymczasem jej milczenie najwyraźniej uznano za zgodę.

- Czcigodny pan Zang - oznajmił tłumacz - jako nadworny wróżbita, a także osobisty lekarz najszlachetniejszego pana Juan, ułożył horoskop i ustalił najważniejszy czas dla tak niezwyklej koniunkcji kobiety i mężczyzny. Przypada on dzisiaj, niemniej pan Zang musi dokonać jeszcze pewnych dodatkowych ustaleń.

W miarę wyjaśnień tłumacza jego pryncypał z namaszczaniem rozkładał na stole papiery pokryte chińskimi znakami i diagramami, wśród których Patrycja dostrzegła mapę nieba oraz rysunki przedstawiające kobietę i mężczyznę obcujących ze sobą cieleśnie na różne sposoby. Dziewczyna oblała się rumieńcem.

- Czcigodny pan Zang - kontynuował tłumacz - życzy sobie Dbejrzeć włosy łonowe panienski, albowiem ich długość i kształt świadczą najlepiej o inteligencji kobiety, a także o natężeniu jej żeńskiego pierwiastka yin, co ma wielkie znaczenie dla...

Patrycja straciła zdolność słyszenia i rozumienia tego, co do niej mówią. Jakby niebo zawaliło się jej na głowę. Gdyby była mniej wzburzona, zauważyłaby może, iż to niesłychane żądanie zgorszyło lawet towarzyszące pani Liu ladacznice, które poczerwieniały i spu-iciły oczy. Tłumacz, powiedziawszy swoje, dyskretnie odwrócił się lo ściany. Pan Zang natomiast, nie przejmując się niczym, zachowywał się jak uczone przyrodnik, który zamierzając pokroić trupa staje Jonad żalosnymi przesądami maluczkich. Dokończył rozkładać woje papiery oraz przybory do pisania, po czym majestatycznym

31

gestem polecił Patrycji, aby się do niego zbliżyła. Dopiero teraz w jego oczach błysnęła chorobliwa ciekawość.

Młoda Irlandka ani drgnęła. Pani Liu powiedziała do niej coś nagłoco, a Stara Tu, stojąca wciąż za Patrycją, popchnęła ją w kierunku obleśnego szarlatana. Dziewczyna odruchowo zrobiła krok do przodu, ale natychmiast cofnęła się na poprzednie miejsce. Wobec tego zniecierpliwiony wróżbita wstał z krzesła i sam do niej podszedł.

Patrycją czuła tylko szalony łomot własnego serca i słyszała dudnienie krwi w uszach. Nie wiedziała, co ma począć. Krzyżeć, uciekać, stać jak słup soli?... Żadna jej myśl nie dawała się wyrazić słowami.

Czcigodny pan Zang Tung wyciągnął rękę, zamierzając podnieść suknię Patrycji.

Zupełnie nie wiedziała, jak to się stało. Ten srebrny czajnik po prostu sam wpadł jej w rękę. Nie spostrzegła, kiedy ani jak wzięła zamach na odlew. Otrzeźwił ją dopiero głuchy, lecz potężny łoskot blachy o czerep starego lubieżnika. Herbata wprawdzie nie była zbyt gorąca, ale było jej jeszcze dostatecznie dużo, aby zaimprovizowany oręż miał odpowiednią wagę. Sekundę później ociekający aromatycznym napojem wróżbita pokazał wszystkim mocno wytarte podeszwy swoich kapci.

Gdyby Patrycją знаła język chiński i była w nastroju do żartów, to, co stało się teraz, nazwałaby określeniem „dziesięć tysięcy ceremonii”. Wszyscy na wyścigi rzucili się podnosić, ratować i przeproszać pana Zang. Na czele z panią Liu, która poderwawszy się z krzesła, zdołała na swych okaleczonych stopkach postąpić ledwie dwa kroki, po czym zachwiała się i runęła jak wieża z rozmiękłego ciasta. Mimo ogólnego rozgardiaszu wyraźnie dał się słyszeć trzask pękającej kości nadgarstka, a potem bolesny skowyt gospodyni. Stara Tu całkiem straciła głowę i przez chwilę bezradnie miotała się pomiędzy gościem a swoją panią, nie wiedząc, komu najpierw udzielić pomocy. Ladacznice usiłowały przekrzycheć jed-

32

na drugą, współzawodnicząc chyba w tym, która głośniej wyrazi swą zgrozę i oburzenie.

Pierwszy opamiętał się tłumacz i zaczął wachlarzem cucić swego pryncypała. Potem przybiegły inne dziewczęta oraz dwóch strażników domu i sytuacja wreszcie została opanowana. Pana Zang i panią Liu podniesiono z podłogi i posadzono na swoich miejscach. Jęczęli głośnie w duecie. Złamana ręka pani domu dosłownie puchła w oczach, na czole wróżbity już wyskoczył guz

O rozmiarach połowy jabłka. Wszyscy dookoła zamiast nieść konkretną pomoc cierpiącym, na wyścigi składali im wyrazy współczucia. Następnie wezbrała fala gniewu na sprawczynię całego kataklizmu.

Patrycja, nadal z czajnikiem w rękach, stała i zastanawiała się od niechcienia, czy teraz obedną ją ze skóry. Na razie tylko odebrano jej narzędzie zbrodni. Potem Stara Tu zaczęła mówić coś głośnie i z wielkim gniewem, ale o dziwo, nie zwracała się do Patrycji. Gdy ochmistrzyni skończyła, dwie dziewczyny pobiegły na górę

1 po chwili wróciły, wlokąc wystraszoną Maokou.

Tłumacz dostrzegł zdumienie cudzoziemki.

- Tak nikczemna zniewaga nie może pozostać bez kary - oznajmił. - Panienki służąca jest za panienkę odpowiedzialna.

Patrycja nic z tego nie rozumiała, dopóki z Maokou nie zdarto sukni, nie rzucono jej półnagiej brzuchem na stół i nie stanęły nad nią mieszkanki tego przybytku z bambusowymi prętami w dłoniach. Wtedy dopiero dotarło do niej, że biedna dziewczyna ma być ukarana za nią. Nikogo nie obchodziło, że Maokou jest niewinna. Przeciwnie, patrząc na zaciętość malującą się na twarzach ladacznic, można się było spodziewać, że ją zachłuszczą na śmierć.

I rzeczywiście. Zaczęły bić tak, jakby dopadły trucicielki, która wymordowała im ojców i matki. Pierwszy krzyk Maokou sprawił, że Patrycja wprost eksplodowała gniewem. Już się nie bała i nie wahała. W obliczu takiego barbarzyństwa chciała tylko jednego: udusić gołymi rękami te dzikie żółte lafiryndy!

33

Stara Tu próbowała zastąpić jej drogę, ale Irlandka odepchnęła ją z taką siłą, że ochmistrzyni runęła jak długa. Dopadła pierwszej z ladacznic, szarpnęła ją za włosy, spoliczkowała i wyrwała jej różgę. Tak uzbrojona zdecydowanie weszła pomiędzy bijące a ich ofiarę.

Spadł na nią grad ciosów. Próbowwała je zbijać swoją zdobyczną bronią, lecz razów było zbyt wiele. Zaraz dostała w bark, w przedramię i w twarz, pod prawe oko...

W tym momencie wszystko ustało. Nikt już nikogo nie bił. Dziewczyna, która w zapamiętaniu uderzyła Irlandkę w policzek, patrzyła teraz na nią ze śmiertelnym przerażeniem w oczach. W następnej chwili rzuciła bambus i padła przed Patrycją na twarz.

Gdyby nagle objawił się tutaj prawdziwy diabeł, nie zapanowałaby większa zgroza. Zamilkli wszyscy. Przestała płakać Maokou, ucichli nawet Zang Tung i pani Liu. Dwaj stojący w drzwiach strażnicy byli kredowobłdzi. Tłumacz poruszał ustami niemo jak ryba.

Patrycją zaś, czując pod okiem siniak pulsujący piekącym bólem, rozumiała doskonale wszystko i do końca. Była cenna. Bardzo cenna. Kosztowna niczym rzadka porcelanowa waza, a raczej, za przeproszeniem, importowany kielich rozkoszy, który właśnie w widoczny sposób obtłuczono. Na domiar złego zrobiono to kilka godzin przed wizytą właściciela, który z pewnością życzył sobie używać niewyszczerbionej zastawy.

Za coś takiego winowajcy mogli zapłacić głową, a pojęcie winy należało rozumieć w specyficznym chińskim, a więc najszerszym znaczeniu, czyli do odpowiedzialności mógł zostać pociągnięty każdy, kto miał jakikolwiek związek ze sprawą.

Zamieszanie, które wybuchło teraz, było niczym wobec dwóch poprzednich. Po raz pierwszy, odkąd Patrycją tu przybyła, zastosowano wobec niej przemoc. Konkretnie usadzono ją siłą na krześle, nasmarowano stłuczenie masłem i przyłożono do niego lód,

34

nie pozwalając ruszyć głową ani o cal. Podobne środki zastosowano wobec Zang Tunga, ale on musiał sam sobie trzymać kompres. Ignorował go nawet własny służący. Najciężej kontuzjowaną panią Liu w

ogóle pozostawiono własnemu losowi. Maokou czym prędzej odprawiono, pilnując się przy tym, aby nie użyć wobec niej gestów i słów, które mogłyby znów rozjuszyć Patrycję. Ci, którzy nie mieli nic do roboty, w napięciu śledzili rezultaty terapii.

Masło i lód zlikwidowały siniec i opuchliznę, czerwona pręga jednak została. Wobec tego z całego łupanaru zniesiono wszystkie gatunki pudru i Stara Tu, nie kryjąc zdenerwowania, drążącymi rękami starała się zamaskować ślad uderzenia. Nie byłoby z tym kłopotu, gdyby Patrycja nie była piegowata.

Ona sama nie przeszkadzała. Czuła, że żarty się skończyły i teraz idzie także o jej skórę. Jeżeli miała naprawdę być odesłana do domu, nie powinna swym zachowaniem skłaniać nikogo do zmiany zdania. Ta myśl uświadomiła jej, że już pogodziła się z losem. Tak. Zrobi to! Zrobi, czego od niej chcą. Może gdyby była córką jakiegoś króla, wybrałaby raczej śmierć niż hańbę, ale nie była księżniczką. Była zwykłą irlandzką dziewczyną, jedną z milionów. I nie pierwszą, i nie ostatnią zabawką w rękach angielskiego pani-czyka. Co za różnica, że akurat ją zamiast pod tradycyjnym żywoplotem, będą obracać w cieniu chińskiego muru?

Przyjechał po zachodzie słońca, gdy zaczynało już zmierzchać. Cała służba obstała jego lektykę z zapalonymi lampionami. Stara Tu witała go na kolanach. Nie ulegało wątpliwości, że jest tutaj panem i władcą, pierwszym nawet przed Bogiem. Jeśli zaś chodzi o wygląd, musiał ustąpić mu nawet szatan. Najczcigodniejszy pan Juan miał iście diabelskie pazury, jego paznokcie mierzyły chyba z dziesięć cali. Ponadto był tłusty i zaśliniony. Wyglądał staro, ale nie była to kwestia podeszłego wieku, a podłego życia. Pijaństwo, rozpusta i opium przeżarły go aż do szpiku kości, lecz jeszcze nie starty z jego twarzy wyrazu chytrej obłudy. Patrząc na niego, Patrycja pożałowała swojej niechęci do Zang Tunga, już stokroć bar-

35

dziej wolałaby iść z tym śmiesznym starcem. Teraz była przekonana, że po prostu umrze, kiedy tamta maskara się do niej zbliży. I zarazem wiedziała, że umrze na pewno, jeśli maskary w czymś nie zadowolili... Panu Juan towarzyszyło czterech ludzi, z batami i mieczami, którym wszyscy schodzili z drogi. Nie wyglądali na żołnierzy, raczej na katów.

Patrycja odeszła od okna, usiadła i zmartwiła. Nic nie myślała, nic nie czuła, tylko czekała. Pan Juan musiał zacząć od kolacji, bo ochmistrzyni przysłała po cudzoziemską dziewicę dopiero godzinę później. Przyniosła ze sobą długi czerwony welon i powiedziała coś do Maokou. Dziewczyna podeszła, zaczęła rozpinąć suknię młodej Irlandki. Już wiedziała, jak się to robi. Patrycja przełknęła łzę.

Nad dziedzińcem zaczęły wybuchać kolorowe fajerwerki.

Sergiusz Jakub Lawendowski w mundurze wyjściowym lejtnanta gwardii cesarskiej miarowym krokiem, pobrzękując szablą i ostrogami, szedł barokowym korytarzem Oficerskiej Szkoły Kawalerii w Petersburgu. Była akurat przerwa i mnóstwo kadetów wyległo z sal wykładowych, ale Sergiusz nie musiał przeciskać się przez tłum, który skwapliwie rozstępował się przed nim. Salutował napotkanym po drodze dawnym wykładowcom, a pamiętających go jeszcze kolegów z młodszych roczników pozdrawiał nieznacznym skinieniem głowy. Powszechnie oglądano się za nim. Wtajemniczeni pełnym podziwu szeptem informowali niezorientowanych, jak błyskotliwy okaz kariery oficerskiej mają właśnie możliwość oglądać. I nie obyło się przy tym bez zawistnych komentarzy, że przeklęty Polak tak wysoko zaszedł.

Przed drzwiami gabinetu komendanta szkoły kręcił się brodaty muzyk w białej bluzie szeregowca. Wszak nie uchodziło, aby taki gość, obcujący na co dzień z cesarskim Majestatem, musiał sam trudzić się pukaniem do drzwi! Na widok Sergiusza otworzył szeroko oba skrzydła i wyprężył się obok w postawie zasadniczej. W głębi sekretariatu zza biurka powstał młody człowiek w mundurze młodszego lejtnanta i zasalutował z powagą. Na stoliku obok popuszczał parę samowar.

- Gospodin komendant czeka! - poinformował sekretarz. W następnej chwili muzyk wziął od przybyłego płaszcz.

Sergiusz odpiął jeszcze szablę i oddał ją ordynansowi razem z rękawiczkami. Poprawił przed lustrem włosy i czapkę.

37

- Już, już, zaraz samowar będzie w akuracności! - szepnął muzyk, biegnąc z powrotem od wieszaka do drzwi wewnętrznego gabinetu. - Wasze wysokobłagorodie... - zaczął anonso-

wać.

- Dawaj go tu! - przerwał mu energiczny, wesoły głos.

- Panie generale! - Sergiusz strzelił obcasami.

- Siergiej Henrykowicz, aż miło spojrzeć! - Generał Aleksiej Brusilow podszedł szybko do młodego oficera i serdecznie ucisnął go za ramiona. Gospodarz skończył już czterdzieści pięć lat, ale wciąż nosił drobne, sztubackie bez mała wąsiki, jasne i zadarte w górę. Do tego dochodził solidny zadatek tysiny oraz życzliwy uśmiech dobrego wujaszka. To był najbardziej mylący zestaw pozorów, jaki Sergiusz kiedykolwiek w życiu oglądał.

- Dziękuję za pamięć, panie generale.

- A jakżeżbym miał nie pamiętać mojego najzdolniejszego kadeta? Siadajże, siadaj... - podsunął gościowi krzesło.

Do pokoju wszedł ordynans, niosąc tacę z samowarem, szklankami i salaterką pełną ciasteczek czy pierniczków.

- Jemieliusza... - powiedział z łagodną przyganą generał, patrząc krytycznie na łakocie. - Albo my to grafinie jakie na angielski podwieczorek zebrane? Samowar zostaw, ale daj coś po duszy...

- Natychmiast, wasze wysokobłagorodie! - Zmieszany muzyk porwał salaterkę i zniknął za drzwiami.

- Jakże służba u boku cesarskiej rodziny? - zagadnął gospodarz, gdy zostali sami.

- Zaszczytne, ale prawdę powiedziawszy, panie generale, nudna

- odpowiedział Sergiusz.

- Nudna? Jakże to?! W Carskim Siole rozrywek wam brakuje?

- żartobliwie obruszył się Brusilow. - Toż to jakby w niebie na nadmiar świętości narzekać! Nuda, mówicie? No a kto zawrócił w głowie córce tureckiego ambasadora, a?

- Wiecie? - Sergiusz poczerwieniał.

38

- A wiem, wiem! Wszyscy wiedzą. Naprawdę chciała się dla was utopić w Newie?

- Ledwie odratowali.

- Mało to wojen z Turcją mieliśmy w tym stuleciu?

- Jeśli w czymś zawiniłem... - Sergiusz zrobił ruch, by wstać z krzesła.

- Patrzcie go, jaki sieriozny! - generał popchnął go lekko z powrotem na oparcie. - Toż już pożartować nie można? Zwłaszcza że ponoć i sam cesarz śmiał się, iż u niego gwardia przystojna na zabój... To i czemuż wam nudno, a?

- Po żołniersku wykazać się chciałbym, panie generale. Na cesarskich salonach, nikogo nie obrażając, bardziej dla dworaków miejsce.

- Męskiej zwady szukacie czy przed krasawicą uciekacie?

- Jedno i drugie, panie generale. - Sergiusz dobrze pamiętał, że jego dawny nauczyciel nie znosi wykrętów i owijania w bawełnę, zwłaszcza w rozmowie w cztery oczy.

- Może i da się temu zaradzić.

Do gabinetu wkroczył Jemieliusza bardzo rad z siebie. Tym razem niósł spotniałą karafkę wódki z dwiema kryształowymi literatkami, blaszaną miseczkę czarnego kawioru ustawioną w większej porcelanowej salaterce z lodem, bodaj tej samej, w której przed chwilą gościły ciasteczka, teraz pewnie radujące wróble z całego kwartału. Do tego dochodziła francuska bułka pokrojona w malutkie kromki, plik wojskowych sucharów i dorodny okaz suszonego dorsza, który od razu wypełnił pokój swą niepowtarzalną wonią. Znać było, że ordynans w pośpiechu łapał dokładnie wszystko, co mu wpadło w ręce.

- Bóg ci zapłać, Jemieliusza! - Gospodarz osobiście zajął się nalewaniem wódki.

Sergiusz wstał i obaj oficerowie z kieliszkami w dłoniach zwrócili się w stronę wiszącego za biurkiem portretu Mikołaja II.

- Za zdrowie Jego Cesarskiej Mości! - zawołał gospodarz. Wypili pierwszy toast.

39

Generał Brusilow nałożył sobie kawioru na żołnierski suchar. Lejtnant Lawendowski poszedł za jego przykładem, a następnie nalał drugą kolejkę.

- Pańskie zdrowie, generale! - po polsku przepił do gospodarza.

- Aleksieju Aleksiejewiczu... - życzliwie poprawił go Brusilow. - Jestem zaszczycony, Aleksieju Aleksiejewiczu!

Stuknęli się szkłem i znów zakąsili. Lawendowski po chwili namysłu garniował kawałek dorsza kawiozem. Brusilow nieznacznie uniósł brwi i zrobił to samo.

- Wybaczcie, Siergieju Henrykowiczu, ale muszę spytać... - przeszedł do rzeczy gospodarz.

- Proszę, pytajcie. - Sergiusz jak zwykle nie zareagował na zruszczenie swojego imienia.

- Wasze kuzynostwo nadal przeciw imperatorowi spiskuje?

- Nie utrzymujemy ze sobą kontaktów. - Młody oficer spo-chmurniał i odłożył zakąskę.

- Znaczy, nadal... - Brusilow znacząco zawiesił głos.

- Tak, Aleksieju Aleksiejewiczu. Niektórzy z nich do tej pory żadnej z cesarskich amnestii nie chcieli przyjąć. Wolą żyć jak wilki gdzieś na Sybirze.

- Twarde buntownicy - westchnął Brusilow. - No, żal... Ale żyją chociaż?

- Jeden ze stryjów żyje na pewno. Stanisław Jakub... Nie wiem, gdzie się podziewa.

- Pewnie oni was za czarną owcę mają? - Gospodarz nalał znowu.

- Mój ojciec powiedział wszelkim mrzonkom: dość! - zaperzył się Sergiusz. - Zwłaszcza dość głupich, samobójczych buntów! Miejsce Polski jest u boku Rosji! Od tej pory my już dwie różne rodziny, choć nazwisko to samo.

- Wasz ojciec był mądrym człowiekiem, Siergieju Henrykowiczu, niech spoczywa w pokoju.

- Amen! - Lejtnant Lawendowski szybko wypił swoją wódkę.

40

- A słyszeliście może, co petersburscy studenci ostatnio wyrabiają? - zmienił temat generał.

- Trudno nie słyszeć - wzruszył ramionami Sergiusz. - Wiece, strajki, pochody... Ot, młodzieńcza błazenada!

- Kiedy potem z bruku cesarską krew trzeba zmywać, to już nie jest błazenada - odparł surowo Brusilow.

- Znów szykują zamach na imperatora?! - zaniepokoił się Lawendowski.

- Byłoby dziwne, gdyby niczego złego nie zamierzali - rzekł wymijająco gospodarz. - A wam, Siergieju Henrykowiczu, trzeba by się z nimi zapoznać bliżej...

- Gadać ze mną nie będą! - machnął ręką Sergiusz. - Zaraz się wyda, że ja z gwardii z samego Carskiego Sioła. Niby co miałbym im wtedy powiedzieć?

- Kropka w kropkę to samo, co w zachodnich gazetach piszą. Ze jego cesarska mość durak, nieuk i sentymentalny pajac... - Generał Brusilow przeprasząco skłonił głowę przed portretem cara. - Ze własnymi oczami na te bezceństwa patrząc, głębokiej odrazy do samodziśawia nabraliście...

- Zaraz! - Lawendowski oprzytomniał. - Mam na szpicla iść?! Donosy na tych studentów pisać?! Jakże to, Aleksieju Aleksiejewi-czu?! Oficerski honor...

- Nie niepokóćcie się! - wpał mu w słowo Brusilow. - My nie ochrana, wyręczać ich nie będziemy. A donosy to na was napisać mają.

-Po co?!

- Po polsku mówiąć, to się nazywa przykrywka lub legenda.

- Znaczy, że?...

- W waszej misji będzie lepiej, jeśli starzy buntownicy będą was mieli za swego. Zresztą inaczej trudno byłoby wyjaśnić, czemuż to młodego zdolnego lejtnanta wysyłają z Carskiego Sioła na Daleki Wschód. To raczej podły awans, ale miłosierna kara. Przez wzgląd na dawne zasługi zesłanie do odległego garnizonu w sam raz może być.

41

- Mogę się jeszcze napić?

- Na zdrowie, młody człowieku! - Generał Brusilow sięgnął po karafkę.

- Dokąd?

- Mandżuria. Miasto Harbin. Mogliście o nim nie słyszeć, bo ledwie rok temu założone, ale już dziesięć tysięcy dusz w nim żyje.

- Słyszałem! - szczerze ucieszył się Lawendowski. - To naprawdę wielka sprawa! Pierwszy raz Polacy i Rosjanie razem jakieś miasto budują, zamiast je sobie nawzajem palić, jak dotąd bywało.

- Jestem szczęśliwy, że rozkaz tak dobrze trafia w chęć, Siergie-ju Henrykowiczu.

- Ale reputację sobie szargać?!... Przeciw imperatorowi bluźnić?... - zmartwił się Lawendowski.

- Nie obawiajcie się! Głowy wam nie urwą, osobiście tego dopilnuję. A jak dojedziecie do Czyty gdzie od kolei transsyberyj-skiej odchodzi kolej mandżurska, tam będzie już na was czekać awans na starszego lejtnanta i specjalne pełnomocnictwa.

-Jakie?

- Ochrona kolei i wojskowy kontrwywiad. Będziecie tropić japońskich szpiegów. Zadowolony?

- Prawdę mówiąć, Aleksieju Aleksiejewiczu, liczyłem na poważniejszego przeciwnika.

- Japończyków lekceważyć nie należy - odparł z powagą generał Brusilow. - Wiem, co o nich myślą moi koledzy ze sztabu generalnego, ale nie mają racji. To zażarty i ambitny naród. Do tego mają nam bardzo za złe, żeśmy ich pozbawili zdobyczy w ostatniej wojnie z Chinami i zmusili do oddania Portu



Artura oraz całego półwyspu Liaotung. Nie przeboleli tej straty i nie wybaczyli nam międzynarodowego upokorzenia. Teraz zmierzają do sojuszu z Anglią przeciw Rosji.

- Japończycy nie mają z nami żadnych szans! - oznajmił lejt-nant Lawendowski z całkowitą pewnością siebie.

42

- Chciałbym, aby w raporcie udało się wam tego dowieść, Sier-gieju Henrykowiczu. Ale szczerze w to wątpię.

- Może ci Japończycy byli dobrzy na Chińczyków walczących, jakby nadal było średniowiecze.

- Japonia ma armię lądową szkoloną w stylu pruskim. Flotę na wzór angielski. I wciąż się zbroi. Na to idą pieniądze z chińskich reparacji wojennych. Nadto starczy raz spojrzeć na mapę, by zobaczyć, kto w razie wojny będzie miał dłuższą drogę do przebycia. Oni najważniejszy przemysł, bazy i ludzi mają prawie na miejscu, my dziesięć tysięcy kilometrów dalej. Choćby dlatego za nic nie możemy pozwolić Japończykom zadomowić się w Korei i nie godzimy się na podział stref wpływów proponowany przez rząd w Tokio według zasady: Korea dla Japonii, Mandżuria dla Rosji. To kolejny powód do wojny. A do tego jeszcze naszym kupcom drzewnym zapachniały koreańskie lasy. Z którejkolwiek strony na to patrzeć, wojna pewna! Może jeszcze nie za rok i nie dwa, ale za trzy lata trzeba zacząć poważnie się martwić.

- Są jeszcze Chiny - zauważył Sergiusz. - Mandżuria i Korea to chińskie posiadłości, przynajmniej jak do tej pory...

- Chiny się nie liczą - machnął ręką generał Brusilow. - To tylko wielki przejrzały arbuż, który wszyscy kroją, jak chcą, i wycinają sobie co smaczniejsze kawałki. Całkiem tak, jak było, bez urazy, z waszą Rzeczpospolitą sto lat temu. Tylko że teraz chętnych do krojenia kilkunastu, a nie trzech.

- Nie myślę obrażać się na prawdę historyczną - rzekł Sergiusz. - Wiem, na jakim świecie żyję.

- To dobrze. Pojedziecie zatem do Mandżurii patrzeć Japończykom na ręce. Kupili oni już niemało chińskich mandarynów i usługi mongolskich książąt. Rzecz zbadacie na miejscu.

- Ależ po to nie muszę szargać sobie reputacji i narażać oficerskiego honoru! - zaproponował Lawendowski.

-Jest jeszcze coś...

- Co, Aleksieju Aleksiejewiczu?

43

Generał Brusilow wyjął z szuflady dużą księgę w zielonej skórze. Na okładce złotą cyrylicą wytłoczono tytuł: Opisanie Mandżurii.

- To jest tajny raport sprzed dwóch lat sporządzony dla cesarskiego ministerstwa finansów. Popatrzcie... - rozłożył umieszczoną wewnątrz książki mapę i rozpostarł ją na biurku. - Przyjrzyjcie się dobrze!

Lawendowski pochylił się nad mapą, a generał zajął się parzeniem herbaty. Właściwie wypadało wezwać do tego Jemieliuszę, ale widać im mniej postronnych oczu, tym lepiej.

Mandżuria, kraj na północ od chińskiego muru, graniczący na zachodzie z Mongolią, od wschodu z Koreą, a na północy i północnym wschodzie z Rosją, wzdłuż rzek Amur i Ussuri. Pod względem rzeźby terenu Mandżuria była prostokątną żyzną równiną obramowaną trzema wielkimi pasmami górskimi - Wielkiego i Małego Chinganu od wschodu i północy oraz Górami Wschodniomandżurskimi z najwyższym, podobnym do Tatr, pasmem Czang-bo, które razem z wypływającą stąd rzeką Jalu wyznaczały naturalną granicę z Koreą. Na południu głęboko w Morze Żółte wcinał się półwysep Liaotung z cyplem Kwantung i położonym na nim Portem Artura - rosyjską twierdzą morską stanowiącą wyzwanie i światowy policzek dla Japonii, która pierwsza wydarła ją Chinom w wojnie 1895 roku, lecz potem musiała oddać Rosji pod naciskiem cywilizowanych narodów oburzonych gwałtami japońskiej armii. Przepadł wtedy z kretesem podziw dla modernizującego się pracowicie Kraju Wschodzącego Słońca, a japońscy dyplomaci, przezywani „żółtymi kartami we frakach”, stali się ledwie tolerowanymi pariasami europejskich i amerykańskich salonów.

Lejtnant Lawendowski popatrzył na środek mapy, tam gdzie linia kolei mandżurskiej przecinała rzekę Sungari. Harbinu jeszcze nie było, ale nic dziwnego, bo mapa była z 1897 roku, a miasto założono dopiero w następnym. Do tej pory, czyli w ciągu zaled-

44

wie kilkunastu miesięcy, stanął tam cały przemysł niezbędny do obsługi kolei, gorzelnie, cegielnie, prawosławna katedra, mówiło się też o katolickim kościele dla Polaków, a nawet o czeskim browarze. Tempo rozwoju iście amerykańskie!

W następnej kolejności Sergiusza zaintrygowały osobliwe czerwone cętki zaznaczone niemal przy każdej górskiej rzece. Spojrzał na legendę i gwałtownie wciągnął powietrze. To były złoża złota! Mnóstwo... Było ich tyle, że Amerykanie ze swoją Kalifornią i Alaską mogli się schować pod dywan!

Generał domyślił się, na co patrzy jego gość.

- Tak, tak, Siergieju Henrykowiczu - podsunął mu szklankę z parującą herbatą. - A trzeba wam wiedzieć także to, że Chińczycy tych pól złotoносnych prawie nie ruszyli. Oni bardziej od złota cenią sobie srebro, nefryt i jadeit. Mandżurowie zaś, tak jak i wy, Polacy, zawsze bardziej w żelazie się kochali. Poszukiwaczy złota traktowali jak rozbójników, zwanych tam chunchuzami, i tępilili bez różnicy. Lepiej już patrzyli na myśliwych, co na sobole polują, to wolno. A sobole tam też w bród, ich skóry służą za pieniądze. Można też szukać korzenia, niby leczniczego, co się żeń-szeń nazywa czy jakoś tak. Zdaniem naszych lekarzy to bezwartościowe zielsko, jakaś ichnia mandragora, ale Chińczycy płacą za niego złotem... No właśnie, złoto! Popatrzcie, o tu... - Bru-siłow wskazał północno-zachodni kraniec mapy, gdzie zbiegały się góry Wielkiego i Małego Chinganu. - Tu do Amuru wpada sobie rzeczka Albażicha, a do niej z kolei rzeczułka Zełtuga, widzicie?

- Widzę... - Czerwone cętki były tu liczniejsze niż gdzie indziej.

- Na początku lat dziewięćdziesiątych była tam cała republika Doszukiwaczy złota.

- Republika? - zdziwił się Sergiusz.

- A tak! Wybierali spośród siebie wójtów, którym oddawali i wudziestą część znalezionej złota, a wójtowie ci zbierali się

45

w rady, które wszystkim rządziły i sądziły, kiedy było trzeba. Dobrze zarządzili, trzeba im to przyznać, lecz jego cesarska moc, oczywista, nie mógł takiej samowoli tolerować i stanowczo jej zakazał.

- Ależ to się działo po chińskiej stronie Amuru - zauważył lej-t-nant. - Cóż cesarz, z całym szacunkiem, mógł...

- Skończyła się wtedy cicha rosyjska opieka - wyjaśnił gospodarz. - Poszukiwacze złota zostali wyjęci spod niepisanej prawa. No i wiecie co? - dla efektu zawiesił głos. - Nic się nie stało! Ze wszystkim nic! Oni tam sobie dalej żyli i płukali złoto, a kiedy Chińczycy na nich nastąpili, w sojuszu z miejscowymi Tunguzami wydali Chinom regularną wojnę!

- Chyba coś kiedyś w gazecie czytałem. Ze chińskie wojska z jakimiś górskimi bandami... Mówicie, Aleksieju Aleksiejewiczu, że to nie były bandy, tylko prawdziwe państwo? Republika?

- I te bitwy też całkiem niczego sobie! - dodał generał Brusilow. - Fachowo powiem, że bez zarzutu rozgrywane. Znać znajomość wojennego rzemiosła...

- Ale w końcu Chińczycy ich zmagli.

- To Kitajce tak mówią. Tak naprawdę skończyło się złoto, przynajmniej te najłatwiej dostępne złoża.

- Znaczący, że ci skonfederowani poszukiwacze gdzieś się przenieśli?

- Otóż to, Siergiej Henrykowiczu! Otóż to! Pytanie gdzie?! Lawendowski popatrzył na mapę i wzruszył ramionami. - Igła w stogu siana... Ten kraj ma ponad milion kilometrów

kwadratowych, z tego dwie trzecie to góry. Mogą być wszędzie, nawet w Mongolii i Korei.

- Owszem, w Korei też są. Ostatnio widziano ich w Górach Diamentowych. Rzec w tym, Siergiej Henrykowiczu, że to głównie wasi rodacy, rozmaici zbiegowie z Sybiru, polityczni spiskowcy, którym nie uśmiecha się powrót pod carską władzę.

46

- Co mam robić? u .

- Nie tak prędko! Musicie wiedzieć, że ja jeszcze z nikim

o tym nie mówiłem. Koleżeństwo generalstwo i tak już na mnie jak na roroga patrzą, kiedy mówię, że trzeba się przed Japonią strzec. Ot, powiadają, bzik, angielskie hobby starego Brusilowa, Aleksiej Aleksiejewicz, mówią, za biureczkiem nam się nudzi

1 palcem po mapie wojuje. Jakby coś z tego do nich doszło, toby już całkiem jak na urodziwego patrzyli.

- Możecie mi zaufać, Aleksieju Aleksiejewiczu!

- Jestem szczęśliwy! Od razu zatem wam powiem, że żadnych dowodów nie mam, tylko to... - generał znacząco poklepał czubkiem wskazującego palca skrzydełko nosa. - Tylko to!

- Co was niepokoi, Aleksieju Aleksiejewiczu?

- Cisza.

- Cisza?

- Tak, cisza. Ciszej jedziesz, dalej zajedziesz, jak to u nas mówią. A was, Polaków, jak zbyt długo spokojnie siedzicie dla cara mili, dopiero wtedy trzeba zaczynać się bać...

- Ależ, Aleksieju Aleksiejewiczu!

- Wybaczcie, urazić nie chciałem... - generał upił herbaty. - Otóż ja myślę tak: była sobie republika Zettugi i jej nie ma! Tacy ludzie, nawykli do swobody, z własnym rządem, w bojach zaprawieni, gdzie indziej powinni się pokazać, a nie pokazują się. Czemu? - pytam. Albo inaczej: Polacy płuczą złoto, i na zdrowie! Ale co oni z tym wypłukanym złotem potem robią? A wypłukać musieli dużo, sami widzicie...

- wskazał mapę. - Pałace w Harbinie powinni teraz sobie stawiać, a nie stawiają. Czemu? Co z nich za ludzie, że sobie pożyczyć nie chcą, a?

- Patrioci... - mruknął Lawendowski.

- Otóż to, Siergieju Henrykowiczu! Z ust mi to wyjęliście! Polacy patrioci i dużo złota... Oj, na samą myśl ruskie zęby bolą...

- Pojadę, popatrzę co i jak!

47

- Bez hałasu, ale szybko - zaznaczył z naciskiem gospodarz. - Bo tu równie wielkie zaszczyty, jak i śmiech mogą potem być. Pewności żadnej nie mam.

- Ja nie dla zaszczytów, panie generale! - Lejtnant Lawendowski stanął na baczność. - Tylko dla jego cesarskiej mości i przez pamięć ojca! Dość wstydu nam, Polakom, którzyśmy nigdy krwią bożego pomazańca się nie splamili, ten carobójca Hryniewiecki przysporzył! Czas, aby teraz Polak zmaszał tę hańbę i pokazał światu, jak się imperatorskiego tronu broni!

- Wypijmy zatem strzemiennego - generał Brusilow rozlał do kieliszków resztę wódki.

Fajerwerki rozpostarły się nad domem uciech jak wielobarwny ognisty parasol. Zalały dziedziniec migotliwym czerwonym, zielonym i żółtym światłem, a huk ich wybuchów aż wwiercał się w uszy. Odpalano je zza muru, w kilku miejscach naraz. Wybuchwały chyba trochę za nisko, bo iskry osypywały się po dachu i masywnych ceglanych dachówkach. Jednak dzięki temu fajansowe feniksy zdobiące naroża wywiniętego w górę dachu pagody wręcz ożyły. Skąpane w ruchliwym kolorowym światłocieniu ogniste ptaki stroszyły płomienne czuby, poruszały skrzydłami i zdawały się zrywać do lotu. Były piękne i było w nich coś drapieżnego. Patrycji wydało się, że spoglądają w niebo, jakby czegoś wyglądały, jakby zaraz na dziedzińcu lupanaru miał wylądować smok.

Zafascynowana Maokou przestała rozpinać suknię cudzoziemki. Także Stara Tu podeszła do okna i bez ceregieli rozdarła zakrywający je muślin. Była wyraźnie zdziwiona, jakby nie miała z tym widowiskiem nic wspólnego, a powinna coś wiedzieć, skoro była tu ochmistrzynią.

Patrycja dostrzegła nagle mężczyznę siedzącego okrakiem na szczycie muru. Człowiek ten miał karabin i właśnie składał się do strzału. Irlandka zobaczyła błysk na końcu lufy, ale huk wystrzału przepadł w hałasie czynionym przez fajerwerki. Kolejny strzelec wychylił się zza muru osłaniającego główną bramę. Także jego strzał przepadł w kanonadzie sztucznych ogni. W polu widzenia pokazał się jeden ze strażników domu uciech, który postąpił chwiejnie kilka kroków i padł na dziedziniec. Dwóch kolejnych już leżało opodal, czego patrzące w górę kobiety nie spostrzegły

49

wcześniej. To był napad! Patrycji serce stanęło w gardle. Fajerwerki umyślnie odpalali napastnicy, by ukryć odgłosy walki!

W tym momencie strzały rozległy się wewnątrz domu, a zaraz po nich krzyki kobiet. Stara Tu złapała się za głowę i wybiegła z pokoju. Irlandka nigdy więcej jej już nie zobaczyła. Maokou kurczowo chwyciła dłoń Patrycji, na którą spłynęła nagle ogromna, wręcz obezwładniająca ulga.

Ludzie wybiegający z bramy na dziedziniec i wpadający do budynku z pewnością nie byli bandytami. To było umundurowane europejskie wojsko! Tylko jakie?! Mieli na piersiach duże białe krzyże na czarnym tle, czarne kurtki i ciemnogrnatowe bufiaste spodnie. Na głowach nosili czerwone tureckie fezy z białą kitką i białą puszystą lamówką. Turcy? Ale z krzyżami?!... Patrycja gorączkowo szukała w pamięci rysunków żołnierzy, które widywała w gazetach. Jedyne skojarzenie, jakie przyszło jej do głowy, to francuskie wojska kolonialne. Ale francuskie posiadłości znajdowały się chyba w południowych Chinach? To akurat była ostatnia rzecz, którą Patrycja chciała się teraz martwić! Pośpiesznie przypominała sobie podstawy konwersacji w języku francuskim...

Atak przypuszczony z zaskoczenia, z kilku stron naraz, był szybki i morderczo skuteczny jak ukąszenie jadowitego węża w tętnicę. Nim zgasły fajerwerki, w lupanarze zginęli wszyscy mężczyźni z wyjątkiem pana Juan oraz Zang Tunga, którego żu-awi śmierci zastali w łóżku, jęczącego z obandażowaną głową, i nie zniżyli się do dobicia rannego. Najdzielniejszy, choć beznadziejny opór stawili kucharz i ogrodnik. Budzący ogólny postrach kaci pana Juan w ogóle nie podjęli walki. Na widok napastników rzucili miecze i padli na kolana, błagając o litość. Zabito ich strzałami między oczy, jak wściekłe psy. Tłumacz próbował udawać kobietę. Zastaniając twarz zwierciadłem, zobaczył w nim swoją śmierć, gdy przestrzeliła je kula. Rozleniwieni bezczynnością strażnicy domu uciech nie zamierzali się poddać, ale w większości zginęli, biegnąc po lupanarze w poszukiwaniu broni lep-

50

szej od okutych kijów i noży, które akurat mieli przy sobie. Wobec napastników uzbrojonych w angielskie ośmiostrzałowe karabiny systemu Lee-Metforda, rosyjskie rewolwery nagan oraz szable nie mieli żadnych szans.

Kobiety zapędzono do jednej izby, po czym uspio, prośbą i groźbą zmuszając je do wypicia laudanum. Początkowo myślały, że to trucizna, było mnóstwo krzyku, lecz jeden z cudzoziemców, mówiący po chińsku, zdołał je uspokoić, tłumacząc, że to jedynie roztwór opium i nic im nie grozi, pod

warunkiem że nie zobaczą zbyt wiele. Pokój z oszołomionymi kobietami zamknięto, a przy drzwiach postawiono strażnika.

Następnie zaczęła się komedia pomyłek z Patrycją w roli głównej.

Kiedy do jej pokoju wpadł pierwszy żołnierz, młoda Irlandka wykrzyczała szybko po francusku, że jest tutaj więźniem, a ponadto dziewczicą i nie ma z tutejszymi ladacznicami nic wspólnego. Zdaje się, że chciała powiedzieć za dużo naraz, bo żołnierz nic nie rozumiał. Wzruszył tylko ramionami, sprawdził, czy nikt nie kryje się za parawanem w rogu pokoju, gdzie znajdowała się toaleta, popatrzył przelotnie na drżącą Maokou, która chowała się za Patrycją, i po prostu wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zdezorientowana dziewczyna, głowując się, co powiedziała nie tak, wróciła do okna.

Na dziedziniec weszło teraz trzech ludzi: Europejczyk w średnim wieku - bez wątpienia oficer, wyróżniały go bowiem pętlcowe hafty na mankietach kurtki - oraz dwóch Chińczyków. Jeden z nich był w stroju urzędnika, ale w nietypowym nakryciu głowy i z włosami rozpuszczonymi na ramiona, drugi wyglądał jak miejscowy wieśniak. Na ich spotkanie wybiegł z domu podoficer, stanął na baczność i zasalutował.

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie wykonanie zadania!

- Jakie straty?

- Dwóch lekko rannych. Doktor Zakrzewski już ich opatrzył, teraz zajmuje się kobietami.

51

- Juan Czzun-ju?

- Związany i pod strażą!

Patrycja coraz szerzej otwierała oczy, aż zrobiły się wielkie jak spodki. Ci ludzie na pewno nie mówili po francusku! Wprost strasz-sz-szliwie szeleścili! Zmieszanie dziewczyny rosło z każdą chwilą. Przecież zwiedziła z lady Adelajdą pół Europy i była pewna, że potrafi rozpoznać po brzmieniu wszystkie europejskie języki. Tego z całą pewnością nie słyszała nigdy. Wprawdzie nie była zbyt wykształcona, ale przecież nie do tego stopnia, żeby nie znać mapy Europy i przeoczyć europejski kraj, który z pewnością musiał być duży i znany, skoro prowadził w Chinach własną politykę kolonialną. A jednak wszystko wskazywało na to, że właśnie jakiś kraj przegapiła! Panna McGinn poczuła się jak ostatnia idiotka.

Tymczasem przywódcy napastników weszli do salonu.

- Kapralu, ogarnijcie trochę to pobojuwisko! - polecił pułkownik Lawendowski. - Trupy do ogrodu, krew czymś przykryjcie. Panu Lao należy zapewnić powagę stosowną do jego urzędu.

- Tak jest! Zaraz zawołam ludzi.

- Panie pułkowniku, obawiam się, że mamy kłopot... - powiedział zuaw schodzący ze schodów.

-Jaki?

- Na górze jest kobieta...

- Nie wiecie, co z nią zrobić?! - zirytował się Lawendowski. - Zaprowadzić do doktora Zakrzewskiego!

- To Europejka, panie pułkowniku. Ruda jak Szwedka, a wygadana jak Włoszka...

- Ruda Włoszka?! W Chinach? Piliście coś, szeregowy Wiś-niak?

- Wedle rozkazu, ani kropli, panie pułkowniku! - obruszył się Żuaw. - Ale mnie się widzi, że ona tu jakby w więzieniu...

- Poślijcie do niej doktora Zakrzewskiego, jak skończy. Może on dojdzie, co to za jedna.

- Tak jest! ; ' ' ; ; . ,

52

- Tylko baby z Europy nam tu brakowało! - westchnął Lawendowski.

- Król Nieba był nam przychylny do tej pory, nie wypada narzekać - odparł Lao Ping po chińsku.

- Dobrze, potem zobaczymy, co dalej. Teraz sąd! Gdzie pan woli, panie Lao?

- To nie jest godne miejsce. Może lepiej na dziedzińcu, aby Niebo dobrze wszystko widziało...

- Każę wynieść dla pana stół i krzesło. Panie Ałbaziniec, strażę rozstawione?

Chińczyk w stroju wieśniaka pokłonił się bez słowa.

Pod oknem Patrycji zanosilo się na jakąś ceremonię. Z dziedzińca uprzątnięto ciała, a pod murem stanęli żołnierze z zapalonymi pochodniami i karabinami u nogi. Z domu wyszedł do nich podoficer z porcelanowym dzbanem, z którego Żuawi kolejno wyciągali złożone kartki papieru. To było jakieś losowanie... Wybrany żołnierz wyraźnie się nie ucieszył. Zaklął, splunął, a koledzy ze współczuciem klepali go po ramionach. Potem wskazany przez los oddał swoją pochodnię i karabin, a następnie odszedł na bok, wyjął szablę i zaczął sprawdzać kciukiem ostrze.

Z domu wyniesiono krzesło, potem dwóch żołnierzy wytaszczyło masywne biurko pani Liu.

Postawiono na nim krucyfiks, ale jakiś dziwny, chińskiej roboty, na którym Chrystus nie był przybity do krzyża, tylko szeroko otwierał wyciągnięte ramiona. Patrycja patrzyła uważnie, nie próbując już niczego zgadywać.

- Kim panienka jest? - zapytał ktoś po francusku. Obejrzała się. W drzwiach stał poważny mężczyzna z krótką,

starannie wypielęgowaną brodą. Nie nosił munduru, tylko brązowy surdut, a w ręku trzymał lekarską torbę.

- Patrycja McGinn, ja... - powiedziała to samo co poprzednio, tylko teraz starała się mówić wolniej.

- Rafał Zakrzewski, doktor medycyny - przedstawił się mężczyzna z lekkim ukłonem. - Proszę wybaczyć, mademoiselle, ale

53

obecnie niezbyt dobrze mówię po francusku, od czasu studiów trochę zapomniałem.

Patrycja uśmiechnęła się uśmiechem „nic nie szkodzi”, lecz nie zdążyła wyjaśnić nic więcej.

-1 co tam, doktorze? - zapytał ktoś na korytarzu. - Dowiedział się pan czegoś?

- Bardzo romantycznej historii, rodem wprost z powieści dla grzecznych pensjonarek - odparł lekarz z kwaśnym uśmiechem. - Dziewica w opresji, a my przybywamy z ratunkiem w samą porę, aby ocalić jej wianek! Brakuje nam tylko białych koni i lśniących zbroi... To chyba Francuzka.

- Francuska dziewczyna? - zdumiał się głos na korytarzu. - To w ogóle jest coś takiego?! Znalazł pan, doktorze, niemowlę płci żeńskiej?

- Bez niestosownych żartów! - rozgniewał się zapytany. - Proszę zawiadomić pułkownika, że mamy tu poważną komplikację o charakterze międzynarodowym. Trzeba będzie tę pannę jakoś odstawić do ambasady w Pekinie.

- O jasny szlag! Już się robi!

- Przepraszam, kim wy jesteście? - zapytała Patrycja.

- Wojsko polskie w służbie Ukrytego Króla - odparł z powagą doktor.

- Polacy? Polacy?... - Patrycja zmarszczyła czoło i nagle bardzo się ucieszyła. - Ach, już wiem! - wykrzyknęła radośnie. - Irlandczycy Kontynentu!

- Mademoiselle... - doktor Zakrzewski poczerwieniał. - Proszę tak nie mówić, bo doprawdy nie wiadomo, kogo panienka bardziej w ten sposób obraża, Polaków czy Irlandczyków...

-Ja jestem Irlandką! - oznajmiła Patrycja.

- Wobec tego powinno panience wystarczyć, że to określenie wymyślili Anglicy! - skwitował doktor i dopiero teraz się zreflektował. - A więc nie jest panienka Francuzką?

54

Patrycja energicznie pokręciła głową. Zaczęła wyjaśniać, jak tu trafiła.

- Cóż, dobrze pomyślane przedsięwzięcie... - zadumał się doktor na koniec. - Z powodu irlandzkiej pokojówki królowa Wiktoria kanonierek nie wysła. Rodowita Angielka to co innego, a gdyby jeszcze napisały o tym gazety, trzeba by odłożyć na bok wojnę z Burami. Ale to jednak bardzo dziwne... Czy panienka wie, że Chinkom włosy rudzieją z głodu lub wycieńczenia ciężką chorobą? Dla Chińczyków kobieta w pani typie jest, excusez-moi le mot, uosobieniem brzydoty.

- Domyślałam się tego, panie doktorze.

- Co więcej, mandaryn Juan Czżun-ju, który panią kupił, słynie z wręcz obsesyjnej niechęci do cudzoziemców i wszystkiego co zagraniczne. Naprawdę dziwne... Czy mogę porozmawiać z przyjaciółką panienki?

- Maokou bardzo się boi.



- Widzę... Mao-kou? Ona ma coś nie tak z ustami?

- Proszę spojrzeć. - Patrycja łagodnie skłoniła Chinkę, by przestała się za nią chować i nie zasłaniała twarzy.

- No tak... - doktor pokiwał głową. - Mam nadzieję, że obrażała ją pani nieświadomie.

-Jak to: obrażałam?!

- Mao-kou to nieładne przezwisko, podkreślające jej oszpecenie, znaczy tyle, co „kocie usta”.

- Bardzo mi przykro, panie doktorze! A zatem jak ona ma naprawdę na imię?

- Zaraz się przekonamy. - Doktor Zakrzewski usiadł na łóżku i zaczął rozmowę po chińsku. Było słychać, że stara się mówić uprzejmie i delikatnie.

Towarzyszka Patrycji uspokoiła się, a po chwili zaczęła odpowiadać. Stopniowo się rozgadała. Doktor uśmiechnął się w pewnym momencie.

55

- To bardzo bystra dziewczyna - rzekł z uznaniem do Patrycji. - I doskonale poinformowana. Ma w małym paluszku wszelkie plotki dotyczące Domu Nefrytowej Rosy Na Płatkach Kwiatów Śliwy, bo tak nazywa się ten przybytek. Nawiasem mówiąc, to bardzo nieprzyzwoita nazwa.

W sumie rozmowa trwała kwadrans. Potem doktor zwrócił się znów do Irlandki.

- Cóż, muszę przyznać, że mademoiselle też tutaj niebanalnie przezwano. Mówi panience coś określenie yang-yao?

- Nie.

- Dosłownie „cudzoziemskie lekarstwo” i oznacza opium.

- Opium? Czy powinnam przyjąć to za komplement?

- Raczej nie. Panienska jest cudzoziemskim lekarstwem, którym Juan Czżun-ju spodziewał się wyleczyć swój świeżo nabyty syfilis...

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Ale jak?...

- Mademoiselle, Chiny to kraj dziesięciu tysięcy przesądów. Niektóre z nich są śmieszne, inne tragiczne, ten określiłbym jako niesmaczny. Pan Juan oczekiwał, że jeśli sprowadzi cudzoziemską dziewczinę, dokona jej defloracji i odeśle ją z powrotem do kraju pochodzenia, jego choroba odejdzie wraz z nią za ocean.

- Więc naprawdę odesłaliby mnie do domu?! Nie musiałabym zostać w Chinach do końca życia? - Sens wypowiedzi lekarza docierał do Patrycji powoli.

- Obawiam się, że mimo to nie miałyby panienska zbyt wielu powodów do radości. Ranka po defloracji dokonanej przez chorego niemal z pewnością doprowadziłaby do zakażenia całego ustroju. Nie można też wykluczyć nieślubnego dziecka z kiłą wrodzoną...

Przerażona Patrycja zakryła ręką usta.

- Pan Juan przybył tu poddać się zabiegowi magicznej terapii -kontynuował lekarz. - Zapewne ma z tym coś wspólnego ów poturbowany taoistyczny szaman, którego widziałem na dole. Nie wie panienka przypadkiem, co mu się stało?

56

- Miał intymny kontakt z czajnikiem - wycodziła przez zęby Patrycja i podała szczegóły.

- Zgaduję, że włosy łonowe panienki są długie i delikatne -skwitował lekarz.

-Ależ... panie doktorze! - Patrycja spurpurowiała.

- Gdyż takie, zdaniem Chińczyków, mają kobiety bardzo mądre i dzielne. - Doktor Zakrzewski skłonił głowę przed oniemiałą Patrycja. - Cóż, mademoiselle, co kraj, to obyczaj. Mogę jeszcze tylko pogratulować panience celnego ciosu. Ten nieborak ma wstrząśnienie mózgu, może nawet pękniętą czaszkę, a z pewnością trwały uraz na punkcie cudzoziemców, szczególnie zaś cudzoziemek.

- Ale dlaczego koniecznie lekarstwem musiała być ruda? -Patrycja stanowczo postanowiła zmienić krępujący temat rozmowy.

- Tego już pewnie nie dojdziemy. Może osoba, która przyprawiła pana Juan o wstydliwą chorobę, miała właśnie takie włosy? A może chodzi tu o synonim cudzoziemca, „rudego barbarzyńcy”, jak czasem nas nazywają...

- Panie doktorze! - W progu stanął żuaw śmierci. - Proszę, by zszedł pan na dół.

- Mademoiselle wybaczy! - Doktor wstał, podniósł torbę. -Poważna sprawa i radzę nie podchodzić do okna. To nie będzie widok dla niewinnej panienki.

Pocziwy doktor chyba nie mógł już bardziej zareklamować Pa-trycji tego, co miało się rozegrać na dziedzińcu lupanaru.

- Ach, byłbym zapomniat! - przystanął w progu. - Towarzyszka panienki ma na imię Lien, co znaczy Kwiat Lotosu. To aluzja sugerująca, że jej dusza jest piękniejsza od ciała. Natomiast jej nazwisko rodowe brzmi Dou i oznacza fasolę, co w sumie daje dość zabawną kombinację słów: Dou Lien, Fasolowy Lotos... Proszę pamiętać: Lien! Nie kot, tylko kwiat.

- Lien, Lotos... - powtórzyła Patrycja.

||

57

Lien spojrzała na Irlandkę i uśmiechnęła się do niej na swój sposób. Chwilę później obie wisały na parapecie, śledząc wydarzenia na zewnątrz.

To bez wątpienia był sąd. Chińczyk w stroju urzędnika siedział za biurkiem, przed którym stał pan Juan z rękami związanymi na plecach. Oskarżycielem był ów drugi Chińczyk w stroju wieśniaka. Mandaryn bronił się sam. Sądząc po intonacji głosu najpierw groził, potem coś proponował. Jednak w

miarę upływu czasu opuszczała go buta. Zaczął prosić, wręcz skamleć. Jego długie, teraz w większości połamane paznokcie poruszały się za plecami niespokojnie jak czułki wystraszonego karalucha. Pan Lao zadawał krótkie pytania, a wreszcie powstał zza biurka i rozwinął przed oczami mandaryna żółty papier pokryty czarnymi znakami pisma z czerwoną pieczęcią u dołu. Na ten widok pan Juan padł na kolana. Sędzia ogłosił wyrok i zwrócił się do oficera, który wydał rozkaz.

Do mandaryna podeszło czterech żołnierzy, wśród nich ten wylosowany z obnażoną szablą w ręku. Dwóch chwyciło pana Juan za ramiona, trzeci złapał go oburącz za warkocz i mocno naciągnął głowę razem z szyją. Zuaw śmierci mający spełnić rolę kata jakby się rozmyślił w ostatniej chwili. Odwrócił się tyłem do skazańca. Patrycja pomyślała, że żołnierz, nie bacząc na konsekwencje, nie wykona rozkazu i po prostu odejdzie, lecz on obrócił się momentalnie, biorąc zamach z pełnego obrotu.

Ruchu ręki nie dało się dostrzec, tylko ostrze spadającej szabli mignęło w świetle pochodni. Zuaw trzymający warkocz odskoczył pośpiesznie w bok, unikając strug krwi tryskających z przeciętych tętnic. Głowa mandaryna na drugim końcu warkocza zakreśliła zamaszysty łuk, przelatując tuż obok biurka sędziego. Żołnierze, którzy trzymali wierzgający nogami korpus, powoli, jakby z wielką ostrożnością złożyli go na ziemi.

Patrycja najbardziej zdziwiła się samej sobie. Jeszcze niedawno widząc coś takiego, gotowa byłaby zemdleć. Albo uciekła by z krzy-

58

kiem, a przynajmniej odwróciła wzrok. Jednak teraz patrzyła cały czas, nie roniąc żadnego szczegółu, czując tylko rosnącą, drapieżną ekscytację wyraźnie podszytą nienawiścią. Zrozumiała, że tak smakuje zemsta, i dopiero teraz zawstydziła się swoich uczuć. Pośpiesznie przeprosiła Boga i zmówiła modlitwę za zmarłych.

Lien stała milcząca, w całkowitym bezruchu. Miała w oczach mrok i fatalizm osoby patrzącej na rozszalałe żywioły, wobec których człowiek jest całkowicie bezsilny. Dużo później wyjaśniła, że już sam fakt, iż była świadkiem egzekucji wysokiego urzędnika cesarskiego dworu, wyjmował ją spod prawa i skazywał na śmierć oraz piekło. Przynajmniej tak sądziła wtedy, patrząc, jak cudzoziemski lekarz umieszcza głowę pana Juan w szklanym słoju z przezroczystym płynem, jak następnie ów sój zamyka, pieczołowicie owija go kocem i pakuje w skórzany worek.

Chwilę później kobietom polecono zejść na dół. Patrycja i Lien wyszły na dziedziniec, mocno trzymając się za ręce. Do tej pory zwłoki przykryto dywanem przyniesionym z salonu. Została tylko kałuża krwi wypływająca wciąż spod grubej tkaniny.

Na widok Irlandki Ałbaziniec przeżegnał się szybko.

- Panie Zakrzewski, co to za porządki?! - rozgniewał się pułkownik Lawendowski. - Dlaczego ta nieszczęsna Chinka nie dostała nie na sen? Może jeszcze wszystko widziała, co?! Słyszała wyrok? Imię króla?!

- Przepraszam najmocniej, panie pułkowniku, ale zupełnie wyszło mi z głowy. Zagadałem się. Zresztą byłoby to trochę niezręczne... Ale mówiłem obu pannom, żeby nie podchodziły do okna!

Oficer z rezygnacją wznosił oczy ku niebu.

- Panie Ałbaziniec! Dopilnuje pan, aby ta ruda lisica dotarła jak najszybciej do ambasady Wielkiej Brytanii.

- To nie będzie łatwe - stwierdził pół-Chińczyk, zezując z obawą na Patrycję.

- Do jasnej cholery! Jakby było łatwe, tobym was nie prosił, tyl-w sam się pofatygował!

59

- Tak jest! A co zrobimy z tą drugą?

- Nie możemy jej tu zostawić ani zabić... Trudno, psiakrew! Zabieramy tę biedaczkę ze sobą!

Gdy przekazano im decyzję, przerażona Lien kurczowo uwiesiła się na ramieniu Patrycji.

- Wezmę ją ze sobą! - oświadczyła stanowczo Irlandka.

- Niechże panna będzie rozsądna! - Pułkownik Lawendowski, za pośrednictwem doktora Zakrzewskiego, perswadował najspokojniej, jak umiał. - To jest cesarska poddana, której postawią zarzut współudziału w najcięższej zbrodni. Albo w ogóle nie wpuszczą jej z panną na teren ambasady, albo wydadzą wkrótce potem. Czekają ją tortury i śmierć przez poćwiartowanie żywcem, co nazywają tutaj karą dziesięciu tysięcy noży.

- To jest powód do udzielenia azylu.

- Obawiam się, że protekcja irlandzkiej pokojówki może się okazać mało skuteczna w tej mierze. Co więcej, jeśli wywołacie skandal dyplomatyczny, to nawet panna Patrycja może zostać wydana chińskim władzom, które bardzo, ale to bardzo będą chciały wiedzieć, co tutaj zaszło... Czy panna sądzi, że jakiś młody angielski dyplomata zaryzykuje dla niej swą obiecującą karierę? I niech panna pomyśli, co zrobią z wami więzienni strażnicy, od razu pierwszej nocy... Proszę pożegnać się z tym nieszczęsnym stworzeniem. Obiecuję, że nie zrobimy jej krzywdy.

- W takim razie ja pojedę z nią i z wami!

- Wykluczone.

- To nam też zetnijcie głowy! - Patrycja demonstracyjnie uklękła na dziedzińcu i pociągnęła za sobą Lien. - Nikt nas wtedy nie zgwałci i nie będzie torturował. - Odgarnęła włosy z karku. - Prosimy o szybką śmierć!

- Panna jest uparta jak...

- Irlandzka dziewczucha!

- Utrapienie z tymi babami! Wszystko jedno, jaki mają kolor skóry czy włosów...

W tym momencie do dyskusji wtrącił się pan Lao Ping, mówiąc coś z wielką powagą.

- Co on mówi?

- Że wasze losy zostały splecione w Niebie i nie możemy obrażać Boga, próbując je teraz rozłączyć - przetłumaczył doktor.

Pułkownik Lawendowski westchnął ciężko.

- Umie panna jeździć konno?

- Nie.

Teraz z kolei odezwała się Lien, kłaniając się nisko Patrycji.

- Nazwała panienkę starszą siostrą - wyjaśnił doktor.

- Dość tych rodzinnych czułości! - uciął dalsze dyskusje pułkownik. - Zrobimy pannom kozacką kotyuskę między końmi. Proszę spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy. To nie będzie wyjazd na angielski piknik.

W tym momencie w Domu Nefrytovej Rosy wybuchło zamieszanie. Żołnierze na dziedzińcu rzucili pochodnie pod mur i chwycili za broń. Po chwili trzej żuawi wypchnęli na zewnątrz szamoczącego się z nimi kolegę.

- Co się stało?! - zapytał surowo pułkownik.

- Ten drań... melduję posłusznie... - mówiącemu zabrakło słów. - Zostawiliśmy go na straży pokoju z kobietami... - wyjaśnił

drugi żołnierz. - A on sobie z jedną z nich dogodził... Z nieprzytomną, tfu!

- To tylko kurwy! - prychnął winowajca. - Za jedno im, raz więcej, raz mniej...

Pułkownik Lawendowski uniósł szybko dłoń, powstrzymując trzeciego żuawa, który chciał dać zuchwalcowi w pysk.

- Nieważne, kim one są, ważne, kim my jesteśmy - powiedział powoli lodowatym głosem. - Rozkaz dałem wyraźny: nie tykać kobiet! Chcecie, żeby nas tutaj za drugich Japończyków mieli? Zapomnieliście już, co oni wyprawiali w Porcie Artura?

61

- Myśmy nie zapomnieli, panie pułkowniku, tylko ten skurwiel... - powiedział jeden z żuawów trzymających gwałciciela i puentując wypowiedź, zdzielił go łokciem w nerkę.

- Kapralu Wasiluk! - rzekł dowódca. - Ten człowiek jest waszym bezpośrednim podwładnym.

- Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że pierwszy raz ścierwo na oczy widzę! - podoficer splunął demonstracyjnie pod nogi. - To nie jest żaden z moich ludzi.

- Ani żaden z nas! - dodał któryś z żuawów.

- Zdjąć z niego mundur i spalić - postanowił dowódca. - A tego łachudrę powiesić.

- Jak to?! - zawołał pobladły przestępca. - Rozstrzelajcie chociaż jak żołnierza...

- Amunicji potrzebujemy w lepszej sprawie. A żołnierzem żadnym nie jesteś i nie byłeś, tylko bandytą. Zdradziłeś nas, króla i Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Oby nigdy nikogo takiego wśród nas nie było. I bodaj nigdy się taki nie urodził... Jak wrócimy, nazwisko wymazać z papierów!

- Tak jest! - zsalutował kapral Wasiluk i zwrócił się do żuawów: - Zabrać go sprzed niewieścich oczu!

- Do ogrodu? - spytał któryś.

- Szkoda tych śliw na szubienicę, ładne są - zmartwił się kapral. - Ogrodnikowi też szacunek jakiś się należy, bo dobrze walczył.

- Z burdelu równie dobrze może być szubienica, wychodzi na jedno - skwitował pułkownik, patrząc posępnie na Dom Nefrytowej Rosy. - Znajdźcie mu belkę gdzieś z tyłu... ^fykonać!

- Do roboty, chłopaki! -Puszcząć! Nieeee...

- Nie narzekaj, Ziarnkiewicz! Od stryczka stanie ci jak armatnia lufa. Będziesz miał to, co lubisz.

- Kośmała, nie przy paniach! - syknął kapral.

- Przecież nic nie rozumiem.

62

- Panny jeszcze tu stoją?! - warknął rozwścieczony dowódca na Patrycję i Lien. - Pakować się, powiedziałem!

Dziewczęta pobiegły jak zmyte do swojego pokoju. Aż trzech żuawów poszło za nimi, pilnując, by wścibskie panny nie asystowały przy kolejnej egzekucji tej nocy.

Pułkownik Lawendowski, posykując z bólu, rozmasował sobie krzyż.

- Lumbago? - zagadnął domyślnie lekarz, podchodząc bliżej.

- Cóż począc, zawodowa choroba żołnierza tułacza... - westchnął melancholijnie stary oficer. - Ileż lat można spać na gołej ziemi? Słota, nie słota... Pan mi da, doktorze, ze dwie aspiryny.

- Aspiryna niewiele pomoże - powiedział doktor Zakrzewski, sięgając do torby. - Korzonki to najlepiej przeleżeć w cieple.

- Zaraz mnie diabli wezmą od takich rad! - sarknął pułkownik - I dopiero wtedy wszystkim zrobi się tutaj naprawdę ciepło... -Rozgryzł podane tabletki i popił wodą z manierki. - Szykować się do wymarszu! - rozkazał głośno.

Zuawi śmierci zaczęli zdejmować fezy, mundurowe kurtki i kamizelki z krzyżami. Zamiast nich wkładali białe płócienne bluzy oraz sukienne płaszcze kozackiego kroju. Pan Lao z pomocą Ał-bazińca splatał z powrotem włosy w warkocz. Potem miał jeszcze zmienić szatę urzędnika na strój kupca podróżującego z cudzoziemską eskortą, oficjalnie z oddziałem ochrony kolei wschodnio-hińskiej, jak było zapisane w papierach. Pułkownik Lawendowski z żalem patrzył, jak polskie mundury znikają w jukach. Jeszcze za wcześnie, by stanąć w nich jawnie, w biały dzień, ale to już liedługo! Cierpliwości. Jeszcze tylko trochę cierpliwości.

Z budynku wyszedł kapral Wasiluk i popatrzył chmurnie na lekarza.

- Panie doktorze, pan spojrzysz może, czy ten Ziarnkiewicz już... skończył.

- Oczywiście. -1 jeszcze...

-Tak?

- Namazałby pan doktor parę tych ichnich pajaków, żeby było znać za co. Przypniemy mu.

- Dobrze, znajdźcie mi jakiś papier i tusz.

Patrycja sumiennie wykonała polecenie pułkownika, pakując się bez przesady. Włożyła podróżną suknię i trzewiki, a do tego wzięła tylko jedną zmianę bielizny i notes ze swoimi szkicami. Po namyśle dołożyła zawodowe referencje i zawinęła to wszystko w ciepły szal. Drugi narzuciła na głowę i ramiona. Delikatnie pogładziła swoje kapelusze i fartuszek pokojówki, rozstając się z nimi na zawsze.

Lien natomiast zupełnie nie mogła się rozstać ze swą jedwabną suknią, haftowaną w kwiaty, w której kazano jej usługiwać cudzoziemce. Nigdy wcześniej nie nosiła nic tak pięknego, nie miała też najmniejszego pojęcia, jak należy się przygotować do długiej podróży. Patrycja wzięła sprawy w swoje ręce, skłaniając towarzyszkę, aby pod suknię włożyła spodnie, a na wierzch czarny roboczy kaftan, który Lien trzymała na dnie swojego kuferka. Chinka trochę się boczyła na taki garnitur, ale w końcu przydał się Patrycji autorytet starszej siostry. Irlandka spakowała jej jeszcze jedno spodnie, bluzkę i ręcznik, po czym obie z tobołkami w rękach wyszły na dziedziniec.

Pułkownik Lawendowski, choć nie miał już na sobie munduru, nie stracił nic z godności dowódcy. Podejrzliwie zlustrował bagaż Patrycji i po raz pierwszy w jego oczach pojawił się życzliwy błysk. Zadowolona z siebie Irlandka dygnęła z przekornym uśmiechem i ruszyła we wskazanym kierunku. Ona i Lien miały się położyć w czymś w rodzaju hamaka z dywanu i rzemieni zawieszonych pomiędzy dwoma kołnami. Wyglądało to niezbyt wygodnie i bezpiecznie, lecz nie wypadało zgłaszać zastrzeżeń.

- Doktorze, która godzina? - spytał pułkownik.

- Dopiero po jedenastej - odparł zapytany. - W sumie uwinęliśmy się szybko. ,

64

- Pomimo tych dwóch komplikacji. - Lawendowski popatrzył na dziewczęta. - Pan dopilnuje, żeby nam stamtąd nie powypadały.

- Powiem paniąkom, jak trzeba leżeć... - Doktor Zakrzewski przeszedł na francuski.

Zanim Patrycja i Lien zdążyły wejść do kołyski, rozległ się cichy gwizd. Dobiegał zza bramy. Ałbaziniec poderwał głowę i zniknął za murkiem uniemożliwiającym demonom, a także wścibskim spojrzeń przedostanie się na dziedziniec domu uciech. Pułkownik oparł dłoń na kaburze rewolweru.

Pół-Chińczyk wrócił po chwili, machając uspokajająco. W drugim ręku trzymał teraz płócienny worek, w którym coś się ruszało.

- Mały prezent od Cesarzowej Wdowy dla Ukrytego Króla - powiedział z szelmowskim uśmiechem, podchodząc do pułkownika, po czym wyjął z worka jakiegoś piszczącego zwierzaka.

- Kie lichy?!

- Cesarski piesek.

- To jest pies?! - zdumiał się Lawendowski. - A gdzie on ma mordę? Wygląda jak żywa szczotka do ubrań.

- Owszem, to pies, panie pułkowniku - wyjaśnił doktor, podchodząc bliżej. - Specjalna rasa hodowana wyłącznie w cesarskim pałacu w Pekinie. Nikomu pod karą śmierci nie wolno ich stamtąd wynosić.

Ałbaziniec uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej szelmowsko.

- Ten jest młody, ale wiele większy już nie urośnie - kontynuował wyjaśnienia doktor.

- Na co nam takie chuchro?

- Do ozdoby pałacu, panie pułkowniku. Zęby damy dworu miały co prowadzać na smyczy.

- Wyście już całkiem powariowali! Zabierać mi stąd to czupira-dłó!

- Jest bardzo drogi, panie pułkowniku, wręcz bezcenny - przekonywał Ałbaziniec. - Będzie robić dobre wrażenie, zwłaszcza na panach dyplomatach w Korei. Powaga króla z pewnością zyska.

65

Lao Ping skinął głową z aprobatą.

- Gdyby zbyt hałasował, dam mu chloroformu - zapewnił doktor. - Tak jak temu taoiście.

- Dobrze już! - Pułkownik wyraźnie nie miał zwyczaju spierać się z panem Lao. - Skoro przybyły nam dwie baby, to możemy jeszcze wziąć i psa. Doceniam, panie Ałbaziniec, że nie przyszło panu do głowy uszczęśliwić nas jednorozcem!

- Gdyby król sobie życzył...

- Dziękuję w imieniu króla! Teraz niech się panny na coś przydadzą i zajmą się tym cudactwem!

- Tak jest! - Ałbaziniec z doktorem Zakrzewskim podeszli do Patrycji i Lien.

- Kapralu Wasiluk, wszystko spakowane? - zapytał Lawendowski kilka minut później. - Wszyscy gotowi?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Zostańcie z Bogiem, panie Ałbaziniec. W konie!

Po chwili Patrycja i Lien ściśnięte w kozackiej kołysce niczym dwie sardynki w puszcze, tuląc pomiędzy sobą skamlącego cesarskiego pieska, mknęły przez noc, unoszone przez dwa pędzące rumaki.

Eskortowało je dwudziestu posępnych jeźdźców. Ich rozwiane w galopie płaszcze łopotały jak czarne skrzydła polujących na ludzi demonów, budząc zabobonną grozę przypadkowych świadków

.- : . >^' :!;!;•".



6. (Ja

Wariat! Jej Bohu, wariat! Mikołaj Aleksandrowicz Łastoczkin, policyjny urzędnik w pogranicznym miasteczku Mandżuria nad rzeką Argun, nie wiedział zupełnie, gdzie oczy podziać ani jak odpowiadać, żeby jego gość się nie rozgniewał. Na razie urzędnik przeciągał milczenie, nerwowo szukając właściwych słów oraz jakiegokolwiek sensu w tym, co przed chwilą usłyszał.

Tymczasem młody człowiek w mundurze oficera kawalerii nie nalegał na odpowiedź. Stał w oknie, wpatrzony w rozciągający się za nim widok, czyli w połyskujący w dolinie srebrzysty Argun, za którym zaczynała się właściwa Mandżuria - tu jeszcze mało różniąca się od Mongolii - ot, połać rdzawego wyżynnego stepu zazieleniającego się tam i ówdzie o tej porze roku, a wreszcie hen, na horyzoncie, piętrzyły się góry Wielkiego Chinganu. Pogoda była piękna, powietrze przejrzyste po nocnym deszczu, aż widać było śnieg lśniący w słońcu na szczytach odległych o ponad sto kilometrów. Prawda, widok był niczego sobie, ale w czorty teraz z takim widokiem!

Ze stacji kolejowej doleciał stłumiony gwizd ruszającego parowozu. Następny przystanek Chailar, potem Cyczchar, Hułań-Czeń, no i ten nowy, jak mu tam? Harbin! A może to odezwał się parowiec w porcie rzeczonym?... Łastoczkin zeżlił się na siebie, że o takich głupotach teraz myśli. Skupił się na swoim gościu. Ten na pagonach miał starszego lejtnanta, ale papiery takie, że i sam generał by się nie powstydział! Ta dysproporcja, nawiasem mówiąc, obudziła od razu podejrzliwość chytrego urzędnika. Takie pełnomocnictwa, jego zdaniem, to co najmniej sztabkapitan albo major powinien mieć.

67

Gdzieżby zaś taki młokos? Słowem, nie z Mikołajem Aleksandro-wiczem podobne igraszki! Mikołaj Aleksandrowicz był człek światowy, obyty i słyszał już, a jakże, słyszał! o tym fałszywym rewizorze Gogolu, co to po guberniach jeździł i ludzi nabierał. Jakby ten łajdak i oszust na jego obłasti się pojawił, oj, już by Mikołaj Aleksandrowicz osobiście dopilnował, żeby tego Gogola porządnym łańcuchem do taczek przykuli jak się należy! Dlatego przy pierwszym spotkaniu Łastoczkin wymówił się bardzo pilnymi obowiązkami i zaraz nadał depeszę gdzie trzeba, czyli do samego Irkucka. Potwierdzili od ręki, a jeszcze obsobaczyli za brak wiary. Dopiero wtedy Mikołajowi Aleksandrowiczowi na widok pełnomocnictw przybysza oko zbiełało. Narodzie prawosławny! Taki człowiek! Usłużyć! We wszystkim usłużyć! Lecz jakże usłużyć, skoro ten nijak po ludzku i do rzeczy gadać nie chce?

- Co zatem słyszeliście o Ukrytym Królu? - powtórzył Sergiusz Lawendowski, odwracając się od okna.

Łastoczkin pilnował się na tyle, by nie wzruszyć ramionami. Nie zdołał jednak ukryć grymasu wytężonego myślenia, który ujawnił się na jego nalanej czerwonej twarzy.

- Wasze wysokobłagorodie... A tak... Nooo... chociażby Buria-ci... pomiędzy sobą gadają, że niby to... sam car Napoleon śpi w jakiejś grocie nad Bajkałem, a jak się obudzi... - urzędnik zamilkł święcie przekonany, że oficer zaraz jak nic skinie go w żywy kamień, ale ten słuchał, bestia, uważnie.

- Wiecie coś bliższego na ten temat?

Masz babo placek! Jakże na coś takiego mądrze odpowiedzieć?

- Ależ... wasze wysokobłagorodie, o czym tu wiedzieć? - Łastoczkini zebrał się na odwagę. - Toż to bajki tylko! Całkiem takie jak Nadzieja Filipowna, ślubna małżonka znaczy, naszym dzieciaczkom do snu opowiada.

- Opowiedzcie i mnie! Znacie chyba?

Podłoga wyraźnie zakotyła się pod nogami uradnika. Ale co począć? Polecenie było jasne!

;

68

- Od której by tu zacząć? - Łastoczkini wciąż nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. - Może by o rybaku i rybce? - Popatrzył na gościa z nadzieją, licząc, że ten wreszcie przyzna się do kawału i przestanie żartować.

- Dobrze, ale przejdźcie od razu do trzeciego życzenia i niczego nie pomińcie! - Lawendowski usiadł na krześle, założył nogę na nogę.

Uradnik nie odważył się usiąść. Stał na baczność, na tyle na ile pozwalały mu miękkie kolana, i opowiadał bajkę o rybaku i złotej rybce. Mówił składnie, lecz w głowie mu skuczało. Już rozumiał! Już się wszystkiego domyślał... To ten bydlak Naryszkin musiał donieść! No i przystali prawdziwego tajnego rewizora... Tylko czemu wojsko, a nie policyjne zwierzchności? Może dlatego, że Mandżuria miasteczko pograniczne, strategiczny węzeł kolejowy, port żeglugi śródlądowej? Słowem, skoro sprawa strategiczna, dadzą pięć lat katorgi minimum... Na Łastoczkina uderzyły zimne poty. No ale czemu tak igrają z człowiekiem jak kot z myszą?!

- Dobrze - powiedział Sergiusz, gdy rozdygotany gospodarz skończył. - Teraz o głupim bracie, co został carem!

- Wedle rozkazu... - wyszeptał zbielełymi wargami uradnik. -Znaczy, było trzech braci...

- Zaczynajcie od razu od trzeciego.

Niechby już huknął w ten stół i zwymyślał od ostatnich! Niechby wreszcie po ludzku w mordę dał! Jakżeż można tak duszę z człowieka wyrwać?! Kawałek po kawałeczku... Czy tak teraz tych młodych dręczyć ludzi uczą? Kułakiem, knutem, jak Pan Bóg przykazał, to już nie można?... Boże, Boże czemu tak karzesz? W czymże ja grzeszniejszy od innych?!

Po trzeciej bajce Mikołaj Aleksandrowicz Łastoczkini marzył już tylko o tym, aby paść na kolana i opowiedzieć o każdej uszczkniętej dostawie, o każdym wziętym na lewo rubelku. Szczerze, z serdecznymi łzami w oczach i wszystkimi szczegółami, od wydania

!

69

wspólników zaczynając. Nie opowiedział tylko dlatego, że przy- j bysz nie dał mu dojść do słowa.

- Wystarczy! - przerwał dokładnie w chwili, gdy uradnik już na końcu języka wyznanie, jak to z tym Naryszkinem było. Nie wiecie, kto by tu mógł opowiedzieć mi więcej miejscowych le- i gend?

Łastoczkin w pierwszej chwili nie uwierzył własnym uszom! Nie ogarniał własnego szczęścia! To ten?... On naprawdę tak?...} Wariat! Jej Bohu, wariat! Dzięki Ci, Boże Wszechmogący, żeś mo-j dlitwy udręczonego grzesznika wysłuchać raczył! No ale waris z takimi papierami? Gorzej niż z siekierą... Trzeba ostrożnie!' Uriadnik wziął się w garść.

- Jest u nas emerytowany nauczyciel Pliszkow, dziwak dobro-wolec, znaczy bez przykazu sam z siebie tutaj się osiedlił. Z miejscowymi za pan brat, może nawet aż za bardzo... Ja go zaraz, wasze wysokobłagorodie, każę sprowadzić.

- Nie trzeba. Sam do niego pójde. Tylko zaprowadźcie.

- Bezwłocznie, wasze wysokobłagorodie! Zaraz, już... - rusj do drzwi. - Wołodia!!! - wrzasnął zdecydowanie za głośno, ale musiał sobie ulżyć. - Bywaj tu!

- Na rozkaz! - zameldował się stójkowy.

Przez następnych pięć minut z kolei Mikołaj Aleksandrowicz Łastoczkin tkwił w oknie i wypatrywał, upewniając się, że jego szalony gość nie myśli zawracać. Przekonawszy się co do tego, uriadnik rzucił się do zawieszonej w rogu izby ikony i z tomotem padł na kolana przed świętym obrazem. Żegnając się zamasyście trzy razy, uderzył czołem o podłogę, dziękując za cudowne ocalenie, po czym poderwał się i nalał sobie całą szklankę wódki.

Dopiero gdy trochę ochłonął, zaświtało mu, że w tym szaleństwie może być jakaś głębsza chytrość. Nie na rozum prostego uriadnika, ale jednak... Wszakże ten oficer z samego Petersburga przybył... Może więc kryje się za tym jakaś wielka polityczna sprawa, aż strach myśleć jak wielka... Lepiej się w podobną rzecz nie

W

zagłębiać, bo od takiego wnikania łeb prostego uriadnika, całkiem nie wiedzieć kiedy, może z karku zlecieć, a ciało w niepoświęconej ziemi uświerknie... Łastoczkin odetchnął głębiej i nalał sobie drugą szklankę.

Iwan Andriejewicz Pliszkow, emerytowany nauczyciel, mieszkał niedaleko stacji kolejowej w solidnej przysadzistej chałupie z modrzewiowych bali. Był to żwawy staruszek, siwiuteńki i różowo-ły-sawy jak częściowo oskubany gołąb. Nie miewał widać gości często, bo ucieszył się ogromnie. Kiedy się jeszcze dowiedział, że przybysz ze stolicy - nie jak wcześniej jemu podobni, z góry wszystko wiedzący lepiej - grzecznie o miejscowe zwyczaje i legendy chce się wypytać, całkiem go za serce ujęło. W domu zaczął się radosny rwetes. Żona gospodarza Praskowia, dobre ćwierć wieku od męża młodsza, oraz dziewczka służąca Tulą - półkrwi Bu-riatka albo pół-Mongołka, takich szczegółów Sergiusz jeszcze odróżniać nie umiał - zaczęły nakrywać do stołu z istic ruską gościnnością i sybirskim rozmachem. Sam starszy lejtnant Lawendowski też nie gapa i z pustymi rękami nie przybył. Stójkowy Wołodia wtańczył za nim kosz pełen europejskich frykasów - słodczy, wina, serów, jakie, nie licząc się z kosztami, kupili po drodze.

Kiedy kobiety nakrywały do stołu, Sergiusz przy herbacie zaserwował gospodarzowi najnowsze stołeczne ploteczki, czyli te sprzed dwóch tygodni. Nie przypadkiem młody oficer obszerniej rozwiódł się na temat zmartwień cesarskiej rodziny i jej wciąż nieudanych starań o męskiego potomka. Mówił

o modłach, pielgrzymkach oraz spraszanych do Carskiego Sioła najznamienitszych lekarzach od spraw kobiecych. Staruszek słuchał tych wiadomości z wielkim szacunkiem i współczuciem. Wzmiankę o poronieniu cesarzowej przyjął ze łzami w oczach, żegnając się trzykroć. By nie zepsuć nastroju, Sergiusz przeszedł zaraz do figli młodziutkich carówien, opowiadając, jakie to z nich zdrowe i pełne życia dziewczuszki.

71

Potem zasiedli do zupy rybnej, pieczonego na węglach jesiotra, baraniny duszonej z dzikim czosnkiem i obowiązkowo miejscowego chanszynu - chińskiej wódki z prosa, od której żółć od razu rzuciła się na głowę. Wszakże oficerski honor wymagał pić równo, bez zmruczenia oka. Kawioru nie podano, gdyż tak pospolitego ja-; dla przy tak niezwykłej okazji na stół stawiać nie uchodziło. A już zupełną zniewagą byłoby łosiosa psom od pysków odejmować i takiemu gościowi dawać!

W trakcie obiadu Pliszkow z zapałem wychwalał uroki życia na Syberii. Bo tutaj, uważacie, drogi Siergieju Henrykowiczu, wszędzie blisko! Do Boga, do Matki Natury i do duszy drugiego człowieka. Reszta nieważna. No, ale od kiedy kolej mandżurska jest, to już całkiem żyć, nie umierać! I oczywiście, wypić koniecznie... Tu znów poszła w ruch butelka chanszynu.

Do rzeczy przeszli przy deserze, podczas którego Sergiusz zjadał się cedrowymi orzeszkami w miodzie, a gospodarz i jego kobiety przyniesionymi przez gościa kandyzowanymi ananasami. Pliszkow zaczął od mandżurskiej legendy o szamance Nisan, która odnalazła w zaświatach duszę zmarłego syna chińskiego cesarza i zdołała wskrzesić młodego księcia, lecz w nagrodę oskarżono ją o spisek i stracono. Następnie lejtnant Lawendowski zadał to samo pytanie co uradnikowi.

- Ukryty Król, powiadacie? Zagubione carstwo?... - zadumał się Iwan Andriejewicz i zaraz ożywił. - Tak, tak! Ależ to w naszych stronach jak najbardziej, Siergieju Henrykowiczu. Niechybnie będzie to carstwo księdza Jana!

- Zaraz - zdziwił się oficer. - Królestwo księdza Jana to przecież Afryka! Tam, gdzie ponoć dzisiejsza Abisynia się rozciąga.

- Wszystkie legendy powiadają zgodnie, drogi Siergieju Henrykowiczu, że na Wschodzie tego chrześcijańskiego kraju szukać należy. Według jednych ma to być wschód Afryki, drudzy mówią, że tu o wschód Azji idzie. Ba, ci drudzy dodają jeszcze i taką wskazówkę, że tej krainy na północ od chińskiego muru szukać

72

trzeba. Ten mur co prawda tysiąc wiorst na południe od nas, ale to miasteczko jak najbardziej może być. Kto wie, może być, że ksiądz Jan wciąż nam tu caruje - stary nauczyciel uśmiechnął się filuternie.

- Trzeba by tubylców popytać - odpowiedział Sergiusz żartem na żart.

Pliszkow spoważniał, r.

- Mongołowie znali owo carstwo pod nazwą Tenduk, a księdza Jana pod imionami Unkan albo Wangchan - wyjaśnił. - Prawda jest taka, że przed wiekami żyło w tych stronach plemię Kereita-nów, wyznających chrześcijaństwo obrządku nestoriańskiego. Ich stolica nazywała się ponoć Barga, ale nikt

nie wie, gdzie jej teraz szukać. Jest pewne, że w Chinach schronili się nestorianie przed prześladowaniami w Bizancjum. Cesarze chińscy zrazu byli im łaskawi.

- A potem?

- Jak to w Chinach, Siergieju Henrykowiczu, jak to w Chinach... - pokiwał głową stary nauczyciel. - Po kilkuset latach kolejnemu cesarzowi się odwidziało i nestorianie stracili głowy. Z dnia na dzień kazano im majątki cerkiewne i klasztorne oddać, praktykowania wiary zaprzestać, mniszkom mężów wziąć. Wszystko to pod karą miecza, po czym dopilnowano sprawy z chińską sumiennością. Czyli daleko większą niż bizantyjska... Z nestorian, co się wiary nie wyrzekli, zostali sami święci męczennicy, tylko nie było ich już komu czcić.

- Może coś z tego jednak zostało? - zagadnął oficer niby od niechcienia.

- A wiecie... Jakby tak się dobrze zastanowić... - Iwan Andriejewicz pieńkami zębów rozgryzł z namysłem kawałek scukrzonego ananasa. - Owszem, legenda została, i to całkiem, że tak powiem, żywa...

- Żywa? - powtórzył jak echo gość.

- Ostatnio jakby częściej objęła mi się o uszy.

73

- Możecie powiedzieć dokładniej? - Sergiusz nie zdołał napięcia w głosie.

- Tak was to ciekawi? - popatrzył badawczo staruszek, po czym zadumał się głęboko. - W ciągu ostatnich pięciu lat w sumie ze sześć czy siedem razy nazwę Tenduk słyszałem. Wcześniej ani razu. Sam musiałem pytać, a i to mało kto wiedział. Teraz dużo łatwiej spotkać Mongoła czy Tunguza, który wie o co chodzi. Rzeczywiście, ciekawe...

- Igłę najlepiej ukryć w stogu siana, a królestwo w legendzie mruknął do siebie Sergiusz.

- Wybaczcie, nie dosłyszałem, co mówicie, Siergieju Henrykowiczu.

- Taki mityczny Ukryty Król... znaczy ksiądz Jan - poprawił się szybko oficer - musiałby chyba na jakiejś górze mieszkać, nieprawdaż?

- O, w tych stronach inaczej nie uchodzi! - skinął głową staruszek. - Król koniecznie pod samym niebem musi żyć. Całkiem jak greccy bogowie.

- Ciekawość, która to może być góra?

- A to by trzeba po mapie się rozejrzeć! Wybaczcie na minutkę, zaraz przyniosę... Tulą, chodź, pomożesz!

Niebawem w pokoju stanął szkolny stojak z rozpostartą mapą Dalekiego Wschodu. Gospodarz z powagą nasadził na nos okulary i stanął obok z belferskim wskaźnikiem w ręku. Znać było, że cieszy go możliwość wygłoszenia wykładu jak za dawnych lat.

- Świętych gór to ci tutaj zatrząsienie - stwierdził, pokazując na mapie. - Od Mongolii przez Tybet, całe Chiny... Choćby tu, tu, tu i tu... Na każdej buddyjski klasztor, a w nim jakiś lama, bodhi-satwa czy inny żywy Budda urzęduje. Klasztorów taoistycznych też nie trzeba długo szukać, o proszę... A jak klasztoru nie ma, to przynajmniej jeden lub kilku mnichów pustelników pod szczytem siedzi, czasem jeszcze z uczniami.

74

- A jest taka święta góra, na której nikt nie mieszka? - zapytał Sergiusz.

- Toście mi zabili ćwieczka! - skonfundował się były nauczyciel. - No, nie... W każdym razie nie tu, nigdzie blisko...

-A dalej?

- Trzeba by szukać po drugiej stronie Mandżurii, chyba aż na koreańskiej granicy, w górach Czang-bo... O, tu! Proszę... Pektu--san! Święta góra Mandżurów i Koreańczyków. Prawie na trzy wiorsty wysoka...

- Czemu ona taka święta?

- Na jej stokach obowiązkowo przychodzą na świat tamtejsi królowie i bohaterowie. Kiedy zaś umierają, Pektu-san drży w posadach. W istocie może być w tym prawda, bo to wygasły wulkan. W kraterze na szczycie jest teraz piękne jezioro, z którego rzeka Sungari wypływa. Zwykłym śmiertelnikom jednak nie wolno tych wspaniałości na własne oczy oglądać.

- Ciepło... Coraz cieplej... - wyszeptał do siebie po polsku Sergiusz Lawendowski.

Doktor Zakrzewski liczył godziny.

Jechał tuż obok koni niosących kołyskę z kobietami i jego głos,, ' choć czasem zagłuszany przez tętent, docierał do Patrycji wystar-1 czająco wyraźnie. Mówił po francusku, czyli monolog skierowany był tylko do niej. Zapewne lekarz chciał się wygadać, by zmniejszyć własny strach, ale nie pomyślał, że słuchającej go dziewczynie serce może zamierać w piersiach. A nawet jeśli pomyślał, to i tak nie mógł się powstrzymać. Lęk był silniejszy. Żołnierze umieli lepiej sobie radzić, pędzili milczący i zdeterminowani, lecz on był tylko cywilem, więc gadał bez końca i głośno kalkulował.

Dostawcy żywności oraz rzemieślnicy świadczący drobne usługi dla Domu Nefrytowej Rosy Na Płatkach Kwiatów Śliwy zjawiali się tam zwykle około godziny siódmej rano, czyli wpół do czwartej według zegara chińskiego, który dzielił dobę na dwanaście części. Ludzie Ałbazińca mieli na nich czekać i mówić, że wielmożny Ju-an Czżun-ju wstał dziś w bardzo złym humorze i tylko patrzy, kogo by tu skrócić o głowę. Zwyczaj był ogólnie znany, więc ostrzeżenia z pewnością nie będą musieli powtarzać dwa razy. Przekupnie nie odważą się pojawić tam wcześniej jak po południu, kiedy, głowa pechowca, który niepotrzebnie włożył mandarynowi w oczy, powinna już tkwić na kołku przy bramie. Najdalej o ósmej rano ludzie Ałbazińca znikną, żeby się nie narażać.

- A jeśli któryś zostanie złapany?! - zawołała Patrycja wychylając się z kołyski.

- Mają cyjanek - odparł sucho doktor i wrócił do swoich wyli-

czeń.

76

Kobiety powinny się ocknąć około jedenastej według rachuby europejskiej. Były wprawdzie zamknięte, ale wspólnymi siłami z pewnością zdołają uwolnić siebie oraz Zang Tunga. Zatem naczelnik San Kjen-fang dowie się o napaści najpóźniej o dwunastej w południe i natychmiast pchnie gońca do Pekinu. Jeśli da mu dobrego konia, a na pewno tak zrobi, goniec będzie w mieście po dwudziestu minutach. Drugie tyle zajmie mu przedostanie się przez zatłoczone ulice do bramy Zakazanego Miasta. Tam z pewnością nie każą mu długo czekać. Generał Juan Szy-kaj, dowódca gwardii cesarskiej, najlepszego obecnie wojska w Chinach szkolonego na wzór niemiecki, akurat był w pałacu i na wieść o śmierci krewniaka z pewnością zareaguje natychmiast. Najdalej do godziny drugiej po południu policja i wojsko będą już na miejscu, po czym zacznie się śledztwo. W ciągu kolejnej godziny powinni się znaleźć świadkowie, którzy widzieli w nocy oddział cudzoziemskich jeźdźców. Jeśli nie w samym San Kjen-fang, to na pewno strażnicy mostu na rzece Pei, którą uciekinierzy przekroczyli około pierwszej w nocy. Ten, który zasnął na warcie i obudził go dopiero hałas przelatujących obok koni, pewnie pożegna się z głową, podobnie jak jego koledzy śpiący akurat pod mostem. Tak czy owak, będzie już jasne, że cudzoziemscy zabójcy uciekają na wschód od Pekinu. Potwierdzą to ostatecznie ludzie pilnujący kolejnego mostu na rzece Lutaj.

Kilkanaście godzin przewagi to zbyt wiele na skuteczny pościg, ale nie w epoce elektryczności. Z Pekinu wychodziły dwie linie telegraficzne, które miały znaczenie w tym przypadku. Pierwsza biegła obok torów kolei żelaznej do Tientsinu i Taku, a potem dalej na północ, wzdłuż wybrzeża, oraz druga wprost na północny wschód obok drogi łączącej Pekin z Mukdenem - świętym miastem i nekropolią cesarzy panującej obecnie dynastii mandżurskiej. Obie linie telegrafu niczym szubieniczna pętla na szyi zbiegów łączyły się kilkanaście kilometrów przed Wielkim Murem w miasteczku Fu-niń. Słowem, pościg nie był potrzebny, nic nie

77

stało bowiem na przeszkodzie, aby oddziały pilnujące bram Wielkiego Muru wyjechały uciekinierom na spotkanie.

- Jeżeli zostaniemy osaczeni, będę zmuszony zaproponować cyjanek również paniom - powiedział doktor Zakrzewski, uzupełniając analizę sytuacji.

Do Patrycji dopiero teraz w pełni dotarło, w jak beznadziejnej matni się znaleźli. I to zaczynając od stanu spraw w ich kozackiej kołysce. Po sześciu godzinach jazdy cesarski piesek wpadł w szal, zaczął gryźć i szczeleć jak opętany, aż trzeba było go uspokajać chloroformem. Zaraz potem Lien dostała choroby morskiej. Początkowo starała się być dzielna i wymiotowała bez skargi, ale po dziesiątej rano, kiedy zmieniali konie, przygotowane zawczasu przez ludzi Ałbazińca w niewielkim lesie-cmentarzu parę kilometrów na północ od miasta Pauti, i nie pozwolono kobietom opuścić kołyski, tylko mongolskim sposobem przeniesiono je razem z opakowaniem i uprzężą na nowe wierzchowce, po czym natychmiast ruszono, Lien błagała już tylko, by ją szybko dobić. Patrycja, pamiętając dobrze podobne własne przejścia, pocieszała zdesperowaną dziewczynę, jak umiała.

Dojeżdżając do rzeki Lutaj w środku następnego dnia, musieli najpierw zwolnić na ruchliwej drodze, potem trzema funtami opium przekupić strażników mostu, aby poprzestali na pobieżnym

sprawdzeniu dokumentów i nie interesowali się jęczącym pakunkiem pomiędzy końmi, a następnie z godnością przejechać przez most. Wszystko to z demonstracyjnym brakiem pośpiechu, w sytuacji gdy zabójczy dla nich telegram mógł już mknąć po drutach do garnizonu w Szan-hai-kuan - miejscowości, gdzie wschodni kraniec Wielkiego Muru staje się morskim moło.

Szczytem szaleństwa było to, że zgodnie z umową z Ałbaziń-cem północna linia telegraficzna miała zostać przecięta właśnie o tej porze, między godziną dwunastą a pierwszą po południu, ale tylko ta jedna. Linia południowa miała nadal działać, czyli łączność Pekinu z Szan-hai-kuan była wciąż zachowana. Drobne

opóźnienie spowodowane przepisywaniem depeszy w Taku nie miało znaczenia.

Istota tego wybiegu polegała na - jak to ujął doktor Zakrzewski - włożeniu lwu głowy w paszczę w taki sposób, aby lew nie wpadł na to, że ma zacisnąć szczęki. Osoba śledząca trasę ich ucieczki powinna być przekonana, że zamierzają przedostać się na drugą stronę Wielkiego Muru przez którąś z bram znajdujących się na północ lub północny wschód od Pekinu. Ponieważ Wielki Mur nie stanowił obecnie granicy państwa, a jedynie odgrywał rolę bariery celnej pomiędzy wewnętrznymi prowincjami Chin, bramy te nie były strzeżone wiele lepiej niż mosty, przez które przejeżdżali po drodze. Pilnujący bram żołnierze żyli sobie beztrosko z łapówek i szczytem ich możliwości bojowych było zastraszanie kupców niekwapiących się płacić zawyżonego po uważaniu myta i ceł. Uprzedzeni jednak w porę, mogli te bramy zamknąć i bronić ich do przybycia gwardii z Pekinu, czyli niezbyt długo. Jeżeli dodać do tego reprezentujący już poważną siłę garnizon Szan-hai-kuan, po prostu nie było wyjścia - zamorskie diabły musiały zostać wzięte w dwa ognie! Na dokładkę przecięcie tylko jednej linii telegraficznej, mniej więcej równoległej do kierunku ucieczki zabójców mandaryna, ujawniało ten kierunek, ale niczego im nie dawało, ponieważ w swej niezmierzonej głupocie zapomnieli o linii południowej!

Krótko mówiąc, plan pułkownika Lawendowskiego opierał się na potędze chińskiej wiary w bezdyskusyjną przewagę intelektu mieszkańców Państwa Środka nad oślimi rozumkami zamorskich diabłów. Skoro cudzoziemcy są li tylko brutalnymi idiotami, to muszą popełniać tak głupie błędy!

Tymczasem żołnierze Ukrytego Króla nie zamierzali przekraczać Wielkiego Muru w żadnym miejscu. Kwestią decydującą d powodzeniu ich wyprawy było to, aby cesarscy urzędnicy i generałowie możliwie późno wpadli na to, że oni mogą chcieć ów mur spłynąć.

79

Temu właśnie służyła jazda na północny wschód za dnia, a następnie, zaraz po zapadnięciu zmierzchu, zawrócenie o sto osiemdziesiąt stopni i po kolejnej zmianie koni szaleńcza galopada na południe, ku czynnej linii telegrafu, a dokładniej do miasteczka Lo-ting, gdzie oddział pułkownika Lawendowskiego przez nikogo nie niepokojony przejechał pod elektrycznymi drutami. Tak oto włożono głowę w paszczę rozsierzonego lwa, po czym wyjęto ją bez szwanku.

Oczywiście, wieść o napadzie w San Kjen-fang już się rozeszła. W Lo-ting zauważono podejrzanych cudzoziemców przejeżdżających pędem przez miasto i natychmiast pomknęły depesze w obu kierunkach, do Pekinu i Szan-hai-kuan, ale było już za późno. Ten manewr Polaków byłby samobójstwem, gdyby w Pekinie przewidziano go najpóźniej do godziny szóstej po południu.



Jednak w stolicy cesarstwa, trzeba to przyznać, ludzie badający tę dziwną i oburzającą sprawę mieli na głowie także inne poważne kłopoty. W pierwszej kolejności, po przesłuchaniu kobiet z Domu Nefrytowej Rosy, należało ustalić, jakie to cudzoziemskie mocarstwo wypowiedziało Chinom otwartą wojnę. Żołnierze którego państwa nosili mundury o opisanym przez kurtyzany wyglądzie? Więcej - jakie białe wojsko zwykło wieszać swoich za gwałt na kobiecie obcej rasy?! To ostatnie było tak nieprawdopodobne, że raczej należało podejrzewać tu jakiś wyrafinowany podstęp. Wprawdzie historia Państwa Środka znała, ba, nawet całkiem niedawno, armię o równie surowej dyscyplinie, ale to skojarzenie wydawało się zbyt nieprawdopodobne.

Sytuację wyjaśniło i skomplikowało zarazem zeznanie Zang Tunga. Nikt w Zakazanym Mieście nigdy nie słyszał o Irlandii. Zachodnich dyplomatów lepiej było nie pytać, bo porywanie europejskich kobiet mogło im się bardzo nie spodobać. Zanim dyskretnie zebrano podstawowe informacje i wyjaśniono nieporozumienie, zdenerwowany generał Juan Szy-kaj zdążył zaangażować

połowę swojego sztabu w poszukiwaniu miejsca lądowania irlandzkiego korpusu ekspedycyjnego.

Kolejne wiadomości były coraz bardziej niepokojące. Cudzoziemcy widziani na mostach wyglądali raczej jak Rosjanie, z którymi Państwo Środka łączył obecnie sojusz wymierzony przeciw Japonii. Na Rosjan wskazywał też ogólny kierunek ucieczki. Dlaczego jednak sprzymierzeńcy Chin zrobili coś takiego? Dlaczego włożyli przedziwne mundury jakiegoś nieistniejącego państwa? Jaka polityczna gra kryła się za tą prowokacją?

Do tego wszystkiego należało dodać oszałam z wściekłości Cesarzową Wdowę, której zaginął ulubiony piesek. Dwóch eunu-chów odpowiedzialnych za opiekę nad pupilem władczyni natychmiast połączyło się w zaświatach ze swoją męskością. Pozostali przetrząsali pałac od piwnic po dach, bezskutecznie szukając zwierzęcia. Mandaryni i generałowie przezornie woleli trzymać się od cesarzowej z daleka.

Późną nocą, kiedy w Zakazanym Mieście debatowano nad wynikłymi tak niespodzianie kłopotami, żołnierze Ukrytego Króla dojechali do ujścia rzeki Luan. Tu w jednej z odnóg delty ukryto trzy czajki - łodzie kozackiego typu, strzeżone przez drugą część oddziału pułkownika Lawendowskiego oraz ludzi Ałbazińca, którzy natychmiast przejęli konie i rozproszyli się po okolicy.

Lien dostała hysterii. Po całej dobie spędzonej w trzęsącej się kołysce, wyczerpana dolegliwościami żołądkowymi, na widok otwartej wody, której się bała, gdyż nie umiała pływać, była to w sumie najrozsądniejsza reakcja z jej strony. Gorzej, że tym razem Patrycja nie stanęła na wysokości zadania i zaczęła wrzeszczeć jak opętana w duecie z Chinką. Doktor Zakrzewski zmuszony był skonstatować, że jego trzymający w napięciu monolog skutecznie doprowadził młodą Irlandkę do rozstroju nerwowego.

Skończyło się na tym, że obie kobiety dostały laudanum, po czym załadowano je do łodzi razem z głową ściętego mandaryna Draż resztą bagaży.

81

Kiedy Patrycja się ocknęła, było już jasno, dochodziło południe. Znajdowali się na pełnym morzu. Pogoda była słoneczna, aż żal ładna, bo bezwietrzna. Tafla wody przypominała zwierciadło. Żołnierze wiosłowali energicznie i wyglądało na to, że robili to przez całą noc. Łodzie związane jedna za drugą długimi linami, aby pogubiły się w ciemnościach. W pierwszej siedzieli najsilniejsi wiosłarze, którzy

chwilami ciągnęli cały konwój. Był z nimi pułkownik Lawendowski. W środkowej łodzi płynął Lao Ping,, a w ostatniej Patrycja i wciąż śpiąca Lien oraz dwóch rannych żu-awów i doktor Zakrzewski. Na twarzach mężczyzn wciąż malowa-1 to się napięcie, karabiny trzymali na kolanach i pilnie rozglądali się dookoła. Jedyne cesarski piesek spał beztrąsko w legowisku | z końskich derek.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Patrycja, masując sobie skronie. Opiumowy zamęt wciąż osaczał jej myśli.

- Zbliżamy się do środka Zatoki Liaotuńskiej - odparł lekarz.

- Jak wyglądają teraz nasze szanse, panie doktorze?

- Chciałbym panią najmocniej przeprosić za moje wczorajsze zachowanie...

- Rozumiem, że był pan zdenerwowany. Mogę jednak prosić o odpowiedź na moje pytanie? - odparła za ostro, ale bądź cją bądź miała po temu powody, zaczynając od ponarkotykowego kaca.

- Rzecz rozstrzyga się właśnie w tej chwili... - doktor odruchowo popatrzył na horyzont.

Patrycja westchnęła.

- Byłoby już po wszystkim, mademoiselle, gdyby aura nam sprzyjała i gdybyśmy mogli postawić żagle.

- Zatem wciąż mogą nas dogonić, nieprawdaż? Doktor Zakrzewski z powagą skinął głową.

- Ale pod warunkiem że zdołali trafnie przewidzieć kierunek naszej ucieczki, a na to, szczerze mówiąc, mają mniej niż jedną trzecią szans. . ;;;

82

- To znaczy, doktorze?

- Najbardziej prawdopodobne jest, że nasi prześladowcy spodziewają się, iż postanowiliśmy opłynąć Wielki Mur, więc zapewne chińskie wojsko od lądu i morza patroluje teraz wybrzeże na północ od Szan-hai-kuan. Druga ewentualność jest taka, że wzięli nas za Rosjan, wobec czego powinniśmy skierować się prosto na wschód od ujścia rzeki Luan i płynąć do Portu Artura. Zbadanie tych dwu możliwości zajmie im trochę czasu. Tymczasem my płyniemy dokładnie kompromisowo, na północny wschód.

- Dokąd?

- Planujemy przybić do półwyspu Liaotung na wysokości miasta Fu-czżou.

- Dlaczego tam?

- Tędy, mademoiselle, wiedzie najkrótsza droga do Ukrytego Królestwa. Proszę już o nic więcej nie pytać. Jak Bóg da, dowie się panią wszystkiego w swoim czasie...

- Dżonki od południa! - krzyknął ktoś.

Na czajkach zapanowała konsternacja. Wszystkie oczy zwróciły się we wskazanym kierunku. W odległości kilku mil morskich od nich przesuwały się dwie charakterystyczne sylwetki tradycyjnych chińskich statków. Płynęły na wioślach, równolegle do ich kursu, ale w przeciwną stronę.

- Może to rybacy? - podsunęła Patrycja.

- Rybacy nie wypływają tak daleko - odparł lekarz, osłaniając dłonią oczy. - To raczej przemytnicy tytoniu. Chyba zmierzają w okolice Taku.

- Więc raczej nie są dla nas groźni?

- To zależy od tego, czy nas dostrzegli, czy po wylądowaniu zostaną pojmani i czy komuś przyjdzie do głowy, by ich o nas zapy-

ac.

- Ale nie będą nas gonić?

- Nasze czajki są szybsze od dżonek, więc nie mają szans. Jed-lak problem polega na tym, że w ogóle nas widzieli. Przez Fu-

83

-czhou przebiega linia telegrafu, której nie możemy przeciąć, bo ściągnęlibyśmy sobie na głowę Rosjan z Portu Artura. Dla tej twierdzy to jedyna łączność ze światem, więc od razu wysłano by patrole. Tym jednak, mademoiselle, będziemy się martwić później. Najgorsza rzecz, jaką moglibyśmy teraz zobaczyć, to dym z okrętowego komina, to bowiem by znaczyło, że wysłano za nami kute wojenny z Taku.

- Sam pan mówił, doktorze, że na to mają małe szansę.

- Ale wciąż nie jesteśmy bezpieczni. Nie można wykluczyć, że ktoś jednak docenił pomysłowość naszego drogiego pułkownika... No dobrze, nie martwmy się na zapas! W takich chwilach najlepiej zająć się jakąś pożyteczną pracą. Czy pomogłaby mi panienka przy rannych? Trzeba im zmienić prowizoryczne opatrunki i lepiej zająć się ich ranami. Potrzebuję asystentki.

- Oczywiście, panie doktorze!

Pierwszy z żuawów otrzymał uderzenie tasakiem w lewą pierś. Było to dzieło kucharza. Ostrze nie przeniknęło kości, ale poważnie nacięło mięsień i trzeba było założyć głębokie szwy. Podstawowe umiejętności pielęgniarki, które obejmowała profesjonalna edukacja Patrycji, przydały się teraz jak znalazł. Gdy doktor Zakrzewski szył mięsień, ona trzymała haki, odciągając skórę.

Następny był przypadek postrzału śrutem. Strzelał ogrodnik z muszkietu pamiętającego bodaj chwalebne początki dynastii Ming. Żuaw widząc płomień na panewce, zanim padł strzał, zdołał częściowo się uchylić i większość ładunku weszła mu w bark, zatrzymując się na kości łopatki. Teraz dopiero można było wydobyć śruciny.

Żołnierze odmówili zażycia laudanum, twierdząc, że dowódca może ich jeszcze potrzebować, i znosili bolesne zabiegi z kamiennymi twarzami. Najbardziej jednak spodobało się Patrycji to, że po

wszystkim obaj bardzo uprzejmie dziękowali za pomoc właśnie jej, jakby to ona była tu najważniejszą osobą.

84

Gdy kończyli z rannymi, zaczęła się budzić Lien. Wyraźnie czuła się zbyt marnie, aby jeszcze na dodatek czegoś się bać. Doktor Zakrzewski ruszył na rufę łodzi, by sprawdzić, jak się Chinka czuje i dać jej coś na wzmocnienie, po czym z profesjonalnego nawyku obejrzał jeszcze jej zajęczką wargę.

- Nie wygląda tak źle, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka - rzekł do Patrycji. - Co prawda, zniekształcenie górnej wargi bardzo nieestetycznie łączy się z dziurką nosa, ale szczęka i podniebienie nie są rozszczerzone. Odrobina chloroformu, kawałek jedwabnej nici i to może być jeszcze całkiem ładna buzia... - Przeszedł na chiński i zdaje się, powiedział to samo Lien.

Dziewczyna słuchała uważnie, po czym z powagą przecząco pokręciła głową. Doktor skłonił się lekko i wrócił do Patrycji.

- Mogłem się tego spodziewać - stwierdził. - Nie wypada jej zmieniać ciała, które dostała w darze od rodziców, jakiegokolwiek ono jest. Byłby to brak szacunku, zwłaszcza wobec matki, a ta dobra kobieta, kimkolwiek była, z pewnością na szacunek zasługuje. W tym kraju z reguły nie karmi się ułomnych niemowląt, zwłaszcza płci żeńskiej.

-Jak to?! - zdumiała się poruszona Patrycja.

- Po prostu kładą je i pozwalają im umrzeć.

- I nie boją się Boga?!

- Otóż to! W tym rzecz, panno Patrycjo, że oni się go nie boją. Chińczycy mają bardzo skomplikowaną religię, właściwie trzy religie w jednej, bardzo osobliwie ze sobą pomieszane, ale w żadnej i nich nie ma idei wszechmocnego osobowego Boga, przed któ-ym człowiek odpowiada za swoje ziemskie czyny. Nie ma też raju mi wiecznego potępienia.

- A co jest?

- Po śmierci czyściec, w którym demony dręczą grzeszników w zależności od rodzaju ich winy, ale potem następują ponowne narodziny. I tak bez końca. A wracając do panny Lien...

- Jej matka na pewno by chciała, żeby Lien była piękna.

85

- Też tak sądzę, panno Patrycjo, lecz nie wypada mi nalegać. Chińska kultura tego nie znosi. Może mademoiselle, jako starsza siostra, spróbuje przekonać pannę Lien?

-Jak, doktorze? Przecież zupełnie nie znam języka.

- Proszę coś wymyślić. Wierzę w panienki inteligencję... Oooo! Bogu dzięki! Nareszcie mamy wiatr!

Bryza nadciągnęła najbardziej odpowiednia z możliwych, wprost z południowego zachodu. Słowem, mieli wiatr dokładnie oporto, jak mawiają Włosi. Na czajkach natychmiast postawiono żagle z

błękitnego jedwabiu i łodzie pomknęły niczym ptaki. Teraz nawet dobry parowiec nie zdołałby ich dogonić. Nastąpiło ogólne odprężenie. Rzucono na dno wiosła i karabiny. Żołnierze z ulgą wyciągnęli się jak najwygodniej, gdzie kto mógł. Zaczęli się pożywiać lub drzemać, a ranni dopiero teraz poprosili doktora o opium.

Patrycja siadła przy burcie i rozmyślała nad prośbą doktora. Właściwie nie było to takie trudne. Pomysł przyszedł jej do głowy po kwadransie, aż była zdziwiona, że nie wpadła na to od razu. Wystarczyło zebrać wszystko, czego dotąd nauczyła się o Chińczykach, i połączyć to z europejską tradycją mówiącą, że jeżeli kobiety nie można do czegoś namówić, zawsze jeszcze da się ją skusić... Irlandka wyjęła swój szkicownik i zerkając ukradkiem na twarz Lien oraz kwiaty wyhaftowane na dekolcie jej sukni, zaczęła rysować. Zajęło to trzy kwadransy, po czym ofiarowała swe dzieło towarzysze.

Obrazek przedstawiał rozkwitający lotos, pośrodku którego znajdowała się doskonale piękna, pozbawiona defektu twarz młodej Chinki, taka, jaką obiecywał doktor po operacji. Kwiat wyrastał z wody, na której powierzchni rozpływało się odbicie aktualnego oblicza dziewczyny. Lekki nurt unosił szpetotę w nieskończoną dal.

Lien wręcz zamarła z wrażenia, kiedy to zobaczyła. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w portret jak urzeczona, godzi-

86

nami, całe popołudnie i pod wieczór, aż dopiero zachodzące słońce zmusiło ją do schowania kartki, którą pieczołowicie złożoną ukryła pod suknią na sercu. Jeżeli czasami odwracała na chwilę wzrok, to tylko po to, aby popatrzeć na lekarza, który wtedy uśmiechał się do niej życzliwie. I jeszcze życzliwiej do Patrycji. Widać było, że Irlandka się spisała i sprawy są na dobrej drodze.

- Gratuluję inwencji, mademoiselle, a w nagrodę mam dla panienki jeszcze jedno zadanie - powiedział doktor Zakrzewski po arieczornym posiłku, przysiadając się do Patrycji. Na rękach miał :esarskiego pieska, który czuł się już całkiem dobrze i zachowywał grzecznie. - Trzeba by jakoś ochrzcić tego miłego zwierzaka. Ma Danienka jakiś pomysł?

- Sama nie wiem, panie doktorze...

- Proszę sobie wyobrazić, mademoiselle, że pieski tej rasy wy-lodowano specjalnie tak, aby możliwie najbardziej przypominały niniaturowe lwy. Oczywiście, zgodnie z chińskimi wyobrażeniami cróla zwierząt, które wyraźnie różnią się od lwów obserwowanych la łonie natury. Proszę zwrócić uwagę na kształt jego pyszczka: est dokładnie taki sam jak u posągów stojących choćby przed gmachami publicznymi.

Rozbawiona Patrycja wzięła pieska i podniosła go do oczu. Ten zapiszczał przymilnie, po czym spróbował polizać ją w nos.

- Jeżeli to jest lew... - Irlandka parsknęła śmiechem. - To je-ite Chu Chulainn!

- Mademoiselle, wiedziałem, że mogę na panienkę liczyć! Dczywiście, niech będzie Chu Chulainn. - Odczekał chwilę, aż )słupiała Patrycja całkiem rozdziawi usta. - Aczkolwiek ze wzglę-lu na Chińczyków doradzałbym skrócić to imię po prostu do Chu :hu.

Zmieszana Patrycja próbowała tłumaczyć, że czołowy irlandzki >ohater narodowy do tej roli chyba niezbyt pasuje, ale osiągnęła yle, że wszyscy w łodziach zaczęli pokładać się ze śmiechu, gdyż >odstępny lekarz najpierw wyjaśnił sens rozmowy, a potem na bie-

87

żąc przekładał na polski i chiński objaśnienia skonfundowanej matki chrzestnej. Ta zapędzona w kozi róg musiała jednak w koń- • cu przyznać, że Chu Chulainn istotnie zasługuje na tytuł Lwa Irlandii. Skończyło się na tym, że uśmiechali się z niej nawet pułkownik Lawendowski i pan Lao.

Potem dziewczęta położyły się spać. Nie było im jednak dane dobrze wypocząć. Obudzono je w środku rozgwieżdżonej nocy. Żagle już opuszczono, a żołnierze znów wioślowali.

Daleko w ciemnościach przed nimi regularnie gasło i zapalało się małe światełko.

- Dopłynęliśmy - wyjaśnił doktor Zakrzewski. - Tam czekają już na nas z końmi.

- Komendant zajęty. A wy w jakiej sprawie?! - Starszy sierżant ozparty za stołem w biurze dowódcy rosyjskiego garnizonu w Harbinie był jawnie bezczelny. Na chamskiej, cuchnącej chan-iZynem, lecz o dziwo, wcale nie tępej gębie podoficera malował ię wyzywający uśmiezek. Najwyraźniej za nic miał fakt, że stoi >przed nim wyższa szarża. Wcześniej ani myślał wstać. Brakowało eszcze tylko, aby wyjął sobie z szuflady tuszonkę, zaczął żreć, nłaskać i dłubać paznokciem w zębach. Albo, Boże uchowaj od akiej zniewagi, sam się wódki napił...

Sergiusz domyślał się dlaczego to wszystko. Błysk hardości po-awił się w oczach rozmówcy, gdy ów zobaczył oficjalny przydział ^jtnanta Lawendowskiego. Z samiuteńskiego Sanpitra prościutko i środek Mandżurii... Strach pomyśleć, jak tęgiego kopa w żopę łusiał ten Polaczek dostać. Nawet gwiazda betlejemska zwiastuje Narodzenie Pańskie tak daleko lecieć nie musiała... No, ale koro już nam gładysz tu doleciał, to myślicie, dobrzy ludzie, że n się teraz komuś skarżyć na cokolwiek będzie? A niby komu liałby się skarżyć, proszę ja was? Komu, pytam, w mankiet nie-ożę zapłacze? Może tym ze stolicy, co mu z buta na rozpęd da-? Czy może tu na miejscu, w Harbinie, gdzie swołocz jawnie ni-ogo nie zna? Bo gdyby znał, moi mili, toby nie laźł, tak o, do omendantury prosto z dworca, razem ze wszystkimi bagażami, rlko by je u tego znajomego zostawił. Potem by swojakowi, jak ę należy, podarki z drogi rozpakował, od serca za spotkanie by ypili i dopiero z rana, z głową ciężką, a jakże, ale i po tęgim kli-ie, żeby w obecności naczalstwa język się nie zaplątał, w progi

89

majora Kondratenki zawitać należało. Oficer winien być ogolony i troszkę pijany. A ten tu, proszę!, ot, trzeźwy jak świnia, a namolny jak żydowski domokrążca. I to ma być oficer?! Od razu widać, że nikt ważny! Tfu, pajac jakiś, ruskiego munduru na takiego szkoda! Słowem, kiedy nikt nie patrzy, a teraz właśnie żadnych świadków rozmowy nie było, można się takim nie przejmować nic a nic i pokazać fircykowi, gdzie jego miejsce. W razie gdyby się swołocz ciskał, Feliks Feliksowicz, dusza człowiek, po tylu latach wiernej służby na pewno prędzej swemu dobremu Zajcewowi na słowo uwierzy niż jakiemuś oficerkowi przybłędzie.

Błąd w rozumowaniu starszyny wziął się stąd, że Sergiusz pokazał mu tylko standardowe papiery - przeniesienie i rozkaz wyjazdu. Uznał, że takiemu zupakowi więcej nie trzeba. Cóż, może faktycznie

sam też popełnił błąd. Nie należało się aż tak spieszyć, ale po drodze udało się Sergiuszowi zebrać tyle informacji, że czekać dłużej, choćby noc, wydawało mu się stanowczo za wiele. Już w Chailarze zyskał pewność, że generał Brusilow nie mylił się w swoich przecuciach. W Cycharze przejrzał listy przewozowe kolei mandżurskiej, po czym kazał sobie przetelegrafować podobne dane dotyczące linii transsyberyjskiej. Obraz wyłaniający się z połączonych plotek i skojarzenia luźnych faktów wprost stawiał włosy na głowie. Ależ oni tu żyli ślepi jak krety! Krety na wulkanie! Taka beztroska pachniała wręcz zdradą. Musiał koniecznie dziś, zaraz rozmówić się z komendantem miasta. No i trafiła kosa na kamień!

Lejtnant Lawendowski stanowczo nie miał ochoty zaczynać służby na nowej placówce od awantury. Bo kto wie, jakie są miejscowe zwyczaje i układy? Rozsądniej byłoby się w nich najpierw rozpatrzyć, zorientować, kto tu może więcej, niż to z formalnej szarzy wynika, a nie tak wchodzić jak słoń w porcelanę, ale co począć? Cholera, stało się...

Mimo to spróbował jeszcze po dobroci.

90

- Wiecie, starszyna, że na tutejszych kolejach są najczęstsze kradzieże broni z wojskowych transportów? Proporcjonalnie największe w całej Syberii...

- Kraść ludzka rzecz - wzruszył ramionami sierżant. - Kto nic nie ukradł, niech pierwszy rzuci kamień...  
- popatrzył szyderczo, wyraźnie oczekując od Lawendowskiego przyznania się do złodziejstwa lub do pensjonarskiej naiwności. - Nie uchodzi, żeby takimi głupstwami komendantowi głowę zawracać. To zajęty człowiek.

- Nie wy, starszyna, będziecie o tym decydować. Rzeczy nie macie! Wiecie, co to statystyka?!

- Jeszcze takiej kurwy nie jebałem, wasze wysokobłagorodie. Sergiusz postąpił dwa kroki, po czym dokładnie wszystko, co

eżało na stole, poleciało na ścianę, zmiecione jednym zamaszystym ruchem ręki. Część przyborów biurowych wypadła przez otwarte okno. A Sergiusz szedł dalej. Minął biurko, stanął nad urywającym się z krzesła starszyna.

- Bacność!!! - ryknął na niego. - Ręce po szwach! Sierżant nie miał ochoty się podporządkować, ale odruch był

dlniejszy. Wypreżył się jak struna, zanim pojął, co robi, a czasu, aby się zreflektować, zabrakło. Sergiusz wyprowadził klasyczny >rawy sierpowy, trafiając pięścią w dolną szczękę, niedomkniętą, >o starszyna akurat otwierał gębę, zamierzając coś powiedzieć. sTie powiedział. Nawet nie jęknął. Padł do tyłu sztywno jak ścięte drzewo. Wprost na krzesło, odchylając je, stawiając na tylnych no-ach, które wyłamały się w następnej chwili. Potem był już tylko •rzenikliwy trzask pękającego drewna pomieszany z łoskotem wa-jcego się na podłogę ciała.

Oficer cofnął się na swoje poprzednie miejsce i rozmasował tykcie. Sekretariat wyglądał jak po huraganie, a nie minęło jesz-ze pięć sekund od ostatniej wymiany zdań.

- Dlaczego bijecie moich ludzi? - Major Kondratenko stanął r progu gabinetu. Miał około sześćdziesięciu lat, całkiem siwe

91

włosy. Ciemne brązowoczarne oczy patrzyły chłodno i wyczekująco. Ton głosu był najzupełniej neutralny.

Sergiusz Lawendowski strzelił obcasami i zameldował się regulaminowo. Komendant garnizonu nie zareagował. Wyraźnie nie był z tych, co dwa razy powtarzają pytanie.

- Mam pismo do rąk własnych pana majora! - Sergiusz sięgnął za pazuchę, wyjął list i pełnomocnictwo. - A biłem za brak szacunku dla oficera.

Major Kondratenko dopiero teraz wyciągnął rękę. Wziął papiery, następnie z troską zajrzał za biurko. Starszyna leżał bez ruchu na szczątkach połamanego krzesła.

- Timofiej! - komendant nieznacznie podniósł głos.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Wartownik najwyraźniej podsłuchiwał, zapewne od czasu gdy usłyszał hałas.

- Na rozkaz, wasze wysokobłagorodie!

- Ocucić Zajcewa.

- Tak jest! - Szeregowiec odstawił pod ścianę karabin z nasadzonym bagnetem.

Komendant garnizonu przebiegł wzrokiem nagłówek wręczonych mu dokumentów. Uniósł brwi i znów zwrócił się do wartownika, który klepał właśnie Zajcewa po twarzy.

- I jak z nim, żyje?

- Żyje, wasze wysokobłagorodie. Tylko go zamroczyło.

- To dobrze, że żyje. W takim razie jutro rano weźmie sto kijów. I niech się cieszy, że nie dwieście. Powiedzcie mu, jak oprzytomnieje. A wy, starszy lejtnancie, pozwólcie ze mną - wskazał Sergiuszowi wejście do swojego gabinetu.

Jak na biuro panował tu wzorowy porządek. Wszystkie papiery leżały w regularnych plikach, starannie przygniecione różnymi chińskimi figurkami z porcelany.

- Siadajcie. - Kondratenko odsunął krzesło dla gościa, po czym przestał się nim interesować. Zajął swoje miejsce i spokojnie wrócił do lektury rozpoczętej w sąsiednim pokoju. Gdy skończył, nie

m

)dłożył dokumentów tak po prostu na biurko. Jeden, jak należa-o, zwrócił Sergiuszowi. Drugi, zaadresowany imiennie do siebie, itarannie umieścił pod figurką wyobrażającą kilka wijących się liebieskich smoków.

- Zatem... - odchrząknął i podniósł wzrok. - Co jeszcze chce-ibyście robić w moim mieście?



- W samym Harbinie niekoniecznie, panie majorze - odparł Sergiusz. - Lecz jeśli wolno, chciałbym zaraz pojechać na zwiad v tutejsze góry.

- Czego wam trzeba?

- Sotni Kozaków, żywności na miesiąc i po trzysta naboji na ka-abin.

- Każę jeszcze sprowadzić dla was pancernik z Portu Artura. Chociaż tak sobie myślę, że kolejną z Władywostoku byłoby jednak >rędej...

- Panie majorze! - obruszył się Sergiusz, zrywając się z krzesła.

- Siadajcie, młody człowieku, siadajcie - major Kondratenko uspokajająco machnął ręką. - Kwasu się napijecie? Upał dziś ta-i... Nie dziwota, że nerwy człowiekowi puszczają... To jak? Chce-ie kwasu?

- Tak. Dziękuję bardzo, panie majorze. - Starszy lejtnant Ser-iusz Lawendowski doszedł do wniosku, że nadeszła najwyższa po-a, aby pierwszy raz w dniu dzisiejszym okazać zdrowy rozsądek.

Komendant garnizonu podszedł do stolika w rogu pokoju, gdzie stał spotniały gliniany dzban i szklanki z grubego kanciaste-o szkła. Nalał pianistego brązowego napoju sobie i gościowi.

Dłuższą chwilę pili w milczeniu. Orzeźwiający kwaskowaty nak przywracał jasność myśli. Sergiusz zaczął się zastanawiać, ik bardzo się zbłąźnił. Poczyszające było to, że mógł się zbłąźnić

wiele bardziej, pokazując ostatni z posiadanych dokumentów, bgo byłoby stanowczo za wiele jak na pierwszy raz.

- Zakurzycie? - gospodarz otworzył papierośnicę.

- Dziękuję. - Sergiusz wziął papierosa.

93

Przeszli do drugiej części rytuału. Do połowy palili w milczeniu, po czym komendant pierwszy zaczął rozmowę.

- Ochłonęliście, starszy lejtnancie?

- Tak, panie majorze. Przepraszam...

- Nie ma za co, młody człowieku. Zajcew szczery chłop, ale z dawna już mu się należało. Tak, wiedziałem i nie wiedziałem zarazem, wiecie, jak to jest, póki nie ma formalnego doniesienia... Ale chłop, jak mówiłem, szczery, pod ogniem polegać na nim można. Opuśćcie mu część kijów? Może pięćdziesiąt?

- Jak daruję połowę kary, panie majorze, to mnie znienawidzi, że nie całą. Za dwadzieścia mniej będzie szczerze wdzięczny.

- Dobrze, Siergieju Henrykowiczu, znanie się na ludziach. A teraz powiedzcie, przeciw komu to mamy na wojnę iść?

-Ja tylko zwiad...

- Zwiad się robi w trzy, pięć koni. Najwyżej w dziesięć. Po szkole ojczulka Brusilowa takie rzeczy powinniście wiedzieć pyta- | ni nawet na łożu śmierci. Sotnia Kozaków to już wojenna wyprawa. Przeciw komu zatem?

Sergiusz zawahał się, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Ty razem jednak pytanie komendanta było retoryczne. Major kontynuował głośne myślenie:

- My tu sobie, Siergiej Henrykowiczu, ze wszystkimi w dobrej zgodzie i spokoju żyjemy. Kolej, uważacie, nikomu nie wzdychać, budujemy. Linia z Czioty do Władystoku, chwalić

już jest. Teraz kładziemy torę z Harbinu do Mukdena. W samym Harbinie wielka prawosławna katedra już prawie pod kopułą ciągnięta, w tym roku skończymy. Potem bierzemy się za katolicki kościół dla waszych rodaków. Inne domy w mieście też rosną, miło popatrzeć. Z kimże zatem wojna? Z Chinami przyjaźń my, jak należy, w traktatach zapisaną. Nic Chińczykom do nas nam do Chińczyków. Nasza kolej i miasto Harbin ustanowione niestety w nielegalnych warunkach, jak ambasada. Koreańczycy i Mongołowie ani nas ziębią, ani grzeją. Buriaci, Tunguzi i Daurowie

94

sobie po swojemu, Bóg z nimi. Japończycy... hm, prawda, ci koso na nasze gospodarowanie tutaj patrzą, ale cóż nam mogą zrobić? Już im raz świat pokazał, gdzie ich miejsce. Świata ani Mateczce Rosji nie podskoczą. Ano dobrze, mówcie szczerze, to na Japończyków wam ta sotnia potrzebna?

- Raczej na bandytów... - zaczął ostrożnie Sergiusz.

- Na chunchuzów? - wzruszył ramionami komendant. - Prawda, pełno tu tego łatajstwa, ale na to mamy straż kolejową i garnizony na wszystkich stacjach. A wy, jak rozumiem, chcecie mi tych ludzi gdzieś w góry wyprowadzić, tak? Torę na łasce boskiej zostawić i po wertepach łapserdaków gonić?

- Obawiam się rozruchów, może nawet powstania przeciw nam.

- To już jest zmartwienie władzy w Pekinie. Zapewnić nam spokój to nie łaska. Takie mają zobowiązania z traktatu z nami wyznaczające i wyręczać ich w tym nie będziemy. Nawet nie wypada, jeśli sami o to nie poproszą.

- Pozwolicie, panie majorze, przedstawić sytuację według mojego rozeznania?

- Proszę.

Sergiusz podszedł do mapy Mandżurii wiszącej pod portretem arcyksięcia.

- Wiecie pewnie, panie majorze, że różni ludzie, na lewo, na olejowych transportach się wzbogacają?

- Cóż, tak już jest świat urządony... - westchnął komendant. - Wszyscy kradną, co poradzić? Ot, skutek grzechu pierworodnego, padku pierwszych rodziców... Byle tylko z umiarem kradli, po ci-iu i nie za wiele naraz. Bo wtedy knuty.

- Rzecz w tym, panie majorze, że tu ostatnio kradną trochę łańcuchów - odparł Sergiusz. - Na odcinku kolei transsyberyjskiej od Łagowieszceńska do Chabarowska - pokazał na mapie - a tak: tu, na

mandżurskiej, od Cyczcharu do Nikolska, wojskowe ansporty okradane są częściej niż na pozostałej długości linii.

95

Niby niewiele, ale częściej. I tylko wojskowy sprzęt, panie majorze. Niby nigdy nic poważnego. Tam parę karabinów, ówdzie skrzynka naboji, tu znów nie doliczą się paru szabel czy rewolwerów... Odbiorcy zawsze myślą, że to garnizony po drodze uzupełniały swoje uzbrojenie, widać braciom było trzeba, nie będziemy im żałować i kto by tam takie głupstwa sprawdzał. Gdyby armata zginęła albo karabin maszynowy, no, to już rzecz poważna, ale taką drobnicą nikt sobie dotąd głowy nie zawracał. Ja pierwszy, nie chwając się, panie majorze, zebrałem to wszystko do kupy. Zęby było ciekawiej, cenniejsze i łatwiejsze do zbycia rzeczy, takie jak wódka, perkale, tytoń, nafta czy samowary, kradną już po boże-mu, czyli wszędzie równo i po trochu, bez takiego zagęszczenia i przypadków. Statystyka jasno to pokazuje.

- Czekajcie, no... - zadumał się komendant. Otworzył szufladę i wyjął kilka dokumentów, potem wziął parę następnych z plików leżących na blacie. Wszystkie raporty rozłożył przed sobą jak karty pasjansa i zamyślił się, opierając obiema rękami o biurko. - Wygląda na to, że macie rację - stwierdził na koniec, podnosząc głowę. - Dotąd myślałem, że nie notowali w wykazach wszystkich swoich zapotrzebowań. Ot, potrzebowali, to wzięli. Najpierw bezpieczeństwo kolei, potem papiery. Cóż, jak wszędzie mamy tu trochę bałaganu... Tak, wiem, myślałem jak wszyscy. Teraz to wiem. I co chcecie z tym zrobić, kolego starszy lejtnancie?

- Po pierwsze, dowiedzieć się, na co komu ta broń.

- Może myśliwym potrzebna?

- Tylko na co, z całym szacunkiem, majorze, myśliwym szablej A tych w sumie dwieście sztuk przepadło.

- Rozumiem. Co dalej?

- Podejrzewam, panie majorze, ale tylko podejrzewam, że broń nie rozproszyła się po całej Mandżurii, tylko jest ktoś... jec na osoba trzyma na niej rękę...

- I któż to taki, waszym zdaniem?

96

- Bez dowodów wolę nie mówić, żeby na durnia nie wyjść, panie majorze. Dlatego chcę jak najszybciej na ten zwiad wyruszyć i sprawdzić podejrzenia. I dlatego ze znacznie większą siłą niż przeciwko zwykłym bandytom.

- Dobrze, starszy lejtnancie, to ma sens, co mówicie. Gdzie dokładnie chcecie szukać?

Sergiusz bez słowa przesunął palcem wzdłuż granicy z Koreą.

- Taak... - pokiwał głową major Kondratenko. - W tej okolicy także Japończyków daleko szukać nie trzeba... Jednak to nie wszystko! Wiecie może, że tam żyją smoki?

- Pan komendant raczy żartować.

- Ani trochę! Mandżuria to kraj, w którym smoki widywane są regularnie. Nie wiedzieliście tego? Na przykład ostatnio opodal Kirynu zdechły smok spadł chłopu na pole. Miejscowy mandaryn spisał szczegółowy protokół zajścia. Chłopu było Chen i ma się rozumieć był żółty, smok zaś cały czarny, miał róg na głowie, cielsko jak trzeba pokryte łuskami, a na dodatek śmierdział rybą, tak że zaraz kupą zleciały się muchy...

- Panie komendancie, myślałem, że my o poważnych sprawach rozmawiamy! - stwierdził z urazą Sergiusz.

- Jak najbardziej poważnych, młody człowieku, jak najbardziej

- w głosie komendanta garnizonu zabrzmiała ojcowiska surowość.

- Tylko wy, starszy lejtnancie Lawendowski, w tak gorącej wodzie tapani jesteście, że nijak nie słuchacie, co mówię.

- Najmocniej przepraszam, panie majorze.

- A mówiłem wszak - komendant zignorował przeprosiny - że w Mandżurii nasze są tylko koleje i miasto Harbin, eksterytorial-le - powtórzył z naciskiem. - Reszta to Chiny, inny kraj, w którym nie możemy sobie, ot tak poczynać, jak u siebie za Amurem.

- Wszak to tylko pozory, panie majorze.

- Dla Chińczyka pozór rzecz ważna, nawet nie wiecie, jak ważna. Powinniście sobie to zapamiętać, jeżeli nie chcecie napytać się sobie i nam. Być może Chiny to tylko arbuz do krojenia, jak

97

w gazetach piszą, a być może i nie... Po co to sprawdzać? Po co drażnić, skoro oficjalnie mamy z nimi sojusz?

- Do czego pan komendant zmierza?

- Wreszcie rozsądnie mówicie. Otóż potrzebujemy jakoś wytłumaczyć Chińczykom tę waszą eskapadę. Czemuż to uzbrojeni Kozacy mają się po ich kraju kręcić? Jeżeli bez żadnych ceregieli wjedziecie do okręgu jakiegoś gubernatora, ten straci twarz, a to tutaj wielka hańba. Zacznie się zaraz międzynarodowa awantura, a nie wiem, czy wasze pełnomocnictwa są tak mocne, by za plecami Petersburga własną politykę zagraniczną prowadzić i o sojuszach cesarstwa stanowić, he?

Prawdę powiedziawszy, ostatni dokument Sergiusza bez mała na to właśnie pozwalał, ale młody oficer tę kwestię zmilczał. W zamian pojął wreszcie, do czego komendant zmierza.

- Ja przepraszam najmocniej, panie majorze... - Sergiusz poczuł, że się rumieni. - Znaczy ja... mam całkiem oficjalnie... za przeproszeniem, smoków szukać?!

- Nieobchodimo.

- Więszego durnia zrobić już ze mnie nie możecie? - głos oficera się załamał. - To za karę?! Za tego Zajcewa?

- Nie denerwujcie się, młody człowieku. Szukanie smoka to dla Chińczyków przedsięwzięcie jak najbardziej godne szacunku. A że w niebezpieczne okolice jedziecie, to jasne, czemu tyle wojska prowadzicie. O nic więcej Chińczycy oficjalnie nie będą was pytać, zwłaszcza jak dla niepoznaki dołączymy do tej wyprawy paru cudaków, ot, jakiegoś dziennikarza, może nawet zagranicznego dla większego splendoru, a do tego koniecznie uczonego safandu-łę, nie, lepiej dwóch albo trzech... W Harbinie mamy teraz takie akademickie panoptikum, że tylko brać, wybierać. Etnograf na entomologu siedzi i botanikiem pogania! Ojczulek egzorcysta też nie zawadzi, bo wiadomo, smok diabelskie nasienie... - major puścił oko. - Wy zaś, młody człowieku, pamiętajcie, że jesteście na Dalekim Wschodzie, uczcie się więc używać parasoli i parawanów.

98

- Malowanych w smoki? - burknął Sergiusz.

-Jak najbardziej! Lecz ja na waszym miejscu martwiłbym się o co innego.

- O co, panie majorze?

- Jeśli macie rację, naprawdę możecie tam smoka znaleźć i co wtedy?

-Jest na to stary polski sposób. Bierze się barana i nadziewa go siarką...

- No dobrze, pożartowaliśmy sobie! Mówcie, czego wam trzeba, ale sotni Kozaków nie dam, bo nie mam, Bóg mi świadkiem. Dam dziesięciu... no niech będzie, dwudziestu ludzi. Tylu mogę iac bez większej szkody. Cóż, nie patrzcie tak, sam wiem, że ma-o...

- Nie da się więcej z Nikolska ściągnąć albo z Władywostoku? - popatrzył z nadzieją Sergiusz.

- Zaraz wyślę depeşe. Może uda się zebrać dla was tę sotnię.

- Wyjadę im na spotkanie i zaczekam w Ningucie.

- Stamtąd chcecie wyruszyć na południe? Dobrze. Tam też wy-łę wasz parasol... Chyba że chcecie sami uczonych towarzyszy )odróży sobie skompletować?

Sergiusz z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Zdaję się w tej mierze na pana, panie majorze. Nie chcę mieć wariatami do czynienia.

- Pamiętajcie o pozorach... Zatem jak? Dogadaliśmy się?

- Tak jest, panie majorze!

- Niech was Bóg prowadzi, Siergiejju Henrykowiczu! - komen-ant wyciągnął rękę na pożegnanie.

Patrycja patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. Patrzyła, lecz nic nie widziała. Miała ciepłą krew na rękach i mokro w majtkach. Te odczucia do niej docierały, a jednocześnie były poza nią, jakby dotyczyły kogoś zupełnie innego, jak krzyk Lien spadającej z konia gdzieś z tyłu. W szoku Irlandka

zapomniała oddychać. Albo ktoś obcy o tym zapomniał. Bo to tak nagle... nagle...; kołatała się jej jedna myśl. Wszystko tak nagle... nagle... nagle...; nagle...

;

Rzeczywiście, świat wywrócił się do góry nogami w okamgnieniu, bez najmniejszego ostrzeżenia. Mówiąc trywialnie: śmierć przyszła nagle. A przecież najgorsze już naprawdę było za nimi. Na brzegu półwyspu Liaotung czekało na nich kolejnych piętnastu żołnierzy pułkownika Lawendowskiego wraz z końmi na dalszą drogę. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Łodzie ukryto, a dziewczęta, ku rozpaczy Lien, znów ułożono w kołysce, jednak tym razem Polacy nie pędzili już jak szaleni, robili częstsze postoje. Pierwszy zaraz rankiem, gdy bezpiecznie minęli miasto Fu--czżou oraz linię telegrafu. Depesza z Pekinu istotnie dotarła tam przed nimi, przemycnicy tytoniu najwyraźniej okazali się gadatliwi, ale jak stwierdził obserwujący sytuację w mieście jeden z ludzi Ał-bazińca, miejscowy naczelnik niewiele mógł na to poradzić. Do tropienia cudzoziemców miał zaledwie trzydziestu słabo uzbrojonych żołnierzy, którzy musieliby sprawdzić dwieście kilometrów bardzo urozmaiconej linii brzegowej plus trzy duże wyspy. Będąc człowiekiem przy zdrowych zmysłach, lokalny mandaryn nawet nie próbował brać się do tego zadania, aby jednak nie oskarżono

100

go o opieszałość i lekceważenie rozkazów, zarządził stan wojenny i demonstrację siły w obrębie miasta. Żołnierze biegali po ulicach, straszili kupców, wznosili gniewne okrzyki przeciw zamorskim diabłom, lecz żaden z nich nie odważył się wyściubić nosa poza roгатki Fu-czżou.

Oddział żuawów bezpiecznie zostawił za sobą najgęściej zaludnione wybrzeża i coraz bardziej zagłębiał się w góry wewnątrz półwyspu. Trzeciego dnia wszyscy przestali się spieszyć i denerwować. Jechano na tyle umiarkowanym tempem, że Patrycję i Lien wypuszczono wreszcie z kołyski i pozwolono im usiąść w siodłach. Choć żadna nie miała jeździeckiej wprawy, była to wielka i dobra, wręcz rajska odmiana. Nareszcie mogły swobodnie oddychać oraz podziwiać krajobrazy. To znaczy, Patrycja podziwiała. Lien przyzwyczajona do rozległych uprawnych równin wokół Pekinu, gdzie jedyne kępy drzew rosły wyłącznie na cmentarzach, widokiem dzikiej natury była wyraźnie zdegustowana.

Wapienne skały stopniowo wznosiły się coraz wyżej. Ich stoki porastały gęste zarośla leszczyny, a doliny, którymi jechali, ocieniały majestatyczne dąbrowy. Patrycja zwróciła uwagę, że żołnierze, rozmawiając między sobą, często używają słowa „swojsko”, i zapytała o to doktora Zakrzewskiego.

- Ten kraj wygląda całkiem jak Polska - wyjaśnił lekarz z melancholijnym uśmiechem. - Takie same są góry, rzeki i pola pszenicy, niemal ten sam klimat. Żyją tu nawet białe orły, symbole naszego dawnego królestwa. Gdyby nie drzewa korkowe i cedry oraz trochę pomniejszych krzewów, tutejsze lasy byłyby zupełnie jak te, które wycinali pierwsi polscy królowie, by wznosić swoje grody i miasta. Wystarczy w Mandzurii na chwilę przystanąć, odetchnąć głębiej, a czas natychmiast się cofa i polska dusza ulatuje ponad przestrzenie, wracając w progi domostw Piasta i Lecha... Co prawda, w naszym starym kraju nie ma tygrysów jak tu, ale za to mamy bursztyny będące, jak wierzą Chińczycy, duszami zmarłych tygrysów, które zstąpiły pod ziemię i zamieni-

101

ty się w kamienie. Dlatego nazywają nas tutaj ludźmi z Kraju Duszy Tygrysa.

J

- A jak, panie doktorze, nazwano by Irlandię? "

- Wy mówicie o niej Zielona Wyspa, prawda? Chwileczkę, ma-demoiselle, niech pomyślę... Zieleń to dla Chińczyków kolor dobrych snów i najwyższego wewnętrznego spokoju. Zatem Irlandia to będzie Kraj Spełnionych Snów.

- O mój Boże... - szepnęła Patrycja i łzy stanęły jej w oczach.

- Mam nadzieję, że w nadchodzącym dwudziestym stuleciu te sny się wam spełnią. A mamy tu jeszcze ciekawe podobieństwo -doktor taktownie nie skomentował poruszenia dziewczyny -ponieważ złe i złośliwe duszki nazywane są w Chinach podobnie jak w Irlandii „zielonymi chłopcami”...

Jeden z jadących obok żołnierzy, mimowolny świadek tej rozmowy, skręcił nagle konia w pobliskie zarośla, po czym zerwał tam kiść drobnych jasnorożowych kwiatów. Zawrócił i podał je Patrycji, mówiąc coś z uśmiechem.

- On powiedział - przetłumaczył doktor Zakrzewski - że gdy panna płacze, to najlepiej dać jej kwiaty. To jest cytryniec. Owocuje pod koniec lata i daje wtedy bardzo smaczne czerwone jagody, szczerze polecam, jak nadejdzie pora. Teraz zaś, wiosną, jego kwiaty pięknie pachną, proszę się przekonać, mademoiselle.

Patrycja otarła oczy i podziękowała najładniej, jak umiała.

Właśnie wtedy to się stało. Ci ludzie po prostu wyszli na nich zza najbliższej skały. Zuaw zareagowali, jakby przeszedł ich prąd. Tygrys truchtający leniwie przez las w okamgnieniu sprężył się do skoku, wysunął pazury i uderzył. Mocno, śmiertelnie, bez litości.

- W szable ich! - krzyknął pułkownik Lawendowski. - Broń palna w ostateczności!

Najgłupiej zachowała się Patrycja. Widząc, że wszyscy wokół spinają konie, ona też odruchowo uderzyła piętami swojego wierzchowca i w pierwszym szeregu, całkowicie bezbronna, wpa-

102

dła prosto w środek jatki. Co więcej, dowodzący przeciwnikami Chińczyk na koniu właśnie ją uznał za najgroźniejszego wroga i natychmiast uderzył mieczem w rudą głowę Irlandki.

Patrycja umarła. W ułamku sekundy, gdy ostrze spadało na jej czoło, pojęła, że widzi swój kres i nie ma dla niej ratunku. Dusza oddzieliła się od ciała.

Polak jadący z prawej sparował śmiertelny cios końcem szabli, tuż przed twarzą dziewczyny. Patrycja poczuła na policzku gorący odprysk stali, a iskra skrzęsana przez ostrza wydała się jej jaśniejsza od słońca. Zuaw z lewej, ten, który przed chwilą dał jej kwiaty, sztychem rozplątał gardło Chińczyka, obracając zakrzywione ostrze w ranie, aż krew trysnęła na dłoń Irlandki kurczowo ściskające wodze. Cytryńcowy bukiet przepadł nie wiadomo gdzie.

Następnym widokiem, który dotarł do Patrycji, były ostrza polskich szabel spadające gradem na głowy i ramiona przeciwników, zagłębiające się w twarze, szyje, barki, odrąbujące ręce... Krzyki, szczeł żelaza, ohydne, chrzęszczące młaśnięcia rozcinanych ciał wprost rozsadały jej głowę. Później powiedziano jej, że to się nazywa bigosowanie, teraz się posikała.

Chińczyków było razem sześciu, z tego pięciu walczyło pieszo, włóczniami i mieczami. Żadnej strzelby nie mieli. Wybito ich profesjonalnie. Zuawi, dla których nie starczyło miejsca w pierwszej linii, natychmiast otoczyli walczących, nie pozwalając nikomu ujść z życiem. Jadący na samym końcu oddziału rozproszyli się wachlarzem po okolicznym lesie, wypatrując innych przeciwników. Nikogo więcej jednak nie dostrzegli.

Pół minuty od rozpoczęcia walki na nogach pozostał już tylko jeden, starszy Chińczyk z halabardą. Widać było, że umie się nią dobrze posługiwać. Jeden z Polaków, który zaszarżował na niego ze zbyt wielką pewnością siebie, dostał cios w głowę i szabla wypadła mu z ręki. Rannego żuawa uratował własny koń, który rżąc dziko, stanął dęba i zamierzył się kopytami na halabardnika, zmuszając go do przejścia do obrony. W następnej chwili

103

wierzchołek wyniósł słaniającego się w siodle jeźdźca poza pole walki.

Trzej Polacy zsiadli z koni i razem ruszyli na przeciwnika, który odgrodził się od nich szerokim poziomym zamachem halabardy. Natychmiast zawinął nią nad głowę, powtarzając ruch w przeciwną stronę. Teraz jednak on nie docenił zgrania atakujących. Dwóch żuawów śmierci idących obok siebie zamłynkowało szablami w przeciwnych kierunkach, przechwytyjąc i unieruchamiając na sekundę ciężkie ostrze. Trzeci w tej samej chwili rozrząbał Chińczykowi skroń.

Było po walce.

- Jest panienka cała?! - Doktor Zakrzewski mocno potrząsnął Patrycję za ramię. Widząc jej nieprzytomny wzrok, zrezygnował ze zbędnych pytań i podsunął jej pod nos sole trzeźwiące. - Oddychaj! - zawołał. - Zrób wdech!

Patrycja dopiero teraz, po minucie przerwy, znów nabrała powietrza. Drażniący zapach amoniaku przywrócił jej życie i świadomość. Wstrząsnął nią szloch.

- Ma któryś wódkę? - zwrócił się doktor do żołnierzy. Wyciągnęły się ku niemu trzy ręce z manierkami.

- Dajcie panience pić, tylko po trochu. Ja zobaczę, co z Wiśniewskim.

- A ile jej dać, panie doktorze?

- Niech się całkiem upije.

Pułkownik Lawendowski tymczasem wymyślał zwiadowcom od ostatnich durni i ślepców.

- Gdzie wyście mieli oczy, co?!



- Ależ sprawdziliśmy ten dukt, tak jak wszystkie, panie pułkowniku. - Zmieszani żuawi nie ośmielali się podnieść wzroku.

- Za płytko!

- Tyle co zwykle, panie pułkowniku. Musieli być tuż za zasięgiem wzroku, po prostu pech... zbieg okoliczności... Wszak oni też byli zaskoczeni.

104

- Jakbyście się lepiej postarali, przypadki byłyby po naszej stronie! Kiedy będą wam łby ucinać, też powiecie, że to tylko pech?! Ile razy mam wam powtarzać, że rutyna zabija? Nigdy nie robi się tak jak zawsze! Nadajecie się na zwiadowców jak... - machnął ręką. - Zejdźcie mi z oczu! - Odwrócił się od winowajców. - Doktorze! Jak z nim?!

- Kości czaszki ukruszone, ale na szczęście powierzchownie, opony mózgowie całe - odparł lekarz, przerywając na chwilę opatrywanie rannego. - Jednak nie da rady utrzymać się w siodle.

- Róbcie drugą kotłuskę.

Z krzaków leszczyny wynurzył się Lao Ping, który wcześniej zajął się zrzuconą przez konia Chinką.

- Gdzie panna Lien? - zapytał go dowódca. Urzędnik bez słowa pokazał zarośla, z których wyszedł.

- Nic jej nie jest?

- Trochę się potłukła, gdy koń się splotzył. Nic poważnego. Teraz uwalnia żołądek od zbędnego ciężaru. Widziała zbyt wiele...

- Podobnie jak panna Patrycja - westchnął pułkownik. Obaj posępnie popatrzyli na pobojuwisko.

- Źle się stało - stwierdził Chińczyk.

- To byli dobrzy żołnierze, zapewne weterani wojny japońskiej. - Pułkownik zaszalutował poległym.

- Ciekawe, skąd przybyli. Oficer sięgnął po mapę.

- Zapewne z Gaj-piń - pokazał urzędnikowi. - Mak mieścina, ale tam też jest telegraf, a naczelnik miasta okazał się mądrzejszy i sumienniejszy od tego z Fu-czou. Musiał się domyślić, że nie będziemy lądować w tym rejonie wybrzeża, bo to dla nas za daleko, więc skierował patrole w głąb lądu. Na jeden z nich musieliśmy się natknąć.

- W Gaj-piń nie mogło być więcej niż piętnastu żołnierzy - zauważył Lao Ping. - Kilku ludzi musiało zostać w mieście, by pil-

105

I

nować porządku. To mogły być zatem najwyżej dwa patrole. Nie doceniliśmy ich, a oni zrobili wszystko co w ich mocy... - popatrzył na zakrwawione ciała. - Nie możemy pozwolić, by zamienili się w wiatr! - stwierdził stanowczo.

- Mamy czas ich pochować - zgodził się pułkownik. - Drugi patrol idzie teraz najpewniej na północ, wzdłuż rzeki Bi-li, żeby wypytać o nas tamtejszych poszukiwaczy złota. To są głównie Rosjanie, których i tak mieliśmy zamiar ominąć.

- Przepraszam, panie pułkowniku... - Podszedł do nich doktor Zakrzewski. - Chciałbym oddalić się z panną Patrycją, by poszukać jakiegoś strumienia.

- Wodę mamy - zauważył oschle dowódca.

- Ona musi... - resztę wyjaśnił na ucho.

- Dobrze - zmarszczył brwi pułkownik. - Idźcie, tylko niezbyt daleko.

Lao Ping nie zadawał niedyskretnych pytań. W zamian zajął się przygotowaniem do pogrzebu. Ze swoich rzeczy wyjął kompas i okrągłą płytkę pokrytą koncentrycznymi kręgami hieroglifów. Za pomocą tych przyrządów wyznaczył miejsce na grób, orientując go względem kierunków świata oraz strumieni energii płynących od okolicznych skał i najstarszych drzew, tak aby zapewnić poległym możliwie największy spokój. Kiedy już kopali dół, urzędnik na korze najbliższego dębu wyciął nożem jedno pod drugim słowa „świnia” i „dym” oznaczające aktualny rok, męską siłę oraz ich przemijanie.

Ceremonia pogrzebowa miała być krótka, lecz uroczysta, ale zakłóciła ją pijana w sztok Patrycja.

- Dlaczego chowamy tych bandytów?! - dopytywała się natarczywie, przeszkadzając panu Lao w odmawianiu modlitwy.

- To nie byli bandyci, mademoiselle, tylko dzielni żołnierze - odparł z powagą doktor Zakrzewski.

- Żołnierze noszą mundury, a ci byli w łachmanach! - upierała się przy swoim. - Wiem, jak wyglądają bandyci! tr ' j

106

- Zapewne ktoś ukradł pieniądze przeznaczone na ich mundury - tłumaczył cierpliwie doktor. - Dlatego każdy z nich ubierał się tak, jak mógł, ale zapewniam panią, że to byli żołnierze, nie żadni chunchuzi.

- To niby po czym poznać różnicę?!

- Nie uciekli - rzekł krótko lekarz.

- Postąpiliby dużo mądrzej, gdyby... uciekli... hep! - Patrycja dostała czkawki.

- Doktorze, proszę natychmiast odprowadzić stąd tę pannę! - zirytował się pułkownik Lawendowski. Odczekał, aż polecenie zostanie wykonane. - Oddział, baczność! Prezentuj broń!

Rano Patrycję bolały głowa i pupa. Ta ostatnia od siodła. Było jej bardzo głupio i wstyd, tak że bez przerwy wszystkich za wszystko przeproszała. Nikt jednak nie miał do niej żadnych pretensji. Najważniejsze było, że dziewczyna zapomniała o krwawej traumie, która minęła wraz z kaczorem.

Teraz już naprawdę jechali bezpiecznie. Półwysep Liaotung miał w przybliżeniu zarys równoramiennego trójkąta, a oni zmierali ku jego podstawie. Z każdym krokiem przybywało zatem przestrzeni, którą ewentualny pościg musiałby przeszukać, by trafić na ich trop. Jeszcze tylko raz, chyłkiem i nocą, przemknęli w poprzek drogi z linią telegraficzną łączących Mukden z Pheniamem, po czym mogli uznać, że ostatecznie zmylili pogonie.

Dalsza trasa biegła na północny wschód, przez pola złotożółte nad rzeką Ba-dao. Tamtejsi poszukiwacze, w większości Polacy, przyjęli ich życzliwie, proponując kilkudniowy odpoczynek, ale pułkownik Lawendowski nie skorzystał z gościny. Zjedli tylko wspólną kolację, podczas której Patrycja popisywała się rysowaniem portretów zarośniętych jak niedźwiedzie mężczyzn. W zamian rano obdarowano ją kompletem rysików z koreańskiego grafitu owiniętych złotą blachą z rozklepanych samorodków, „coby panienka nie pobrudziła sobie paluszków”.

107

Pożegnawszy poszukiwaczy złota, skręcili na południe. Po kilku godzinach jazdy minęli resztki ziemnego wału i fosy, gęsto zarośniętych wierzbami, dereniem i leszczyną. Były to dawne chińskie umocnienia na granicy z barbarzyńską Mandżurią. Wał rozsadzany przez korzenie, rozmyty w wielu miejscach przez deszcze, wyglądał teraz niepozornie, ale wciąż ciągnął się na dystansie ponad tysiąca kilometrów, obiegając całą Zatokę Liaotunską wraz z Mukdenem i łącząc się z Wielkim Murem.

Dwa i pół wieku wcześniej, gdy Mandżurowie podbili Chiny, fortyfikacje te straciły pierwotne znaczenie militarne, lecz długo jeszcze służyły jako zapora dla chińskich osadników, którzy chcieliby zasiedlać pierwotną ojczyznę najeźdźców, opuszczoną przez nich samych niemal całkowicie, gdy ruszyli robić karierę w zdobytym kraju. Dopiero w połowie XIX stulecia, z obawy przed ekspansją Rosjan, zezwolono chińskim chłopom osiedlać się w Mandżurii, a zapomniany Wał Wierzb zaczął niszczeć, szczególnie zaś jego odcinki północne i wschodnie. Zachodnie przydawały jeszcze jako granica celna z Mongolią Wewnętrzną.

Koloniści chińscy zajmowali głównie tereny wzdłuż rzeki Liao] oraz niziny w centrum kraju. Najbliższe ludzkie skupiska znajdowały się zatem kilkaset kilometrów na północny zachód od źródeł rzeki Aj, gdzie starą granicę Państwa Środka przekroczył oddział pułkownika Lawendowskiego. Tutaj, jak okiem sięgnąć na wschód, północ i południe, rozpoczynały się wielkie pustkowia Gór Wschodniomandżurskich - krainy smoków, jak poinformował Patrycję doktor Zakrzewski, zaraz dodając z uśmiechem, że chińskie smoki w przeciwieństwie do europejskich nie mają zwyczaju pożerać dziewczyc.

Po przekroczeniu Wału Wierzb oraz kolejnych trzech godzinach jazdy przez odludne góry i lasy, w stronę Korei, niespodziewanie zarządzono postój. Żołnierze znów zaczęli się przebierać, wkładając mundury, w których zaatakowali Dom Nefrytowej Rosy. Lao Ping ponownie rozplótł swój warkocz.

108

- Witamy w Ukrytym Królestwie! - oznajmił radośnie doktor Zakrzewski.

- Czy zobaczę króla? - zapytała nieśmiało Patrycja.

- O, to jeszcze nieprędko, mademoiselle, ale kto wie, kto wie...

Według wyjaśnień lekarza znajdowali się teraz w okolicy, w której zaczynał swój bieg strumień Gu, dopływ rzeki Du coś tam, coś tam, coś tam (nazwa była strasznie długa i nie do wymówienia), co tak jak rzeka Aj wpadała do Jalu, za którą zaczynała się Korea.

Patrycja rozglądała się intensywnie i nie widziała tu absolutnie nic. Góry jak góry... Co więcej, dolina, w którą teraz wjechali, była ewidentnie ślepa! Wyraźnie widać było przegradzające ją w poprzek wysokie, zarośnięte sosnami, lipami i klonami gołoborze, na które nie sposób było wjechać konno. Grań doliny porastały potężne jesiony, którym wszelkie inne drzewa dorastały zaledwie do połowy pnia. Monumentalna ściana lasu i skał wyglądała na absolutnie nie do przebycia. Wielkie było więc zdziwienie Patrycji, gdy nieco z boku w leśnym gąszczu pokazała się idąca w górę wąska kamienna ścieżka, na której mieścił się pojedynczy jeździec. Oddział ruszył nią gęsiego, pułkownik Lawendowski pierwszy. Po kilkuset krokach ścieżka stała się niezwykle głębokim krętym wąwozem, częściowo sztucznie wykutym i obmurowanym, który miejscami zamieniał się w tunel.

Po dziesięciu minutach znaleźli się w kolejnej dolinie, gdzie czekał na nich tłum uzbrojonych mężczyzn.

- Zuawi wrócili!!! - rozległ się krzyk i za moment skały zatrzęsły się od wrzawy i wiwatów. Tłum ruszył z entuzjazmem witać przybyłych.

- Macie głowę tego drania?! - pytano głośno.

- Mamy! Mamy! - odkrzykiwali jeźdźcy, budząc jeszcze większy entuzjazm.

- Panno Patrycjo, panno Lien, witamy w Het-ala! - zawołał pułkownik, podnosząc głos ponad wrzawę.

- To jest Ukryte Królestwo?! - spytała doktora Irlandka.

109

- Nie całe, mademoiselle, tylko baza wojenna na jego południowym krańcu.

- A gdzie jest kraniec północny Ukrytego Królestwa, panie doktorze?

- lysiąc kilometrów dalej.

- Takie wielkie?! - otworzyła szeroko oczy.

- Sama panienska się o tym przekona. A wkrótce przekona też cały świat.

- Panie pułkowniku! - przez tłum przecisnął się ogorzały wąs ty mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Nosił ciemnogrnatowy mi dur i rogatywkę tej samej barwy. - Bogu dzięki za pański szczęśj wy powrół!

- Sierzancie Fedorczyk, przedstawiam panu pannę Patryc McGinn z Irlandii oraz pannę Lien... - Druga z wymienionych chowała twarz w dłoniach. - Później wyjaśnię, skąd się w

A to jest - pułkownik zwrócił się do Patrycji - sierżant Hiacynt Fedorczyk, w moim zastępstwie komendant Het-ala.

- Miło mi... - mina i ton głosu sierżanta wskazywały, że jedns nie za bardzo mu miło.

- Czy przybył już ambasador Caj Cung-jen? - zmienił temaj pułkownik.

Sierżant pokręcił przecząco głową.

- Ominął Het-ala, panie pułkowniku. Tylko przysłał wiado-a mość, że jedzie prosto do Korei i będzie czekał na was w Yids

u księcia Om Gona.

Pułkownik Lawendowski i Lao Ping wymienili się spojrzeniami.

- Chodźmy. - Doktor Zakrzewski odprowadził Patrycję na bok. - Pokażę panience naszą twierdzą.

Odcięta od świata dolina miała ponad pół mili długości. Środkiem płynął strumień, który wypływał spod skał na jednym końcu i znikał pod kamieniami na drugim. Na jego brzegach rozbito wojskowe namioty. Resztę wolnego terenu zajmowały place cwi-

110

czeń, zagrody dla koni i magazyny. Najciekawsze było jednak w górze. Na krańcu doliny oraz w połowie jej północnej grani wznosiły się dwie kanciaste baszty z regularnymi blankami, osłonięte od zewnątrz przez rozłożyste korony jesionów.

- A co to za dziwne budowle? - spytała Patrycja. - Wyglądają jak średniowieczny zamek.

- Są starsze niż średniowiecze, mademoiselle - odparł doktor. - To dwie baszty Wielkiego Muru z czasów dynastii Han, który w tamtych czasach docierał aż tutaj. Zapomniano o nich, po tym jak tę dolinę odcięło wielkie trzęsienie ziemi bodaj pięć wieków temu. Od tej pory gnieździli się tu tylko chunchuzi, których my wygnaliśmy przed trzema laty.

- Te baszty powinien chyba łączyć mur obronny, prawda?

- Kiedyś łączył, ale teraz, po prawie dwóch tysiącleciach, mało co z niego zostało, zobaczy panienska przy okazji. Baszty wzniesiono z granitowych kamieni niepołączonych zaprawą, dlatego ich ściany reagowały elastycznie podczas trzęsień ziemi i zachowały się znacznie lepiej. W tej tutaj - wskazał bliższą - przygotowujemy dla panienek kwaterę.

- I będziemy mieszkać jak księżniczki?! - Patrycja klasnęła w dłonie. - W kraju smoków... Cudownie! Ależ to romantyczne! Czy nazwa Het-ala znaczy coś szczególnego?!

- Nie, mademoiselle, to jedynie wojskowy kryptonim dla zmylenia przeciwnika. Tak nazywała się starożytna stolica Mandżu-rów, takie ich Gniezno... hm, jak dla panienki, powiedzmy, UI-ster. Ruiny prawdziwego Het-ala znajdują się jakieś trzydzieści pięć kilometrów na północny zachód stąd. Gdyby chciał nas odnaleźć ktoś niepowołany, tam zacznie szukać, a wtedy znajdą się oczy, które to dostrzegą zawczasu. Jednak bardzo proszę, panno Patrycjo, bez pensjonarskich uniesień. To teren twierdzy wojskowej, gdzie obowiązuje surowa dyscyplina. Nigdy wcześniej nie było tu kobiet.

- Oczywiście, panie doktorze - zapewniła z powagą.

Jednak już wieczorem niewiele z tej powagi zostało, a to za sprawą kolejnego polsko-irlandzkiego nieporozumienia kulturowego. Patrycja zwiedzała właśnie dolinę z Chu Chulainnem na smyczy. Zadawała szyku sama, bo Lien wolała się ukryć przed oczami tyłu obcych mężczyzn. W pewnej chwili Irlandka poczuła zapach, który sprawił, że stanęła jak wyryta. Boże! Czy to możliwe?!... W ułamku sekundy była z powrotem w domu lady Adelajdy, w jej ogrodzie warzywnym, gdzie jesienią, wieczorami po pracy, palono uschłe gałęzie oraz zbędne skrzynki po winie i serach, a w popiele... Mój Boże!

Pociągnęła nosem jeszcze raz. Ależ tak! To pieczone kartofle! Zapach dochodził z pobliskiego ogniska, przy którym siedziało kilku polskich żołnierzy. Patrycja ruszyła w ich stronę jak zahipnotyzowana. Od jak dawna nie miała w ustach kartofli? Przez tyle miesięcy ryż, surowe japońskie ryby, chińskie siekaniny z Bóg wie czego albo ta obrzydliwa zupa z gniazd jaskółczych - biaława breja smakująca jak rozgotowane świece, którą karmiono ją w Domu Nefrytowej Rosy. Doktor Zakrzewski wyjaśnił po drodze, że ów jaskółczy specjał ogłaszają za przysmak wyłącznie ci, co nigdy nie mieli go w ustach... Dość o tym! Tutaj były prawdziwe ziemniaki! Patrycja jak ćma ruszyła do ogniska, w którym je pieczono.

Żołnierze zareagowali przyjaźnie. Posunęli się, robiąc dziewczynie miejsce obok siebie. Zaraz poturlano ku niej patykier wspaniale wypieczoną, dymiącą bulwę. Podsunęto jej miseczkę z solą i masłem, a do ręki wciśnięto kubek ze zsiadłym mlekiem<sup>^</sup> pachnącym nutą czosnku. Patrycjaomal nie rozplakała się z zachwytu.

Za moment, rozkosznie parząc sobie podniebienie, zjadła, jej się uszy trzęsły. Cokolwiek do niej mówiono, wszystkimi przytakiwała, kiwając głową z uśmiechem.

Do czasu, aż podszedł do nich doktor Zakrzewski.

Lekarz przysłuchiwał się dłuższą chwilę tej osobliwej rozmowie, coraz bardziej rozbawiony.

- Czy mademoiselle wie, że nasi żołnierze bardzo Irlandczykom współczują? - zagadnął w pewnej chwili.

- A to czemu? - spytała Patrycja z pełnymi ustami.

- Bo nie wiecie co dobre. Panią przed chwilą ich poinformowała, że nigdy nie jadła czegoś tak pysznego i pierwszy raz w życiu widzi kartofle. Oni właśnie szczegółowo objaśniają mademoiselle, jak się je uprawia.

Zaczerwieniona dziewczyna, by ukryć zmieszanie, chwyciła kubek i zaczęła pić. Na niewiele się to zdało, bo doktor Zakrzewski wciąż patrzył na nią z sardonycznym uśmiechem.

Kwaśne mleko trysnęło Patrycji przez nos.

Sergiusz Lawendowski już trzeci tydzień tkwił jak głupi w Nin-gucie, wojując z myślami samobójczymi. Mieli mu dać stu ludzi, przysłali czterdziestu! A i to po wielkich naleganiach. Z depesz wynikało, że wszyscy dowódcy garnizonów od Bajkału po Pacyfik nic innego nie robią, tylko starają się o Kozaków

dla starszego lejtnanta Lawendowskiego. W to akurat Sergiusz nie wątpił. Mianowicie nie wątpił, że nadawcy telegramów właśnie z zapalem brzuchacą baby, które miały mu tych Kozaków urodzić.

Po równej grudzie szła kwestia zaopatrzenia i uzbrojenia wyprawy. Cała energia, z jaką Sergiusz przystąpił do działania, rozproszyła się w ogólnej niemożności i lenistwie urzędników, w ich monsturalnej tępotcie, braku dobrej woli, o wyobraźni już lepiej nie wspominać. Owszem, miał papiery, których widok mógł postawić na baczność niemal każdego czynownika w Mandżurii i Kraju Ussuryjskim, lecz co z tego, skoro taki zaraz zacząłby opowiadać, że on by chciał z całego serca, a jakże! gdyby mógł, ale nie może, bo wszyscy inni, złodziejska swołocz! nic tylko kłody pod nogi rzucają... Reforma prowincjonalnej carskiej administracji na Dalekim Wschodzie leżała jednak poza zasięgiem kompetencji starszego lejtnanta, choćby i ze specjalnymi upoważnieniami. Dowódcy garnizonów, którzy mieli obowiązek pomóc bez gadania, jak jeden mąż rozkładali ręce i tłumaczyli się, uważacie, brakiem ludzi! No ale koniecznie sprawdzą, poszukają i może nawet kogoś znajdą... Można by pomyśleć, że we wschodniej połowie cesarstwa wybuchła jakaś epidemia, mór, cholera, tyfus, wszystko, psia mać, naraz! bo Kozacy stali się nagle na Syberii towarem równie deficy-

114

towym jak Zulusi! Na dodatek Sergiusz wychodził na kretyna smokołapa...

Co tu dużo gadać, utknął w tej mandżurskiej dziurze jak pestka w ślepej kiszce! Ninguta była teoretycznie miastem traktatowym, jak inne stacje kolejowe, na razie jednak nie było tu kolei. Miała być, gdy wybudują drugą linię wschód-zachód, równoległą do obecnej. Tymczasem najbliższy przystanek pociągu był dwadzieścia kilometrów na północ od miasta, w którym z racji tego niedookreślenia panował stan dwuwładzy - obok rosyjskiego komendanta Wesołowskiego urzędował też chiński mandaryn. Tyle dobrego, że telegraf był na miejscu i starszy lejtnant Lawendowski mógł sobie nadawać do upojenia we wszystkich pięć stron świata. Tyle ich bowiem było zdaniem Chińczyków liczących za piątą stronę środkiem świata, w którym żyli.

Ponadto jedyną ciekawą rzeczą była tu jeszcze tłocznia oleju z grochu. Zaintrygowany Sergiusz nie omieszkał jej zwiedzić, ale tych atrakcji turystycznych starczyło na pierwsze popołudnie. Poza tym były rzędy szarych parterowych domków i zabłocone do niemożliwości ulice o szalenie poetycznych nazwach w rodzaju Gościniec Niebiańskiego Natchnienia czy jakoś tak. Wykwintne nazwy zastępowały tu najwyraźniej wszelkie niedociągnięcia estetyczne. Nie brakowało tylko chanszynu, opium i tanich dziwek mieszanej krwi, łączących bodaj najgorsze cechy charakteru i urody obu ras. Za to imiona, oczywiście, miały niebywale wyrafinowane! Na przykład panna Pięć Nietoperzy, co ponoć znaczyło, że nożna zaznać z nią pięciokrotnego szczęścia. Albo pani Złota Rybka, której trzy życzenia chciałoby się natychmiast spełnić, byle więcej jej na oczy nie oglądać.

Z kolei Kozacy Sergiusza na wieść, że mają łąpać smoka, najpierw rechotali w kułak, a potem zaczęli traktować pobyt w Ningucie jak wczasy, praktycznie nie trzeźwiejąc i nie schodząc i kurew. Morale i dyscyplina upadały z impetem lawiny, ale to był jeszcze najmniejszy problem.

115

Na początek do białej gorączki doprowadził Sergiusza pan Su, miejscowy mandaryn siódmej rangi, noszący na czapce rzeźbioną złotą gałkę. Urzędnikowi oczywiście wypadało złożyć kurtuazyjną wizytę zaraz po przybyciu do miasta. Sergiusz zamierzał załatwić rzecz tak szybko, jak się da, nie obrażając

gospodarza, i mieć to z głowy. Miał nadzieję, że wypiją herbatę, pogadają przez tłumacza o pogodzie i będzie po sprawie. Sęk w tym, że pogoda w kontekście szukania smoków okazała się tematem niebywale przepastnym, a pan Su człowiekiem upiornie wręcz uprzejmym. Kiedy się dowiedział, jaki jest oficjalny cel misji starszego lejtnanta La-wendowskiego, uznał za swój obowiązek poinformować znakomitego gościa o wszystkich znanych mu aspektach życia smoków oraz o ich związkach z aurą. Wykład o smoczycach koligacjach, atrybutach, domenach i zainteresowaniach trwał bite sześć godzin, a do tego tłumacz się jąkał i mylił słowa. Z całego tego bełkotu Sergiusz zrozumiał tyle, że Chińczycy, patrząc w niebo na przesuwające się chmury, widzą w ich kształtach latające smoki, podczas gdy Europejczycy wolą dostrzegać tam planetników czy inne czorty. W sumie w willi mandaryna młody oficer zaliczył taki egzamin z uprzejmości i cierpliwości, że nawet najgorsze humory cesarzowej w Carskim Siole nie dawały się z tym porównać. Nigdy więcej rozmów z Chińczykiem o pogodzie!

Następnie major Kondratenko przysłał obiecany „parawan”, czyli trzech akademików i popa, a potem jeszcze dziennikarza. Dokładnie tak jak mówił: etnografa, entomologa i botanika. Ten pierwszy nazywał się Myszkin, był świeżo upieczonym pryszczatym kandydatem nauk, a zarazem największym idiotą, jakiego Sergiusz w życiu spotkał. Badanie miejscowych obyczajów zaczął od pijatyki z Kozakami, którzy wyczuwszy zainteresowanie, zaczęli opowiadać mu najdziwsze dyrdymały, przeważnie natury erotycznej, jawnie wymyślając je na poczekaniu. Jura Myszkin tylko słuchał i notował, nadmieniając mimochodem, że powstanie z tego wiekopomne dzieło o życiu seksualnym ludów Syberii,

116

Mandżurii i Japonii. Drugi, Iwan Miruk, podstarzały entomolog, miał z kolei kompletnego bzika na punkcie latania owadów. Rozmowę na każdy temat najdalej w trzecim zdaniu sprowadzał do zagadnienia: „Jak to się stało, że żukom wyrosły skrzydła?”, co było ponoć bardzo szczególnym aspektem teorii Darwina. Botanik Alojz Keller, Łotysz z pochodzenia, miał w sumie najbardziej zrozumiałą idee fixe, mianowicie przyjechał do Mandżurii, aby wynaleźć sposób pędzenia wódki ze słonorośli rosnących w tutejszym stepie. Czemu słonorośli? - zapytacie. Ano umyślił sobie, że taka gorzała będzie bezkacowa, co zapewni mu bogactwo i wieczną sławę.

Batiuszka Krępuć Mikoła, jak się z całą powagą przedstawiał, okazał się Białorusinem, najpierw spolszczonym, następnie zrusy-fikowanym, a potem jeszcze, co wyszło między słowami, nawróconym pod przymusem unitą. Czym dokładnie podpadł cerkiewnej zwierzchności, że kazano mu chrzcic chińskie smoki, mówić nie :hciał, a Sergiusz nie miał już siły pytać. Wypadało się tylko cieszyć, że ojczulek trzymał się z dala od wszelkiej rozpusty i zgor-izenia, skutkiem czego przynajmniej nie włożył w oczy.

Nie bez mściwej satysfakcji starszy lejtnant posłał cały ten zoo-og z oficjalną wizytą do pana Su, ale srodze się zawiódł. Manda-yn wydawał się absolutnie zachwycony towarzystwem tylu „zna-:omitych uczonych” i zapewniał uroczyście, że wraz z ich przyby-iem zaświeciło nad Ningutą „słońce prawdziwej wiedzy”. Zapra-zał ich do siebie co wieczór, aż tłumacz dostał kołowacizny. >rakowało jeszcze, by zaczęli organizować uniwersytet.

Żadnego zrozumienia dla szarpaniny Sergiusza nie okazał lejtn-ant Igor Wesołowski, dowódca miejscowego garnizonu, o ile można tak nazwać tych dwudziestu obwiesiów, którym nawet nie ticiało



się nosić karabinów, bo za ciężkie, a cała ich służba spro-adzała się do gry w karty i drobnego handlu za dnia, a nocami za przeproszeniem, łapania nietoperzy. Wesołowskiemu

o...

ogóle nie mieściło się w głowie, że przybysz ze stolicy serio chce

117

łazić po górach. Przecież z takimi papierami Sergiusz mógł się w Ningucie urządzać jak w raju! Nie chcą dać ludzi i sprzętu? Tym lepiej! Jak nie dają, to można siedzieć i czekać, ile się chce, a nikt się nie przyczepi. Dobre papiery? Jeszcze lepiej! Ileż to pożytecznych handlowych spraw można z ich pomocą załatwić! Trzeba tylko z paroma rozsądnymi ludźmi na kolei tak po duszy pogadać i zaraz znajdzie się wszystko, i koniak, i szampan, i białe kobiety z samego Władywostoku, a na dodatek jeszcze parę rubelków do portfela wleci... Igor Igorowicz już dobrze zna, kogo trzeba, Igor Igorowicz pomoże... Potem żyć, nie umierać! A smoki pies jebał! Będzie potrzebny o smokach jakiś raport, to się panom akademikom, skoro są pod ręką, nieznacznie posmaruje, horyłeczki im poleje, a zaraz napiszą o smokach, ile trzeba, żeby raport należytą wagę miał, no bo przecież i tak nikt nigdzie tych durnot czytać nie będzie.

Ma się rozumieć, Sergiusz nie wtajemniczył Wesołowskiego w swoje podejrzenia i plany. Miał taki zamiar, ale zrezygnował, gdy usłyszał komentarz, że pomiędzy sotnią a czterdziestką Kozaków żadnej różnicy nie ma, sto i czterdzieści bowiem po rusku jednako na „s”, zatem nie trzeba się smucić, tylko wódki napić!

Już po dziesięciu dniach w Ningucie Sergiusz doszedł do wniosku, że jeszcze drugie tyle i albo zwariuje, albo faktycznie machnie na wszystko ręką i skorzysta z pomocy i rady Wesołowskiego. Po co się szarpać, skoro literalnie nikogo to nie obchodzi, a jesz-1 cze ciężką drwinę zarobić można?

Na szczęście obchodziło majora Kondratenkę, który uporawszy się z „parawanem”, w następnej kolejności posłał Sergiuszowi nowiutki, pachnący olejem karabin maszynowy Maxima oraz pięć tysięcy naboju w taśmach. Co prawda, nie można było wykluczyć, że komendant chętnie przysłałby też jedenastocalową armatę z pancernika, byle tylko młodego zdolnego oficera więcej w Harbinie nie oglądać, ale starszy lejtnant Lawendowski poczuł wreszcie wsparcie i bratnią duszę. Ponadto na widok przesyłki Wesołowski

118

przestał błaznować, wręcz zapomniał języka w gębie. Chyba wreszcie do niego dotarło, że sprawa jest poważna.

Następnym cennym nabytkiem wydawał się monsieur Jacques, korespondent, ho, ho, samego paryskiego „Le Figaro”! Sergiusz bardzo wiele sobie po tym człowieku obiecywał, bo każdy raport, wiadomo, może przepaść w niezliczonych ministerialnych szuflach, lecz zagraniczne gazety są czytane pilnie przez wszystkie dadze. Niestety, szczęście starszego lejtnanta trwało dwa dni. Orzeciego dnia bowiem durny żabojad wziął aparat fotograficzny poszedł, sam jeden, co za bęcwał! fotografować Chinki z małymi [ziećmi. Został za to ukamienowany. Przeżył, ale z pękniętą zaskką i

wybitym okiem trzeba było go wyekspediować najbliższym pociągiem do szpitala we Władywostoku i tyle było zagraicznego korespondenta.

Francuz zlekceważył krążącą ostatnio po całych Chinach plotkę, że soczewki aparatów fotograficznych robione są z oczu chińskich dzieci. Brednia niepojęta, ale Chińczycy wierzyli w nią święcie do tego stopnia, że widok fotografa na ulicy wywoływał panikę, jak nie wręcz zamieszki. Rozsądnie było też nie trzymać na izerchu lornetek.

Dodatkowo zirytowała Sergiusza wiadomość, że to nie Chińczycy pierwsi wpadli na ten szatański pomysł - plotkę rozpuścili Niemcy z półwyspu Szantung, żeby zadrwić sobie z zabobonnych wieśniaków. Zadowolone z siebie pruskie dryle nie sądziły, że ów irt zrobi taką karierę w całym Państwie Środka. Generalnie ze wszystkich europejskich narodów Niemcy odnosili się do Chińczyków najgorzej, a trzeba dodać, że żadna z cywilizowanych nacji nie traktowała tubylców dobrze. Ludzie Cnoty, jak nazywano Niemców, bili jednak wszelkie rekordy buty i pogardy. Skoro dzieli, że chińscy chłopcy boją się nowoczesnych wynalazków, i^szak europejskim wieśniakom też się to zdarzało, należało zebrać wioskową starszyznę i po ludzku wytłumaczyć im, jak działa elektryk czy silnik parowy, dla świętego spokoju nadmienając, że

119

to wynalazki dokonane przez ich czcigodnych przodków, a najlepiej przez legendarnych chińskich cesarzy. Tymczasem na temat drutów telegraficznych i przodków Niemcy mówili tyle, że są to pułapki na duchy ośmielające się naruszyć granice ich koncesji. Odtąd rdza ściekająca z deszczem z porcelanowych izolatorów stała się w oczach Chińczyków krwią dusz ich zmarłych bliskich pokaleczonych o druty w drodze do nieba, budząc bezgraniczną rozpacz i zgrozę. Zamiast dogadywać się i łagodzić obawy, Niemcy zastraszaali bez opamiętania. Chcieli rządzić strachem, no to się narządzi.

Nasiali tyle wiatru, że zaczęli właśnie zbierać burzę. Teraz w Szantungu miejscowi chłopcy, których w stylu Hakaty rugowano z ziemi zabieranej pod koleje, fabryki i kopalnie węgla, rujnowani, ponieważ jak zwierzęta, pozbawieni opieki własnych władz i jeszcze śmiertelnie przerażeni zamorskimi machinami, coraz mocniej buntowali się przeciw Niemcom, nie odróżniając ich jednak od innych cudzoziemców. Jak tak dalej pójdzie, to przez pruską brutalność i arogancję ucierpią interesy wszystkich krajów.

Na razie ucierpiały plany Sergiusza, który tego wieczoru pierwszy raz w życiu upił się na smutno, klnąc w żywy kamień Chińczyków, Niemców i smoki. Poranny ból głowy pogłębiła parodia śledztwa i wymiaru sprawiedliwości w wykonaniu pana Su. Mandaryn za ciężkie zranienie cudzoziemca kazał aresztować pięciu przypadkowych Chińczyków, zupełnie nie wchodząc w to, gdzie oni byli i co robili, gdy zdarzenie miało miejsce, po czym skazał ich na śmierć i zarządził pokazową egzekucję.

Prawdziwym winowajcom, jakby ich dorwał, Sergiusz z miłą chęcią własnoręcznie poukręcałby czarne głowy jak gawronono ale czegoż można chcieć od spokojnych rzemieślników, ojców rodzin, którzy wyleźli nie w porę na ulicę, bo nie mieli powodu gdzie się chować?! Po uśmierceniu takich ludzi nienawiść do cudzoziemców tylko wzmoże się po stokroć. Tyle to nawet Wesołowski rozumiał. Wzięli więc ze sobą batiuszkę i we trzech posz

120

ustawiać się za uwięzionymi, przekonując mandaryna, że nałożenie na miasto kontrybucji na odszkodowanie dla Francuza wystarczy w zupełności. Pan Su okazał łaskawość. Zgodził się na kontrybucję i z publicznej karności wielkodusznie zrezygnował. W zamian kazańcy mieli wypić truciznę w celi, a potem wywiesić na rynku stosowne obwieszczenie.

W Sergiuszu się zagotowało. Wesołowski musiał go trzymać za ręce i nogi, by nie doszło do dyplomatycznego skandalu. Całą siłą brojną pana Su stanowił tuzin policjantów z kijami, których Kocacy Lawendowskiego mogli rozgonić kopniakami, nie używając ironii. To właśnie Sergiusz zamierzał zrobić, by odbić więzienie.

Powstrzymała go dopiero informacja, że wtedy reszta Chińczyków w Ningucie najpewniej zwróci się przeciw Rosjanom. Ze względu na wdzięczność z chińskiej strony liczyć nie należy, bo w myśl atejszego prawa każę się przede wszystkim zbrodni, nie zbrodniarza. Było nie do pomyślenia, aby władze nie zrobiły nic z takiego powodu jak niewykrycie sprawców. Chińskie poczucie urawiedliwości wymagało odwetu - skoro było przestępstwo, musiało być też kara, zawsze bardzo surowa. To, kogo ta kara dotęgnie, było kwestią niezbadanych wyroków losu tudzież złej karły zgromadzonej w poprzednim życiu.

Konkludując, Sergiusz urznął się na smutno drugi raz z rzędu.

Na drugim końcu Gór Wschodniokoreańskich też nie było lek-).

Komendant Fedorczyk wyraźnie zniechęcił Patrycję od pierwszego wejrzenia.

- Panie pułkowniku! - wrzeszczał od samego rana. - Ja rozumiem, że taka jest niewieścia natura, żeby wszędzie nos wetknąć, s niech ta ruda panna trzyma mi się z daleka od materiałów wybuchowych!

-Co zrobiła?! - zaniepokoił się Stanisław Lawendowski, prze-wajając poranny obchód bazy.

121

-Jeszcze nic, Bogu dzięki! Ale kręciła się koło skrzynek, a wiadomo, że Irlandczycy plus dynamit to jedno wielkie nieszczęście!

- Niby skąd to wiadomo?

- Panie pułkowniku, głupi nie jestem! Słyszałem o tym więzieniu w Dublinie czy gdzieś tam, co ichni spiskowcy mieli w nim mur wysadzić, żeby swoi mogli uciec. Dali za dużo prochu, tak że nie tylko mur, ale i całe więzienie poszło w gruzy. Nikt stamtąd

O własnych siłach wyjść nie zdołał, a Irlandczyków zginęło więcej niż Anglików.

- Ale ja nie jestem z Sinn Fein... - tłumaczyła się skonsternowana Patrycja za pośrednictwem doktora Zakrzewskiego.

- Nieważne! Grunt, że z dynamitem nie umiecie się obchodzić!

- Jeszcze się nauczymy! - urażona Patrycja okazała narodową dumę.

- I pewnie znów swoi ucierpią najwięcej! - odparował komendant Fedorczyk.

- Panno Patrycjo, proszę tam już więcej nie chodzić, dobrze? -załagodził spór pułkownik.

- I jeszcze niech po swoim piesku zakopuje! Albo niech do latryny wynosi! I proszę mi tu niczego nie rysować, bo teren wojskowy! Pan jej to powie, doktorze!

- Sierżancie Fedorczyk, dalibyście pokój. Macie jeszcze jakąś sprawę?

- Ano, ja właśnie z tym, panie pułkowniku, tylko ta ruda panni mi się nawinęła...

- Słucham.

- Oglądałem głowę tego Wiśniewskiego, jak mu nasz doktor opatrunki zmieniał. To naprawdę rana od chińskiej halabardy?

- Tak, sierżancie.

- Do kitu z taką bronią, panie pułkowniku! Jakby to nasza polska kosa na sztorc była, nie byłoby kogo ratować! Tylko Ave Mark

1 wieczne odpoczywanie.

122

- Czemu tak sądzicie?

- Bo jak ostrze jest wygięte na zewnątrz, niby płoza, to się po :ości ześlizguje i schodzi bokiem. Trzeba dokładnie prostopadle iderzyć, żeby czaszkę rozłupać, a w boju o taką precyzję trud-

o.

- Szabla ma tak samo wygięte ostrze - zauważył oficer.

- Ale szabla krótsza jest i pewniej się ją w garści trzyma, panie ułkowniku. Kiedy takie samo ostrze na długim drzewcu osadzić, itwo się omsknie. Trzeba wtedy wielką wprawę mieć, żeby utrzy-lać dobry kąt uderzenia, a to wymaga lat ćwiczeń. Mnisi, co po lasztorach różne walki ćwiczą, mogą sobie na takie rzeczy po-wolić. My nie mamy tyle czasu. Nam potrzebne ostrza wygięte o środka, jak u naszej

kosy czy sierpa. Takie ostrze przy uderze-iu samo głębiej w ranę się wcina i kości tnie albo łamie. Cios mo-e być mniej wprawny, a skutek jest jak należy!

- Czy dobrze rozumiem, że chcecie naszym chińskim rekrutom rzekuć halabardy na kosy?

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Halabardy są ich narodową bronią.

- To niech sobie będą na defiladzie, bo ładnie wyglądają. Wy-ażone są też, nie powiem, niczego sobie, pięknie się nimi wywi-.. Stąd do teatru i opery także jak znalazł! Ale do boju, panie ułkowniku, tylko nasze polskie kosy, bez dwóch zdań!

- A co z chińską tradycją?

- Chińska tradycja, panie pułkowniku, jest taka, że ich bije kto lce. A tę tradycję, jak rozumiem, mamy im właśnie teraz zmie-ić, prawda?

- Dobrze, przekuwajcie. Jednak my też musimy przemyśleć na-:ą zacząć narodową tradycję.

- To znaczy, panie pułkowniku?

- Epoka już nie ta, panie sierżancie Fedorczyk. Nie możemy tartej masy ludzi z kosami na sztorc pchnąć na karabiny maszyny-3we. I co wy na to?

123

- Będziemy atakować w nocy, panie pułkowniku. Nie pierwszyna nam.

- To prawda. Tylko że mnie przydałoby się wojsko, którego można używać w dzień.

- No to by trzeba rozumem ruszyć... - zafrasował się weteran. - Ale zaraz! - popatrzył bystro na dowódcę. - A gdyby zrobić tak jak w zeszłym roku Anglicy w Afryce pod Omdurma-nem?

- Szybka zmiana frontu?

- Właśnie, panie pułkowniku! Tylko my w odwrotnej intencji, znaczy się w natarciu zamiast w obronie. Powiedzmy, hm... podchodzimy wąską kolumną, żeby się w oczy nie rzucała, a cel, jakby co, był niewielki, a potem nagle zwrot i atak!

- Dacie radę tak wyszkolić ludzi, żeby byli w stanie zmienić front pod ogniem? Szybko i sprawnie?

- Jak wycisnę z nich wszystkie żółte poty, aż zbieleją, zrobią to! De mam czasu?

- To zależy, co ustalimy w Yidzu. A dotąd jak wam idzie? Jak się sprawują ci nowi z San-Sing?

- Pojętni są, panie pułkowniku. Jak po polsku nie rozumieją, zawsze można im po chińsku wytłumaczyć.

- A tak bez żartów?

- No, jak wszyscy rekruci na początku. Gamonie i niezdary Chce pan pułkownik usłyszeć historię o kogucie i rosole?

- Nie, dziękuję. Czy to już wszystko, sierżancie?

- Ale skąd, panie pułkowniku! Najlepsze zostawiłem na ko nieć. Proszę za mną, pokażę, co nam przedwczoraj kot przyniósł... Tędy!

Niebawem przed oboma dowódcami stanęło piętnastu młodych Europejczyków starających się mniej lub bardziej udanie prężyć w postawie zasadniczej.

- A to kto?! - zapytał głośno pułkownik Lawendowski.

124

- Polacy, panie oficerze! Ochotnicy z Harbinu! Przyszliśmy się bić za polskiego króla! - oznajmił z dumą wysoki blondyn stojący na początku szeregu. Był najstarszy ze wszystkich.

- To jest pan pułkownik Stanisław Lawendowski - przedstawił Drzełożonego sierżant Fedorczyk. - A mnie, młokosy, to wy jesz:-ze wbrew pozorom zupełnie nie znacie.

- Więc to prawda, że Polska znów jest i ma króla? - wyrwało >ię innemu, drobnemu szatynowi w drucianych okularach.

- Jest Druga Rzeczpospolita Obojga Narodów, Polaków Chińczyków tym razem - wyjaśnił pułkownik. - Król jest na rów-

li polski i chiński.

- A imię jego Czterdzieści i Cztery? - wtrącił przejęty ochotnik.

- To jeden z oficjalnych tytułów jego królewskiej wysokości J<sup>^</sup>adysława V, którego chińskie imię brzmi Hung Siao-Tien. Zo-tał obrany królem w wolnej elekcji przez wolnych Polaków i za->rzysiężony na konstytucję wzorowaną na majowej.

- Nasz król jest Chińczykiem? - pytającemu zrzęda mina.

- Przeszkadza wam to w czymś?

- No nie... Skoro wcześniej mógł być dziki Litwin...

- Jego wysokość pochodzi ze szlchetnego rodu i jest synem fawnego króla proroka. Nie znamy nikogo godniejszego polskiej orony. Zatem jesteście gotowi napisać swoją krwią nową historię tolski i Chin?

- Tak jest, panie pułkowniku! - odpowiedział za wszystkich ierwszy ochotnik.

- Miło popatrzeć, prawda? - szepnął sierżant Fedorczyk do do-ródcy. - Całkiem jak kiedyś my... Boże błogostaw młodym dur-iom... - głos zadrżał mu ze wzruszenia. - No poczekajcie tylko! huknął na całe gardło, by ukryć zbyt rzewne uczucia. - Tak wam am w kość, że jeszcze się wam wojaczki za króla odechce i za lamusią zatęsknicie! I to już od dzisiaj! Wiecie, młokosy, co to osynier?!

- Mój dziadek był, panie sierżancie - odparł jeden z ochotników. - Bił się pod generałem Hauke-Bosakiem.

- Więc i wy chcecie przystać do kosynierów?

- To będzie dla mnie zaszczyt, panie sierżancie! Pułkownik Lawendowski ruszył wzdłuż szeregu, patrząc w oczy

każdemu z ochotników.

- Ty, synku, ile masz lat? - zapytał nagle.

- Siedemnaście, panie pułkowniku! - mówiący poczerwieniał.

- A mnie się widzi, że piętnaście, a i to nieskończone. Mów prawdę, uciekłeś z domu?

- Tak jest... - chłopiec spuścił wzrok.

- Za młody jesteś do kosy.

- Ale dobośz nam się przyda! - pośpieszył mu z pomocą Fe-dorczyk. - Zęby rytm wybijał w związku z tym, cośmy mówili.

Dowódca nie skomentował. Zbliżył się do najstarszego, który mówił wcześniej w imieniu wszystkich. - Jak się nazywacie?

- Adam Chęciński, panie pułkowniku.

- Ile macie lat?

- Dwadzieścia trzy, panie pułkowniku.

- Po jakich szkołach?

- Cztery lata matematyki na uniwersytecie petersburskim, panie pułkowniku. Jak wywalili za politykę, pojechałem szukać szczęścia do Mandżurii.

- Całki są jak kosy, nada się do kosynierów! - skwitował Fedor-czyk.

- Powoli, sierżancie, nie tak prędko - zmięty go Lawendowski i zwrócił się znów do ochotnika. - Studiowaliście może balistykę pocisków rotujących?

- Tak, panie pułkowniku. Byłem na dwóch seminariach w Szkole Artylerii, ciekawiło mnie to i chciałem się tam przenieść.

- Dobrze, panie Chęciński. Wobec tego zajmiecie się naszą artylerią.

-Macie tu armaty? ;

- Jeszcze nie, ale będziemy mieli. Do tej pory macie doskonale wyuczyć się puzkarskiego rzemiosła. Na najnowszym światowym >oziomie! - dodał z naciskiem. - Dacie radę?

- Będę potrzebował profesjonalnych książek, panie pułkowniku. Francuskich i angielskich.

- Zróbcie spis. Sierżant Fedorczyk wam je sprowadzi. Wbrew >ozorom nie żyjemy tu odcięci od świata.

- Tak jest, panie pułkowniku!

- To wszystko, wracajcie do swoich zajęć.

- Tylko mi się nie ociążać! - dorzucił swoje trzy grosze podofi-:er.

- Chodźcie ze mną, sierżancie, musimy się rozmówić z dokto-em - powiedział do niego Lawendowski.

Lekarz był w namiocie służącym za ambulatorium. -1 co, doktorze? Powiedział pan tej rudej pannie?!

- zaczął Fe-lorczyk.

- Powiedziałem, ale w znacznie łagodniejszej formie, niż pan ierżant był łaskaw rzecz wygłosić.

- Starczy już o tym! - uciął dyskusję pułkownik. — Czy pan oktor wybiera się z nami do Yidzu? Ze mną i Lao Pingiem -ściślił. - Przydałaby się nam pańska znajomość języka i obycza-

)W.

- Kiedy ruszacie?

- Dziś wieczorem. Sierżancie, przygotujecie nam eskortę. -Wedle rozkazu!

- Przykro mi, panie pułkowniku, ja nie jadę - powiedział dok-)r Zakrzewski. - Przysięga Hipokratesa pierwsza. Przywieźliśmy •zech rannych, których trzeba doprowadzić do zdrowia, a do te-o jeszcze zastałem tu sześciu chorych i kontuzjowanych na cwi-seniach. - Lekarz popatrzył z wyrzutem na podoficera. - Pan Fe-orczyk nie oszczędza rekrutów.

- Za to pot oszczędza krwi - odparł spokojnie sierżant.

127

- Chciałbym też zająć się ustami panny Lien. No, a przede wszystkim dopilnować - uśmiechnął się z przekąsem - żeby nasz drogi komendant przypadkiem nie kazał rozstrzelać panny Patry-cji.

- Kiedy pan pułkownik sprowadzi armaty, to raczej wystrzelę ją z powrotem do Irlandii - oświadczył ponuro sierżant Fedorczyk. -Rude przynoszą pecha! Proszę sobie wyobrazić, że kuzyn mojego szwagra...

Na miejsce Francuza przysłano z Harbinu dziennikarza Polaka. Typ był mętny i mocno szemrany. Nazywał się Alfred Tomaszew-ski. Zagadnięty o cokolwiek zaraz dostawał zeza. Długo wykręcał się od jasnej odpowiedzi na proste pytanie: jakiej gazety jest korespondentem? Twierdził, że dwóch albo trzech, całkiem różnych. Dopiero przy wódce wyszło na jaw, że paszkwilowej. Jakiejś „Muchy”, „Osy”



czy „Bociana”... szerszeń z nimi nietoperze łąpał! Nie było wyjścia, Sergiusz musiał brać, co dawali. Zresztą sam miał już serdecznie dość własnych reklamacji.

Podejrzewał, że ten Tomaszewski jest agentem ochrony, która postanowiła przyrzeć się bliżej poczynaniom starszego lejtnanta. Lawendowski obiecywał sobie w duchu, że jak się to okaże prawdą, spuści łajdaka w najbliższą przepaść, a przynajmniej mordę mu ciężko obije. Jak tym trzem swołoczom w Petersburgu, co go mieli pokazowo zaarrestować na oczach studentów socjaldemokratów. Tak się wczuli w rolę, że zaczęli bić naprawdę, a wtedy Sergiusz pokazał im, czego nauczył się w Szkole Oficerskiej na zajęciach z angielskiego boks i wolnej amerykanki. Następnego dnia dentyści w Petersburgu mieli pełne ręce roboty, a generał Brusilow kolejny dwa chodził do naczelstwa ochrony i tuszował incydent. Kiedy już skończył ugłaskiwać, zaprosił swego absolwenta na dużą wódkę do najlepszej restauracji. Studenci socjalde mokraci ze swej strony po tym wyczynie przyjęli Sergiusza jak brai ta, tak że nie musiał już nic wygadywać na cara, co zupełnie nil

128

przechodziło mu przez gardło. Teraz starczyło przytakiwać, cho-:iaż ręka świerbiała...

Atmosferę niechęci do cudzoziemców, panującą w Ningucie po )statnich wydarzeniach, rozwiało niepostrzeżenie przybycie pol-ikich poszukiwaczy złota. Zmiana była subtelna, Wesołowski ni-:zego nie zauważył, ale Sergiusz owszem. Niby nic. Bo co jest nie-wykłego w tym, że poszukiwacze ściągają z gór, by wymienić zło-y piasek na żywność, amunicję oraz rtęć potrzebną do ługowania yuszcu ze skał? I koniecznie zabawić się z kobietami po dłuż-zym celibacie. Że nie w porę? Skąd mogli wiedzieć?! Wszak zło-;a złota u źródeł rzek Sjao-suc-fu i Huń-czuń znajdowały się dale-:o, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na wschód i południowy wschód od Ninguty. No właśnie! Za daleko! Bliżej było stamtąd lo Nikolska i Władywostoku, gdzie rozrywek więcej, a ceny lep-ze. Było jednak na to tysiąc i jeden wytłumaczeń, że chociażby zukali nowych złóż po drodze. Dlatego Sergiusz nie pytał, za to nów zaczął pilnie wsłuchiwać się w plotki przynoszone z miasta rzeż tłumacza.

Na początek okazało się, że Chińczycy przestali obwiniać cu-zoziemców, a zaczęli sarkać na surowość i okrucieństwo pana u. Potem, że rodziny straconych nie muszą żebrać. Ponoć dosta-7 jakieś pieniądze od dalekich krewnych, którzy zajęli się sierota-li. A wreszcie, że mandaryn zaczął się czegoś bać. Nagle przycis-cty go pilne obowiązki, przestał przyjmować gości i wychodzić domu. Podobno zaczął się starać o przeniesienie.

I zupełnie nic nie wskazywało, by Polacy mieli z tym coś wspól-:sgo. Chlali szanszyn wiadrami, tak że omal nie zabrakło go w mie-:ie, ryczeli po nocy sprośne piosenki i przepłacili wszystkie dziwki, : Kozacy Sergiusza sarkali, że teraz ich nie stać. Wśród tego rado-:tego zamieszania niemal nikt nie zauważył, że pijani poszukiwacze ota mimochodem spuścili ciężki łomot policjantom pana Su ich tasnymi kijami. Ot, zwykła pijacka burda, którą komendant We-:łowski przejmować się nie zamierzał. Zwłaszcza że poturbowani

129

Chińczycy nie wnieśli oficjalnej skargi. Fakt, że przypadkiem najbardziej oberwali akurat ci słynący z największego zdzierstwa i brutalności wobec swoich, zakrawał na czystą zemstę niebios.

Tylko Sergiusz, obserwując sytuację, nie wiedział, czy się śmiać czy płakać. Policja Ukrytego Królestwa robiła swoje wprost na oczach władz mandżurskich i rosyjskich, a nie było się do czego przyczepić! Zęby zbliżyć się do poszukiwaczy, Sergiusz kupił od jednego z nich złoty samorodek wielkości kciuka i wadze ponad dwóch uncji. Nie zdradzając się, że zna polski, podsłuchał parę rozmów i usłyszał komentarz na swój temat.

- A ten to przylaź tu smoków szukać!

- Poszuka, to znajdzie...

Na Sergiusza ta uwaga podziałała jak iskra na proch. Zrozumiał, że nie może dłużej czekać, zebrząc w nieskończoność o ludzi i zaopatrzenie. Trzeba brać, co jest, i natychmiast ruszać w góry! Musiał jak najszybciej znaleźć przekonujące dowody spisku.

Zarządził wymarsz następnego dnia po tym, jak Polacy odeszli z miasta. Dla jego Kozaków, ludzi Wesołowskiego oraz samego Igora Igorowicza był to grom z jasnego nieba. Wszyscy przyzwyczaili się już, że starszy lejtnant Lawendowski jest nieszkodliwym gamoniem, a dyscyplina stała się tylko mrocznym wspomnieniem. Tym większy był wstrząs, kiedy rano obudziły Kozaków kubły zimnej wody, ryk ludzkiej bestii i mordobicie. Na koniec Sergiusz polecił wsypać trzy razy po pięćdziesiąt kijów myślącym najwolniej i dyscyplina odnalazła się w trymiga.

Najkoszmarniejszy poranek miał jednak lejtnant Wesołowski, choć nikt go nie bił. Pierwsze co zobaczył po przetarciu oczu, to papiery Sergiusza, o których wprawdzie słyszał, ale nie wiedział, co dokładnie w nich jest, a zwłaszcza kto podpisał. Był wprawdzie oficerem o stopień niższym od Lawendowskiego, lecz z racji sprawowanej funkcji to on miał w Ningucie ostatnie słowo we wszystkich sprawach dotyczących garnizonu. Teraz to się zmieniło, gdyż Sergiusz oficjalnie przejął komendę.

130

Na nic zdały się lamenty, że „między kolegami tak się nie robi”. Sfowy komendant wyznaczył mniej fajzowatą połowę ludzi Wesołowskiego do udziału „w wyprawie rozpoznawczej w góry wschodniej Mandżurii i na pogranicze z Koreą”. Potem jeszcze zarekwiował jedyne tłumacza, dwie trzecie amunicji, żelazny zapas żywności oraz całą kasę garnizonu, którą od razu wydał na ryż, roch i wędzone łososie. Starszy lejtnant nie miał cienia skrupuś w tym, jak odkrył w piwnicy lekką haubicę górską, o której stnieniu Wesołowski ani się zająknął, wraz z zapasem amunicji i terminie ważności upływającym za trzy miesiące. Jęki, że zosta-ńa kolegę nagiego i bezbronnego wobec dzikich żółtych hord, Sergiusz skwitował cyniczną radą, żeby wysłać depeszę do Harbi-u, Nikolska lub Władywostoku. Na odbudowę garnizonu z pewnością znajdą ludzi prędzej niż na szukanie smoków.

Potem wsiadł na konia i odetchnął pełną piersią. Zostawiał po sobie garnizon Ninguty jak po pogromie, z czego pewnie trzeba będzie się kiedyś wytłumaczyć. Ale najważniejsze, że zostawiał też idzką głupotę i małoduszność krępujące każdą, choćby najmniej-lą próbę działania.

Starszy lejtnant Sergiusz Lawendowski znów był panem siebie!

Ambasador Caj Cung-jen od lat nie zniżał się do splatania włosów w mandżurski warkocz, znak poddaństwa wobec najeźdźców. Był dokładnie rówieśnikiem sierżanta Fedorczyka, co w swoim czasie

okazało się mieć znaczenie mistyczne. Włosy ambasadora opadające luźno na ramiona miały tendencję do skręcania się w naturalne loki będące pamiątką po jakimś dalekim, niechińskim przodku. Teraz już mocno przyprószyła je siwizna, ale Caj Cung-jen nigdy ich nie farbował, by odmłodzić swój wygląd. Proponowanie mu tego byłoby w najwyższym stopniu nieodosowne.

- Król jest zaniepokojony - powiedział ambasador, pochylając się nad pułkownikiem Lawendowskim, który leżał na brzuchu, bez koszuli, na koreańskiej ławie przykrytej mechatym ręcznikiem.

- Nastąpiła zmiana planów? - zdziwiony oficer uniósł się na łokciu.

- Proszę leżeć spokojnie! - Chińczyk w skupieniu przesunął końcami palców wzdłuż kręgosłupa pułkownika. Następnie zaczął badać napięcie mięśni w rejonie lędźwi.

Zgodnie z etykietą panującą na dworze Ukrytego Króla powinni byli mówić każdy w swoim ojczystym języku, tak jak do tej pory pułkownik Lawendowski porozumiewał się z Lao Pingiem. Przyjęto bowiem zasadę, że nie wypada kaleczyć języka drugiej strony, lecz należy go rozumieć. Teraz wszakże dla bezpieczeństwa rozmawiali po polsku, jedynie czasem Caj Cung-jen z konieczności wtrącał chińskie zwroty. Byli co prawda w domu przyjaciela, ale licho nie śpi.

132

- Król martwi się naszymi ewentualnymi ustępstwami wobec apończyków. - Chińczyk wybrał miejsce na lewo od trzeciego ;ręgu poniżej żeber i wbił pierwszą igłę.

- Możemy im obiecać choćby Niderlandy!

- Przepraszam, nie zrozumiałem głębi tej myśli.

- Kraj w Europie. Teraz nazywa się Holandia. Japończycy do-konale wiedzą, że nie dostaną tu ani piędzi ziemi więcej, niż kra-s Zachodu przyznały im po ostatniej wojnie z wami. Jeśli nie są ;łupi, nawet o tym nie wspomną. Sytuacja międzynarodowa mu-iałaby się najpierw radykalnie zmienić.

- Do tego dążymy - zauważył Caj Cung-jen, wbijając kolejne igły 7 starannie odmierzonych odstępach. - Japończycy mogą zażyczyć obie wstępnych obietnic i to właśnie niepokoi naszego króla. Jego rólewska wysokość uważa, że straci twarz wobec swych chińskich •oddanych, jeżeli zgodzi się na choćby tylko pozorne uszczuplenie iosiadłości przyszłego Państwa Niebiańskiego Pokoju.

- Zatem żadnych nowych koncesji... - zadumał się pułkownik. To nam bardzo zawęży pole manewru, panie Caj. Wobec tego

apończycy mogą zażądać od nas wyraźnej deklaracji przeciw Ko-sańczykom.

- A to jeszcze gorzej - zgodził się ambasador i zabrał się do na-łuwania drugiej strony kręgosłupa. - Na szczęście możemy się rzed tym uchronić, przypominając, że Korea i Japonia zawarły ze 3bą pakt przyjaźni i są państwami sprzymierzonymi.

- Sojusz muchy z pająkiem! - prychnął oficer. - Japończycy nektują Koreę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Która jednak wciąż się nie nadarza - zauważył Chińczyk. -7ręcz przeciwnie, Japonia musiała uznać niezależność Korei.

- Przyznaję, że król Kjong jest niezwykle zręcznym polity-kiem, tylko jak zadowolić muchę i pajaka w jednej pajęczynie? ozumiem, panie Caj, że przywiózł pan z pałacu nowe instrukcje?

- To prawda. Król uważa, że Ludzie Bursztynu powinni wziąć a siebie główny ciężar negocjacji z Japończykami. Niech sprawy

133

pozostaną tak, jak były do tej pory. O nas, ludziach Han, im mniej, tym lepiej.

- Zatem pan nie weźmie udziału w rozmowach z delegacją japońską, a my mamy udawać, że w Ukrytym Królestwie rządzą tylko Polacy? Ze jest to kolejna Republika Złotej Rzeki?

- Proponuję omijać ten temat w miarę możliwości. Na razie wystarczy, jeśli Japończycy zachowają neutralność wobec pierwszych działań Ukrytego Królestwa, gdy ono przestanie już być ukryte.

- Neutralność to za mało! - zaproponował stanowczo pułkownik.

- Potrzebujemy ścisłego militarnego sojuszu z Japonią przeciw Rosji i Dajcynom. Kiedy się ujawnimy, Rosjanie i dynastia mandżurska zrobią dosłownie wszystko, żeby nas zmiażdżyć! Z kolei Japończycy będą potrzebować nas w wojnie z Rosją, do której cały czas dążą.

- Cesarstwo Wschodzącego Słońca nie jest jeszcze gotowe stawić czoła Cesarstwu Głodu, zatem pakt z nami nie jest im potrzebny już teraz. Jeśli my będziemy do niego dążyć za szybko, cena tego sojuszu może się okazać dla nas zbyt wysoka. Musielibyśmy zapłacić ziemią mandżurską lub koreańską, a to nie do przyjęcia. Najpierw zatem neutralność! Potem rozmawiając z Japonią o sojuszu, powinniśmy znaleźć lepsze argumenty.

- Potem, panie Caj, na realny sojusz może zabraknąć czasu. Król każe mi przepchnąć wielbłąda przez igielne ucho... - stwierdził Stanisław Lawendowski i zerknął na wiszące na ścianie lustro.

- Mój Boże, wyglądam jak poduszka do igieł mojej matki!

- Nasz wielbłąd musi przejść przez trzy igielne ucha - uśmiechnął się lekko Caj Cung-jen. - Japończycy, Koreańczycy i Bractwo Sprawiedliwej Pięści. Musimy stworzyć pełną harmonię między ogniem, wodą a lodem. Wierzę jednak, że to wykonalne.

- Dobrze, a co mówią Koreańczycy?

- Nie ośmieliłem się zaczynać oficjalnych rozmów bez pana pułkownika. Książę Om Gon dał mi tylko do zrozumienia, że król

134

Kjong przekazał mu wszelkie pełnomocnictwa do rozmów z nami. Zaczynamy dziś od obiadu.

- Nawiasem mówiąc, widział pan głowę, panie Caj?

- Widok twarzy łajdaka obraża oczy uczciwego człowieka - odparł z godnością Caj Cung-jen. -  
Poprzestałem zatem na zapewnieniach naszego drogiego Lao Pinga.

- Dobrze się spisał jako królewski sędzia. Juan Czzun-ju umarł przytłoczony ciężarem swoich win,  
błagając Jezusa o łaskę.

- Miło mi to usłyszeć - Chińczyk zaczął wyciągać igły. - Niemniej nadal nie chcę oglądać jego  
szczątków. Teraz może pan pułkownik już wstać.

Stanisław Lawendowski usiadł i pomacał się po krzyżu. Potem stanął i uniósł kolano na wysokość  
bioder, następnie drugie.

- Nie boli - stwierdził z niedowierzaniem. - Do licha, to naprawdę działa! Dziękuję bardzo, panie Caj, a  
już myślałem, że mnie całkiem pokreśli!

- Drobiazg, panie pułkowniku. Jestem tylko cieniem mojego nauczyciela. Znacznie skuteczniejszym  
lekiem od moich nieudolnych zabiegów byłoby ciepło młodej małżonki.

- Chce mnie pan znów swatać, panie Caj? - O sekundę za późno zdał sobie sprawę, że powiedział to  
zbyt ostrym tonem.

Chińczyk okropnie się zmieszał. Zakrył ręką oczy i odwrócił się do ściany.

- Ogromnie przepraszam za mój niewybaczalny nietakt - wyszeptał.

- To ja przepraszam, panie Caj - powiedział szybko Stanisław, kładąc mu rękę na ramieniu. - Pan radził  
jak przyjaciel, a ja niepotrzebnie się uniosłem. Jeszcze raz dziękuję za tę kurację.

Caj Cung-jen skłonił się na znak zgody. Pułkownik włożył ko- $\rightarrow$ zulę, kamizelkę z dewizką i jasny  
garnitur. Podniósł leżące w ką-:ie łaskę i słomkowy kapelusz. Teraz wyglądał jak poważny europejski  
kupiec drzewny, jak stwierdzały dokumenty, których aktual-:ie używał.

- Zatem chodźmy na obiad - oznajmił Stanisław. - Zgłodniałem od tego nakłuwania. To jakiś efekt  
uboczny, panie Caj?

Wyszli z pokoju gościnnego, odszukali Lao Pinga i we trzech ruszyli do prywatnych apartamentów  
gospodarza.

Książę Om Gon był szalenie pogodnym staruszkiem. Oficjalnie dożywał swoich dni opromieniony  
królewską łaską w nagrodę za dawne zasługi. Mieszkał w niewielkim, lecz luksusowo urządzonym  
pałacyku w stylu jednopiętrowej pagody na brzegu rzeki Jak Budynek otaczał schodzący tarasami ku  
rzece ogród, w którym jego książęca wysokość osobiście pielęgnował chryzantemy. O tych kwiatkach  
gospodarz potrafił mówić bez końca i robił to zawsze, ilekroć trafił mu się nieproszony gość. Jak na  
przykład pan Mina-moto, japoński rezydent w Yidzu, któremu czasem przyszło do głowy sprawdzić,  
czy czcigodny emeryt aby na pewno dobrze się prowadzi pod względem politycznym. Po dwóch  
wizytach u księcia rezydent wysyłał mu już tylko kurtuazyjne listy, w których zawiadamiał z  
najgłębszym żalem, że niestety pilne obowiązki nie pozwalają mu wziąć udziału w trzeciej niebawem  
uczcie duchowej, jaką były ich dotychczasowe rozmowy o najszlachetniejszym z kwiatów. Książę Om  
Gon ze swej strony rewanżował się sadzonkami dla cesarza Meidzi, które pan Minamoto z  
nabożeństwem wysyłał do Tokio.

Obiad był bardzo nietypowy jak na zwyczaj Dalekiego Wschodu, składał się bowiem tylko z trzech dań. Najpierw wszystkim podano litewski chłodnik, następnie przed Stanisławem pojawiło się europejskie nakrycie, po czym z wielką ceremonią wniesiono schabowego z kapustą. Siedzący u szczytu stołu gospodarz był z siebie niebywale wręcz dumny. Z kolei Chińczycy, żeby nie wprowadzać ich w zakłopotanie koniecznością używania noża i widelca, dostali Skok Buddy Przez Płat, potrawę tradycyjną, lecz wyszukaną. Nazwa pochodziła ponoć od pewnego mnicha, który podczas medytacji poczuł zapach tego dania przygotowywanego w pobliskiej gospodzie i zamiast osiągnąć nirwanę, przeskoczył

136

klasztorny mur, aby jej skosztować. Na Skoku Buddy jednak poprzestano, gdyż niestosownie byłoby podawać więcej potraw, w sytuacji gdy jeden z gości jadł tylko dwie. Zręczność, z jaką książę Om Gon połączył zagadnienia kulinarne i dyplomatyczne, wysłała na jaw chwilę później.

Co prawda, w kapuście zamiast prawdziwków były grzybki moon, za to panierka bez zarzutu. Stanisław odłożył na bok swoje szorstkie żołnierskie maniery i zmobilizował całą zdolność wyrażania zachwyty, by wynagrodzić wysiłki sędziwego gospodarza. Starannie dobierając chińskie słowa, zapewnił, że każdy kęs przenosi jego duszę do kraju przodków.

- Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia z powodu nieszczęścia, które sto lat temu dotknęło pańską ojczyznę - książę Om Gon elegancko przeszedł do rzeczy. - Król Kojong i ja, je-yo skromny sługa, czujemy się ogromnie zasmuceni i poruszeni ^aszą tragedią, tym bardziej że obecnie okrutna historia najwy-•ażniej chciałaby się powtórzyć wobec naszego drogiego cesarstwa Fehan. Tak jak przed wiekiem ludzie Kraju Bursztynu, tak i my lokujemy teraz wielu koniecznych reform w naszym kraju, ale poważnie się obawiamy, że podobnie jak wam, nam też może zająknąć czasu.

- Dla mnie i moich żołnierzy było wielkim dyshonorem patrzeć >ezczynnie na rozbiór Korei - zapewnił pułkownik Lawendowski. - Ta historia nie może się więcej powtórzyć!

- Byłoby to zniewagą dla naszego króla - zapewnił Caj Cung-jen.

- Król Kojong przekazuje wyrazy szacunku i życzenia najdłuż-zego życia swemu królewskiemu kuzynowi z rodu wielkiego iung Śiou-ćyuana - oznajmił gospodarz.

- Jego królewska wysokość Hung Siao-Tien, Władysław V, czu-s się zaszczycony życzliwością swego starszego brata i przez moje ista pyta, w czym mógłby mu być użyteczny - odparł ambasador.

- Król Kojong dużo rozmyślał nad tą niezwykłą sytuacją - od-zekł książę Om Gon. - Poświęcił temu zagadnieniu wiele godzin

137

modłów i medytacji, aż najdosłójniejsi przodkowie króla zesłali mu z nieba sen. Nasz król ujrzał w nim trzy ręce wyciągnięte nad dorodnym koreańskim jabłkiem i starające się je pochwycić przed pozostałymi. Dłonie przeszkadzały sobie nawzajem, tak że żadna nie zdołała nawet dotknąć jabłka.

- Rosjanie, Japończycy i mandżurscy Dajcynowie... - odszyfrował sen pułkownik. - Czy dobrze rozumiem, że król Kojong chciałby skłócić ze sobą przyszłych zaborców?

Sędziwy książę skłonił się lekko i ciągnął swą metaforyczną opowieść:

- W duszy króla powstała jednak obawa. Gdyby bowiem owe ręce szarpały się ze sobą zbyt mocno, w powstałym zamieszaniu jabłko mogłoby spaść ze stołu i dotkliwie się potłuc. Wówczas przodkowie zesłali mu drugi sen. Nasz król ujrzał w nim wagę o trzech ramionach, która mimo tak dziwnej konstrukcji pozostawała jednak w doskonałej równowadze.

-Jak to możliwe? - spytał Caj Cung-jen.

- W miejscu gdzie łączyły się ramiona owej wagi, był języczek tak przemyślnie umocowany, że nie pozwalał, aby którekolwiek z ramion wzięło górę nad pozostałymi.

- A gdyby ów języczek u wagi, wcale tego nie pragnąc, przypadkiem ukłuł leżące pod wagą jabłko? - zagadnął czujnie ambasador.

- Jabłko to znieśie, byle w zamian nie spadło ze stołu - odparł z powagą Om Gon.

- Mądrość króla Kojonga wymaga najgłębszego namysłu z naszej strony - odparł Caj Cung-jen.

- My, Koreańczycy, podczas tych rozmyślań z pewnością nie przyprawimy was o ból głowy - niespodziewanie książę zaczął mówić zupełnie otwarcie. - Rozumiem, że musicie zawrzeć sojusz z Japonią, a w naszej sytuacji potrzebny jest każdy przyjaciel. Nawet taki, który od czasu do czasu staje się przyjacielem naszych wrogów^ Byle tylko zachował w tym umiar... - znacząco zawiesił głos.

138

- Niczego innego nie pragniemy bardziej! - zapewnił ambasador. - Jeżeli Japończycy spróbują nakłonić nas do zrobienia czegoś przeciw Korei, my zapytamy ich, czy zawsze tak postępują ze swoimi sojusznikami. Dołożymy starań, aby każda strata, którą mogłaby ponieść Korea, wiązała się z utratą twarzy rządu w Tokio.

- Wobec tego ja mogę jeszcze dodać, że królewski namiestnik w porcie Kiongdu już wkrótce otrzyma polecenie, aby z największą życzliwością i dyskrecją traktować kupców Ukrytego Królestwa oraz chronić ich towary wszędzie, gdzie tylko sięga jego władza.

- Możemy zatem zamawiać większe transporty broni? - pułkownik postawił kropkę nad i.

Książę Om Gon skłonił się bez słowa, po czym wstał od stołu.

- Życzę wam, przyjaciele, równie udanych rozmów z przedstawicielami I-He-ćiuan.

- Czy przedstawiciele Bractwa Sprawiedliwej Pięści już przybyli? - dopiero teraz odezwał się Lao Ping odpowiedzialny za orga-lizację drugiej części negocjacji.

- Oczekują was dziś wieczorem. Mój sługa wskaże dom, w któ-ym się zatrzymali - odparł książę i wyszedł.

Pożegnawszy się z gospodarzem, goście popatrzyli po sobie.

- A więc Koreańczycy dali nam wolną rękę w rozmowach z Ja-)ończykami - podsumował po polsku pułkownik Lawendowski.

- Król Kojong jest mądry jak stary żółw i giętki jak trzcina na rietrze, ale nie powinniśmy zbyt nadużywać jego wielkoduszności i cierpliwości - odpowiedział Caj Cung-jen.

- A więc nasz król ma jeszcze jakieś obiekcje?

- Chińczyk paktujący z Japończykami zawsze może być )krzyknięty zdrajcą. To oskarżenie, przed którym musimy chronić rólą za wszelką cenę.

- Dajcynowie tak czy inaczej rzucają tę potwarz.

- Im mniej będzie wiarygodna, tym lepiej.

139

- A ja bym wolał, panie Caj, aby wzajemna wrogość Chińczyków i Japończyków nie pokrzyżowała naszych planów.

- Król ma do pana całkowite zaufanie. Jest pewien, że układając się z przedstawicielami cesarza Meidzi, nie posunie się pan zbyt daleko.

Atmosfera napięła się wyraźnie.

- Jak daleko?! - zirytował się oficer. - Co mam zrobić, jeżeli Japończycy w zamian za udzielenie nam skutecznej pomocy przeciw Rosji i Dajcynom zażądają naszego poparcia w sprawie przekazania im Portu Artura?

- Proszę mówić, że nie możecie im dać, czego nie macie.

- Mamy poparcie, które możemy im dać. Oni mogą chcieć jasnej deklaracji z naszej strony. Choćby tylko po to, żeby nas sprawdzić!

-Jasna deklaracja jest taka, że Port Artura musi wrócić do ludu Han. To kwestia powagi i honoru króla.

- Wobec tego nie może być jasnej deklaracji - skwitował cierpko pułkownik. - Musimy Japończyków zwodzić, a wtedy oni będą robić to samo.

- Na początek niech obiecują neutralność - powtórzył Caj Cung-jen. - Król ma do pana pełne zaufanie i daje panu pułkownikowi wolną rękę.

- Dobrze, postaram się. Rozumiem, że nasz król sięga wzrokiem w przyszłość, ponad doraźne korzyści taktyczne.

- Warn, Ludziom Bursztynu, Japończycy nie wyrządzili tylu krzywd, więc nie rozumiecie naszego gniewu. My nimi gardzimy, wy ich podziwiacie. Chyba nawet bardziej niż ludzi Han, prawda? Tygrys czuje większy szacunek do dzikiej pantery niż do wodnego bawołu, który spokojnie orze ryżowe pole.

- Nikt nie powiedział, że łatwo będzie budować wspólne królestwo ludzi tak różnych ras i obyczajów - odparł pojednawczo pułkownik. - Ale zawsze znajdzie się sposób, aby z korzyścią pogodzić żywioły ognia i wody - wygłosił formułę używaną na dwoi

140



Ukrytego Króla w sytuacjach, gdy różnice kultur wydawały się nie do pogodzenia.

- Należy poszukać garnka! - powiedzieli jednocześnie Caj i Lao.

- Zatem będziemy szukać garnka - odparł pułkownik. Tymi słowami kończono zawsze wewnętrzne spory Ukrytego Królestwa.

Wszyscy trzej skłonili się sobie nawzajem, równie nisko, po czym poszli się przebrać do swoich pokoi.

Drugie negocjacje tego dnia miały być dużo trudniejsze niż Dierwsze. Stanisław Lawendowski planował wystąpić na nich ^ mundurze żuawa śmierci. Chińczycy też chcieli wyglądać bardziej oficjalnie niż na obiedzie u przyjaciela, gdyż taką formę ety-dety miało spotkanie z księciem Om Gonem, lym razem mieli ułożyć najbardziej uroczyste stroje dworskie.

O zmierzchu okutanych w długie płaszcze, w trzech osobnych nakrytych palankinach, różnymi drogami, ale w jednym czasie za-liesiono ich do niepozornego domu na przedmieściach Yidzu. Kiedy znaleźli się za murem, z dala od postronnych oczu, oddali głaszczkę sędziego, który do nich wyszedł, i przybrali jak najgodniejsze postawy.

Zaczęli iść przez dziedziniec. Lao Ping niósł wiklinowy kosz.

- Wie pan, panie Caj - zagadnął pułkownik, by rozluźnić at-nosferę - że ostatnio Anglicy nazwali ich bokserami?

- A to dlaczego? - zdziwił się ambasador.

- Z powodu tej ich gimnastyki przypominającej boks.

- Od kiedy tai-czi ma coś wspólnego z angielskim boksem? -jśmiechnął się rozbawiony Caj Cung-jen.

- Tak im się skojarzyło...

Przedstawiciele Bractwa Sprawiedliwej Pięści czekali w jasno oświetlonym największym pomieszczeniu w całym domu. Kiedyś oyla to sala przodków gospodarza domu, ale brak tabliczek i imionami antenatów wskazywał, że pierwotny właściciel musiał ;ię wyprowadzić.

141

Podali nazwiska Wang i Meng, lecz należało wątpić, że tak właśnie się nazywają. Obaj mieli na sobie długie szare chałaty i czarne kamizelki ze złotym wizerunkiem słońca na piersiach oraz czarne mycki, spod których wysuwały się warkocze. Widok Europejczyka zdumiał ich i rozgniewał. Meng okazywał to bardziej. Wyraźnie nie chciał albo nie umiał ukrywać swoich uczuć. Jak na Chińczyka było to dziwne. Wang był nieco wyższy od towarzysza i zachowywał się z większą godnością. Sposób mówienia wskazywał, że jest człowiekiem lepiej wykształconym.

Naprzeciw bokserów stanęli Caj i Lao w powłóczystych błękitnych strojach z wyhaftowanymi na piersiach znakami Nieba. Na głowach mieli czarne chusty misternie związane z tyłu, włosy luźno rozpuszczone na plecach i ramiona. Polski oficer na razie trzymał się z boku.

- Pozdrowienie i błogosławieństwo niebios szlachetnym I-He--ćiuan! - oznajmił z powagą Caj Cung-jen.

- Pozdrowienie i błogosławieństwo niebios szlachetnym tajpin-gom! - odparł z równą powagą Wang.  
w

- Jak to się stało, że poddani Niebiańskiego Króla sprzymierzyli się z zamorskimi diabłami, którzy ich wcześniej zniszczyli?! -zawołał oburzony Meng.

Było to ewidentne grubiaństwo, ale Caj Cung-jen był na nie przygotowany i zareagował spokojnie.

- Ludzie Kraju Bursztynu nie mają nic wspólnego z Anglikami i Francuzami, którzy pomogli Mandżurom utopić we krwi nasze powstanie.

- Wszyscy cudzoziemcy są tacy sami! - warknął Meng.

- A zatem nie ma też żadnej różnicy między Chińczykami, Japończykami i Mongołami, bo wszyscy macie żółtą skórę i skośne oczy - odparł po chińsku pułkownik.

Meng popatrzył na niego z wściekłością, jednak nie zdążył odpowiedzieć, bo Wang nie dał mu dojść do słowa.

142

- Mój brat Meng, choć w niezręcznych słowach, wyraził także moją ciekawość - zażegnał chwilowo kłótnię. -Jak doszło do tak niezwykłego przymierza? Jak udało się wam przetrwać prześladowania? Proszę, usiądźcie i opowiedzcie nam o tym wszystkim.

Zajęli miejsca po dwóch stronach stołu pokrytego czerwoną laką. Caj Cung-jen jako reprezentujący króla usiadł zwrócony twarzą na południe, mając po lewej, szczytniejszej stronie wschodu słońca pułkownika Lawendowskiego. Lao Ping usiadł z prawej. Na ten widok w oczach Menga zapłonął gniew, ale tym razem zdołał się opanować.

- Najpierw jednak zechciejcie, szlachetni I-He-ćiuan, przyjąć dowód naszej wiernej przyjaźni. - Ambasadorka skinęła na Lao Pin-ga, który wyjął z kosza słój z głową Juan Czun-ju i postawił go na stole. Obok położył jeszcze szafirowy guzik z czapki mandaryna oraz jego osobistą pieczęć.

Bokserzy z wrażenia powstali z miejsc.

- Więc jednak tego syna kraba i żółwicy dosięgła sprawiedliwość! - wycedził Wang ze zdumieniem i pogardą.

- Doszły nas plotki, że Juan Czun-ju został porwany przez demony - dodał Meng.

- To byli moi ludzie wraz ze szlachetnym Lao Pingiem - odpowiedział oficer.

- Pułkownik Lawendowski przez skromność nie wspomniał, że był dowódcą tej wyprawy - dodał Caj Cung-jen. Demonstracyjnie omijając wzrokiem makabryczne trofeum, zwięźle opowiedział, jak doszło do osądzenia i egzekucji mandaryna.

- To wielka i szczęśliwa nowina dla wszystkich skrzywdzonych - rzekł z uznaniem Wang. - Chcielibyśmy zabrać tę głowę na półwysep Szantung, aby pokazać ją innym naszym braciom.

- Jest wasza - zgodził się ambasador. - Pamiętajcie jednak, aby wieść o niej nie doszła do uszu generała Juan Szy-kaja, wtedy bowiem zrobi on wszystko, aby pomścić swojego krewnego.

143

- Zachowamy ostrożność - zapewnił Wang. - Muszę też przyznać, że ludziom Kraju Bursztynu należy się nasza wdzięczność i uznanie.

Meng wyraźnie przyznać tego nie potrafił. Wręcz przeciwnie, wydawał się dodatkowo rozdrażniony faktem, że tego niezwykłego dzieła dokonali cudzoziemcy. Milczał, gryząc wargi, ale przynajmniej nie przeszkadzał. Głowę mandaryna włożono z powrotem do kosza, który odstawiono na razie pod stół.

- Czy teraz opowiecie nam swoją historię? - zapytał Wang. Caj Cung-jen skinął twierdząco i zaczął mówić.

- Kiedy Nankin topiono we krwi, a Niebiański Król wybrał śmierć z własnej ręki, kilkunastu młodym wojownikom udało się ocalić z zamętu i rzezi najmłodszą nałożnicę wielkiego Hung Siou-čiuana, najczcigodniejszą Kuei-lan, która nosiła pod sercem królewskiego syna. Ja byłem jednym z tych wojowników.

- Cieszymy się ogromnie, że tak szlachetny ród nie zginął -skomentował Wang.

- Tropiono nas jak dzikie zwierzęta, ale zdołaliśmy ująć pogoni - kontynuował ambasador. - Udawaliśmy zwykłych chłopów i wmieszaliśmy się w tłum osadników zdążających do Mandżurii, by szukać tam nowej ziemi uprawnej, właśnie wtedy bowiem najeźdźcy pozwolili ludziom Han osiedlać się w swoim starym kraju. W górach Mandżurii znaleźliśmy bezpieczną kryjówkę, jaskinię zamieszkaną przez dobre duchy, pod których opieką najczcigodniejsza Kuei-lan, Królowa Matka, idąc za przykładem Matki Króla Niebios Jezusa, powiła Małego Niebiańskiego Księcia, przywracając nam radość i nadzieję. Chłopiec był silny i rósł zdrowo. Okazał się tak bardzo podobny do swego szlachetnego ojca, że mamy powody przypuszczać, że dusza wielkiego Hung Siou-čiuana wróciła na ten świat w ciele syna. To zaś znaczyło, że Pan Nieba ma wobec nas wielkie plany, czekaliśmy więc na Jego kolejny znak. Czekaliśmy długie lata, nie tracąc wiary. Nic więcej jednak poza czekaniem nie mogliśmy zrobić. Byliśmy bez-

144

pieczeni, ale bezsilni. To się zmieniło, gdy spotkaliśmy ludzi z Kraju Bursztynu.

- My - podjął opowieść pułkownik Lawendowski - wędrowaliśmy przez mandżurskie góry, szukając złota, chociaż złoto nigdy nie było tym, czego pragnęliśmy najbardziej.

- A co było waszym największym pragnieniem? - zapytał Wang.

- Pokonać naszych wrogów i odzyskać Kraj Bursztynu, który najeźdźcy podzielili pomiędzy siebie. Niespodziewanie poszczęściło się nam bardziej, niż mogliśmy marzyć. Prócz złota znaleźliśmy coś o wiele cenniejszego: świętą osobę króla, wokół którego mogliśmy się znów zjednoczyć i stanąć do walki.

- Złożyliście hołd Niebiańskiemu Księciu? - upewnił się Meng nieco łagodniejszym tonem.

- Zgodnie z naszym odwiecznym prawem obraliśmy Hung Siao-Tiena naszym królem i przysięgliśmy mu wierność. On zaś przybrał imię Władysława, jakie przed nim nosiło czterech naszych wielkich królów, i zaprzysiął wierność konstytucji...
- Księżdzie Niebiańskich Praw - przetłumaczył Caj Cung-jen.
- A jak doszliście do porozumienia, skoro tak wiele was różniło? - dociekał Wang.
- Kierowały nami boskie znaki, wskazujące, że podobieństwa są jednak większe niż różnice - odparł Caj Cung-jen. - Po pierwsze, my, tajpingowie, tak samo jak Ludzie Bursztynu czcimy Jezusa.
- Choć w różny sposób - dopowiedział oficer, starając się zignorować grymas pogardy, który pojawił się na twarzy Menga po ostatnich słowach Caj Cung-jena. Nie zdołał jednak zachować obojętności wobec tego, co zobaczył w ustach boksera. Pułkownik zaczął mu się baczniej przyglądać.
- Po drugie - mówił spokojnie ambasador. - Na nas i na nich klęska spadła w tym samym roku szczura.
- Według europejskiego kalendarza był to rok 1864 - wyjaśnił Lawendowski, nie spuszczać oczu z Menga i nie bacząc, że go to drażni. - Wtedy upadło też nasze powstanie.

145

- Kiedy więc ocaleni z obu stron spotkali się w pół drogi, musiał to być wyraźny znak Opatrzności - stwierdził stary tajping. -Do tego jeszcze nasz książę miał sen, w którym biały jednorożec idący od wschodu spotkał białego orła, który przyleciał z zachodu. Oba zwierzęta przyniosły ze sobą nefrytowe płytki ze znakami przepowiadającymi szczęśliwą przyszłość, ale nie dało się ich odczytać, dopóki nie położono jednej obok drugiej. Wtedy płytki się zrosły.
- Przyszły rok będzie znowu rokiem szczura - zauważył Wang.
- Tak - skinął głową Caj Cung-jen. - W przyszłym roku zacznie się nowy cykl przemian, w którym odrodzi się wszystko, co umarło. Oznacza to też, że razem z obecnym rokiem skończy się czas siły naszych wspólnych wrogów.
- Ten zamorski diabeł chce rzucić na mnie zły urok! - wrzasnął Meng, zrywając się z krzesła. - Mam dość wysłuchiwanie tych bredni! Daliście się im opętać!
- Uspokój się, bracie - próbował mitygować go Wang, lecz bez skutku.
- Niepotrzebne nam żadne sojusze z cudzoziemcami! -wrzeszczał dalej Meng, a na usta wystąpiła mu piana. - Nasi mędrzy tao sprawią, że wojownicy I-He-ćiuan staną się nieśmiertelni i będą latać w powietrzu! Nasze niepokonane oddziały jak smoki spadną z nieba na cudzoziemców i zabiją ich wszystkich lub wygnają z granic Państwa Środka!
- Najpierw musimy wygnać z Pekinu przeklętą mandżurską dynastię - zaoponował Wang, jednak Meng go zakrzyczał.
- Mandżurowie z szacunkiem przejęli nasze obyczaje, a zamorskie diabły tylko je plugawią i niszczą! Zieją dymem z ust! W swoich świątyniach jedzą ludzkie mięso! Dłoni swoich kobiet bez wstydu dotykają na ulicach! Dymiące kominy ich fabryk wysuszyły niebo, wysłały deszcze i sprowadziły głód!

Łoskot waszych kolei dręczy i płoszy smoki ziemi, a kiedy dobre smoki odejdą, na ich miejsce przyjdą demony pustyni! - Meng ciężko oparł się

146

obiema rękami o stół i zaczął dziwnie mrugać oczami. Wyrzucał 2 siebie słowa coraz bardziej bezładne. - Potwory białe... kominy 2 ust... latający wojownicy... sprawiedliwość... diabelstwo... śmierć... ziele... nie śmierć... pięć... - kolejnych słów już zupełnie nie dało się zrozumieć. Meng osunął się na podłogę i zadygotał w epileptycznych drgawkach. Przerażony Wang odsunął się od niego w popłochu.

Do Menga przypadł pułkownik Lawendowski. Wziął jego głowę na kolana i przytrzymał mocno podbródek, nie dopuszczając, by chory pogryzł sobie język. Chińczyk zakrztusił się napływającą obficie śliną, ale po dwóch minutach atak zaczął słabnąć. Po kolejnych dwóch Meng zwiotczał i wyrzucił oczy białkami do góry. Był nieprzytomny, lecz oddychał spokojnie.

- Spójrzcie na jego dziąsła! - oficer rozchylił palcami usta Chińczyka. - Widzicie to?!

Wzdłuż dziąseł na granicy zębów ciągnął się czarny rąbek.

- Pełnoobjawowa rtęca w fazie maniakalnej - stwierdził ponuro pułkownik.

- Co?! Co on mówi?! - nerwowo dopytywał się Wang.

- To choroba poszukiwaczy złota, zwana też szaleństwem kape-luszników - wyjaśnił Lawendowski. - Zatrucie rtęcią używaną do ługowania złota lub produkcji filcu na kapelusze.

- Czy brat Meng należy do cechu sukienników? - Caj Cung--jen zwrócił się do drugiego boksera.

- Nie. Był powroźnikiem, ale zbankrutował, kiedy cudzoziemcy zaczęli sprzedawać tańszy sznurek ze swojej fabryki.

- Panie Caj, niech pan go zapyta, czy Meng zażywał jakiś eliksir nieśmiertelności. Niektórzy taoiści robią go z cynobru, który jest minerałem rtęci.

Wang potwierdził, że jego towarzysz łykał czerwone pigułki otrzymane od czcigodnego mędrca tao zwanego Brzoskwińskim Pustelnikiem, duchowego przewodnika drużyny I-He-ćiuan, której przewodził Meng. Czerwone pigułki miały wzmoczyć jego męską

147

siłę jako wodza, zapewnić mu nieśmiertelność, zdolność latania oraz chodzenia po chmurach.

- Cynober jest czerwony - stwierdził pułkownik. - Wasz pierwszy cesarz od tego umarł. Też nałykał się związków rtęci, by zyskać nieśmiertelność.

- Co należy zrobić? - zapytał po polsku ambasador.

- Meng musi natychmiast wypić jak najwięcej mleka. To jest odtrutka. I niech koniecznie odstawi te przeklęte pigułki.

- Nie możemy pić mleka! - zaproponował stanowczo Wang. - Mleko zawiera zbyt wiele pierwiastka kobiecego, co przeszkadza nam w gromadzeniu męskiej energii yang, której potrzebujemy przeciw wrogom.
- Brat Meng zaburzył równowagę yin-yang w swoim ciele, przyjmując zbyt szybko i zbyt wiele naraz energii męskiej - Caj Cung-jen zręcznie wybrnął z sytuacji. - Wróci do zdrowia, jeżeli przestanie łykać czerwone pigułki, a zacznie pić mleko. To przywróci harmonię.
- Dopilnuję, aby tak się stało - zgodził się Wang. - Na razie jednak musimy przerwać rozmowy i poczekać, aż brat Meng wróci do zdrowia. Zobowiązano nas, abyśmy wszystkie ważne decyzje podejmowali razem. Inaczej będą bez znaczenia.
- Wobec tego poczekamy kilka dni - odparł ambasador i skłonił się na pożegnanie.
- Obawiam się - stwierdził zirytowany pułkownik, kiedy stojąc na dziedzińcu, wkładali płaszcze - że jak tak dalej pójdzie, Anglicy będą musieli zmienić nazwę, którą nadali I-He-ćiuan.
- Na jaką? - zagadnął Ping.
- To nie będzie powstanie bokserów, tylko szalonych kapelusz-ników!

Przez pierwsze dni Sergiusz prowadził swój oddział drogą na południe, wzdłuż linii telegrafu z Ninguty do miasta Huń-czuń leżącego nad rzeką o tej samej nazwie. Chciał sprawdzić, do jakiego stopnia jego marsz opóźniają cywile. Nie było tak źle. Po dwóch dniach z panami akademikami udało się znaleźć wspólny język. Pomogło ostrzeżenie, że jak go zdenerwują, zostawi ich w pierwszej napotkanej górskiej fanzie na pastwę smoków i chunchuzów, niech sami zdecydują, co gorsze. Na razie zawsze mogli wrócić pieszo prostą drogą do Ninguty. Pan Su miał ostatnio większe własne zmartwienia, by ewentualnie zastanawiać się, dokąd zmierza ekspedycja naukowa bez naukowców. Podobno ktoś oczekiwał od niego, że teraz sam wypije truciznę. W każdym razie z akademikami Sergiusz zdołał wypracować kompromis - trzy dodatkowe godziny postoju dziennie, po jednej rano, w południe i przed zachodem, aby panowie uczeni mogli sobie zbierać „okazy i tradycje”. Jakby sami nie byli wystarczająco ciekawymi okazani... Pal ich sześć! Nie musiał się aż tak bardzo śpieszyć.

Więszym problemem było ustalenie, dokąd właściwie ma iść, by zdobyć wiarygodnych jeńców i papiery, a samemu przy tym nie Dołożyć głowy. Sergiusz dobrze wiedział, że wchodzi w paszczę ;moka znacznie bardziej realnego niż te z chińskich mitów i nie namierzał zapuszczać się w nią zbyt głęboko.

Początkowo droga z Ninguty wiodła pod górę, aż do przełęczy y paśmie górskim Lao-ń położonej jakieś tysiąc siedemset merów nad poziomem morza. Po drugiej stronie zaczynała się bar-Izo przyjemna droga w dół lesistą doliną rzeki Gai, szemrzającej

149

wesoło na kamieniach, wśród których kryły się całe ławice pstrągów tęczowych, potokowych, źródłanych i Bóg wie jakich jeszcze. Jak na Mandzurię była to okolica bardzo cywilizowana, świadczyły o tym bita droga i towarzyszący jej rząd słupów telegraficznych. Ludzkich osad w tej dolinie było jednak niewiele, zapewne dlatego, że Gai nie niosła złotego piasku. Ot, po obu stronach przełęczy dwie faktorie kupieckie, w których skupowano futra, a niżej rzadkie pola uprawne i domki.

Sergiusz musiał w końcu przyznać, że wycieczka smokoznaw-cza jest naprawdę dobrą przykrywką. W Da-u, jedynym większym miasteczku w połowie drogi między Ningutą a Huń-czuń, musiał się wręcz opędzać od chętnych przewodników, którzy chcieli mu pokazać smoki, oczywiście za skromną, acz godną takiego trudu opłatą. Co prawda, każdy z kandydatów utrzymywał, że wszyscy pozostali są załganymi oszustami, smoków należy szukać w całkiem innej okolicy, a wskazywane miejsca ani razu się nie powtarzały, ale Sergiuszowi było to bardzo na rękę, bo mógł iść, dokądkolwiek chciał. Wybrał przewodnika, który gwarantował bliskie spotkanie ze smokiem w górskim masywie Cuj-gou-czy-liń, ograniczającym dolinę rzeki Gai od południowego zachodu. Tak zeszli na bezdroża i zaczęli wspinaczkę w górę kamienistych wąwozów, coraz węższych, bardziej skalistych i coraz mocniej zamglonych.

Smoka oczywiście co rusz spotykali. Przewodnik Wej, Chińczyk w średnim wieku wygadany jak tuzin przekupek, zapewniał o tym nieustannie. A to właśnie owiał ich wilgotny oddech smoka. A teraz, o! słycać szelest łusek na kamieniach, no a przed chwilą przeszli wręcz po smoczym ogonie, no jakże szlachetni cudzoziemcy mogli tego nie zauważyć?! Albo o tam, w górze! Tylko ostatni głupiec mógłby twierdzić, że to żuraw! Oczywiście, że smok, lecz widziany z daleka... Pytanie, czy przewodnik jest bardziej bezczelny czy bardziej obłąkany, nabierało chwilami wagi iście hamfletycznej. Poirytowani Kozacy chcieli mu dać po łbie, ale zaniechali tego widząc, że dowódca dobrze się bawi. Ofiarą Weja

150

padł w końcu batuszka Krępuć, który tak się dał zasugerować, że ani na chwilę nie rozstawał się z mokrym kropidłem.

Po trzech dniach wspięli się na grzbiet Cuj-gou-czy-liń i zaczęli schodzić w dolinę złotonośnej rzeki Bolo o dość gęsto zaludnionych brzegach, ale dalej na południe i zachód zaczynała się już tylko głucha pustka. Tu mimochodem wyszło na jaw, dlaczego Wejowi było ze smokami tak bardzo po drodze. Po prostu miał rodzinę w Da-hoi-cza, jednej z wiosek na brzegu Bolo. Gadatliwy Chińczyk wystawił Sergiuszowi szczegółowy rachunek za wszystkich pięć spotkanych po drodze dorodnych smoków, każdy rzadszy i piękniejszy od poprzedniego. Oficer zapłacił bez mrugnięcia okiem. Było mu na rękę, że niebawem wiarygodny świadek zapewni wszystkich wokół, że rosyjska ekspedycja nie ma innego celu niż szukanie smoków oraz dawanie zarobku mądrym ludziom Han. W ten sposób przedstawiciele obu ras rozstali się w doskonałej zgodzie i harmonii, każdy z nich święcie przekonany, że zrobił durnia z tego drugiego.

Nad Bolo Sergiusz zarządził całodzienny postój i zapędził wszystkich swoich Kozaków do szukania złota, obiecując temu, który znajdzie najwięcej, nagrodę w postaci dodatkowego złotego imperiała. Rozbawione bractwo rażno wzięło się do dzieła. Chlapali się jak dzieci, dogadywali sobie nawzajem, który ostatnio tak dokładnie się mył, ale do wieczora wypłukali ponad cztery uncje kruszcu. Starszy lejtnant Lawendowski sumiennie wypłacił obiecaną premię za samorodek wielkości ziarnka grochu, a następnie pozwolił wymienić wszystko w najbliższej wiosce na chanszyn i świnie, która zaraz poszła na rożeń. Na koniec zdumiał wszystkich, trzymając się z dala od towarzystwa pijącego z entuzjazmem sa zdrowie dowódcy.

Cieszyć się w istocie nie było z czego. Jeżeli pięćdziesięciu lu-lzi bez wprawy i dobrego sprzętu, tylko bawiąc się w poszukiwaczy w zupełnie przypadkowym, a więc podrzędnym miejscu, w ciągu jednego dnia wypłukało tyle złotego piasku, to ile mo-

gło wydobyć kilka tysięcy fachowców znających bogate złoża nad kilkudziesięcioma rzekami? Ba, z pewnością nie wszystkie pola złotoonośne zdołało nanieść na mapę cesarskie ministerstwo finansów. Słowem, to musiały być dziesiątki pudów miesięcznie, jakieś trzy tony złota rocznie. I gdzie się to wszystko podziewa-to?! Dane z rządowych punktów skupu, leżących wzdłuż linii kolei mandżurskiej, obejmowały mniej niż ćwierć tej ilości. Co więcej, jak Sergiusz zauważył, Polacy, zaopatrując się u miejscowych kupców w żywność oraz towary pierwszej potrzeby, płacili głównie suszonymi korzeniami żeń-szenia lub skórkami soboli, które Chińczycy brali chętniej od złota. Zatem wydobytego kruszcu nie przejadali ani nie przepijali. Co wobec tego z nim robili?

Kupowali broń. To było jedyne sensowne wytłumaczenie. Tylko gdzie? Tu wystarczył jeden rzut oka na mapę. Koreański port w Kiongdu... Góra Pektu, przypuszczalna siedziba Ukrytego Króla, znajdowała się w linii prostej zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od tego miasta. Kolejny element układanki tak idealnie pasował do reszty, aż Sergiuszowi chciało się wyć, że nikt inny tego nie widzi ani nawet nie chce zobaczyć.

Musiał koniecznie ujawnić ten spisek! Plan nasuwał się sam. Należało zacząć się na karawanę transportującą broń z Kiongdu. Zaatakować z zasadzki, zdobyć dowody i jak najszybciej wrócić z nimi do Władystoku. A przynajmniej dotrzeć do Huń-czuń bądź najbliższej stacji telegrafu w dolinie rzeki Gai i stamtąd wezwać pomoc.

Przedsięwzięcie było pod względem wojskowym, delikatnie mówiąc, karkołomne, ale największym problemem były góry. Na mapie Sergiusza zaznaczono jedynie najwyższe pasma, a i to w przybliżeniu. Żadnych dróg, dolin, przełęczy. Kartograf najwyraźniej markował pracę w tym rejonie, szkicując jakieś niby--grzbiety, tam gdzie tak naprawdę powinny być białe plamy. Tylko większe rzeki miały dobrze zaznaczone koryta, co wskazywa-

ło, że badacze posuwali się wyłącznie wzdłuż ich dolin. Była to jedyna wiarygodna wskazówka co do topografii terenu.

Potrzebował przewodnika, ale tym razem trafił na mur niechęci. Nikt z Bolo ani myślał zapuszczać się na jej prawy brzeg. Wszystkie wioski oraz łącząca je droga leżały na lewym. Granica była aż nadto wyraźna. Non plus ultra! Ani kroku dalej! Tłumaczono to obawą przed chunchuzami, których ziemie zaczynały się po tamtej stronie rzeki. Argument, że bandyci na pewno nie odważą się zaatakować dobrze uzbrojonego oddziału, zbywano milcze-

niem.

Przy okazji Sergiusz dowiedział się, że wzdłuż górnej Sungarii aż do stóp góry Pektu rozciąga się udzielne księstwo chunchuzów kontrolujących tamtejsze pola złotoonośne, a rządzi nimi jakiś Hajdengii, wielki zbój, którego obawiał się ponoć nawet sam cesarski gubernator w Kirynie. Wszyscy Chińczycy podkreślali, jak bardzo 5w Hajdengii nienawidzi cudzoziemców. Sergiusz ze swej strony był bardzo ciekaw, jak dobrze ten nienawidzący cudzoziemców :złowiek mówi po polsku.



Smoki tym razem nie pomogły. Najwyraźniej też bały się chunchuzów i nie mieszały w aż tak odludnych okolicach. Wszyscy kandydaci na przewodników widywali je wyłącznie na wschód i północ od rzeki Bolo. Innymi słowy, delikatnie sugerowali Sergiuszowi drogę powrotną. Niepoprawny Wej, który załatwił już swoje sprawy rodzinne i właśnie zamierzał wracać do Da-u, znów Drzebił konkurencję atrakcyjnością swojej oferty turystycznej. Zapewniał, że jeśli szlachetny oficer, jego genialni uczeni oraz naj-lżełniejsi żołnierze zechcą ponownie wspiąć się z nim na Cuj-gou-czy-liń, ujrzą tam zjawisko niebywałe, a mianowicie wielki trzełot smoków powracających właśnie z bieguną północnego, >y świętować letnie przesilenie. Cóż robiły smoki na biegunie północnym? To proste, składały wizytę mieszkającemu tam nie-miartelnemu Starcowi, którego zwano Bogiem Północnego Czerpaka.

153

Sergiusz, ignorując głupie miny tłumacza, odpowiedział twierdząco. Zapewnił, że choć zamierzał iść na północny zachód do Ki-rynu, to przecież tak niezwykle wydarzenie przyrodnicze w żadnym wypadku nie może ująć uwagi jego ekspedycji i warte jest zmiany planów. Polecił, aby Wej przyszedł za trzy dni, bo jego ludzie muszą jeszcze odpocząć i ochłonać po poprzednim spotkaniu ze smokami. Chytry Chińczyk z wielką radością oznajmił, że będzie to jak najbardziej odpowiedni termin, by zdążyć na przelot smoków.

Kiedy Wej wrócił do swoich z wiadomością, że Ludzie Głodu, jak nazywano tu Rosjan, za trzy dni pójda sobie tam, skąd przyszl, Sergiusz jeszcze tej samej nocy poderwał Kozaków na nogi i o pierwszym brzasku kazał forsować Bolo. Nim wzeszło słońce, jego oddział pogrążył się głęboko w lasach na prawym brzegu.

Prawda, nie miał przewodnika i był na wrogim terenie. Nie miał jednak innego wyjścia. Przodem pchnął piętnastu Kozaków rozsypanych w wachlarz, którzy penetrowali okolicę, wykonując pracę, od której wymigali się kartografowie cesarskiego ministerstwa finansów. To oczywiście spowolniło marsz o wiele bardziej, niż mogli tego dokonać nawet najbardziej kapryśni akademicy, ale jednak wciąż był to marsz, nie zaś stanie w miejscu z założonymi rękami! Zresztą tym razem panowie uczeni naprawdę się przydali. Każdy z nich z racji swych zainteresowań profesjonalnych posiadał podstawową znajomość topografii, niezbędną do sporządzania map występowania interesujących ich gatunków i zwyczajów, więc teraz mogli się zająć porządkowaniem zbieranych przez Kozaków informacji oraz kierować szukaniem następnych.

Tworząc na bieżąco własną mapę tych okolic, posuwali się na południe, czyli w kierunku niemal przeciwnym do tego, o którym mówiono Wejowi oraz innym kandydatom na przewodników. Czwartego dnia dotarli do doliny rzeki Hai-łań, w której nie było złota. Oznaczało to dwie rzeczy: całkowity brak ludzi i wiarygodny opis doliny spenetrowanej dokładnie podczas nieudanych po-

154

szukiwań. Słowem, była to pewna droga w głąb wschodnioman-dżurskich pustkowi. Korzystając z okazji, Sergiusz nadrobił stracony czas i po dwóch dniach forsownego marszu pod górę dotarł do źródeł Hai-łań, które znajdowały się u zbiegu trzech masywów: Iń-e od północy, Hei od południowego wschodu i najważniejszego Czang-bo, w którym wznosiła się święta góra Pektu. Był prawie na miejscu!

Teraz należało wytypować dolinę, którą powinny iść transporty kontrabandy z Kiongdu. Tu pojawiał się kolejny niepokojący problem. Jeżeli obrót złotem odbywał się na taką skalę, jak przypuszczał Sergiusz, nie mogło to ujść uwagi Koreańczyków. Rzecz działa się więc za ich przyzwoleniem. To z kolei znaczyło, że Ukryte Królestwo prowadzi skuteczną politykę międzynarodową. Korea była formalnie niezależnym państwem, naprawdę jednak kontrolowanym przez Japończyków, którzy musieli coś o tym wiedzieć i też nie mieć nic przeciwko. Na dodatek Japończycy kumali się ostatnio z Anglikami, a najbliższa brytyjska koncesja znajdowała się w Wei-hai-wei na północy półwyspu Szantung, gdzie ostatnio burzyli się Chińczycy. Dobra komitywa Polaków i Chińczyków, którą starszy lejtnant oglądał na własne oczy w Ningucie, zamykała krąg i dawała pojęcie, jak grubego kalibru może być cała ta historia. Mówiąc krótko, na wschodnim krańcu Rosji niepostrzeżenie wyrósł wielki i wyjątkowo złośliwy polityczny nowotwór. Kiedy cesarską władzę zacznie boleć, może być już za późno.

Jednak najważniejsze to nie dać się zabić! Sergiusz nakazał Kozakom nadzwyczajną czujność, po czym ubezpieczając się na wszelkie możliwe sposoby, rozpoczął penetrację południowo-wschodnich stoków Czang-bo, nieznacznie posuwając się w kierunku góry Pektu.

Tygrys wyruszył na polowanie, bardzo ostrożnie stawiając łapy.

CJo®na9 bambus i sil

Pułkownik Lawendowski w cywilnym ubraniu bez pukania energicznie odsunął na bok oklejone papierem drzwi sypialni w japońsko-koreańskim hoteliku w śródmieściu Yidzu. Przeszedł przez pogrążone w głębokim półmroku pomieszczenie i zrobił to samo z oknem, wpuszczając do środka istny potop światła.

Młody Europejczyk leżący na macie rozestanej na środku podłogi z głuchym jękiem zasłonił dłońią oczy. Naga Azjatka u jego boku w popłochu naciągnęła kołdrę po nos. Przybysz podniósł kimono i podał je właścicielce, demonstracyjnie odwracając wzrok. Dziewczyna chwyciła ubranie, po czym uciekła za parawan malowany w żurawie brodzące między kwiatami lotosu. Pułkownik zebrał resztę porzucanych wszędzie dalekowschodnich damskich fatałaszków i powiesił je na szczycie zastony.

- Arigato... - dobiegło z drugiej strony.

- Chorąży Filipiak, długo jeszcze zamierzacie się guzdrać?! - Lawendowski odwrócił się do młodzieńca, który dopiero usiadł na posłaniu.

- O Jezu, panie pułkowniku, nie tak głośno... - Filipiak złapał się za skronie.

- Macie kaca? - oficer ze współczuciem zniżył głos.

- Trzy cesarstwa za kubek zsiadłego mleka...

- Chwilowo mogę zaproponować tylko herbatę, za to w stu gatunkach. To wy tak prowadzicie kluczowe negocjacje polityczne?

- Z Japończykami inaczej się nie da, słowo honoru, panie pułkowniku. - Chorąży niezbornymi ruchami zaczął wciągać koszulę. - A oni tydzień temu uparli się mnie przepić.

- Wy tak od tygodnia? - zdziwił się Lawendowski. - Skoro wy, "ilipiak, macie już dosyć, w jakim stanie jest delegacja japońska?

- Wczoraj jednemu się wyrwało, że to gorsze niż sepuku, bo am przynajmniej na koniec ścinają głowę.

- No pięknie! Dobrze, że ambasador Caj tego nie widzi... Ta Jani to może też pełnomocny uczestnik rokowań?

- Jak najbardziej, panie pułkowniku. Panna Sikibu jest gej-izą.

- Gejsza? Czyście, Filipiak, całkiem oszaleli?! Bierzecie sobie jejszę na całą noc?! Wiem, że macie udawać poszukiwacza złota, który przyjechał sobie zaszaleć, ale to już przesada. Chcecie nas zrujnować?

- Kwestia prestiżu, panie pułkowniku, i nie tylko... To naprawię konieczne, choć zupełnie nie wiem, co powiem panie Natalii.

- Narzeczonej? Ze cierpeliście za króla i ojczyznę. -Ja naprawdę...

- Ubierajcie się szybciej, Filipiak! Koniec końców muszę wierzyć bardziej wam niż własnym oczom, bo jesteście tu jedynym, który studiował japonistykę.

Gejsza wyszła zza parawanu i skłoniła się obu mężczyznom. Sff tak krótkim czasie zdołała nie tylko się ubrać, ale też całkiem zgrabnie ułożyć włosy i podmalować oczy.

- Dzień dobry, starszy pan - powiedziała po polsku. - Dzień dobry, Michał-san.

- Pani mówi?... - zdumiał się Lawendowski.

- Nie - wyjaśnił chorąży. - Zna tylko polskie zwroty grzecznościowe. Prosiła, żebym ją nauczył.

- Miło mi - pułkownik odklonił się z uprzejmym uśmiechem. -Ale niech już sobie idzie.

- Panny Sikibu nie można tak po prostu odprawić.

- Tyle to i ja wiem. - Pułkownik cofnął się do drzwi i przywołał czekającego na korytarzu adiutanta, też ubranego po cywilnemu. - Michalak, weźmiecie palankin i odstawicie tę pannę tam,

157

gdzie sobie zażyczy. Tylko grzecznie, to nie jest zwykła... wiecie co.

- Rozumiem, panie pułkowniku.

- Czekam na dole! - Lawendowski odwrócił się do Filipiaka. -Tylko nie kaźcie mi czekać do południa. Jaką chcecie herbatę?

- Zieloną z solą. Dużo i niech trochę przestygnie.

- Zajmę się tym.

Pułkownik zszedł do hotelowej jadalni. Przekazał służącemu życzenie chorążego, a dla siebie zamówił „śniadanie europejskie”, po trosze z ciekawości, co to takiego będzie. Podano jajecznicę na boczku z dżemem jabłkowym na jednym talerzu, na szczęście niewymieszane. Do tego kajzerki z mąki ryżowej.

Filipiak zjawił się po kwadransie. Miał na sobie marynarkę w jaskrawą czerwono-zieloną kratę, fioletowe spodnie i jadowicie żółtą cyklistówkę. Na szyi wisiał mu cały pęk talizmanów z nefrytu, srebra, brązu, kryształu górskiego, zapewniających wszystkie możliwe azjatyckie szczęścia naraz, w tym wielu synów i łagodny poród. Słowem, wystroił się tak bardzo bez gustu, jak tylko mógł świeżutki nuworysz, za jakiego pragnął uchodzić. Z kolei jego japońscy partnerzy, jak doniesiono pułkownikowi, odgrywali w Yidzu rolę złotej młodzieży hulającej na całego w podbitym kraju. Trzeba przyznać, że chorąży Filipiak dzielnie dotrzymywał im towarzystwa. Lawendowski pozwolił mu w spokoju wypić cały czajnik letniej herbaty i zebrać myśli.

- Panie pułkowniku - zaczął się tłumaczyć sam z siebie. - Z Ja-<sup>^</sup> pończykami nie można tak prosto z mostu, kawa na ławę, że my wam dajemy to, a wy w zamian macie dać tamto, bo się zaraz całkiem poobrażają, że mówimy im, co mają robić. Spotkania są po to, aby się poznać, polubić i nabrać do siebie zaufania. O samej rzeczy mówić nie wypada, przynajmniej nie przez pierwszy miesiąc.

- Biesiadujecie już ponad dwa - zauważył Lawendowski. - Pora by już była przejść do jakichś konkretów.

- Nieznacznie przechodzimy, panie pułkowniku.

158

- Co to znaczy: „nieznacznie”? - ?

- Opowiadamy sobie przy sake takie jakby biblijne przypowieści, aluzyjne metafory...

- Filipiak, powiedziałem, że wam wierzę, ale zaraz, nie tracąc inii krzty zaufania, po prostu łeb wam urwę!

- Panie pułkowniku, z nimi naprawdę tak jest. Kwestie meryto-yczne przekazuje się dyskretnie, mimochodem, przez zaufanych pośredników.

- Takich jak panna Sikibu?

-Owszem. Przedwczoraj na przykład, gdy... hm... byliśmy ra-sem, zapytała mnie, czy chcemy Rosjanom odebrać Port Artura.

- I coście jej odpowiedzieli?

- Ze owszem, jeśli będzie taka możliwość. A ona na to, czy wtedy podzielibyśmy się zdobyczą ze swoimi sojusznikami... Powiedzia-:em, że potrzebujemy morskiego portu, ale japońscy kupcy i chroniące ich okręty wojenne będą tam mogli zawijać bez przeszkód.

- Zręcznie - skinął głową pułkownik. - To pierwsze sensowne >łowa, które dziś od was usłyszałem. W ogóle ostatnio też...

- Mamy jakieś kłopoty?

- Król nie godzi się na żadne ustępstwa terytorialne wobec Japończyków.
- To co im zaoferujemy?
- Sojusz w przyszłej wojnie z Rosją.
- To jeszcze nie jest sprawa na dziś, panie pułkowniku. W angielskich stocznich dopiero budują ciężkie pancerniki zamówione przez Japonię.
- A płacą za nie Chiny w ramach kontrybucji wojennych. Trudno się dziwić, że królowi to się nie podoba. Gdyby Chińczycy postanowili wyswatać nas z Niemcami, czulibyśmy się podobnie.
- A zatem to koniec rozmów?
- Nie. Tylko obniżamy oczekiwania. Teraz chcemy od Japończyków jedynie neutralności, gdyby nasze oddziały spotkały się na półwyspie Liaotung.

159

- Mogą to uznać za wybieg.
- Bo to, cholera, jest wybieg! Na dalszą metę nasz król chce powstrzymać japońską ekspansję na kontynent. Dlatego sprzyjają nam Koreańczycy.
- Japonia chce walczyć z Rosją tylko po to, żeby do reszty zawładnąć Koreą - zauważył Filipiak. - Nowy silny cesarz w Pekinie to dla nich katastrofa. Jak się o tym dowiedzą, sami rzucą nas Rosji na pożarcie.
- Dlatego nie będziemy negocjować w imieniu króla, lecz we własnym.
- Jako jakaś góraska mafia?
- Powiedzmy, że jako kolejna wolna republika poszukiwaczy złota. O pierwszej słyszeli, więc powinni to zaakceptować. I tak nie mieliśmy zamiaru wtajemniczać Japończyków w całość naszych zamierzeń politycznych.
- Są tak wielkie, że mogliby nie uwierzyć - uśmiechnął się chorąży. - Tylko jeśli uwierzą, bardzo im się to nie spodoba.
- Obrażać się nie mają o co. To jest polityka, my i oni prowadzimy grę o swoje. Japonia chce wykorzystać nas przeciw Rosji i Korei. My chcemy wykorzystać Japonię przeciw Rosji i dynastii mandżurskiej.
- Potem ustanowić naszego króla cesarzem Chin i zmusić Rosję do uwolnienia Polski. Ech, chciałbym zobaczyć minę cara, kiedy się o tym dowie... - dopowiedział rozmarzony chorąży.
- Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu. Mamy jeszcze tuzin diabłów do wygnania ze szczegółów tej politycznej kombinacji.
- Jak się nie uda, Mikołaj II ześle nas do Warszawy - wyszczerzył się Filipiak i spoważniał. - Na szczęście do tej pory nie powiedziałem niczego, co wiązałoby nam ręce. Rozmawialiśmy głównie o tym, jak wielkim naszym wspólnym wrogiem jest Rosja. Znaczący, opowiadaliśmy sobie anegdotki o dwóch

mądrych wieśniakach hodujących świnie i o głodnym niedźwiedziu, który chciałby im te świnie porwać.

160

- Jak rozumiem, w tej przypowieści świnia, którą tuczą dla siebie Japończycy, jest Korea?

- Nie ja to wymyśliłem, panie pułkowniku! Ale jest jeszcze coś... Oni chyba trochę nas lekceważą, bo daliśmy się rozebrać sąsiadom.

- Żyją na wyspach, łatwo im mówić.

- Niby to wiedzą, ale chcą się upewnić, czy zasługujemy na szacunek. Właśnie sprowadzili z Tokio znawcę historii Polski. Mamy i nim dzisiaj zjeść obiad.

- A skąd wzięli tego znawcę?

- Z Chin, jeśli dobrze zrozumiałem. To ni mniej, ni więcej tylko ;am Kang Ju-weja, ten, który w zeszłym roku doradzał młodemu cesarzowi podczas reform Stulecia, a po przewrocie pałacowym uratowawszy głowę, wyemigrował do Japonii.

- To wiem. Ale co on wie o Polsce?

- Dużo, panie pułkowniku. Napisał analizę naszych rozbiorów dla rządu, żeby ostrzec Chiny przed tym samym losem.

- Wecie, że Koreańczykom też to chodzi po głowie?

- Nie dziwię się, panie pułkowniku, bo analogia historyczna jest naprawdę duża, a oni tu przecież sroce spod ogona nie wypa-Hi. Oczy i rozum mają. Tylko Cesarzowa Wdowa jest za głupia, żeby spostrzec, ku czemu sprawy idą. Trzyma cesarza w areszcie dożywotnim, tymczasem Niemcy, Anglicy, Francuzi, Portugalczycy roją jej arbuza, aż furczy. Amerykanie zaraz skończą sprzątać Fi-piny po Hiszpanach i gdy się przyłączą do tej arbuzowej biesiady, 'ędzie po herbacie.

- Dobrze już. O której dokładnie to spotkanie?

- O pierwszej. W herbaciarni „Trzej Przyjaciele”. Wie pan pułkownik gdzie?

- Tak. A wy co zamierzacie robić do tej pory?

- Zejdę się wyparzyć do łaźni. Wieczorem znów muszę być go-go-w na wszystko.

161

Na zewnątrz Lawendowski spotkał Michałaka, który po odstawieniu panny Sikibu do domu gejsz nie wszedł na śniadanie, tylko rozsiadł się w niedbałej pozie w wiklinowym fotelu na ganku i paląc papierosa, spod przymrużonych powiek obserwował kłębiący się na ulicy barwny chińsko-koreańsko-japońsko-europejski tłum, prezentujący najbardziej kosmopolityczne kombinacje stylów mody, jakie można było wymyślić w tej części świata. Akurat przeszedł koło nich jegomość w czarnym cylindrze, brązowym kimonie i sandałach na gołych stopach.

- Co jest? - zagadnął oficer.
- Mamy ogon, panie pułkowniku. Zdaje się, że Japończyków ktoś tutaj obserwuje.
- Rosjanie? Ochrana?
- Albo jacyś koreańscy patrioci, nie jestem pewien. W obie strony leźli za mną jacyś ulicznicy. Kłopoty wiszą w powietrzu. Fi-lipiak coś o tym wie?
- A gdzie tam! - zirytował się pułkownik. - Sam mogłem mu dziś rano urznąć łeb... Chyba już całkiem zgłupiał od tej ryżowej wódki!
- Musi pić takie świństwa?
- Brata się z Japończykami. Teraz poszedł do hotelowej łaźni wypocić kaca. Raczej na pewno bez broni.
- Wygląda na to, że musimy tu popilnować jego gołego tyłka. Co pan pułkownik ma?
- Brauninga. Wy mauzera? -Tak.
- Zamienimy się. Podajcie mi nieznacznie pod stołem. Teraz ja posiedzę sobie na słonku, a wy idźcie po chłopaków. Czekajcie na nas w herbaciarni „Trzej Przyjaciele”.
- Tak jest!

Lawendowski nasunął kapelusz na oczy i wyciągnął się w fotelu. Dla postronnego obserwatora był tylko siwiejącym mężczyzną w średnim wieku, który poczuł senność po obfitym śniadaniu.

162

Słoneczna, przyjemnie ciepła pogoda, szmerzący uliczny gwar wręcz kusił do drzemki. Któż mógłby zgadnąć, że odłożony niedbale na kolana angielski „Times” zasłania odbezpieczony dziesięciopistoletowy mauzer wzór 1896, a rozluźnienie mężczyzny jest najzupełniej pozorne? Starczyłby ułamek sekundy, aby zbyt pewny siebie napastnik dostał kulę w środek czoła.

Oficer medytował. Mijały kolejne godziny wiosennego przedpołudnia w Yidzu.

- Pan pułkownik, jeszcze tutaj? - Filipiak stanął w progu hotelu. - Skoro chciał się pan zdrzemnąć...
- Idiota! Nie wiedzieliście, że ktoś was obserwuje?
- To Japończycy, panie pułkowniku. Oni wzięli na siebie sprawy bezpieczeństwa naszych negocjacji.
- Nie mogliście od razu powiedzieć?! - warknął Lawendowski.
- Najmocniej przepraszam, panie pułkowniku! Rzeczywiście dziś rano jakoś... no wie pan... wyleciało mi z głowy...
- Kiedyś wam z niej kula wyleci, ale po przejściu na wylot. Chodźmy!

Lawendowski sprężyście podniósł się z fotela. Zabezpieczył pistolet i spróbował dyskretnie ukryć go pod marynarką garnituru. Nic z tego! Znakomity produkt firmy braci Mauser niestety nie Dyl bronią kieszonkową. Bez kabury nie sposób było go nosić pod zwykłym ubraniem. Wetknięty za pas w najlepszym razie symulował chorobliwy przerost wątroby lub świeżą przepuklinę. Pułkownik cedząc przekleństwa pod adresem alkoholowej demencji Filijskiego znów zawinął pistolet w gazetę. Tylko że teraz, gdy ją będzie liósł w rękę, każdy głupi spostrzeże, że w papierze jest coś duże i ciężkiego.

Chorąży skwapliwie zszedł dowódcy z oczu, by wezwać ryśsze. rprawdzie do „Irzach Przyjaciół” mieli dziesięć minut spaceru, ale e było przyjęte, żeby cudzoziemcy chodzili gdziekolwiek pieszo.

Herbaciarnia była urządzona w chińskim stylu, jej nazwa ozna-ała nie ludzi, a trzy zaprzyjaźnione rośliny - długowieczną so-

163

snę, dostojny, lecz giętki bambus oraz pełną życia śliwę, która zakwitała jako pierwsza spośród drzew owocowych. Ta trójka w postaci doniczkowych sadzonek, miniatuerek bonsai oraz grafik na ścianach zdominowała wystrój wnętrza. Wzajemne relacje zaprzyjaźnionych roślin, zależnie od kontekstu, mogły symbolizować całą gamę sytuacji międzyludzkich, od najwyższej powagi po całkowitą frywolność. W najprostszym sensie oznaczały, że lokal przeznaczony jest dla najbardziej wykwinnych gości.

Zdecydowanie nie takich jak ochrona delegacji Ukrytego Królestwa wezwana przez Michalaka. Czterech szeregowców, wystrojonych równie pstrokato jak Filipiak, zachowywało się zgodnie ze wszystkimi wyobrażeniami tubylców na temat braku ogłady cudzoziemców. Różni w wista na galerii na pierwszym piętrze, klóćąc się przy tym zapamiętałe, wałąc pięściami w stół i wymyślając obłudze od leniwych żółtych gamoni. Kibicowały im trzy wulgarne koreańskie prostytutki. Każdy porządny człowiek od razu odwracał wzrok od takiego widoku, a trzeba było się dobrze przyjrzeć, by zauważyć, że dziewczęta grają swoje role w sposób trochę zbyt afektowany. Pułkownik rozpoznał pod krzykliwym makijażem pannę Kim, jedną z zaufanych pokojówek księcia Om Gona. Stolik zajęty przez awanturników znajdował się w miejscu zapewniającym najlepszy ostrzał całej sali.

Porucznik Michalak pił herbatę na dole. Usiadł tak, by mieć na oku towarzystwo na galerii oraz martwe pole ostrzału pod nią. Lawendowski oddał mu „Timesa” i nieznacznie ustawił się bokiem, pozwalając wsunąć sobie w kieszeń lekkiego brauninga. Zwięźle wyjaśnił nieporozumienie, polecając jednak zostawić ochronę na miejscu.

- Tylko niech się trochę uciszą - znacząco spojrzął w górę.

- To rzeczywiście on - stwierdził Filipiak, zerkając za zastonę bocznej sali. - Widziałem jego zdjęcia w gazetach.

Kang Ju-weja miał nieco ponad czterdzieści lat i nosił się po europejsku. Towarzyszyła mu młoda Japonka, ubrana jak on, w mę

164



ki garnitur, w prowokującym stylu George Sand przeżywającym właśnie renesans wśród wyemancypowanych Azjatek z wyższych fer. W dłoni Japonka trzymała cygaro, którego jednak nie odważyła się zapalić, jedynie wymachiwała nim jak złożonym wachla-zem.

Panna Aiko bez trudu mogłaby być córką Kanga, ale on przed-tawił ją bez ogródek jako swoją krótkoterminową małżonkę po-ostającą z nim w wolnym związku, który zawarli na pół roku. Innymi słowy, za nieco ponad siedem tygodni mieli się uroczyste Dzstać, zachowując wzajemny szacunek i jak najlepsze wspo-inienia.

Gdy dopełniano wstępnych prezentacji, Filipiak szepnął pułownikowi, że to dziewczyna będzie tu zadawać najistotniejsze ytania. Rola Kanga ograniczała się do oceny, czy z tymi Polakami rarto dalej gadać. Japończyków najbardziej interesowało jego gólne wrażenie.

Rozmawiano na krzyż w trzech językach, po angielsku, który lali Kang i Filipiak, po japońsku - wszyscy prócz pułownika -raz po chińsku - Kang, Aiko i pułownik. Na początek sławny liński reformator popisał się znajomością polskiego, której nabył d pewnego marynarza. Pułownik Lawendowski uprzejmie powalił dykcję oraz akcent, ale doradził, aby tych słów raczej nie żywać w obecności dam, chyba że w bardzo poufnej okoliczno-i sam na sam. Kang Ju-weja zapewnił, że jeszcze tej nocy udzie - lekcji polskiego pannie Aiko.

W tej sytuacji negocjacje polityczne poprzedziła dyskusja na te-at najwłaściwszych, zdaniem Kanga, relacji damsko-męskich. Zmysły autora reform, podstępnie i krwawo przerwanych w ze-;łym roku, nie ograniczały się li tylko do wzmocnienia potęgi iństwa Środka. Równie stanowczo jak za monarchią konstytu-rjną Kang Ju-weja opowiadał się za całkowitym zniesieniem in-ytucji małżeństwa. Jego zdaniem powinien zastąpić je „kontrakt iłosny" zawierany na okres od jednego miesiąca do najwyżej ro-

165

ku. Zapewnił, że teraz właśnie pisze na ten temat stosowny traktat filozoficzny, a romans z panną Aiko wprowadzał do tych rozważań niezbędnny element praktyki. Dotychczasowa empiria ponoć znakomicie wspierała główną tezę.

Natomiast posiłek, który jedli w trakcie tej obyczajoburczej debaty, był tradycyjnie chiński - mnóstwo potraw, z których każdej należało spróbować. Tylko spróbować, bo inaczej nie dałoby się dotrwać do końca. Jeśli coś komuś smakowało bardziej, trudno, należało odżałować. Ponadto nie wypadało kłaść różnych postaci jedzenia na jednym talerzu, a już broń Boże nie mieszać ich ze sobą, gdyż szanujący się kucharz na widok takiego barbarzyństwa wręcz usechłby z rozpaczy lub dotknięty na honorze poszedłby się topić w Jalu! Wszak wszystko co istotne zostało już przez niego zmieszane, skomponowane i połączone zgodnie z najwyższymi zasadami harmonii żywiąców i smaków. Należało to docenić, a nie rujnować. Dlatego kucharza wzywano co kilka dań, by wyrazić zachwyt nad fazą przemian składników spożywczych, którą udało mu się w danym wypadku osiągnąć.

Wyliczanie poszczególnych potraw, przypraw oraz sposobów przyrządzania byłoby nudne i nic by nie znaczyło. Głębszy sens krył się w kolejności dań. Cały obiad bowiem był mistycznym poematem - drogą od pierwotnego chaosu do najwyższej jedności, biegnącą według natchnionej koncepcji szefa kuchni przez kolejne stopnie kulinarnych przeciwieństw i zjednoczeń.

Wśród tych ceremonii padło z pozoru niewinne pytanie panny Aiko, jak to się stało, że polscy poszukiwacze złota tak dobrze rozumieją się z miejscowymi Chińczykami.

- Lubimy mieć wdzięcznych sąsiadów, więc w miarę możliwości bronimy ich przed nadużyciami mandarynów - odparł wymijająco pułkownik. - Odrobina stanowczości wobec bezprawia przynosi często bardzo pomyślne skutki.

- To bardzo szlachetne z waszej strony - zapewniła panna Aiko. - Ale czy możecie liczyć na wzajemność?

166

ł

Filipiak rzucił dowódcy szybkie ostrzegawcze spojrzenie.

- Raczej nie - odparł melancholijnie pułkownik. - Różnica kultur jest zbyt wielka. Jednak dla nas to kwestia sumienia i zgody z nakazami naszego Boga. Widok niesprawiedliwości rani nasz honor do tego stopnia, że jeden z naszych poetów nazwał Polskę „Chrystusem Narodów”.

Kang Ju-weja pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Niestety waszego kraju był brak przyjaznych sąsiadów - zauważył.

- Dlatego teraz szukamy przyjaźni wszędzie, gdzie to jest możliwe. . - 'A', i:  
. - v<:=" .---.'

- Nawet wśród Koreańczyków? - rzuciła Japonka, patrząc w skupieniu w swoją miseczkę i starając się z wielką precyzją uchwycić pałeczkami jakiś składnik potrawy.

- Wiele zawdzięczamy naszym szanownym gospodarzom, zwłaszcza jeśli chodzi o możliwość dostępu do portów morskich.

- Pomiędzy Japonią a Koreą, w drodze ku wspólnej pomyślności, zdarzały się jednak drobne nieporozumienia.

Trudno było nazwać „drobnym nieporozumieniem” kolejne japońskie najazdy obracające w perzynę cały Półwysep Koreański. Ten eufemizm zakrawał wręcz na prowokację.

- Dlatego cieszymy się ogromnie, że obecnie pomiędzy cesarstwami Tehan i Kwitnącej Wśni zapanowały pokój i wzajemne zrozumienie - rzekł z powagą pułkownik.

- Czasem nawet najlepsi przyjaciele się kłócą.

- Wtedy trzeci przyjaciel powinien dołożyć starań, by ich ze sobą pogodzić.

- A jeśli to nie będzie możliwe? Przy kim wtedy zostanie serce trzeciego przyjaciela?

- Byłby to trudny i bolesny wybór, ale gdyby trzeciemu przyjacielowi zagrażał wielki wróg, musiałby on pozostać przy przyjaźni z silniejszym... Najrozsądniej będzie jednak unikać konfliktów.

- Tak, z całą pewnością dobrzy przyjaciele nie powinni sobie przeszkadzać - zgodziła się Aiko. - Jednak rozważmy sytuację, w której trzeciemu przyjacielowi zagrażają dwaj zjednoczeni wrogowie.

- Może się tak zdarzyć, że tych zjednoczonych wrogów w istocie więcej dzieli niż łączy. Mądry człowiek potrafi ich sobie przeciwstawić, tak by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Z pewnością podoła temu zadaniu, jeżeli nie przeszkodzi mu w tym wspomniany wcześniej spór dwóch przyjaciół.

- Byłoby mi przykro - odezwał się Kang Ju-weja śledzący uważnie tę grę aluzji - gdyby młody cesarz De Zong, tak drogi mojemu sercu, miał zostać zaliczony w poczet czyichś wrogów.

- Dynastia Dajcynów skazana jest na zagładę - odparł stanowczo pułkownik, patrząc mu prosto w oczy. - Historia wydała już wyrok i myślę, że obaj to wiemy. Pytanie: kto miałby założyć następną dynastię?

- Na pewno chce Juan Szy-kaj... - mruknął ponuro Kang.

- Naszym zdaniem najgodniejszym z ludzi byłby ten, któremu najbardziej leży na sercu dobro Chin - pułkownik Lawendowski znacząco skłonił się rozmówcy.

- O Jezu... - jęknął po polsku chorąży Filipiak.

Panna Aiko powoli, zmysłowym ruchem zsunęła się z krzesła na kolana i patrząc z uwielbieniem na kochanka, oddała mu cesarski pokłon ko-tan, trzykrotnie dotykając czołem ziemi.

- Niech historia zapamięta, że ja pierwsza oddałam ci hołd, mój panie - szepnęła namiętnie.

Kang Ju-weja zaniemówił z wrażenia, ale nie oponował. Odłożył pałeczki i unióś wyżej głowę. Niewątpliwie nie tylko był, ale też czuł się godny tego zaszczytu.

Reszta posiłku upłynęła w podniosłej atmosferze. Wszyscy ograniczyli się już tylko do komplementowania talentów kucharza. Filipiak, choć siedział jak na szpilkach, zdołał wytrzymać do

168

końca. Eksplodował dopiero, gdy po ceremonialnych pożegnaniach on i pułkownik zostali sami na ulicy.

b - Był pan genialny! - wykrzyknął. - Trzy pieczenie przy jednym ogniu!

- Należy umieć kojarzyć fakty i okoliczności - odparł spokojnie pułkownik Lawendowski. - Bujający w obłokach idealista nadaje się na cesarza tak jak ja, bez niczyjej urazy, na papieża. No, chyba że ktoś mu pomoże i stale będzie pomagał. Idealny kandydat na marionetkę... Skoro zatem Kang może liczyć na Japończyków, co można wnosić z czułości, z jaką go goszczą, czemu i my nie mielibyśmy mu pomóc?

- Za jednym zamachem odwróciliśmy uwagę od naszego króla, wzmocniliśmy sojusz z Japonią bez czekania na wojnę z Rosją, zmniejszyliśmy podejrzliwość Japończyków wobec naszych układów z Koreańczykami - wyliczył z entuzjazmem chorąży. - Ciekawe, co na to ambasador Caj?

- Powinien być zadowolony, że znalazłem garnek.

- I wreszcie... - Filipiak wciąż nie mógł ochłonąć. - Co szanowny pan Kang Ju-weja myśli teraz o Polakach?!

Ci Polacy byli okropni!

Najpierw ta historia z psem, potem z kartoflami, a teraz to! Przecież dziewczyna musi gdzieś suszyć upraną bieliznę! Nie robi się tego w cieniu w krzakach, tylko na słońcu! Komendant Fedor-czyk za nic nie chciał tego zrozumieć. Najpierw, gdy Patrycja rozwiesiła pranie na blankach zabytkowej baszty, po kilku minutach przybiegł z awanturą, że poddaje twierdzę. To powiesiła u podnóża, tylko że wtedy przechodzący obok Polacy, widząc na sznurku jej pantalon, salutowali jak przed sztandarem. Patrycja nie wiedziała, gdzie oczy podziać, a jeszcze sierżant obwinił ją o upadek dyscypliny, rozkład morale i bez mała knucie z wrogami Ukrytego Króla. Co prawda, na tym samym sznurku wisały też spodnie kaftaniki i zawoje Lien, ale wszystko skrupiło się na Patrycji. Bo akurat Lien surowy stary żołnierz polubił całym sercem i nie mówił o niej inaczej jak „kitajski szafapat”.

Młoda Chinka przeszła całkowitą metamorfozę, przede wszystkim zewnętrzną, ponadto nabrała śmiałości i pewności siebie. Operacja zajęcej wargi udała się lepiej, niż doktor Zakrzewski oczekiwał. Rana, jak stwierdził lekarz, zagoiła się „jak na psiaku” i już po dziesięciu dniach można było zdjąć szwy. Potem wystarczyło świeżą bliznę przypudrować, a ostatni ślad oszpeceń zniknął bez śladu. Od tej pory Lien przestała się kryć przed wzrokiem żołnierzy. Wręcz przeciwnie, w całej Het-ala było jej wszędzie pełno. Największą sympatię zyskała wśród chińskich ochotników, kiedy po jednej z wiosennych burz zaopiekowała się dwoma sroczymi pisklętami wyrzuconymi z gniazda przez wiatr. Żołnierze

170

zrobili dla skrzeczących ptaszysk klatkę, którą Lien nosiła na kiju niczym proporzec. Stąd Chińczycy przewalili ją Trzecią Sroką i początkowo traktowali jak maskotkę, licząc, że przyniesie im potrójną radość. Niebacznie uprosili nawet sierżanta Fedorczyka, żeby Lien ze swoimi srokami towarzyszyła im podczas treningów walki „tygrysimi pazurami”, jak określali polskie kosy. Doprawdy nie wiedzieli, co czynią, bo dziewczyna sprawiła im wyjątkowo okrutną niespodziankę.

Sierżant Fedorczyk w trakcie ćwiczeń, komentując mierne postępy rekrutów, zwykł kłąć po polsku, chińsku, mongolsku, rosyjsku i koreańsku, odkrywając przy tym zaskończe semantyczne, o jakich nie śniło się sławistom i sinologom. Tak uważał doktor Zakrzewski, lecz on swojego skrytego uznania dla rubasznosko-skatologicznych improwizacji komendanta twierdzy nigdy nie ujawniał, bo człowiekowi wykształconemu i kulturalnemu zdecydowanie nie wypadało. Wobec tego to Lien jako pierwsza doceniła rzecz publicznie.

Przykładowo polskie wyrażenie „uciekać jak zajac” i będące ciężką obelgą chińskie „chłopiec zajac” oznaczające młodzieńca, który w roli kobiety, oddaje się cielesnie innemu mężczyźnie. Do tej pory gdy rozgniewany sierżant wymyślał rekrutom, że jeśli tak będą trzymać szyk, to każdy przeciwnik szybko zrobi z nich stado uciekających w popłochu zajęcy, Chińczycy spuszczały wzrok i udawali, że nie wiedzą, o co chodzi. Od kiedy na placu ćwiczeń pojawiała się Lien, pozory niedomówień przysły. Dziewczyna słysząc te oraz inne przejawy twórczej lingwistyki, bez zahamowań parskała śmiechem i pokazywała uniesiony w górę kciuk.

Zdaniem zde gustowanego doktora niczego lepszego nie można się było spodziewać po dziewczynie co prawda bystrej z natury, ale wychowanej od małego w domu publicznym, gdzie cała jej edukacja ograniczała się do podsłuchiwania i podglądania ról, jakie wytrawne kurtyzany odgrywały wobec gości Domu Nefrytowej Rosy. Teraz z kolei koszarowe słownictwo okazało się naturalnym

171

żywiłem Lien. Co więcej, w jej zachowaniu nie było nic wulgarnego, wyłącznie sama naturalna niewinność. Według doktora Za-krzewskiego brało się to stąd, że Lien wciąż była nietkniętą panienką. Wcześniej nikt jej nie chciał, ponieważ oszpecenie ust w przekonaniu Chińczyków wiązało się z analogicznym zniekształceniem genitaliów. W efekcie zaistniał tu bardzo intrygujący nowoczesną europejską psychologię syndrom dziwki-dziewicy. Doktor snuł czasami akademickie rozważania, jakie byłyby rezultaty prezentacji tej dziewczyny przed czcigodnym uniwersyteckim audytorium. Na razie jej styl bycia wywierał piorunujące wrażenie na żołnierzach. Rekruci besztani w obecności Lien potrafili się rozpląkać ze wstydu, jednak potem zaciskali zęby i starali się trzy razy bardziej niż dotychczas. Sierżant Fedorczyk doprawdy miał powody szczerze lubić swojego kitajskiego szafaputa.

Ochotnicy napływali do Het-ala systematycznie małymi grupami, po kilkanaście osób. Byli to w większości młodzi Chińczycy z okolic San Sing nad dolną Sungari, gdzie miejscowy mandaryn skrycie podporządkował się Ukrytemu Królowi, a tamtejsi chłopcy po kilku latach życia pod królewską opieką nabrali tyle zaufania, że gotowi byli oddawać do królewskiego wojska swoich synów. I tylko takich zresztą przyjmowano, żadnych włóczęgów, żebraków, bandytów zbieranych Bóg wie gdzie, w grę wchodzili jedynie młodzieńcy z ubogich, lecz zacnych domów.

Resztę przybywających stanowili Polacy - robotnicy kolejowi z Harbinu, relegowani studenci, zbiegli zesłańcy - oraz pół-Polacy, synowie starych zesłańców z mieszanych związków z Buriatkami i Tunguzkami. Ci ostatni wyglądali mało europejsko, ale za to jak przystało na potomków syberyjskich traperów i myśliwych, świetnie strzelali. W Het-ala bawili krótko, zaraz bowiem gdzieś ich odsyłano. W twierdzy dla bezpieczeństwa i oszczędności nie szkolono strzelców. Prócz grupy przyszłych artylerzystów, którzy na dwóch atrapach armat z drewnianych kłoców ćwiczyli na razie na sucho odprzodkowanie, wycofywanie i przemarsz działonu

172

z jednego końca doliny na drugi, szkolono tu przede wszystkim kosynierów. Sierżant Fedorczyk nazywał tę robotę wykuwaniem damasceńskiego miecza, albowiem jak stale podkreślał, przyszło mu ze sobą skuwać i hartować dwa najzupełniej różne gatunki ludzkiego żelaza. Dawał przy tym w kość po równo Polakom i Chińczykom.

Z początku po obu stronach zawsze ujawniały się uprzedzenia rasowe. Sierżant miał na to sposób niezawodny - czołganie w błocie tak długo, aż jedni i drudzy nie byli w stanie odróżnić swojego koloru skóry i kształtu oczu. Tak dzień po dniu, aż do pomyślnego skutku. Najbardziej uparci poważnie ryzykowali tętec. Potem przychodziła pora na przejmowanie dobrych cech charakteru narodowego drugiej strony - Polacy nabywali cierpliwości, Chińczycy zawadiackiego poczucia humoru. Następnie ci pierwsi oduczali się tradycyjnego warcholenia, drudzy swoich rozlicznych przesądów. Ta faza wzajemnego zbliżenia kończyła się wspólnym gotowaniem polskiego rosółu z chińskich kogutów, które w Państwie Środka uchodziły za ptaki święte i z tej racji niejadalne. Kogutów zaś w Het-ala nie

brakowało, bo niemal każda nowa grupa chińskich rekrutów przynosiła ze sobą w charakterze bóstwa opiekuńczego ptaszysko piejące tak donośnie, że w samym Mukdenie dawni cesarze musieli wstawać z grobów. Lien i jej sroki początkowo miały być rekompensatą za rozgotowane koguty, ale jak już wspomniano, rezultat był odwrotny do oczekiwań.

Ćwiczenia wojskowe trwały minimum dwanaście godzin na dobę. Sierżantowi Fedorczykowi pomagało jeszcze czterech podoficerów, równie jak on wiekowych i posiwiatych weteranów powstania styczniowego i bajkalskiego, którzy nie zniżyli się do skorzystania z żadnej carskiej łaski ani amnestii. Żyli tylko po to, by szkodzić zaborcy w każdy możliwy sposób, i z tej zawziętości zdawali się czerpać swoje niespożyte siły i żelazne zdrowie. Nie zdarzyło się, by któryś z piątki instruktorów okazał zmęczenie. Co

173

najwyżej ironię, kiedy młodszy od nich o dwa pokolenia mężczyźni ledwie mogli ustać na nogach. Przepętni podziwem Chińczycy nazwali ich Pięcioma Nieśmiertelnymi i bywały chwile, że ci niezłomni starcy istotnie na takich wyglądali.

Dodatkowymi cechami łączącymi osobiście sierżanta Fedorczyka z mitycznymi chińskimi nieśmiertelnymi były porywczosć Zhonga Kui, wyjątkowo zawziętego na demony z natury rudowłose, oraz sarkastyczne poczucie humoru Liu Dongbina, patrona fryzjerów. Słowem, komendant zawsze potrafił znaleźć czas, siły i ochotę, żeby zmyć głowę Patrycji. Za cokolwiek. Bez prostactwa, lecz z drwiną sięgającą szpiku kości. Jego zdaniem Irlandczycy byli narodem nieobliczalnych piromanów potrafiących tylko wysadzać się nawzajem w powietrze. Nawet czajnik w ich rękach groził awarią na miarę wybuchu kotła parowego. I zasadniczo nie popierał strategii walki z Anglikami polegającej na rozśmieszaniu ich do rozpuku. W najlepszym razie, bo znacznie gorsze było zapewnianie im poczucia moralnej wyższości.

Minęło wiele czasu, zanim Patrycja zdała sobie sprawę, że za tymi sardonicznymi połajankami kryje się nauka podstaw konspiracji i wojskowej logistyki, a udawany gniew skrywa współczucie, którego stary żołnierz nie potrafił inaczej okazać. Na razie jednak doszło do tego, że Irlandka zaczęła się zachowywać, jakby teraz ona miała zajęczą wargę. Bez potrzeby nie opuszczała kwatery i jak tylko mogła, schodziła sierżantowi z drogi. Nie było to łatwe, bo musiała wyprowadzać psa. Jej romantyczne pierwsze wrażenie, że będzie mieszkać w Het-ala jak księżniczka w wieży, znalazło swoje przewrotne dopełnienie, komendant Fedorczyk bowiem okazał się złym smokiem. Cóż, w krainie smoków ktoś chyba musiał grać tę rolę...

Zęby udowodnić swoją przydatność i zasłużyć na przychylniejsze słowo, Patrycja zaczęła systematycznie pomagać doktorowi Zakrzewskiemu. Początkowo tylko przy rannych Polakach, bo chorzy Chińczycy na jej widok myśleli, że pora umierać. Z czasem

174

jednak i oni przywykli, a w końcu lazaret naprawdę stał się miejscem, w którym zdaniem komendanta „ta ruda panna jednak na coś się przydawała”. W końcu Irlandka, choć z dużo większymi kłopotami niż Lien, znalazła swoje miejsce w twierdzy.

Chinka lojalnie nie próbowała wykorzystywać nagłego wzrostu swego statusu społecznego. Nadal traktowała Patrycję jak starszą siostrę i starała się jej we wszystkim usługiwać, aczkolwiek kiedy obie znalazły się na wspólnym gospodarstwie domowym, zaraz dały o sobie znać różnice kultur. Zwłaszcza jeśli chodzi o stosunek do pająków i nietoperzy. Doprawdy Chińczycy mogli znaleźć sobie inne stworzenia do przynoszenia szczęścia oraz wszelkiej innej pomyślności! Kiedy Patrycja chciała omieść na kwaterze pajęczyny, Lien stanęła, by bronić ich własną pierś. Nie pokłóciły się tylko z powodu obustronnej nieznamośności języka. Poproszony o mediację doktor Zakrzewski pogodził je w sposób zgoła nieoczekiwany - natychmiast zgarnął pajęczyny, by zrobić z nich staropolskie okłady na jątrzące się rany. W tym czasie Lien z poświęceniem ratowała pająki, przenosząc je na patykach w bezpieczne zarośla. Wieczorem do ich izby wleciał nietoperz i kiedy Patrycja wpadła w panikę, że zaraz diabelski stwór wkręci się jej we włosy, Lien biegła za nim z miseczką miodu, starając się go ugościć. Zdaje się, że Chinka najchętniej zostawiałaby na całą noc niezasłonięte niczym okno, aby szczęścia wleciało im możliwie najwięcej. Innym razem Lien pozostawiona sama sama z kartoflami pokroiła je w drobną kosteczkę i ugotowała jak ryż. Patrycja musiała je jeść pałeczkami, czując się przy tym niewymownie głupio. Jednak któregoś dnia, kiedy obie usiadły do szycia nowych sukni z jedwabiu łaskawie przydzielonego im przez komendanta, nagle zaczęły się rozumieć bez słów i poczuły naprawdę jak siostry.

Po dwóch tygodniach w Het-ala minął pierwszy zawrót głowy spowodowany mnóstwem nowych wrażeń oraz perturbacji i Patrycja zaczęła się zastanawiać, co dalej ze sobą zrobi. W wolnej chwili zagadnęła o to doktora Zakrzewskiego.

175

- Mam nadzieję, że panienka nie zmieniła zdania?! - lekarz nastroszył się w pierwszym momencie. - W obecnej sytuacji odstawienie mademoiselle do jakiegokolwiek brytyjskiej posiadłości w Chinach jest absolutnie wykluczone. Mam nadzieję, że nie czuje się panienka tu uwięziona?

Opuszczanie doliny było wprawdzie surowo zakazane, ale Pa-trycja istotnie nie czuła się więźniem. Chciała jednak pomyśleć o swej przyszłości.

- Widzę, że szykujecie się tu do jakiejś wojny, panie doktorze. Jak długo może ona potrwać?

- Mam nadzieję, że mogę liczyć na panienki dyskrecję? - spojrzał na nią badawczo.

- To należy do mojego zawodu - odparła poważnie Patrycja.

- W przyszłym roku wybuchnie w Chinach wielkie powstanie. Właściwie ono już trwa, ale na razie tylko w jednej prowincji. Emisariusze powstańców dotarli jednak do wszystkich zakątków kraju i rozpoczęli przygotowania. To będzie wielka zawierucha, która może potrwać całe lata. Powinna panienka się z tym liczyć.

- Przeciw komu będzie to powstanie?

- Zamierzamy obalić panującą dynastię, która wydała Chiny na łup obcych mocarstw. Potem zamierzamy obwołać cesarzem naszego króla.

- Przepraszam, ale dlaczego wy, Polacy, mieszacie się w sprawę obcego kraju?

- Cel tej walki jest nam bardzo bliski. Chińczycy chcą powstrzymać rozbiory swojego kraju tak jak kiedyś my. Trudno, żebyśmy nie pragnęli im w tym pomóc. Zwłaszcza że przy okazji możemy upokorzyć dwóch naszych dawnych zaborców, czyli Rosję i Niemcy.

-Jest jeszcze Anglia... - zauważyła zadumana Patrycja.

- Cóż, wobec tego będzie to również wojna z zaborcą ojczyzny pańienki. ' , . - .  
•-..\*•••

176

- Wojna z całym światem? Z najpotężniejszymi kolonialnymi imperiami Europy?

- Jeżeli podpalimy cały Daleki Wschód i dobrze rozegramy naturalne sprzeczności między krajami europejskimi, mamy szansę wymusić zwrócenie Polsce niepodległości. To jest nasz cel ostateczny.

-- Obawiam się, panie doktorze, że wywalczenie niepodległości Irlandii jest ponad moje siły.

- Nikt tego od mademoiselle nie oczekuje.

- Zatem co ja mam robić?

- To, co pańienka potrafi robić najlepiej.

- Jestem pokojówką.

- Proszę więc pomyśleć o roli damy dworu. Żartowaliśmy już trochę na ten temat, ale to propozycja jak najbardziej poważna. Skoro ma pańienka dobre referencje...

- Mogę pokazać.

- Oczywiście wnikliwie je rozpatrzmy - uśmiechnął się doktor z udawaną powagą. - Lecz ja nie czuję się upoważniony. Przedłoży je mademoiselle ochmistrzyni dworu.

- Przepraszam, panie doktorze, że o to pytam, ale czy Ukryty Król naprawdę istnieje? Wiele o nim mówicie, jednak czy to nie jest przypadkiem bardzo wygodny mit?

- Czy można osadzić mit na cesarskim tronie? - odpowiedział pytaniem. - Ale oczywiście zależy nam, aby ci, którzy mogą nam zaszkodzić, na razie tak właśnie myśleli.

- Istnieje zatem ukryty dwór, którego miałabym być damą?

- Oczywiście.

- Pałac też?

-Jak najbardziej. Znajduje się we wnętrzu góry. Lepiej jednak, aby pańienka przynajmniej na razie nie wiedziała której.

- A jakie warunki powinnam spełnić, by zostać damą dworu?

- Podstawowym wymaganiem jest umieć czytać i pisać.



- To umiem.

177

- Po chińsku.

- O Boże! Jak ja zapamiętam te miliony znaków?!

- Bez przesady, mademoiselle, jest ich najwyżej czterdzieści tysięcy.

- Dziękuję bardzo! %r,||:|,||.

- Tysiąc wystarczy, by nie uchościć za analfabetę. Zresztą panienska umie rysować.

- To pomaga?

- Jak najbardziej. Pisanie po chińsku to sztuka rysowania myśli i zjawisk. Trzeba tylko nauczyć się myśleć jak Chińczyk i jak on postrzegać świat. To jest naprawdę ciekawe i może się paniencie spodobać. Weźmy na przykład wodę... - narysował patykiem na ziemi:

- Co to ma wspólnego z wodą? - zdumiała się Patrycja.

- Bardzo wiele, mademoiselle. Kiedy my, Europejczycy, patrzymy na wodę, widzimy fale, Chińczycy zaś refleksy światła odbitego od tych fal. Stąd my na oznaczenie wody rysujemy linie faliste, a oni grupę słonecznych odbłysek. Proszę zwrócić uwagę przy okazji. Na wodzie same tworzą się jej podpisy po chińsku, i

Irlandka zamknęła oczy i wytężyła pamięć.

- Ojej! - wykrzyknęła podekscytowana. - To naprawdę tak wygląda! A Lien? - niespodziewanie zmieniła temat. - Czy ona też razem ze mną mogłaby zostać damą dworu?

- Wykluczone. :

- Ależ dlaczego?

- Dlatego, że mademoiselle nie rozumie po chińsku ani słowa. Ale jak już panienska nauczy się języka, jestem pewien, że szybko przestanie zadawać takie pytania.

178

- Czego mianowicie się dowiem, panie doktorze? - Patrycja 2 kokieterią zatrzepotała rękami.

- Hm... cóż, mademoiselle, ujmę to tak: ta dziewczyna ma bardzo, ale to bardzo niewyparzony język i za grosz poczucia przyzwoitości w tym względzie. Na królewskie pokoje nie nadaje się absolutnie! Byłby to jeden wielki, nieustający skandal.

- Obiecuję nauczyć ją stosownego zachowania.

- Chyba panienska nie wie, o czym mówi! Ale... - Doktor Za-krzewski popatrzył na plac ćwiczeń, skąd znów dobiegły gniewne okrzyki komendanta Fedorczyka przeplatane wrzaskami srok i perlistym

śmiechem Lien. - Stanowczo będzie jednak lepiej, jeśli ta dziewczyna nauczy się czegoś ode mnie niż od naszego drogiego sierżanta... Zaczynają panny od jutra.

- Dziękuję bardzo, panie doktorze!

W przepaść runął cały dział.

Haubica, jaszcz z amunicją, dwa konie i jeden z Kozaków usiłujących zapobiec nieszczęściu. Stojący sto metrów dalej Sergiusz mógł tylko bezradnie patrzeć, jak wszystko to razem kotłuje się coraz szybciej, osuwając po stromiznie, której do pełnego kąta prostego brakło zaledwie kilku stopni. Nagle w miejscu, gdzie był jaszcz, wykwitła oślepiająca kula ognia.

Oficer odruchowo cofnął głowę znad krawędzi. Fala podmuchu niosąca tysiące odłamków skalnych nadleciała ułamek sekundy później. Potworny huk detonacji ścisnął skronie. Cała górską grań, którą szli, zadygotała w posadach, wręcz uniosła się w górę niczym grzbiet wijącego się olbrzymiego węża lub smoka. Wszędzie jak okiem sięgnąć posypały się mniejsze i większe lawiny kamieni, strącane przez echo dudniące jak tysiąc gromów. Zdawało się, że zaraz zawałą się całe góry Czang-bo. Ekrazyt - najnowsze osiągnięcie ludzkiego geniuszu destrukcji - ujawnił całą swoją potęgę.

Sergiusz zbladł i ugięły się pod nim kolana. Takie wrażenie zrobił na nim jednak nie widok katastrofy, lecz świadomość, że tyle czasu wiózł przez góry przeterminowaną amunicję. Tego skurwysyna, który sfalszował termin ważności, należałoby zatłuc nahajami na śmierć! Z ekrazytem nie było żartów. Podstawowy składnik tej mieszanki wybuchowej, kwas pikrynowy, w miarę upływu czasu nieubłaganie przeżerał od środka żeliwne skorupy granatów, powodując, że wewnątrz odkładała się warstwa pikry-nianów żelaza, przy mocniejszym uderzeniu działających jak

180

spłonka. Przeszarzałe granaty wybuchały w lufie przy wystrzale albo już podczas ładowania. Parafinowa izolacja chroniła żeliwny czerep tylko do czasu. Do ściśle określonego czasu, którego żaden zdumiały zupak z intendencji nie miał prawa, nie śmiał przedłużyć ani o dzień! A jednak któremuś tak było wygodniej i ładniej w papierach... Sądząc po efektach, prawdziwy termin bezpieczeństwa granatów minął jakieś pół roku temu! Sergiusz poczuł, że wypełnia go lodowata wściekłość. Przez jakąś czynow-niczą kanałię zabrał w góry bombę, która na byle wyboju mogła mu zmieść cały oddział z powierzchni ziemi! Na wszelki wypadek w Ningucie kazał wymościć jaszcz grubym wołokiem i pewnie dlatego jeszcze żyli. Ech, dziękować Bogu, że stało się to w przepaści, nie między ludźmi!

Z drugiej jednak strony powód do radości był mocno umiarkowany, bo wszyscy patrzyli na wypadek, a większość, zwłaszcza tych stojących najbliżej, nie zdołała w porę ukryć się za krawędzią urwiska. Dwudziestu ludzi ucierpiało od odłamków oraz wyrzuconych w górę kamieni, z tego czterech ciężko - wybite oczy, roztrzaskane głowy, połamane szczęki i obojczyki... Nic już z nich nie będzie. Nianczyć takich, co nie mogli jechać o własnych siłach, też nie było sposobu. Pozostawało nieboraków jako tako opatrzeć i dać im umrzeć w spokoju. Znaczący zostawić. Jedyna pociecha, że dwie ofiary to najmniej użyteczni cywile - kandydat etnografii i pan botanik, którzy wykazali największą ciekawość katastrofy.

Sergiusz pozostał głuchy na skomlenia entomologa, że trzeba natychmiast wracać, by odstawić rannych do szpitala. Idiota! Akademik próbował jeszcze buntować batuszkę, ale ten znał swoje niejsce i nie zamierzał sprzeciwiać się wojskowej władzy. Pobłogosławił umierających, poza tym ani pisnął.

W sumie wychodziło jednak na to, że najwięcej rozumu miał :en pismak Tomaszewski, który zdezerterował, zanim oddalili się bardziej od doliny rzeki Hai-łań stanowiącej ostatnią pewną drogę io ludzkich siedzib. Uciekając, redaktorek niechęć dowiódł, że

«mv

181

jednak nie jest z ochrany, co tak ucieszyło Sergiusza, że nie kazał drania ścigać i powiesić.

Starszy lejtnant, gotując się z wściekłości, wydał rozkazy, zaprowadził porządek w kolumnie i nakazał dalszy marsz. O odwrocie nie było mowy. Należało tylko jak najszybciej zejść z tej przekłętej grani, zanim wypatrzy ich ktoś zwabiony wybuchem. Sergiusz wybrał tę drogę, licząc na to, że marsz po szczytach pozwoli im lepiej orientować się w okolicy i skuteczniej unikać ewentualnych zasadzek, które dużo łatwiej zastawić w lesistych dolinach. Z początku pomysł był dobry, ale góry robiły się coraz wyższe i bardziej strome, aż chcąc nie chcąc wyszli ponad poziom lasów i hał. Trudno było ukryć w kosodrzewinie pół setki ludzi wraz końmi. Wysłany przodem zwiad doniósł jednak, że to pasmo skończy się niebawem. Ponadto dotąd nikt ich nie śledził ani nie obserwował z daleka, nikt też nie uciekał przed nimi. Sergiusz postanowił więc zaryzykować i przebyć odkryty teren szybkim marszem. Oczywiście w dzień, bo nocą na tej kamienistej ścieżynie można było tylko kark skręcić. Teraz okazało się, że za dnia też jest to w zupełności wykonalne...

Prawda była dużo gorsza.

Kilkanaście minut po tym, jak wznowili marsz, do dowódcy podszedł zafrasowany Nikita, kozacki dziesiętnik, z racji wieku i doświadczenia służący za prawą rękę Sergiusza.

- Wasze błagorodie... - zaczął stary Kozak, skubiąc niespokojnie siwe wąsy - ludzie gadają, że ten koń, znaczy się... z tej pary, co ciągnęła działon, że on ani się sam nie potknął, ani mu żaden kamień spod kopyta nagle nie wyskoczył...

- Tylko co? - zmarszczył się Sergiusz.

- Gadają, że tego konia nam... kto nie kto postrzelił...

- Jak to postrzelił? Skąd niby miał strzelać?! - starszy lejtnant spojrzął na urwisko i dolinę poniżej miejsca zdarzenia, bez skutku usiłując wypatrzeć miejsce nadające się na stanowisko domniemanego strzelca. - Czyście zdumieli?! Wszak żadnego strzału nie było słychać.

182

- Jak strzelają z daleka, to nie słychać, wasze błagorodie. Kula leci szybciej niż huk. A jak huk doleciał, to u nas koń już kwiczał i krzyk się podniósł, tak i w tym wszystkim przepadło...

- Nikita, co wy gadacie, jak mi Bóg miły?! Taki strzał musiałby paść... - Sergiusz popatrzył na przeciwległą grań i dokończył wypowiedź z niedowierzaniem pomieszanym z podziwem i obawą: -... z tamtej strony doliny.

- Tak i mnie się zdaje, wasze błagorodie.

- Ależ to prawie półtora kilometra! Znaczą grubo nad wiorstę... Kto z takiej odległości potrafiłby trafić w konia?!

- Znałem takich, wasze błagorodie. Wojskowy karabin donie-  
sie.

Gorsze było to, czego dziesiętnik nie powiedział, a co obaj widzieli. Oba pasma górskie zbiegały się ze sobą i teraz odległość między nimi wynosiła mniej niż tysiąc metrów.

Zdenerwowany Sergiusz uniósł lornetkę i spojrzał na sąsiednią grań. Nie musiał długo wypatrywać. Za moment dostrzegł błysk szkieł patrzących na niego z przeciwnej strony. Jeden... drugi... trzeci... Ktokolwiek tam był, miał kozacki oddział jak na widelcu.

Skurczone gardło, zimny pot na karku. Sergiusz bardzo powoli opuścił lornetkę. Nikita nie musiał pytać, co zobaczył, błądowość dowódcy mówiła wszystko.

- Co nam trzeba teraz robić? - szepnął tylko.

Odpowiedzią był świst nadlatujących kul.

Huk salwy z przeciwległej grani doleciał, gdy wokół Sergiusza rozpętało się totalne pandemonium. Wrzaski, kwik koni i wizgi rykoszetów. Panika wybuchła w okamgnieniu. Tyle że na panikę nie było tutaj miejsca - zanim Sergiusz zdążył cokolwiek postanowić, w przepaść runęły trzy następne, spłoszone lub ranne konie, pociągając za sobą ludzi.

Tamci strzelali z tak wielkiej odległości, że nie było mowy o mierzeniu do konkretnych celów. Po prostu ostrzeliwali grań. Mnóstwo pocisków przenosiło górą, równie wiele łupało skały po-

183

nizej ścieżki. Groźna była może co piąta z wystrzelonych kul, ale co z tego, skoro nie było gdzie się przed nimi ukryć? Ci, co próbowali się schronić po drugiej stronie grani, jeden po drugim osuwali się w otwierającą się tam drugą przepaść.

Z kolei zawracać w tych warunkach byłoby samobójstwem. I bez świstu kul skierowanie koni łbami w przeciwną stronę, niż dotąd szły, z powodu szczupłości miejsca byłoby wykonalne z wielkim trudem. Teraz taki rozkaz tylko pogłębiłby zamieszanie. Tyle że ścieżkę blokowały coraz liczniejsze ciała końskie i ludzkie. Jeśli będą dalej zwlekać, to w ogóle nigdzie się stąd nie ruszą.

- Naprzód! Szybko naprzód! - Sergiusz podjął decyzję i zaczął przekrzykiwać chaos, pokazując ludziom poprzedni kierunek.

To też nie było dobre rozwiązanie, ponieważ obie granie się zbiegały. Z każdym krokiem pokrywający ich ogień karabinowy był coraz gęstszy i celniejszy. Lepsze jednak złe wyjście z matni niż żadne.

Jedynie, co Sergiusz mógł zrobić, to ignorować kolejne padające konie, jęki rannych i osobistym przykładem zachęcać ludzi do wytrwania. Gdy jego wierzchowiec został trafiony, sam go dobił i pomógł zepchnąć z drogi. Potem nie bacząc na ryzyko, stawał w miejscach, w których było go najlepiej widać. Ponaglał, pilnował względnego porządku, a zwłaszcza cekaemu, który przezornie kazał zdjąć z końskiego grzbietu. Żartował przy tym, że to żadna ulewa ołowiu, ot, kapuśniaczek... I że trzeba brać przykład z linoskoczków, bo oni nie mają miejsca, żeby się bać!

Dopiero gdy pomyślał, że któraś z przelatujących kul może być dla niego, poczuł, że ma mokro w lewym bucie. Spojrzał w dół. Cholewa na tydce była rozdarta. Zdziwił się, że nie boli. Skoro jednak mógł chodzić, kość musiała być cała. Machnął ręką na postrzał i robił dalej swoje.

Po kwadransie szczęście jakby zaczęło do nich wracać. Górską ścieżka zrobiła się szersza, bezpieczniejsza i zaczęła wreszcie opadać w dół. Kiedy zobaczyli przełęcz, na jednej z górujących nad

184

ścieżką skał Sergiusz kazał ustawić karabin maszynowy, by osłonić odwrót. Kozacy uwinęli się szybko, aczkolwiek zaraz się okazało, że do tej pory stracili połowę amunicji. Skrzynki z dziesięcioma taśmami pochłonęła przepaść. Trudno. Ważne, że nareszcie można było odpłacić pięknym za nadobne!

Celowniczy założył pierwszą taśmę, trzasnął górną pokrywę ramka. Sergiusz, nie odrywając lornetki od oczu, wykrzyczał na itawy celownika i maxim plunął długą serię, bijąc w pozycje tam-ych z odległości sześciuset metrów. To nareszcie powinno zmusić ukinsynów do milczenia! I rzeczywiście, ogień karabinowy zaraz wyraźnie osłabł.

Kozacy odetchnęli, z ich ruchów znikła nerwowość. Rozwi-hrzona kolumna zaczęła iść w większym porządku. Uspokojony iergiusz zaczął wypatrywać nowego stanowiska dla cekaemu i za-tanawiać się, w jaki sposób przenieść go tam w jak najkrótszym czasie. W połowie trzeciej taśmy poczuł się znowu panem sytuacji. Niesłusznie, bo z przeciwnej strony odpowiedziały mu teraz dwa arabiny maszynowe.

To jakiś obłąd! Starszy lejtnant z niedowierzaniem wsłuchał się w charakterystyczny terkot broni przeciwnika. Ależ to były amerykańskie korbowe gatlingi! Znał ten typ z prezentacji w Szkole Oficerskiej, lecz nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek w re-bej walce będzie mieć do czynienia z tymi malowniczymi zabytkami. Od kiedy do użytku weszły samoczynne karabiny maszynowe systemu Maxima i Colta, wielolufowe katarynki Gatlinga pojawiły się hurtem do demobilu. No właśnie! I dlatego teraz każdy mógł sobie tanio kupić, załadować na statek i przez koreański port Longdoz dostarczyć w Góry Wschodniomandżurskie. Na dodatek wszystko wskazywało na to, że te muzealne starocie wybiją ich raz do nogi!

Zrazu nie było jeszcze tak źle, choć szybko stało się jasne, że nie wyprowadzą stąd ani jednego żywego konia. Sergiusz rozkazał ozakom brać juki na plecy. Jego cekaemiści, dysponujący znacz-

185

nie lepszym sprzętem, wdali się z tamtymi w zaciekły pojedynek strzelecki. I to skutecznie, bo oba gatlingi, mimo w sumie większej szybkostrzelności, na dystansie pół kilometra miały wręcz kosmiczny rozrzut pocisków i nie było szans, by zdołały skupić je na stanowisku Maxima. Ten zaś co chwila zmuszał do chwilowego zamilknięcia jak nie jeden, to drugi.

Nie należało wszakże lekceważyć masywnych półcalowych pe-cyn ołowiu walących w skały z siłą oskarda. Jedna z nich tak na-mieszała w głowie entomologowi, że nieszczęśnik najpierw wy-smarował mózg, a potem sam skoczył w przepaść, rozkładając ręce jak skrzydła.

Katastrofa nastąpiła, gdy Sergiusz rozkazał przerwać ogień, aby przenieść cekaem w ślad za oddalającym się oddziałem. Właśnie wtedy odezwał się trzeci gatling, ustawiony w odległości zaledwie dwustu pięćdziesięciu metrów od przełęczy, do której zmierzali. Tym razem skupienie pocisków było mordercze. Zanim obsługa maxima dobiegła z nim na nowe stanowisko, marzenia o zorganizowanym odwrocie nieodwołalnie przysły. Została tylko garść przerażonych ludzi porzucających wyposażenie i kryjących się, gdzie popadnie. O pierwotnym celu wyprawy można było zapomnieć, stał się mrzonką. Sukcesem było teraz ująć z życiem.

A i na to nie było gwarancji, bo niby gdzie uciekać? Oddział Sergiusza miał jeszcze jeden mały atut, polegający na tym, że mimo wszystko zdołał zejść z grani szybciej, niż przeciwnik się spodziewał. Na przełęczy, do której nie dotarła połowa Kozaków i żaden z koni, ostrzał zdecydowanie zelżał. Trzeci gatling miał teraz niekorzystny kąt ostrzału, dwóm pierwszym w ogóle zesli z linii ognia, ręczne karabiny milczały. Tamci musieli się przegrupować, pytanie, jak szybko to zrobią? Nie można było zmarnować tego czasu, zalegając beczynnie za skałami. Sergiusz wiedział, że musi ludzi natychmiast poderwać, ale dokąd ich poprowadzić?

Przełęcz była płytka. Drugi łęk górskiego siodła tworzyło łagodne obłe wzniesienie, na którym stała niewielka kamienna wieża

186

wysoka na jakieś pięć, sześć metrów. Przypominała dużą dymarkę do wytopu żelaza. Miała kształt ściętego stożka przykrytego płaskim kwadratowym dachem-tarasem, a w połowie wysokości jedno okno wychodzące na przełęcz.

Co to za lichy?... O dziwo, Sergiusz zdołał znaleźć w pamięci ilustrację z książki etnografa Myszkina. Wieża Gwiazd - starożytne obserwatorium astronomiczne do wyznaczania terminów prac polowych i układania horoskopów... Czort z tym, ważne, że przeciwnik dotąd jej nie obsadził, inaczej zostałyby im tylko szczera modlitwa i kopanie mogił. Nawiasem mówiąc, batiuszka gdzieś przepadł.

|-.||=\*

Sergiusz wstał zza kamienia. Postanowił, że skoro można, ominą tę wieżę, zbiegną na lewą stronę przełęczy i ukryją się w lesie. Już otwierał usta, by wydać rozkazy, gdy zrozumiał, że nie zdążą. Z prawej rozległy się krzyki po polsku oraz gwałtowny tupot podkutych butów. Przeciwnik już dobiegał, więc jeśli zrobią to, co Sergiusz zamierzał, jego Kozacy skończą jak króliki na polowaniu, raz za razem dostając kule w plecy. Wątpliwe, czy ktokolwiek dobiegnie do lasu.

Trzeba było się bronić! Tylko to im zostało.

- Maxim na wieżę! - krzyknął do obsługi, pokazując budowlę po drugiej stronie przełęczy. - Biegiem marsz! Wszyscy do wieży!

Czterej cekaemiści ruszyli przodem, uginając się pod ciężarem taszczonego wspólnie maxima i skrzynek z amunicją. Za nimi Sergiusz, potem reszta Kozaków. W połowie drogi oficer odbiegł na bok, by zobaczyć, gdzie jest przeciwnik. Spojrzał, ocenił czas i odległość.

Za blisko! Do wieży też nie zdążą!

Nie to jednak sprawiło, że starszy lejtnant Sergiusz Lawendowski stanął jak wryty. Widok idącego na ich czele żywego chińskiego smoka zrobiłby na nim dużo mniejsze wrażenie. Chociaż to tam też najwyraźniej przyszło z legendy...

Spodziewał się bandy obszarpańców. Dobrze uzbrojonych, ale z wyglądu niczym nieróżniących się od gromady górskich włóczę-

187

gów, jakich oglądał w Ningucie. Zobaczył świetne regularne wojsko. Atakujący mieli na sobie dobrze zlewające się ze skałami po-pielato-kremowe mundury, przecięte na skos od lewego ramienia czarnym pasem z ładownicami. Do tego beżowe kepi z czarnym daszkiem i okrągłym denkiem, przesunięte na bakier i do przodu w stylu amerykańskiej kawalerii. Na nogach podkute buty z wysokimi cholewami.

Strzelcy Taniewskiego!... Mimo że Sergiusz pochodził z lojali-stycznej rodziny, poznał ich od razu. Nieprawda, że żołnierze powstania styczniowego walczyli w cywilnych ubraniach, tak jak wyszli z domu do lasu. To dotyczyło tylko uciekających przed branką spiskowców z Kongresówki. Ochotnicy z Wielkopolski i Galicji mieli czas na solidne przygotowania, a finansujący ich bogaci patrioci zamawiali nie tylko broń, ale i mundury u najlepszych krawców. Przykładem żuawi śmierci Rochebrune'a, który sformował oddział z uczniów swojej szkoły szermierczej w Krakowie, w przyпыtywie fantazji ubierając ich w stylu francuskich wojsk kolonialnych z Afryki Północnej. Inne projekty umundurowania wręcz wyprzedzały epokę. To właśnie dotyczyło strzelców Taniewskiego i Jeziorańskiego. Anglicy dopiero teraz, po pierwszych starciach z Burami, rozważali rezygnację z tradycyjnych czerwonych kurtek, nadających się świetnie na tarcze strzelnicze, na rzecz mundurów o kroju i barwie zbliżonych do tego, co nosili polscy rebelianci w 1863 roku. Prawda, nie były to liczne oddziały, najwyżej kilkaset osób, ale prezentowały się tak wspaniale, że każda europejska armia mogłaby pozazdrościć. Przynajmniej przez pierwsze tygodnie.

Sergiusz grafiki Grottgera widywał. Jednak tego, że taka grafika ożyje, a postacie wyskoczą z ramek, żeby go zabić, nie śnił w najkoszmarniejszych snach. Zresztą ożywiona grafika nie byłaby aż tak groźna. Tamci w dole nie trzymali w rękach starych karabinów kapiszonowych, tylko najnowsze modele systemu Mau-sera, którymi balansowali, łapiąc równowagę w biegu po kamieniach. ;

, • ;

188

Starszy lejtnant wziął się w garść i raz jeszcze ocenił szansę swoich. Nie dobiegną do wieży. W każdym razie nie doniosą tam cekaemu. Jeden z niosących maxima Kozaków, na których skupiał się teraz cały ogień przeciwnika, właśnie padł trafiony, kolejny zaś nie kwapił się go zastąpić. Jeszcze moment, a rzuca karabin maszynowy, by ratować życie.

Należało za wszelką cenę pohamować nadbiegających strzelców i odwrócić ich uwagę.

- Nikita! - zawołał Sergiusz do dziesiątnika. - Zbierz ludzi i kontratakuj!

Stary Kozak obejrzał się. Osłupiały popatrzył na przełęcz, potem na dowódcę. Widział, że na pewną śmierć posyłają.

- Trzeba osłonić cekaem - powiedział stanowczo oficer. - Idźcie z Bogiem! Za cara i ojczyznę!

Nikita zasalutował bez słowa i nasadził bagnet.

- Wiara!!! W tył zwrot!!! - zawołał ile tchu. - Na sztyki! Kozacy posłuchali. Ostatnich kilkunastu... Ten i ów przeżegnał

się szybko.

- Naprzód! - krzyknął Nikita, sprzężając się do skoku. - Boh :arachrani!!!URRAA!!!

Sergiusz mógł zrobić już tylko jedno: zacisnąć zęby i patrzeć.

Nadzieja, że szaleńczy kontratak odrzuci nacierających, rozwia-:a się niemal od razu. To nie było malowane wojsko. Strzelcy na-ychmiast przyklękli, repetując karabiny. Głowy w zawadiackich tępi pochyliły się niżej nad kolbami.

- Pluton na stanowiska! - dobiegło z dołu. - Strzelać bez rozkazu! Krzyk Nikity utonął w gwałtownej palbie. Polacy rozstrzelali je-

50 ludzi, zanim zbiegli pięćdziesiąt kroków. Choć ręce musiały im Irzeć po biegu pod górę, nie marnowali kul. Na końcu padł stary Lozak. Szedł na wroga, podpierając się karabinem, póki mógł, )óki sił starczyło...

Sergiusz ocalał cekaem. I został z pięcioma ludźmi. Co więcej, ;tał teraz sam na pustym przedpolu naprzeciwko plutonu strzel-

189

ców. Ci podnosili głowy, patrzyli na niego uważnie, oceniali odległość, po czym znów pochylali się nad mauzerami, nastawiając celowniki. Rosyjski oficer stał dość daleko, więc musieli przesunąć

0 dwie podziałki. Bardziej przewidujący przesunęli o trzy. Tak się właśnie ginie na polu chwały.

Sergiusz poczuł, jakby gardło zalała mu lodowata rtęć. Wiedział, że powinien uciekać, ale nie był w stanie się ruszyć. Wszak

1 tak zabijają, więc chociaż nie w plecy! Przynajmniej zdąży zasalutować...

- Wasze błagorodie! Uchaditie!!! - wrzeszczeli Kozacy przy wieży.

Instynkt samozachowawczy poruszyła dopiero myśl, że zabijają rodacy. Wszyscy, tylko nie swoi...

Sergiusz ani się obejrzał, jak biegł długimi susami pod górę, klucząc przy tym niczym kozica. A tamci pewnie chełpliwie zakładali się między sobą, który dostanie oficera.



Wokół rozgwiżdżały się kule. Teraz dopiero zabolą przestrelona łydka. Nie zważał na to. Biegł, nie licząc szans. W górę, w górę... w górę...

Drugie trafienie do złudzenia przypominało mocny chwyt za ramię. Jakby stary Nikita ciężką ręką przytrzymał dowódcę, żeby go pociągnąć za sobą w zaświaty. „A wy gdzie?” - Sergiusz wyraźnie to usłyszał. Tylko że szarpnięty nie poleciał w tył, a do przodu. I zabolą jak cholera. Kula przeszła nad obojczykiem, przez mięśnie u zbiegu szyi i barku. Strumyk krwi popłynął wartko za dekolt munduru.

Trzeci pocisk rozszarpał płatek ucha i drasnął podbródek. Ciepła strużka na szyi...

Było oczywiste, że strzelec mierzący do oficera postanowił trafić w głowę i bierze coraz lepsze poprawki. Kolejny pocisk powinien wejść za uchem lub w kark... Sergiusz pojął, że teraz po prostu spadnie na niego ciemność.

I zrobiło się ciemno.

190

Starszy lejtnant Lawendowski umarł. Serce stało mu przez kilka długich sekund, zanim zdał sobie sprawę, że to jednak nie kula. Po prostu wbiegł w cień za Wieżą Gwiazd. Wtedy oparł się plecami o kamienny mur i sam skamieniał.

Tymczasem maxim ustawiony w oknie wieży jazgotał długimi seriami, a w przerwach słychać było triumfalne okrzyki obsługujących go Kozaków. Wynikało z nich, że atakujący odступują i znikają wśród skał.

Do Sergiusza nic z tego nie docierało. Po prostu stał i patrzył w pustkę.

Jakiś czas potem jeden z Kozaków pomachał mu dłonią przed oczami. Nie zareagował. Dopiero klepnięty w policzek zamrugał.

- Wasze błagrodie... - Kozak przestraszył się swej śmiałości.

- Czego?! - zdołał wykrztusić przez zmartwiałe, wciąż zalane lodowatą rtęcią gardło.

- Opatrzyć trzeba... - pokazał na mokry od krwi mundur dowódcy.

Sergiusz skinął głową, usiadł u podnóża wieży. Kozak wyjął nóż i zaczął rozcinać mu zakrwawioną bluzę.

Kilkaset metrów niżej rzeczowo naradzano się nad zaistniałą sytuacją.

- Panie kapitanie, proszę o wybaczenie! - przepraszający mówił najczystszą polszczyzną. Miał na sobie mundur strzelca górskiego, ale w żyłach ani kropli europejskiej krwi. Plutonowy Szymczak był Czukczą z dziada pradziada, sierotą wychowanym w rodzinie polskich zesłańców.

- Za co? - zdziwił się kapitan Jaskólski. Z podwładnym prócz munduru i języka łączyły go też skośne oczy.

- Ze nie zdążyliśmy odciąć im drogi.

- Dajcie spokój, plutonowy. Widziałem, że zrobiliście wszystko co w waszej mocy. Otoczyliście ich?

- Tak jest!

191

- W takim razie nie ma zmartwienia.

- Będą pić wodę z cekaemu i żreć ołów z naboii... - w oczach podoficera błysnęła zawziętość.

- Nie będziemy tyle czekać. Dobijemy ich w nocy granatami. Rozdajcie ludziom dwie skrzynki.

- Tak jest, panie kapitanie!

s

Meng po tygodniowej kuracji poczuł się znacznie lepiej. Co prawda, nie można było oczekiwać, że psychiczne skutki przewlekłej rtęcy miną bez śladu w tak krótkim czasie, niektóre skazy charakteru mogły mu zostać do końca życia, ale teraz przynajmniej był w stanie myśleć rozsądnie i panować nad sobą. Resztę Caj Cung-jen potrafił utrzymać w ryzach.

Ambasador tym razem nie był uległy ani uprzejmy. Mówił twardo, głosem niedopuszczającym sprzeciwu. Wyglądało na to, że w czasie choroby Menga między Chińczykami doszło do rozmów, bóre wzmocniły królewski autorytet Hung Siao-Tiena i przypomniały bokserom, jak wielkim szacunkiem wśród ludu cieszy się egenda Królestwa Niebiańskiego Pokoju oraz imię pierwszego władcy tajpingów. Najwyraźniej I-He-ćiuan wstępnie zgodzili się )odporządkować jego następcy i Caj Cung-jen właśnie z tego ko-zstał.

- Napaści na wyznawców Jezusa są całkowicie niedopuszczalne mają natychmiast ustać! - powtórzył z całą powagą. - Taka jest rola króla!

Obaj bokserzy popatrzyli po sobie z wahaniem. Nie mogli być \*dnak zdziwieni tym żądaniem, skoro wielki Hung Siou-ćyuan osił tytuł „brata Jezusa”.

- Czym zostaniemy za to wynagrodzeni? - Meng spróbował się irgować.

- Jego niebiańska wysokość Hung Siao-Tien, Władysław V jest rólem, a nie kupcem i nie będzie się zniżać do nikczemnego rzekupstwa! - odparł wyniośle Caj Cung-jen. - Okażcie postu-

193

szeństwo bez żadnych warunków! Tylko takie może być nagrodzone królewską łaską.

Bokserzy naradzali się szeptem przez dłużą chwilę, wreszcie ustąpili.

- Jesteśmy posłusznymi synami Niebiańskiego Króla - zapewnił Wang, pochylając głowę. - Niezwłocznie po powrocie dołożymy starań, aby odwrócić gniew naszych braci od obcych misjonarzy oraz ich stronników. Choć nie będzie to łatwe. Oni nie szanują naszych starych zwyczajów.

- Nie wszystkie stare zwyczaje są godne szacunku - uciął tłumaczenia ambasador.

- Łatwiej jednak przyjąć tę prawdę z ust człowieka naszej krwi i rasy - odparł Meng, starannie omijając wzrokiem pułkownika La-wendowskiego, który siedział w milczeniu u boku Caj Cung-jena.

- Skoro jesteście posłuszni, potęga Ukrytego Króla stanie po waszej stronie. Resztę objaśni wam wódz jego wojsk - ambasador dał znak pułkownikowi.

- Dostaniecie od nas najnowocześniejsze działa i karabiny maszynowe - powiedział oficer. ;

- To znaczy? - spytał Wang.

- Karabiny maszynowe Maxima oraz szybkostrzelne armaty Deporta, wzór 1897, kaliber siedemdziesiąt pięć milimetrów, zdolne wystrzelić do trzydziestu pocisków na minutę.

Caj Cung-jen dłuższą chwilę przekładał miary europejskie na chińskie.

- Takie diabelskie armaty naprawdę istnieją? - zdumiał się Meng.

- Tak, i będą strzelać do naszych wspólnych wrogów. Przybędziemy z nimi do was na półwysep Szantung wczesną wiosną przyszłego roku.

- W jaki sposób? - dopytywał się dalej Wang.

- Przez morze, na koreańskich statkach. Armia Dwóch Sztan-darów, Bursztynowego i Niebiańskiego, wyląduje opodal miast\*

194

Czifu, szczegóły przekażą wam zaufani ludzie. Dopilnujcie, aby to miejsce było bezpieczne. Następnie wszyscy razem przejdziemy przez góry na drugą stronę półwyspu i zaatakujemy niemiecką koncesję wokół portu Cingtao.

- Dowiedziałem się, że w Europie Ludzie Cnoty są waszymi złymi sąsiadami i walczyli z nimi już od tysiąca lat - stwierdził Wang, dając dowód, że nie marnował czasu przez ostatni tydzień.

- Cóż znaczy jeden tysiąc lat! - prychnął z wyższością Meng. Ambasador uciszył go jednym spojrzeniem.

- To prawda - pułkownik z uznaniem skłonił się Wangowi. -Dlatego będzie dla nas wielkim zaszczytem móc zmierzyć się z nimi tutaj.

- Oni chyba będą bardzo zdziwieni, gdy ujrzą wasze wojsko atakujące ich w Kraju Środka - dociekał dalej Wang.

- Wy bylibyście równie zdziwieni, wychodząc rano z domu i spotykając na progu Księżycowego Zajęcia tłukącego w móżdżerzu cynamon - odparł lekko oficer.

Tym razem uśmiechnęli się wszyscy, nawet Meng. Atmosfera rozmów nareszcie się rozluźniła.

- Niemcy nie spodziewają się ataku nowocześnie uzbrojonej armii - mówił dalej pułkownik Lawendowski. - Lekceważą was i dlatego nie wzniesli od strony lądu fortyfikacji, które opartyby się nowoczesnej artylerii. Jeżeli dobrze wszystko zaplanujemy, złamiemy ich obronę w ciągu jednego dnia, może nawet w kilka godzin. Wtedy pomścicie wszystkie swoje upokorzenia.

- Potopimy ich w morzu! - zawołał Meng.

- Nie, to wykluczone. Kiedy minie pierwsze zaskoczenie, Niemcy zamkną się w nadmorskich fortach pod osłoną ciężkiej artylerii okrętowej. Nie zdołamy tych umocnień zdobyć, ale też nie będzie potrzeby. Niemcy nie ruszą się stamtąd, póki nie dostaną posiłków z Europy.

- Mogą im pomóc inne zamorskie kraje - zauważył Wang. - Najbliżej mają Anglicy.

195

- Którzy właśnie zajęli niemieckie statki z bronią dla afrykańskich Burów - wszedł mu w słowo pułkownik. - Między Anglią a Niemcami panuje teraz wielka wrogość. Francuzi też Niemcom nie pomogą, bo nie mogą wybaczyć im klęski w 1870 roku. Francja jest sojusznikiem Rosji, której z kolei bardzo nie w smak angielska przyjaźń z Japonią. Jednym słowem, w powietrzu znowu czuć zapach wielkiej europejskiej wojny. Jeśli będziemy postępować rozważnie, nikt nie przyjdzie Niemcom z pomocą. Tylko wy, I-He-čiu-an, musicie wreszcie nauczyć się rozróżniać cudzoziemców!

- Trudno wytłumaczyć to prostym ludziom, którzy doznają od nich samych krzywd - odparł poważnie Meng. - Nawet gdybyśmy zdołali, w jaki sposób was odróżnią? Wyglądacie tak samo, nosicie te same stroje, używacie na przemian waszych języków, których prawie nikt z nas nie zna. Bardzo trudno dostrzec to, co was różni. A na pewno nie różni was chciwość.

- Po to wy jesteście przywódcami, aby mądrze prowadzić swoje drużyny przeciwko prawdziwym wrogom - rzekł Caj Cung-jen.

- Walcząc z Niemcami pod Cingtao, postaramy się zdobyć jak najwięcej broni - podjął temat pułkownik. - Potem nauczymy was, jak się nią posługiwać, i ruszymy za Huang-ho, przeciwko cesarskiej gwardii.

- Poradzimy sobie z Mandżurami i zdobędziemy Pekin bez cudzoziemskich karabinów! - zaperzył się Meng.

- Potrzebujecie tych karabinów, bo gwardia Juan Szy-kaja jest uzbrojona i wyćwiczona tak samo jak niemiecka. Jeżeli jednak pokonamy mistrzów, tym łatwiej poradzimy sobie z uczniami. Kopia jest mniej warta niż oryginał.

- Po zdobyciu Pekinu sprowadzimy tam naszego króla i będziemy cieszyć oczy, patrząc, jak zasiada na cesarskim tronie - zakończył ambasador.

- Będziemy wówczas najszcześniejszymi z ludzi - zapewnił Wang. - Jednak co pocniemy, jeżeli Japończycy spróbują wykorzystać zamęt w Państwie Środka?

196

f - Postaramy się, aby Japonia miała związane ręce - rzekł pułkownik. - W razie poważnego niebezpieczeństwa król Korei zawrze sojusz z carem Rosji.

- Który jest wielkim wrogiem Ludzi Bursztynu - zauważył Wang. - Co zrobicie, jeśli Korea zwróci się przeciw wam?

- Nie robi tego, ponieważ celem króla Kojonga jest równowaga sił trzech cesarstw, a nie wygrana któregoś z nich, bo to oznaczałoby niewolę Korei.

- Sprytnie - zauważył Meng. - Ale my nie zapominamy, że Korea była lennem Państwa Środka i powinna wrócić do tej roli.

- Nie można mieć wszystkiego - odparł pułkownik Lawendowski.

- Możemy osiągnąć wiele, zachowując jedność - zakończył obrady Caj Cung-jen. - Niech Jezus Pan Nieba oraz duchy wszystkich naszych szlachetnych przodków pobłogosławią naszym zamierzeniom!

Z domu, w którym książę Om Gon udzielił gościny bokserom, ambasador i pułkownik Lawendowski wyszli zadowoleni. Teraz pozostawało dokończyć rozmowy z Japończykami w sprawie ich neutralności. Sprawa była kluczowa, bo bez japońskiego przyzwolenia Koreańczycy nie będą mogli przetransportować wojsk Ukrytego Królestwa. Jednak Caj Cung-jena chwilowo bardziej martwiło co innego.

- Szanowny pułkowniku, skąd my weźmiemy artylerię obiecaną Mie-ciuan?

- Ukradniemy Rosjanom - odparł spokojnie oficer.

- Taka broń zajmuje chyba wiele miejsca?

- Razem z amunicją i niezbędnym dodatkowym sprzętem to będzie co najmniej dziesięć wagonów kolejowych. Może nawet : piętnaście.

- Ukradniemy im cały pociąg? - zdumiał się stary tajping.

- Nasz interes kwitnie, panie Caj, więc najwyższy czas przejść od detalu do hurtu...

197

- A jeśli to zaszkodzi godności i powadze naszego króla?

- Póki nie będziemy mieli przemysłu zbrojeniowego, muszę kraść! - odparł stanowczo pułkownik Lawendowski. - I zapewne niam, że królewska powaga na tym nie ucierpi. Wstyd to kraść (mało). Zapewniam, że kradzież pociągu z bronią wzbudzi podziw całej Europy.

- Żyjemy obok siebie długie lata, ale wasze obyczaje chyba nie przestaną mnie zadziwiać - westchnął ambasador.

- Mogę to samo powiedzieć o was - oficer uśmiechnął się cierpko. - Zwłaszcza jako człowiek, który wziął ślub z martwą chińską księżniczką. Teraz jednak mamy poważniejszy kłopot.

- Co to takiego? Pułkownik sięgnął po zegarek.

- Za dwie godziny mamy się spotkać z japońskim rezydentem, panem Minamoto, a tymczasem Filipiak gdzieś mi przepadł. To trochę postrzelony chłopak, ale raczej nie aż do tego stopnia.

Chorąży Michał Filipiak właśnie odzyskiwał przytomność w jakiejś wilgotnej piwnicy. Miał ręce związane na plecach i worek na pulsującej bólem głowie. Pamiętał niewiele. Był w hotelu... służący powiedział, że oczekuje go dama... Gdzie? Resztę wspomnień zastępował widok spadających z firmamentu gwiazd. Sądząc po objawach, dostał czymś ciężkim. I chyba naprawdę mocno, skoro był to jedyny logiczny wniosek, jaki dotąd zdołał wyciągnąć.

Poruszył się. Nogi miał wolne. Z całą pewnością nie był to wstęp do egzotycznych igraszek miłosnych, które praktykował z panną Sikibu. Ten sznur był zbyt szorstki, więc na pewno nie jedwabny, i zawiązany na sposób europejski. Na dodatek bardzo mocno.

Filipiak klęknął i zaczął wstawać. Rozległ się chrobot odsuwanego krzesła lub stołka, potem dwa szybkie kroki. Ktoś pchnął go z powrotem na posadzkę.

- Siedź, swołocz! - warknął strażnik po rosyjsku.

198

Ichorąży usiadł posłusznie i czekał, co będzie dalej. Pilnujący odszedł i uchylił drzwi.

- Polaczek oprzytomniał! - zameldował komuś.

- A to dobrze! - odpowiedziano też po rosyjsku. - W samą porę, bo komendant dojeżdża.

Kilka minut później wokół Filipiaka zaczął się ruch. Podniesiono go z podłogi i posadzono na stołku. Zdjęto z głowy worek. Niedobrze. Skoro pozwalali mu zobaczyć swoje twarze, znaczyło to, że już jest martwy...

W kącie piwnicy paliły się trzy świece. Postawiono je na skrzynce, na której leżały jeszcze otwarta brzytwa, nóż, obcęgi i mały toporek. Prócz chorążego było tu czterech Europejczyków. Dwóch stało obok Polaka, jeden pilnował drzwi. Czwarty, ten najważniejszy, przechadzał się koło świec, zerkając w zadumie na jeńca.

- Zachęćcie do rozmowy - polecił nagle.

Filipiak dostał w twarz i zleciał na podłogę. Natychmiast podniesiono go i poprawiono. W szczękę, między oczy, w żołądek... Gdy znów osunął się na posadzkę, dostał kopa w brzuch, potem w nerki.

- Nie za wiele na początek.

Przerwano bicie i sprawnie posadzono Filipiaka z powrotem na stołku. Chluśnięto mu w twarz wodą.

- Od czego by tu zacząć?... - komendant podszedł bliżej i pochylił się, opierając dłonie o uda. Miał brodę jak pop, ale staranniej przystrzyżoną.

- Kim jesteście?! Czego chcecie? - wykrztusił Filipiak, łapiąc oddech.

- A na co mnie to mówić, skoro ty już wiesz? Ty bystry młodzieniec... Czemu to przeciw carowi z Japońcami spiskujesz, a?

-Ja spiskuję?... Tylko z nimi piłem, co, nie wolno?

- Zachęćć bardziej.

Tym razem bicie trwało dłużej. Skończyli, dopiero gdy chorąży stracił przytomność po nokaucie. Potem znów ocucili i posadzili.

199

Musieli go przytrzymać, bo w pierwszej chwili Filipiak osunąłby się ze stołka. Przesłuchujący spokojnie dopalił papierosa.

- Trzeci raz bić nie będziemy, tylko pogadamy inaczej... - wskazał narzędzia leżące obok świec. - Ty się teraz dobrze zastanów, co mówisz.

- Głupia... pom...myłka... - wykrztusił Filipiak przez opuchnięte wargi. Jeden ząb mu się kiwał. - Jaki... spisek?... Zabawić... się chciałem... za znalezione złoto. A Japończycy... dobrze się z nimi pije... kobiety też... niczego. ;

- Wiemy, że wy, poszukiwacze złota, zawiązaliście spisek. \ -Jaki tam spisek... Wszystko normalnie...

- Niby co jest normalnie?!

- To, że... poszukiwacze złota mają swoje tajemnice... profesjonalne... sprawy, o których tylko z zaufanymi przyjaciółmi się gada... ale to żaden spisek na cara... Z pozorów... tylko tak wyglądać może, bo nam... silna władza potrzebna.

- A na co wam ta władza potrzebna, a?

- Na to... - przesłuchiwany zebrał siły i złość. - Każdy głupi wie!

Rosjanin uniesioną dłonią powstrzymał podwładnego, który chciał uderzyć jeńca w twarz.

- Taki głupi jestem? - wycedził zimno przez zęby. - Lepiej mi dobrze wytłumacz czemu.

- Bo nikt wyplukanego złota stale nosić ze sobą nie będzie! Jakże tak całe pudy ciągle na grzbiecie taszczyć?! Kiedy się idzie płukać, trzeba złoto dotąd znalezione w obozie zostawiać, a żeby nie ukradli, władza do pilnowania potrzebna. Dlatego wybieramy spośród siebie wójtów. Jednego na pół setki poszukiwaczy. Taki wójt nie może mieć wśród nich żadnych krewnych ani samemu nie wolno mu złota szukać. Za to zostaje dwudziestą część złota znalezionej przez każdego z tych pięćdziesięciu. Znaczący ma tyle, jakby za dwóch i pół szukał. W obozie wszystkim rządzi rada wójtów Sądzi też, kiedy trzeba... : i •

200

- Gładko gadasz, młodzieniec. Nu, tylko ty zapomniał, że tych wójtów wybierać wam car zakazał.

- Cara tu nie ma, a inaczej w obozie żyć się nie da.

- A my jeszcze i to wiemy, że tym razem to wy sobie nie wójta, ale króla wybrali.

- Głupie gadanie! A niby co mieliśmy Chińczykom mówić, żeby byli nam przychylni? Wszak oni cudzoziemców nie lubią. To mówimy im, że ich król nami rządzi, że my jego rozkazy wypełniamy. A król wymyślony, całkiem jak w bajce...

- Król tylko wydumany, da?

- Jak najbardziej. Zamiast pięścią pytać, wódkę po ludzku byście postawili, tobym poopowiadał, jak Chińczyków w konia robimy, aż wesoło by się wszystkim zrobiło.

- Wesoło to tobie, młodzieniec, nie będzie. Ty mnie już całkiem znudził tą swoją gładką mową, lecz ja człek litościwy, dam ci jeszcze jedną szansę. Tylko szczerze mów! Kto obiecywał Japońcom Port Artura? Za co w zamian? Kto obiecywał wspomóc ich w wojnie przeciw nam? Ech, wy Paliaki... zawsze buntowszczyki! Ale żeby teraz własną rasę słowiańską zdradzać?! Z żółtymi małpami się kumać?! Tfu! Sucza wasza mać!

- Nic o tym nie wiem.

- Ile palców mam ci obciąć, żebyś się dowiedział? Gadaj zaraz, gdzie wasz król. Co on za jeden i co zamierza?!

- Król jest w bajce. - Filipiak wyjął z pogardą opuchnięte wargi. - A zamierza żyć długo i szczęśliwie.

- Tniemy najpierw od nóg czy rąk, wasze wysokobłagorodie? -zapytał jeden z oprawców.

- Nie będziemy się z nim dłużej pieścić! Obcinajcie kciuki. Pytający podszedł do świec. Wziął ze skrzynki nóż i obcęgi, po

czym zaszedł jeńca od tyłu. Dwaj pozostali zepchnęli chorążego ze stołka, przydeptali mu plecy i wyłamali związane ręce, unosząc je wysoko w górę.

- Mów! - powtórzył brodacz.

201

Filipiak splunął mu na buty.

- Zaczynajcie!

Zimne cęgi zacisnęły się na lewym kciuku. Powoli, ale coraz mocniej i mocniej...

Rozległ się nieartykułowany krzyk i łoskot otwartych kopniakiem drzwi. Coś błyszczącego śmignęło przez całą piwnicę i zmiotło ze skrzynki płonące świece. Zapadła ciemność, którą natychmiast rozświetliła palba wystrzałów. W błyskach czerwonego światła zakotłowały się wrzeszczące cienie.

Oprawcy odskoczyli od Filipiaka, który padł płasko na podłogę. Przygniotło go jakieś ciało. Błysnęła elektryczna latarka i padły kolejne strzały. Nagle rozległ się syk wyjmowanego z pochwy długiego ostrza.

- Szto eto... - Dalsze słowa brodacza przerwał trzask ścinanej głowy, która potoczyła się po podłodze i odbiła od ściany z głuchym łoskotem. To był ostatni głośniejszy dźwięk w piwnicy. Potem był już tylko cichnący szmer krwi wypływającej z przeciętych tętnic.

Zapaliły się kolejne latarki. Ich światło z trudem przebijało się przez prochowy dym.

Filipiak odwrócił głowę i spojrzał w górę. Nad nim z zakrwawioną kataną w ręku stał młody Tanaka Joritomo. Na twarzy japońskiego porucznika, szczególnie pod oczami, znać było ślady ich długich wspólnych biesiad, jednak miecz trzymał pewnie. Pozostali trzej Japończycy mieli w dłoniach dymiące amerykańskie rewolwery, przyświecali sobie latarkami. Ich dowódca szybko otarł i schował ostrze, po czym przybrał postawę pokory.



- Michał-san, ogromnie przepraszam za moje niewybaczalne niedbalstwo i spóźnienie. - Japończyk pokłonił się nisko.

- Lepiej późno niż wcale - sarknął Polak, usiłując zepchnąć z siebie trupa.

- Mam nadzieję, że Michał-san nie doznał poważnego uszczerbku. - Joritomo dał znak swoim ludziom, którzy natych-

202

miast uwolnili Filipiaka i pomogli mu wstać. -Jak się czujesz, Mi-chał-san?

- Bywało lepiej. ; - ; "

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

- Nie ma o czym mówić. To ja dziękuję za odsiecz w najbardziej odpowiednim momencie.

Do piwnicy wniesiono ciało kolejnego Rosjanina, który trzymał straż na zewnątrz. Jeden z Japończyków przyklęknął, sprawdził mu tętno na szyi i bez wahania dobił go strzałem w głowę.

- To był rosyjski kontrwywiad z Portu Artura - wyjaśnił Jorito-mo. - Śledzili nas od dwóch tygodni, ale nie sądziłem, że odważą się uderzyć.

- Nie wypada lekceważyć przeciwnika.

- Bardzo słuszna uwaga, Michał-san.

Wyszli z piwnicy. Jak się okazało, było to podziemie przyczółka starego mostu na niewielkiej rzeczce wpadającej do Jalu kilka kilometrów poniżej Yidzu. Most ten zburzono trzy wieki temu, podczas japońskiego najazdu w czasach dynastii Ming, i już nie odbudowano, bo obie rzeki zmieniły swój bieg i miejsce spotkania. Nowy most wzniesiono kilometr dalej na południe. Słowem, miejsce było odludne, a przy tym umożliwiało szybkie i sprawne pozbycie się zwłok.

- Wrzucimy ich do wody, jak się bardziej ściemni - powiedział Joritomo. - Pan Minamoto byłby niepokieszony, nie mogąc cię dziś gościć, Michał-san.

- Obawiam się, że moja twarz sprofanuje ceremonię. - Filipiak ostrożnie sprawdził językiem obluzowany ząb.

- Zaradzimy temu, Michał-san. Konie czekają.

Pół godziny później chorąży znalazł się w domu gejsz pod fachową opieką panny Sikibu oraz jej towarzyszek. Łód, delikatny masaż, dużo pudru i odrobina opium doprowadziły go do stanu umożliwiającego uczestnictwo w ceremonii herbacianej. Potem

203

Filipiak wstąpił jeszcze do hotelu, gdzie przebrał się w mundur żuawa śmierci, na który narzucił długi płaszcz z kapturem.

Pułkownik Lawendowski, także w oficerskim mundurze pod płaszczem, oczekiwał go, przechadzając się po dziedzińcu willi japońskiego rezydenta. Mimo starań gejsz od razu zauważył ślady pobicia.

- Co się wam stało? - zapytał półgłosem.

- Japończycy postanowili sprawdzić mnie w ostatniej chwili - wyjaśnił chorąży.

- To znaczy?

- Najęli jakichś ruskich włóczęgów, by udawali wojskowy kontrwywiad z Portu Artura albo inną ochranę. Ci mnie uprowadzili, zainscenizowali przesłuchanie z małymi torturami i pytali o króla. Potem zostali ukatrupieni.

- Jesteście pewni, że za waszym porwaniem stali Japończycy?

- Tak, panie pułkowniku.

- Dlaczego?

- Bo Rosjanie w Porcie Artura nie mają żadnego wywiadu ani tym bardziej kontrwywiadu. Chyba tylko na liście żołądów, panie pułkowniku. Lekceważą Chińczyków i Japończyków do tego stopnia, że zupełnie się nie pilnują. Każdy, kto by chciał zatopić ruskie pancerniki, może po prostu wpłynąć nocą do portu i rozwalić torpedami wszystko, co tam cumuje. Mogliby to zrobić nawet Eskimosi w kajakach, starczy dać im sprzęt lepszy od harpunów... Ruscy pewnie oprzytomnieją, dopiero jak zostaną bez floty wojennej na Morzu Żółtym.

- Skąd to wiecie?

- Sprawdziłem z pomocą starego księcia. Ja tu nie tylko piłem! - podkreślił z dumą. - Może trudno w to uwierzyć, ale Rosjanie naprawdę nie prowadzą na Dalekim Wschodzie literalnie żadnych działań wywiadowczych. Stary niedźwiedź mocno śpi, panie pułkowniku! Wiedząc o tym, mogłem dziś zgrywać bohatera epickich legend, bo pomoc obowiązkowo musiała przyjść w ostatniej chwili.

204

- Dobrze. A ile oni wiedzą o królu?

- Tyle, ile powinni.

- Spisaliście się, Filipiak!

••,..\* -Ja myślę, panie pułkowniku!

- Chodźmy, herbata stygnie.

- Jeszcze słówko, panie pułkowniku. Proszę pamiętać, że podczas ceremonii herbacianej nie mówi się o interesach, tak jak u nas na mszy. Jedno słowo może zepsuć wszystko.

- To co mamy teraz załatwić?

- Wszystko i nic.

- Możecie sobie darować te dalekowschodnie paradoksy?

- Japończycy już wiedzą, czego chcemy. Nie musimy nic więcej dodawać ani tym bardziej o nic prosić. Teraz pan Minamoto podejmie ostateczną decyzję. Dziś albo jutro dadzą nam znać jaką. Najgorzej będzie, gdy powiedzą, że jeszcze się zastanowią.

- Co wtedy?

- Spieprzamy z Yidzu, i to w krótkich abugach, bo wyprzedzą nas nasze turlające się głowy.

Podeszli do nich służący, żeby zabrać płaszcze. Potem pułkownika i chorążego zaprowadzono przed oblicze pana domu. Pan Minamoto miał na sobie granatowy mundur kapitana armii cesarskiej. Towarzyszył mu porucznik Tanaka, także po wojskowemu. Obaj Japończycy z nieukrywaną ciekawością patrzyli na egzotyczne mundury Polaków.

- Zapraszam do ogrodu - powiedział gospodarz po wymianie pierwszych grzeczności.

Przeszli w milczeniu pod pawilon herbaciany, przed którym czekały dwie gejsze. Pan Minamoto oddał swój miecz jednej z nich. Kobieta wzięła katanę i z namaszczeniem położyła na stojaku pod ścianą. Druga zbliżyła się do pułkownika, który idąc za przykładem gospodarza, oddał jej swoją broń. Prócz polskiej szabli miał jeszcze myśliwski kordelas, który zupełnie nie pasował do japońskiego stojaka na broń białą. Pułkownik Lawendowski przy-

205

stanął zciekawiony, jak gejsza wybrnie z kłopotu. Ta nie namyślając się wiele, zgrabnie związała rzemienie, łącząc szablę i nóż w bardzo ładną kompozycję. Oficer skłonił się jej z uznaniem. Kobieta spuściła wzrok i skłoniła się niżej.

Pan Masuda, mistrz ceremonii herbacianej, czekał w pawilonie. Pułkownik i gospodarz usiedli naprzeciw niego, młodszy oficerowie po bokach. Filipiak zabierał głos tylko jako tłumacz. Tanaka w obecności starszego oficera w ogóle się nie odzywał.

Po wzajemnej prezentacji nie padło ani jedno słowo więcej. Bulgotał tylko wrzątek w kociołku. Teraz należało skupić się na właśnie trwającej chwili. Na każdym geście, czynności, etapie przygotowań napoju. Cel, do którego dążono, nie był ważny, ważna była tylko droga do niego. Na nic nie należało czekać, niczego nie wspominać. Należało tak zapamiętać się w rytuale, aby znikło poczucie własnego ja zastąpione przez doskonałość otoczenia i następujących po sobie aktów. Ruch, przemiana, każdy detal wystroju pawilonu musiały być idealne. I były.

Mistrz Masuda hipnotyzował swoimi gestami. Każda czynność była objawieniem, otwarciem wrót tajemnicy sensu istnienia. Gdy wrząca woda osiągnęła stan „rybich oczu”, mistrz wyciągnął rękę po gliniany pojemnik ze sproszkowaną herbatą i zdjął z niego pokrywkę. Wrażenie było takie, jakby zdejmował welon z twarzy świeżo poślubionej dziewczyny. Natomiast kolisty gest, z jakim odłożył pokrywkę i wziął szpatułkę do suszu, miał w sobie kosmiczną odwieczność ruchu planet.

Potem w skupieniu patrzono, jak łopatką zanurza się w herbacianym pyle... mistrz przesypuje go do czarki... nalewanie wrzątku... mieszanie naparu bambusowym pędzelkiem... druga porcja wody, tym razem zimnej, źródlanej, by schłodzić herbatę do stanu umożliwiającego picie jej bez obaw, z samą przyjemnością.

Pierwszą czarkę dostał pułkownik Lawendowski, potem gospodarz, młodzi oficerowie i wreszcie herbatę zrobił sobie mistrz Masuda.

206

Upili.

- Zastanawia mnie zagadnienie istoty piękna - rzekł pan Mina-moto, odstawiając naczynie.
- To rzeczywiście niezwykle, że piękne kobiety oraz piękne kwiaty pociągają nas swym urokiem niezależnie od kraju i czasów, z których pochodzą - odparł z powagą pułkownik. - Zdaniem starożytnych europejskich filozofów istota piękna kryje się w doskonałej harmonii proporcji.
- Idea harmonii z całą pewnością wznosi się ponad wszelkimi różnicami, które mogłyby dzielić szlachetnych ludzi wszelkich ras - stwierdził Japończyk.
- Na przykład dla każdego wojownika nie ma nic piękniejszego jak honor.
- Wszyscy gorąco pragniemy zgłębić jego istotę.
- Jedni mówią, że honor to dar, który dajemy samemu sobie.
- Naszym zdaniem - odparł pan Minamoto - honor to najdoskonalsze poczucie obowiązku.
- Z całą pewnością, honor mężczyzny w tym się wyraża i potwierdza. Myślę jednak, że pochodzi on z najgłębszego pragnienia oraz wolnej decyzji, by okazać się godnym naszym przodków.
- Tak, to doprawdy najszlachetniejsze z dążeń - zgodził się gospodarz. - Pojawia się jednak trudność, gdy zaczynamy szukać, co łączy piękną kobietę, honorowego wojownika i czarujący kwiat.
- Prawdziwie piękna kobieta ma duszę pełną godności i to łączy ją z honorowym wojownikiem. Kiedy takich dwoje ludzi stanie obok siebie, osiągną jedność, piękno i dostojeństwo rozkwitającego kwiatu.
- Bardzo dziękuję za niezwykle pouczające spostrzeżenie - rzekł pan Minamoto, chyląc głowę. - Dziękuję również za wspólnie przeżytą chwilę, której z pewnością nigdy nie zapomnę.

Skłonili się mistrzowi ceremonii i opuścili pawilon herbaciany. Kobiety oddały im broń.

207

- Czy pan pułkownik zechciałby zwiedzić mój ogród? - zapytał gospodarz.
- Z największą przyjemnością.

Przez kilkanaście minut spacerowali żwirowymi alejkami, rozmawiając wyłącznie o kwiatach rozkwitających tego lata. Chorąży Fili-piak tłumaczył rozmowę w wielkim skupieniu. Porucznik Tanaka trzymał się z tyłu, ale nie spuszczał wzroku ze swojego zwierzchnika. Ostateczna decyzja wisiła w powietrzu. Coraz niżej...

W pewnej chwili pan Minamoto podniósł z trawnika suchy patyk i zszedł z nim na piaszczysty brzeg sadzawki, w której pływały złote karasie. Pułkownik podążył za nim.

- Stanisław-san, uprzejmie proszę pokazać mi, jak wygląda sztandar, pod którym spotkamy naszych przyjaciół - z lekkim ukłonem podał oburącz patyk pułkownikowi.

Stanisław Lawendowski narysował na piasku prostokąt i podzielił go na pół.

- Tu białe, tu czerwone - objaśnił. - Na tym tle pięć chińskich znaków... - wypisał je od góry.

- Dusza tygrysa... - odczytał zadumany gospodarz. - Dziękuję bardzo. - Skinął głową Tanace, który natychmiast odszedł.

Podjęli przerwany spacer po ogrodzie. Chorąży Filipiak miał minę jak wtedy, gdy kończyli obiad w „Trzech Przyjaciołach”. Oczy mu błyszczały, ale nie wychodził z roli tłumacza.

Pół godziny później, nie spiesząc się, wrócili do domu. W głównej sali czekał na nich porucznik, a obok niego na niskim stoliku leżały dwie karty papieru pokryte japońskimi znakami oraz przybory do pisania. Pan Minamoto przeprosił gości, usiadł i kolejno podpisał dokumenty, po czym na każdym odcisnął własną pieczęć. Jedną z kopii porucznik Tanaka Joritomo starannie złożył i z głębokim ukłonem wręczył pułkownikowi Lawendowskiemu. Ten przekazał pismo Filipiakowi.

- Armia jego cesarskiej wysokości zobowiązuje się dać wolną drogę oddziałom maszerującym pod opisanym niżej sztandarem...

208

- chorąży przełożył głośno na polski najważniejsze zdanie dokumentu. - Kurwa, panie pułkowniku, udało się! - powiedział podniosłym tonem, jakby dalej tłumaczył treść pisma. - Mamy ten pieprzony list żelazny!

- Proszę przekazać panu Minamoto, że jesteśmy kurewsko wdzięczni i szczęśliwi! - odparł z wielką powagą pułkownik Lawendowski.

- Czuję, że dziś się urżnę jak świnia - szepnął chorąży.

- Jeszcze wam mało, Filipiak?

- Czyściocha to co innego, panie pułkowniku. Muszę wreszcie odpocząć od sake.

- Dobrze, celebруйте już finałowe uprzejmości!

Wieczorem, na pożegnalnym spotkaniu w pałacu księcia Om Gona, sędziwy gospodarz polecił otworzyć francuskiego szampana. Zanim panna Kim przyniosła napełnione musującym winem kieliszki, wszyscy pochylili się nad mapą.

- Najpierw dyskretnie gromadzimy statki na tych oto wyspach u ujścia Jalu - staruszek przesunął palcem po Zatoce Koreańskiej.

- Tak się zabawnie składa, że niedawno w Europie nadano im imię Archipelagu Potockiego na cześć waszego wielkiego pisarza i podróżnika.

- To naprawdę godny patron tak ekscentrycznego przedsięwzięcia - skwitował z uśmiechem pułkownik Lawendowski. - Proszę jednak pamiętać, żeby dzonki nie były zbyt małe, bo muszą udźwignąć armaty.

- Dopilnuję tego osobiście - zapewnił książę Om Gon. - Skąd mamy was zabrać?

- Zejdziemy na brzeg morza mniej więcej dzień drogi na zachód od ujścia Jalu, tu, na tym pustkowiu.

- W tym rejonie są dwie zatoki - zauważył książę. - W której się spotkamy?

- Niech tę kwestię ustalą nasi emisariusze w ostatniej chwili.

209

- Najbliższa miejscowość to rybacka wioska Sza-kań-tzy - rzekł ambasador Caj Cung-jen, wpatrując się w mapę. - Nie ma tam telegrafu, a na pewno jest wygodna przystań.

- Warto rzecz rozważyć - zgodził się pułkownik. - Ale nie wiadomo, co zastaniemy tam wiosną przyszłego roku. Proponuję, by Lao Ping zajął się koordynacją naszych działań.

Wymieniony pokłonił się z powagą.

- Zatem, przyjaciele! - stary książę wziął kieliszek szampana z tacy trzymanej przez pannę Kim. - Wrznoszę toast za największe polityczne szaleństwo w tutejszym środku świata od czasu ustanowienia dynastii Ming!

- Za nową dynastię Hung! - odpowiedział pułkownik Lawendowski.

Obaj Chińczycy skłonili głowy, po czym z kamiennymi twarzami wypili szampana do dna.

17. Ju

Poselstwo Ukrytego Królestwa wyruszyło w drogę powrotną następnego dnia wiosłową dzonką w górę rzeki Jalu. Po dobie żeglugi u ujścia rzeki Du dołączyli do nich doktor Zakrzewski z Patrycją i Lien, po których posłano zawczasu, oraz czterech przyszłych artylerzystów z Adamem Chęcińskim na czele. Lekarza zmienił w Het-ala inny medyk, przybyły tymczasem z Harbinu. Do górskiej twierdzy odesłano natomiast chorążego Filipiaka razem z połową ludzi Michalaka.

Za rzeką Du, na mandzurskim brzegu Jalu, zaczynały się pustkowia wyżyny Kema, gdzie jedyną zamieszkaną i kontrolowaną przez chińskie władze enklawą były kopalnie srebra w rejonie miejscowości Tuń-hua nad górną Du. Stacjonujące tam wojsko strzegło drogi łączącej te kopalnie z Mukdenem oraz kilku leżących przy niej wiosek i z obawy przed chunchuzami nie zapuszczało się ani na jedną li poza ten rewir. Resztę wyżyny Kema, góry Czang-bo oraz górny bieg Sungari aż po Kiryn, słowem, kraj o powierzchni ponad trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, kontrolowało półoficjalne księstwo chunchuzów Hajden-giego, który w Kirynie utrzymywał własnego posła, traktowanego przez miejscowego gubernatora z całym szacunkiem należnym dyplomacie. W przeciwnym razie dostęp rządu do kopalni srebra na Kemie byłby utrudniony albo wręcz niemożliwy do czasu wynegocjowania nowej wysokości haraczu, tylko nieliczni wiedzieli, że od trzech lat Hajdengii nie jest już udziałnym księciem górskich rozbójników, lecz wasalem Ukrytego Króla, a lojalności herszta chunchuzów strzeże kilka regimentów doskonale uzbro-

jonych strzelców, którzy na specjalne okazje wkładali popielate kepi.

Po kolejnych czterech dniach żeglugi wracające poselstwo dotarło do południowych stoków gór Czang-bo, z których co kilka kilometrów spływało do Jalu sześć dużych górskich strumieni. Wszystkie niosły złoty piasek, którym handlowano w nadrzecznym porcie Mao-eń. Była to ostatnia większa osada nad Jalu, która powyżej tej miejscowości przestawała być splawna. Dalsza droga biegła lądem pod górę, na północne stoki Czang-bo, gdzie brała początek największa mandżurska rzeka Sungari.

Formalnie Mao-eń było pod władzą rządu w Pekinie, ale do stolicy było tak daleko, a droga przez wyżynę Kema tak niepewna, że miejscowy mandaryn wołał się nikomu nie narażać. Bardzo grzecznie brał łapówki i udawał, że go nie ma. Faktycznie w mieście rządził samorząd poszukiwaczy złota. Dość powiedzieć, że Caj Cung-jen i Lao Ping zupełnie otwarcie prezentowali na ulicach swoje luźne fryzury tajpingów. Zresztą niewiele się wyróżniali na tle malowniczego towarzystwa kłębiącego się w Mao-eń. Prócz Chińczyków, Koreańczyków, Polaków, Rosjan i Japończyków można było tu wypatrzeć przedstawicieli wszystkich syberyjskich nacji, a nawet Kanadyjczyków, Amerykanów i Meksykanów. Przyczyną tej różnorodności było to, że pola złotonośne w rejonie Sześciu Strumieni, najobfitsze wokół wioski Er-dao, kilkanaście kilometrów na północ od Mao-eń, były zarazem najłatwiej dostępnymi z zewnątrz złożami złota w Mandżurii. Władza dynastii mandżurskiej była tu tylko symboliczna, dla chunchuzów Hajdengiego też było zbyt daleko od bezpiecznych kryjówek, z kolei droga przez Koreę nie stanowiła przeszkody ani geograficznej, ani politycznej. Stan trójwładzy, sprawowanej przez króla Kojonga oraz japońskich i rosyjskich rezydentów, sprawiał, że żadna ze stron, zajęta dwoma pozostałymi, nie wtrącała się w sprawy poszukiwaczy złota. Ci zaś w swoim gronie z zazdrością patrzyli na Polaków, którzy trzymali się razem,

a dzięki tajemniczym układom z chińskimi chunchuzami tworzyli ekskluzywny klub monopolizujący dostęp do złóż złota w głębi Gór Wschodniomandżurskich, gdzie nie śmieli zapuszczać się poszukiwacze innych nacji.

Pierwszą wiadomość o zwycięskim starciu strzelców górskich z oddziałem Kozaków, którzy usiłowali zagrozić komunikacji z Kiongdzu, pułkownik Lawendowski otrzymał podczas spotkania u ujścia Du. Żadnych bliższych informacji doktor Zakrzewski do przekazania jednak nie miał. Dopiero w Er-dao pojawił się goniec z wiadomością, że kapitan Jaskólski chce osobiście złożyć w tej sprawie pilny raport i proponuje spotkanie na stokach góry Pektu, przy źródłach Sungari. Oznaczało to, że zamiast podążać najkrótszą trasą na północną stronę gór przez przełęcz Czań-kou, będą musieli nadłożyć drogi, idąc dwa dni na wschód najwyższą granią Czang-bo, wznoszącą się na wysokość blisko trzech tysięcy metrów nad poziom morza. Goniec podkreślił, że kapitan Jaskólski z ważnych powodów nie może stawić się osobiście na Czań-kou. Jakie to były powody, nie umiał lub nie chciał powiedzieć. Ostatecznie zagniewany i zaciekawiony zarazem pułkownik zarządził zmianę marszrutę.

Ruszyli więc w górę coraz węższymi i bardziej stromymi drogami, a potem podniebną ścieżką biegnącą po wierzchołkach coraz wyższych szczytów. Śniegi już dawno stopniały, pogoda była piękna i letnia, a wokół rozciągały się widoki zapierające dech w piersiach. Daleko na wschodzie i południu lśniły w słońcu koreańskie Góry Diamentowe. Na północy otwierały się bezkresne zielone otchłanie

syberyjskiej tajgi, a hen na zachodzie smuga rozwichrzonej sepii oznaczała początek stepów Mongolii. Bliżej i niżej, niemal pod stopami wędrowców, w górskich dolinach wiły się srebrne rzeki wpadające do Jalu i Sungari, które wyglądały stąd jak zakrzywione szable olbrzymów złożone u podnóża Czang-bo.

Patrycja i Lien nigdy dotąd nie widziały tyle przestrzeni naraz. Irlandka była tym absolutnie zachwycona, Chinka przerażona.

213

Pierwsza kiedy tylko miała okazję, rysowała krajobrazy jak szalona, druga z początku drżała z obawy, że zaraz porwą ich mściwe demony, bo zwykli śmiertelnicy nie mieli prawa oglądać świata z perspektywy lecącego smoka. Był to bowiem wyłączny przywilej istot nieśmiertelnych. Jednak już następnego ranka, kiedy Lien otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła, ze zdumieniem stwierdziła, że czuje się lekka i swobodna, jakby podczas snu ktoś wyzwolił ją z więzów śmiertelności, obdarowując wiecznym życiem i zdolnością latania. Jej zabobonny lęk przepadł gdzieś głęboko w dole, wśród mgieł spowijających doliny. Nic nie było takie jak dotąd. Nawet śpiąca Patrycja pierwszy raz wydała się Chince piękna. Tak piękna, że Lien obudziła towarzyszkę pocałunkiem.

Oczarowany widokami doktor Zakrzewski zawiesił dziewczętom lekcje pisma chińskiego, stwierdzając, że na sprawy przyziemne przyjdzie czas później. Obaj tajpingowie szli jak w transie, nie wypuszczając z dłoni różańców. Chęciński i inni ochotnicy co rusz prosili o postój, by nasycić oczy. Pułkownik Lawendowski nie potrafił odmówić.

W takich nastrojach dotarli do góry Pektu i tu ostatecznie stało się jasne, dlaczego miejsce to uchodzi za święte. Najwyższy szczyt Czang-bo był wygasłym wulkanem, którego krater wypełniła woda, tworząc rozległe jezioro. Odbijało się w nim niebo, tak że człowiek stojący na brzegu miał je jednocześnie nad głową i pod stopami. Niezwykle głęboka i przejrzysta toń zwielokrotniała ten efekt aż do zawrotu głowy. Natomiast w pogodne noce, takie jak ostatnio, gwiazdy prawdziwe i odbite w wodzie stwarzały mistyczną przestrzeń, w której całkowite zrozumienie istoty wszechświata, własnej natury oraz ich wzajemnej jedności stawało się najbardziej oczywistą z rzeczy.

Rankiem, gdy spali wszyscy prócz strażników, dziewczęta wymknęły się z obozu nad Podniebne Jezioro. Idąc wzdłuż brzegu i badając dłońmi temperaturę wody, po pewnym czasie znalazły miejsce, w którym nie była ona tak lodowata jak gdzie indziej

214

i możliwa do kąpieli. Zapewne ogrzewało ją ciepłe źródło bijące gdzieś z głębi wulkanicznej góry.

Najpierw umyły twarze i głowy, potem rozebrały się całkiem i weszły w wodę po kolana. Patrycja przyklękała, a Lien zgodnie ze zwyczajem przyjętym w chińskich łaźniach zaczęła polewać i masować jej plecy i ramiona. Robiła to wcześniej już wiele razy, usługując Irlandce podczas kąpieli, ale dzisiaj, właśnie teraz i tutaj, nic nie było takie jak zwykle. Patrycja zanurzona w dwóch otchłaniach błękitu, rozpościerających się nad nią i pod nią, poczuła nagle, że coś się w jej duszy otwiera. Zdała sobie sprawę, że lubi dotyk dłoni Lien na swoim ciele i że chce widzieć ją nagą.



Odwróciła się, wstała, nabierając wody w dłonie. Bardzo powoli wylała ją na piersi Lien i delikatnie położyła na nich dłonie. Chinka nie oponowała, podniosła głowę i spojrzała jej w oczy. Zachęcona tym spojrzeniem Patrycja pochyliła się i musnęła wargami drobne różowe sutki towarzyszki. Ta pocałowała ją w szyję. Zetknęły się ich uda i brzuchy, czarne i rude włosy, a niebo, góry i wszechświat wokół nich zaczęły wirować coraz szybciej i szybciej...

Kilkaset metrów dalej, na drugim brzegu Podniebnego Jeziora, pułkownik Lawendowski przytrzymał rękę ochotnika Chęcińskiego unoszącego do oczu lornetkę.

- Nie wypada - powiedział półgłosem starszy mężczyzna.

- Ależ pan pułkownik też patrzy.

- Lecz wyłącznie własnymi oczami, panie Chęciński, wtedy widać czyste piękno. Przez lornetkę to byłaby już pornografia.

- Tak, panie pułkowniku - westchnął młodzieniec. - To rzeczywiście jest czyste piękno.

-1 czysta niewinność, panie Chęciński. Ani słowa o tym komu-colwiek.

- Ależ oczywiście, panie pułkowniku. Przede wszystkim dys-srecja!

215

W oddali przytulone do siebie dziewczęta osunęły się w płytką wodę.

- Syreny... prawdziwe syreny... - stwierdził poruszony oficer. - Malarz, który zdołałby uchwycić ten pejzaż i tę chwilę, zbiłby prawdziwą fortunę!

Jego towarzysz nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Panie Chęciński - pułkownik odchrząknął i poklepał ochotnika po ramieniu. - Chodźmy stąd, nim poznamy wszystkie tajemnice kobiecości i staniemy zawstyżeni niczym praojciec Adam... Trzeba by naszym pannom zagrzać wina, żeby było gotowe, gdy wrócą, bo ta woda jest doprawdy piekielnie zimna.

- Natychmiast nastawię czajnik! - Chęciński ruszył przodem.

Patrycja i Lien wcale nie czuły, że woda jest zimna. W zapamiętaniu obdarowywały się nawzajem tym, czego nikt nigdy jeszcze żadnej z nich nie dał. Dopiero gdy minęła fala uniesienia, zdały sobie sprawę, że szczękają zębami w duecie.

Natychmiast wyskoczyły z Podniebnego Jeziora, ubrały się i na wyścigi pobiegły do obozu. Tam pan Adam od razu podał im parujące kubki z gorącym winem. Patrycja przyjrzała mu się uważnie. Czyżby coś widział? Obojętność udawał z wyraźnym trudem. Więc jednak... Lien także się domyśliła, że były podglądane, i zmieszana unikała wzroku młodzieńca. Lecz Patrycja nie czuła ani trochę wstydu. Po tak głębokim zanurzeniu w przestworzach błękitu czuła się czysta i tylko czysta. Piła wino, patrząc przed siebie nieprzeniknionym wzrokiem. Jak królowa. W końcu z nich dwojga to pan Chęciński zarumienił się pierwszy.

Pułkownik Lawendowski nie pokazał po sobie niczego. Po śniadaniu jak zwykle zarządził wymarsz i godzinę później stanęli nad wodospadem wypływającym z Podniebnego Jeziora. Tutaj zaczynała się potężna Sungari, dwa tysiące kilometrów dalej wpadająca do Amuru. Zdaniem Rosjan. Bo według Chińczyków to Amur i Ussuri były dopływami Sungari, która kończyła swój bieg w Cieśninie Tatarskiej oddzielającej od kontynentu wyspę Sachalin.

216

Kapitan Jaskólski i jego strzelcy już czekali. Na powitanie dowódcy oraz królewskiego ambasadora stanęli do przeglądu w pełnym umundurowaniu i z wyczyszczoną do połysku bronią.

- Bardzo ładnie, panie Jaskólski - stwierdził na koniec ceremonii pułkownik Lawendowski. - Tylko teraz proszę mi wyjaśnić, czemu zawdzięczamy tę romantyczną zwłokę, do której pan kapitan był łaskaw nas skłonić.

- Uznałem, że pan pułkownik będzie chciał zobaczyć jeńca osobiście.

- Jakiego jeńca?

Dowódca strzelców bez słowa podał mu wojskowe dokumenty Sergiusza. Stanisław Lawendowski wyczytał się w nie z rosnącym zdumieniem.

- Sergiusz Jakub... syn Henryka?... - wyszeptał. - Urodzony w 1876 roku. Niemożliwe... A jednak... to rzeczywiście on!

- Podobieństwo rysów, pozwolę sobie zauważyć, też jest uderzające - dodał Jaskólski. - To ktoś z rodziny, zgadza się, panie pułkowniku?!

- Bratanek... Mój Boże! - głęboko poruszony Stanisław wciąż wpatrywał się w papiery. - Jego ojciec i ja jesteśmy przyrodnimi braćmi z jednej matki. Henryk z jej pierwszego małżeństwa. Mój ojciec zaraz po ślubie przystąpił do powstania styczniowego, dostał się do niewoli, został zesłany i znów stanął do walki w powstaniu bajkalskim. Zginął pod Miszyczą. Mój starszy brat Henryk wybrał wierność carowi.

- Cóż, niedaleko padło jabłko od jabłoni, panie pułkowniku - podsumował kapitan. - Ten młokos mógł nam narobić poważnych kłopotów. Był sprytny, muszę mu to przyznać, wpadł dopiero w trzecią zasadzkę.

- Co z nim?

- Źle, panie pułkowniku. Odniósł ciężkie rany od kul i odłamków granatu. Myślałem, że nie doniosę żywego do przełęczy Czań-kou, dlatego prosiłem pana pułkownika tutaj, żebyśmy się

217

spotkali w połowie drogi. Jednak póki nie miałem pewności co do panów pokrewieństwa, wolałem nie mówić dlaczego.

- Rozumiem. Gdzie on jest?

- Niedaleko, proszę za mną. Ostatnio jakby mu się poprawiło, odzyskał przytomność.

- Doktorze! - zawołał pułkownik i ruszył za kapitanem. Sergiusz Lawendowski leżał na noszach pod prowizorycznym

brezentowym daszkiem. Zakrwawione szarpie spowijały jego głowę i pierś. Opodał przycupnął batuszka Krępuć. Słyszając zbliżające się kroki wielu ludzi, ranny otworzył błyszczące od gorączki oczy. Poza tym nie zdołał się ruszyć.

- Jak się czujesz, synku? - pułkownik Lawendowski przyklęknął obok noszy.

- Kim pan jest?

- Stanisław Jakub Lawendowski, syn Jakuba Grzegorza.

- Stryj Stanisław? - Sergiusz z wrażenia spróbował unieść głowę, ale dał radę tylko ją przekręcić.

- Zgadza się, synku. Szukałeś mnie może?

- Stryj dowodzi tymi tutaj?

- Tak. Jestem pułkownikiem wojsk królewskich jego wysokości Władysława V Jesteś jeńcem Drugiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Sergiusz zaciął usta.

- Królewskie wojsko! - prychnął. - Wymordowaliście moich ludzi.

Stanisław spojrzął pytająco na Jaskólskiego.

-Jak zwykle pobojuwiskiem zajęli się ludzie Hajdengiego - odparł spokojnie kapitan. - Oszczędzili tylko popa - wskazał batuszkę Krępućcia.

- Chciałeś z nami wojny, synku, toś ją znalazł - powiedział oschle Stanisław. - Żywych świadków na razie nam nie potrzeba.

- Gdzie jestem? - Sergiusz nie podjął dyskusji. - Co to za góra? Święty szczyt Pektu? "

218

f - Zgadza się.

j - Więc jednak dotarłem do siedziby tego waszego króla! .

- Przykro mi, synku, pomyliłeś się. O sześćset kilometrów w linii prostej.

- Jak to?! - tym razem Sergiusz zdołał unieść się trochę na zdrowym łokciu.

- Leż spokojnie, synku. Na dziesięć tysięcy durni musi w końcu znaleźć się ktoś z głową na karku, kto skojarzy fakty. Wiedzieliśmy o tym i zadbaliliśmy zawczasu, żeby takie sprytne zuchy jak ty miały gdzie znaleźć guza.

- Co ze mną zrobicie? - przygnębiony Sergiusz opadł z powrotem na nosze.

- Teraz zajmie się tobą nasz lekarz. Potem będziemy mieli wiele czasu na rozmowy. Tak się składa, że ostatnio wiele się u nas zmieniło i tym razem żywy świadek może być jak znalazł. Już niedługo, a nie będziemy mieli przed światem nic do ukrycia. Stać nas teraz na przestrzeganie konwencji genewskich.

Sergiusz pobladł i przymknął oczy. Stanisław odstąpił od noszy i dał znak doktorowi Zakrzewskiemu.

W czasie gdy lekarz zajmował się rannym, kapitan Jaskólski dyskretnie odprowadził pułkownika na bok.

- Znaleźliśmy przy pańskim kuzynie jeszcze coś ciekawego... -Dowódca strzelców sięgnął za pazuchę i wyjął kolejny dokument. - On ryzykował życie, żeby zniszczyć to pełnomocnictwo, kiedy sytuacja stała się beznadziejna, zlekceważył nawet granat toczący się w jego stronę. Nie zdążył... Co najważniejsze, chyba nie pamięta albo nie wie, żeśmy to znaleźli.

Pułkownik Lawendowski rozłożył papier i zagwizdał cicho przez zęby.

- Panie kapitanie Jaskólski - powiedział półgłosem. - Zdobywając to pismo, dokonał pan największej rzeczy od czasu zmuszenia do hołdu Hajdengiego. Zrobimy z tego dokumentu naprawdę dobry użytek.

219

- Ku chwale ojczyzny i króla! - zaszalował dowódca strzelców górskich.

Stanisław podszedł do obu tajpingów obserwujących z boku całą scenę.

- Panie Caj, panie Lao, Bóg sprzyja nam wprost niebywale! -oznajmił, pokazując im papier. - To klucz do wszystkich rosyjskich magazynów broni od Irukucka po Władywostok. Teraz wystarczy tylko zapukać i poprosić.

- Niezwłocznie podziękujemy Panu Nieba za tę łaskę - zapewnił z powagą Caj Cung-jen.

Godzinę później doktor Zakrzewski z pomocą Patrycji skończył badanie i opatrywanie Sergiusza.

- Pański bratanek miał wręcz nieprawdopodobne szczęście -powiedział, wycierając w ręcznik dłonie umyte w potoku. Usiadł obok zamyślnego Stanisława, który melancholijnie patrzył w spływającą wodę. - Granat wybuchł nie dalej jak metr od niego, a on dostał w głowę samym denkiem. Bez wątplenia, panie pułkowniku, bo na skórze odcisnęła się faktura odlewu. Wszystkie pozostałe odłamki go ominęły, no, przynajmniej z tego granatu.

- W tym akurat nie ma nic dziwnego - skwitował pułkownik, wyraźnie myśląc o czym innym. - Od spodu granatu jest najbezpieczniej, bo wszystkie rozpryski idą na boki. Jak się ma na głowie hełm, można postawić na nim ręczny granat i skończy się tylko na lekkim otumanieniu. Ale skoro Sergiusz nie miał hełmu, a dostał denkiem, takiego uderzenia raczej nie powinien był przeżyć.

- Ma wyjątkowo twardą czaszkę.

- A, to u nas rodzinna przypadłość! - uśmiechnął się z dumą Stanisław.

- Mogę rzecz potwierdzić oficjalnie jako lekarz. Jednak nie obyło się bez ciężkiego wstrząsu mózgu i zapewne krwiaka pod czaszką. Nastąpiła głęboka utrata przytomności, a potem paraliż prawej

połowy ciała, który obecnie się cofa. Widać krwiak sam się wchłania. To bardzo szczęśliwa okoliczność, panie pułkowniku,

220

bo trepanacja czaszki w tych polowych warunkach byłaby ogromnie ryzykowna.

- A inne rany, panie doktorze?

- Dwa gładkie postrzały mięśni i trochę poszarpanej odłamkami skóry na piersiach i brzuchu. Szczęśliwie jamy ciała nie zostały otwarte, więc możemy uznać to za drobiazgi. Gorączka jest umiarkowana i typowa w takiej sytuacji, znać, że organizm sam się broni. Niepokoi mnie tylko jego głowa, ale na razie rokowania są pomyślne. Jeśli nie wdadzą się nowe komplikacje neurologiczne, pański bratanek za miesiąc znów zacznie chodzić.

- Musimy tu zostać dłużej?

- Nie, panie pułkowniku, stan pacjenta jest wystarczająco dobry, by można nieść go na noszach. Jeśli wolno spytać, jak to się stało, że dwaj tak bliscy krewni... - doktorowi zabrakło słów.

- Znaleźli się po obu stronach narodowej barykady? -uśmiechnął się cierpko Stanisław. - Być może jego ojciec był zbyt małej wiary albo mój miał jej zbyt wiele.

- Pan się urodził w Irkucku, prawda?

- Ale poczęty zostałem w Polsce. Matka, będąc przy nadziei, na przekór rozumowi pojechała za ojcem na zesłanie. Na dodatek w kraju zostawiła starszego syna Henryka. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło. Teściowie, rodzice pierwszego męża, byli ugo-dowcami i nie pochwalali jej nowego związku z narodowym radykałem, którym był mój ojciec. Zdaje się, zmusili ją do wyboru między miłością do syna albo do drugiego męża. Ja ojca zupełnie nie pamiętam. Poległ, jak miałem niecałe dwa lata. Matka trzeci raz wyszła za mąż za jednego z jego towarzyszy broni, który mnie wychował jak wilcze szczenię. Nienawiść do cara i pragnienie pomśzczenia ojca zawsze były dla mnie oczywiste jak powietrze. Widać dla tego smarka Sergiusza równie oczywiste było co innego.

- Widzi go pan po raz pierwszy?

- Nie, drugi. Tylko że wtedy Sergiusz był niemowlęciem w powijkach. Kiedy miałem dwanaście lat, matka wysłała mnie na dwa la-

221

ta do Polski, na Mazowsze, żeby zobaczyć kraj przodków. Sergiusz urodził się w tym czasie. Mój brat i jego rodzina próbowali mnie na swoją stronę przekabacić, dlatego matka wezwała mnie do Irkucka i kazała przysiąc, że nie wrócę do ojczyzny, dopóki nie wywalczę jej wolności. Potem już tylko słyszałem o najmłodszym synu Henryka Lawendowskiego wychowywanym na wzorowego carskiego poddanego. Zawsze spluwałem na samą myśl o nim. Zwłaszcza gdy przyszła wieść, że Henryk na prawosławie przeszedł, żeby lepiej syna wychować. Wtedy zabiłbym za to, ale teraz już go nie potępiam. Jemu podobno powiedzieli, że matka go porzuciła, że tak się przejęła narodowymi mrzonkami, aż własnego dziecka się wyrzekła. Stąd pewnie wszystko co polskie tak bardzo mu obrzydło.

- A reszta rodziny, panie pułkowniku?

- Pozostała wierna pamięci przodków. Od Henryka, jego córek i syna wszyscy się odsunęli. A mój brat uparcie mówił, że z Rosją trzeba trzymać przez rozum. Ja aż do dziś nie wierzyłem, że mówi szczerze. Myślałem, że przeszedł na stronę cara przez słabość charakteru i przez rodzinne ciemne sprawy, ale nie przez rozum. Myślałem, że on wszystkiego co polskie wyrzekł się na zawsze i do końca... A tu masz ci los! Prawda jednak! Dzisiaj mi Henryk dowiódł tego zza grobu.

- Co pan ma myśli, pułkowniku?

- Ten smarkacz Sergiusz... Ja myślałem, że on do cna zniszczony! Tymczasem ten smark lepiej ode mnie mówi polsku! Zauważył pan, doktorze? Mnie zdarzają się rusycyzmy.

- Zauważyłem, ale przez grzeczność nie robiłem uwag.

- Ten renegat! Prawosławny syn sprzedawczyka... On mówi lepiej po polsku! Uważa pan?!

- Niech pan lepiej uważa, pułkowniku, żeby młody bratanek nam pana na swoich bogów nie nawrócił  
- uśmiechnął się medyk.

- Pan tu sobie dworujesz, doktorze, a mnie jakby kto twardą ziemię spod nóg usunął. Jak to może być, że w moim wrogu jest więcej polskości niżli we mnie?! \*

222

- Wygląda na to, że obaj będziecie mieli sobie dużo do powiedzenia.

- Dalibóg, naprawdę wiele dziś zobaczyłem i usłyszałem! - Pułkownik powiódł wzrokiem za przechodzącą opodal Patrycją. Dziewczyna uśmiechnęła się do oficera. - Jeszcze na stare lata przyjdzie mi zapatrywania na co niektóre kwestie zmienić.

- W kwestii szczęścia osobistego ja i ambasador Caj życzymy panu pułkownikowi jak najlepiej - zapewnił doktor, skwapliwie zmieniając temat na mniej melancholijny. - Mogę zapewnić, że panna Patrycją zawsze wypowiadała się o panu z sympatią i szacunkiem. Przecież to pan, nikt inny, jest jej rycerskim wybawcą. Ze swoim jakoby zbyt zaawansowanym wiekiem też pan pułkownik stanowczo przesadza.

- Czy wy dwaj nigdy nie przestaniecie mnie swatać? Zapominacie, że przystępując do ceremonii minghun, uroczyście wyrzekłem się szczęścia w doczesnym życiu?

- Ani król, ani żadne chińskie zwyczaje tego od pana nie wymagają. Zdradzę panu tajemnicę, że jego wysokość osobiście zachęcał nas, abyśmy starali się złagodzić pańskie postanowienie w tym względzie.

Zirytowany Stanisław wstał z kamienia.

- Najwyższa pora, abyśmy zeszli z tych gór na ziemię!

?ka CJo

o^nowucl

Hajdengii był bandytą i wyglądał jak bandyta. Wbrew wszelkim własnym chęciom i staraniom, by upodobnić się do czcigodnego uczonego, jego kondycji moralnej i zawodowej nie były w stanie ukryć ani nobliwe długie wąsy i broda, sztucznie posiwione i przedłużone do połowy piersi, ani nawet powłóczyście księżące szaty o jaskrawych barwach. W jego wypadku żadne pozory nie myliły. Okrutne, zimne oczy oraz przymilny, podszyty strachem uśmiech na gębie, przypominającej rozdeptaną w błocie nadgniłą cytrynę, tworzyły kontrast, który nie mógł zwieść nikogo. Nie ulegało wątpliwości, że im niżej kłania się swoim panom, tym bardziej ich nienawidzi.

Wbrew wcześniejszym przypuszczeniom Sergiusza Hajdengii po polsku nie mówił ani trochę. Rozumiał tylko jedno słowo, komendę „Ognia!”, co mu zresztą do porozumienia się z Polakami wystarczało w zupełności. Nikt tutaj nie żywił złudzeń do nikogo. Kapitan Jaskólski i jego ludzie trzymali starego zbója żelazną ręką jak żmiję lub wściekłego psa, spuszczać go z łańcucha w miarę potrzeb.

Caj Cung-jen w obecności księcia chunchuzów zapomniał o swej zwykłej uprzejmości oraz uśmiechu i traktował go z góry, z zimną wyniosłością, nie pozwalając mu mówić do siebie inaczej jak na kolanach. Lao Ping postępował podobnie na miarę własnej rangi. Obaj doskonale pamiętali Hajdengiemu wygłoszone niegdyś po pijanemu złorzeczenia, że gdyby to on, a nie jacyś przekłeci cudzoziemcy odnalazł w górach gminę tajpingów, sprzedałby ich wszystkich co do jednego gubernatorowi Kirynu za godziwą

224

- Jak wpadłeś na nasz trop, synku? - zagał Stanisław, siadając obok okrytego kocami jeńca. W kajucie paliła się oliwna lampka, przez prostokątne okienko wpadał blask rozpalonych na brzegu ognisk.

- Jeszcze w Irkucku, stryju. Przeglądając papiery, trafiłem na protokół przesłuchania zbiegłego katorżnika, który przyznał się, że uciekał do Mandżurii do króla, który tam się ukrywa. Przesłuchujący potraktował to jako wykret, zapisał, ale nie drążył tematu. Potem znalazłem jeszcze raport jakiegoś konfidenta, a w nim wzmiankę, że Polacy wybrali sobie króla, tylko tyle, bez żadnych uściśleń gdzie, ale to mi wystarczyło. Nikt przede mną tych informacji nie skojarzył. Papiery leżały w zupełnie różnych aktach, zajmowali się nimi inni ludzie. Od tej pory wiedziałem, czego szukać. Czy teraz ja mogę zadać pytanie stryjowi?

- Pytaj, synku.

- Kto właściwie stryja mianował pułkownikiem? - Sergiusz spojrzał prowokująco.

- Delegatura rządu narodowego na zesłaniu. Ludzie zachowujący ciągłość powstańczej władzy od 1863 roku. Pięć lat temu podporządkowali się królowi.

Młodszy Lawendowski parsknął śmiechem.

- Ma stryj na myśli tych zdurniałych zesłańców, zdziwaczałych starców, którzy w wielkiej konspiracji wciąż przekazują sobie tajną wiadomość: „Czekać”?

- No i doczekali się, synku. Na wieść o obiorze króla przebu-izili się ludzie i kontakty. Zdziwiłbyś się, jak wiele przetrwało... ^starczył jeden impuls, by odżyła cała zabajkalska konspiracja. Większość naszych strzelców, z którymi się tak dobrze poznałeś, )ochodzi zza Amuru, bo my tutaj nie mamy możliwości

szkolić ormacji strzeleckich od podstaw. Potrzebowaliśmy gotowych lu-Izi, doświadczonych syberyjskich myśliwych, obeznanych z bronią )d małego, no i zgadnij, synku, kto nam ich wyszukał, zwerbował sprowadził? Niektórych aż znad Kołomy. Owi zdurniali zesańcy,

227

jak byłeś łaskaw ich nazwać. To za ich sprawą ten guz na głowie < wyrósł, więc nie lekceważ nas, synku.

- A czemu to mianowali stryja pułkownikiem, a nie generałem albo i marszałkiem? - szyderczy uśmiezek wciąż nie chciał zleż z gęby Sergiusza.

- Bo dowodzę pułkiem wojska. Doborowym, ale tylko jednyrr

- I to jest cała armia Ukrytego Króla?

- Tak. Początkowo na więcej nie było nas stać, ale wciąż zwięk szamy liczebność. Myślę, że jak chińska insurekcja nabierze roz machu, wystawimy dwa pułki.

- Skoro stryjaszek taki szczery, to może mi jeszcze powie, ni której górze mieszka ten wasz król?

- Góra Pingding w Małym Chinganie, pasmo najdalej wysunie te na południe. Właśnie tam zmierzamy.

- Stryj żartuje!

- Dlaczego miałbym żartować?

- Przecież to zaledwie trzy dni drogi na północ od Harbinu!

- Albo trzy dni na zachód od San Sing, jak kto woli.

- Pod samym bokiemy rosyjskiego garnizonu?!

- Jaki ten garnizon straszny, to ty sam najlepiej, wiesz, synku. Jednak my na to patrzymy inaczej. Oto żyliśmy sobie na końcu świata, na bezludnym pustkowiu, aż tu nagle prawdziwy cud! Opodał królewskiej siedziby Polacy budują miasto! Raptem w zasięgu ręki są polscy inżynierowie, lekarze, robotnicy, ochotnicy... Tylko brać, wybierać, organizować. Wprost dar od Boga! I znak, by zacząć działać... Dzięki temu, że powstał Harbin, mogliśmy się porwać na projekt, który teraz właśnie krok po kroku się urzeczywistnia.

- To znaczy?

- Chcemy w Chinach przeprowadzić rewolucję i ustanowić naszego króla cesarzem.

- Chryste... - Sergiusz pobladał i dotknął skroni, jakby chwyciła go migrena. - To jest do was tak podobne, że wprost nie sposób nie uwierzyć! - .: i>..ł.-.,! \* ,.-,, ^.^ .!.->. |<| .•^|,^;j-^,-..^.^i

228

- Do nas, czyli do kogo?



- Niepoprawnych polskich buntowników i wichrzycieli. Zawsze z motyką na słońce!
- Tym razem na trzy słońca, synku. Na Rosję, Japonię i Chiny. Kto wie, może nawet do wielkiej europejskiej wojny doprowadzimy?
- Polska antychrystem narodów! - wycodził przez zęby Sergiusz.
- Raczej Samsonem narodów, synku. Włosy nam odrosły niepostrzeżenie, odzyskaliśmy siły i lada chwila runie światowa świątynia przemocy.
- Też na wasze głowy!
- To się jeszcze okaże. Póki Polska w niewoli, żadni tyrani nie mogą i nie będą spać spokojnie.
- Zapytam jeszcze raz: czemu stryj mówi ze mną tak otwarcie? Nie boi się stryj, że ucieknę i doniosę?
- Jak uciekniesz, synku? Z bezsilną prawą ręką? Powłócząc bezwładną nogą? Daleko nam nie odpelzniesz.
- Odzyskuję czucie i siły. Doktor mówi, że za parę miesięcy...
- Za parę miesięcy o tym, co ci teraz mówię, będą pisać wszystkie gazety. Zresztą lepiej nie próbuj ucieczki, dobrze radzę. Jeśli oddalisz się ode mnie na więcej niż sto pięćdziesiąt kroków, moi żołnierze zastrzelą cię bez ostrzeżenia. Chyba nie muszę przypominać, że dobrze strzelają, prawda, synku?
- A jeśli to stryj oddali się ode mnie?
- Nie są tacy drobiazgowi. To rozsądni myśliwi. I jakby co, wytropią cię i dostaną wszędzie, choćby na samym progu gabinetu komendanta Harbinu. Własnego życia nie pożałują... No to co jeszcze chciałbyś o nas wiedzieć?
- Zaraz, zaraz! Czy stryj tą szczerością przypadkiem nie próbuje mnie przekabacić?
- Tak kochasz swojego cara, synku?
- Nie o miłość tu idzie.
- Tylko o strach? Knuty? Kajdany? Psią uległość?

229

- O rozum! Stryj nic nie rozumie! Po co żyć przeciw sobie skoro można razem? W Rosji jest dużo miejsca, wiele możliwości...
- Powiem doktorowi, żeby ci przyrządził herbatę z tutejszego miłorzębu.
- Po co?
- Dobrze robi na pamięć. Może wtedy przypomnisz sobie, kim jesteś.

- Nie można żyć przeciw historii, stryju! Narody są jak ludzie, rodzą się, wzrastają i umierają, znaczy, roztapiają się w innych narodach. Mało jest na to przykładów w dziejach? Etruskowie, Par-towie, Egipcjanie, Goci, wreszcie, żeby daleko nie szukać, Prusowie i Jaćwingowie.

- Oni się poddali. My nie.

- Stryj niech sobie lepiej przypomni powiedzenie starożytnych stoików.

- Jakie?

- Opornego los siłą wlecze. Tak właśnie historia wlecze i poniewiera nasz oporny naród, bośmy nie chcieli po dobroci podporządkować się jej wyrokom. Czy tak trudno pojąć, że po innych narodach, które przeminęły, teraz na Polaków przyszedł ich czas? W sumie na własne życzenie...

- Życzyliśmy sobie rozbiorów?

- Poniekąd tak. Przez bezsilność i głupotę. Dla słabych miejsca w świecie nie ma! Skoro stoików mało, niech sobie stryj Darwina poczyta.

- A wyobraź sobie, synku, że czytałem i zgoła inne wnioski mi z tej lektury wyszły

- Jakie?

- Żeby przetrwać, trzeba walczyć. Bez walki nie ma przetrwania. Kiedy zaś się walczy, to się raz wygrywa, raz przegrywa, normalna rzecz, byle nie ustawać.

- Ale wy przegrywacie stale! :

230

- Tylko od stu lat. I nawet z klęski powstaje natchnienie dla następnego pokolenia.

- Za uludę i majaki prawdziwą krew lejecie.

- Mamy tu polskiego króla, polskie wojsko, mundury i znaki. To jest uluda?

- Jaki on tam polski, ten król! Sam stryj mówił, że Chińczyk!

- Co z tego? ' >

- Nie ta rasa, nie ta krew, nie ta kultura! Rosjanie to przynajmniej bratni słowiański naród.

- Zdeprawowany przez Mongołów.

- Którzy swoje metody wzięli od Chińczyków! - zaperzył się Sergiusz. - Nieludzkość, ślepy gwałt, drwina z sumienia i sprawiedliwości! I wy teraz do samego źródła zła sięgacie?! Wie stryj, co ja myślę o Chińczykach? Skoro oni w budowaniu kanałów tacy dobrzy są...

- Nie tylko kanałów. |• . , - ..

- A wie stryj, że na Marsie są kanały? Jak tak sobie na Chińczyków patrzę, to myślę, że oni te marsjańskie kanały wykopali, a gdy skończyli, wygnano ich z Marsa na Ziemię za brak

człowieczeństwa! Wszystko w ich kulturze jest względne i chwilowe, zależne od punktu widzenia, zwłaszcza dobro i zło. Skoro zaś dobro jest względne, pozostaje tylko zło.

- W każdej kulturze ożywcze soki krążą i mogą nowe pędy wydać. Ci nieludscy Chińczycy, jak mówisz, potrafili jednak wydać z siebie ideę braterstwa ludów.

- Może stryjek mówić jaśniej?

- Mówię o wierze tajpingów i o ojcu naszego króla.

- Wyrznięto ich!

-Jak widać, coś przetrwało.

- Tylko legenda, stryju. Ich legenda i wasza legenda, przypadkiem ze sobą skrzyżowane. Braterstwo ludów... - Sergiusz wzruszył ramionami. - Za wolność waszą i naszą... równość i powszechny pokój... Rozumiem, że wy i ci wasi tajpingowie zdradza-

231

cie objawy jednakowego zaccadzenia. A mówicie, że to z moją głową jest coś nie tak... Doprawdy, dziwadła większe niż smoki w tych mandżurskich górach mieszkają! Dobraliście się w korcu maku, nie powiem, ale wy z krwi i kości nie jesteście! Tylko z legendy, z baśni, z mitu... Was nie ma!

- To kto ci, synku, takiego guza nabił? Tęgiego widać, skoro dalej bredzisz. - Zirytowany Stanisław wstał i odszedł.

Następnego dnia doktor Zakrzewski, któremu zwierzył się pułkownik, zrelacjonował tę dyskusję Patrycji.

- Chwileczkę, doktorze... - zdumiona Irlandka zaczęła wyliczać na palcach. - Pan pułkownik i pan Sergiusz to jeden naród, raz... jedna rodzina, dwa... pierwszy jest buntownikiem, drugi służy najeźdźcy, to trzy... Różni ich także religia, bo pierwszy katolik, drugi prawosławny. Razem cztery podobieństwa! I pan doktor dalej chce zaprzeczać, że Polacy są Irlandczykami Kontynentu?

- Ale czy wy potrafilibyście ze sobą tak spokojnie rozmawiać? Dajmy na to protestancki lojalista z Ulsteru z katolikiem z Dublina? Niech mi mademoiselle tak szczerze powie, czy to możliwe, żeby u was w jednej rodzinie zdarzyły się dwie religie?

- Trzysta lat temu być może - odparła spokojnie Patrycja. - Teraz już rzeczywiście to raczej niemożliwe. No dobrze, przyznam panu doktorowi rację. Warn, Polakom, brakuje jeszcze dobrych kilku wieków niewoli, żeby stać się Irlandczykami Kontynentu!

- Może panienka przedyskutuje ten problem z samym panem Sergiuszem? - zaskoczony lekarz wycofał się rakiem z dyskusji.

- A on zna francuski?

- Oczywiście. Musiał uczyć się tego języka w szkole oficerskiej.

- Wobec tego nie omieszkam dowiedzieć się o was czegoś bardzo kompromitującego - zadarła nosa Patrycja. - Muszę pomścić Chu Chulainna!

Okazji do rozmowy z Sergiuszem Patrycja nie miała jednak przez kilka najbliższych dni. Ranny oficer nie pojawiał się na pokładzie, a choć wymagał zabiegów pielęgnacyjnych typowych dla

232

sparaliżowanych i obłożnie chorych, stanowczo nie godził się, aby zajmowały się nim kobiety. Wszystko co trzeba robili doktor Za-krzewski oraz batuszka Krępuć, który niemal nie odstępował Sergiusza na krok. Duchowny mówił mało, posługiwał się tylko naj-niezbędniejszymi monosylabami i ze zdumieniem graniczącym z osłupieniem obserwował to, co się działo wokół niego. Z medycznego punktu widzenia miał objawy ciężkiego szoku, a opieka nad oficerem trzymała go przy zdrowych zmysłach. Potyczkę, w której wybito kozacki oddział, Krępuć przeżył przypadkiem. Raczej należałoby powiedzieć, że przeżył wtedy swoją męczeńską śmierć. Chunchuzi Hajdengiego, którzy po wszystkim przybyli na pobożowisko, by dobijać rannych i odzierać trupy, znaleźli batuszkę w jakiejś skalnej szczelnie i wbrew rozkazom Jaskólskiego, który wszelkich świadków kazał zabijać szybko, postanowili się zabawić cudzoziemskim kapłanem. To im się jednak nie udało. Niespodziewanie torturowany batuszka wielkim głosem zaczął śpiewać psalmy, budząc takie przerażenie zabobonnych chińskich bandytów, że ci w strachu, że w jeńca wstąpił demon, przestali go dręczyć, a nie znając właściwych zaklęć ochronnych, nie ośmielili się go zabić i wezwali Polaków, którzy nieszczęśnika uwolnili. Szczęśliwie, poza niewielkimi oparzeniami, głębszych ran ani okaleczeń Krępuć jeszcze nie zdążył doznać, ale palma męczeństwa namieszała mu w głowie skutecznie. Jego dusza przekroczyła jakąś granicę. Do nieba nie trafił, na ziemię wrócić nie umiał. Funkcjonował na co dzień w stanie gdzieś pomiędzy jednym a drugim. Zgodnie z zaleceniem lekarza pozostawiono nieboraka w spokoju i nie obarczano żadnymi obowiązkami poza tymi, które przyjął na siebie z własnej woli.

Z kolei Patrycja prezentowała skrajnie przeciwny biegun emocji. Całe dni spędzała na pokładzie, szczęśliwa i zachwycona aż do euforii. Od kiedy wyłynęli z Cziń-czań, szkicownik i grafitowe pręciki leżały beczynnie. Rysować samą czernią i bielą świat, który był wokół, wydawało się jej bluźnierstwem i świętokradz-

233

twem. W ogóle wszelka próba naśladownictwa boskiego dzieła była tu nie na miejscu. Należało kontemplować rzeczywistość, chłonąć ją szeroko otwartymi oczami i nozdrzami.

A Sungari wprost oszołamiła kolorami i zapachami. Przy brzegach rosły czerwone i żółte lilie, tworząc niekończące się kobierce w barwach szat buddyjskich mnichów, szmer wody brzmiał jak święta mantra. Nad liliami śmigały jaskółki, a ciężka, majestatyczna woń kwiatów mieszała się z lekkim, eterycznym zapachem żywicy sosnowego boru tłoczącego się w całej dolinie rzeki. Zielen świeżych igieł wprost buchała w twarz za każdym zakrętem nurtu. Już po kilku godzinach odnosiło się nieodparte wrażenie, że tu muszą kwitnąć sosny. Tak oto stara nazwa Sungari, czyli Rzeka Sosnowych Kwiatów, tłumaczyła się teraz sama przez się.

Kiryn minęli bez przeszkód. Przystanęli tam tylko na kwadrans. Mandaryn najniższej, siódmej rangi, zarządzający rzeczonym portem, przyszedł do nich osobiście. Poprzestał na pobieżnym przejrzaniu dokumentów, które mu okazano, opieczętował, co trzeba, przyjął zwyczajową ilość srebra i opium, po

czym kłaniając się nisko, życzył wszystkim szczęśliwej podróży. Sprawdzać dokładnie ładunku i osób się nie ośmielił. W końcu był to konwój pod opieką złowrogiego Hajdengiego, a życie własne i rodziny było urzędnikowi miłe.

Przy okazji Patrycja zwróciła uwagę na dziwnie małe stopy jakiejś chińskiej damy, która akurat w porcie wysiadała z lektyki. Kikuty nóg w maleńkich bucikach wyglądały zupełnie jak u pani Liu. Potem to samo kalectwo spostrzegła jeszcze u jakiejś że-braczkii, drepczącej niemrawo wzdłuż brzegu. Liczba kobiet, którym tramwaj przejechał po nogach, wydała się jej stanowczo zbyt wielka.

- Nie, panno Patrycjo, to nie był tramwaj - odparł poproszony o wyjaśnienia doktor Zakrzewski. - To kolejny chiński przesąd, tym razem dotyczący ideału żeńskiej urody. Stopy tych kobiet podwinęto i zabandażowano tak, by nie mogły nigdy urosnąć.

234

- Jakim sposobem? - spytała zdziwiona.

- Najlepiej będzie, jak zademonstruję. Zechce mademoiselle zzuć trzewik?

Lekko speszona Patrycja odwróciła się plecami do pozostałych mężczyzn obecnych na pokładzie dżonki i spełniła prośbę.

- Robi się to kilkuletnim dziewczynkom - lekarz ujął jej kostkę. - Duży palec zostaje na swoim miejscu, a cztery pozostałe zagina się do dołu i na skos, żeby dotknęły sklepienia stopy. O tak...

-Ał-AJ!!! - wrzasnęła Patrycja, budząc ogólną konsternację. - To boli! - Widząc, że wszyscy na nią patrzą, zarumieniona ze wstydu po koniuszki uszu pośpiesznie ukryła nagą stopę pod spódnicą.

- Niestety, boli bardzo - doktor Zakrzewski ze smutkiem pokiwał głową.

- Okropne barbarzyństwo!

- Ależ, mademoiselle, to samo można powiedzieć i o nas. Czy panienka wie, jak wielkie zniekształcenia przepony i żeber powodują eleganckie gorsety europejskich dam? Zmniejszone przemocą stopy nie zaburzają przynajmniej funkcji tak życiowo ważnych narządów jak płuca i serce. A jeszcze gorzej jest z paniami, które by sprostać modzie i zmieścić się w gorsecie, odchudzają się aż do wystąpienia objawów trwałego wstrętu do jedzenia, co nieraz kończy się śmiercią głodową. Dla Chińczyków ideałem niewieściej urody są stopy wielkości kwiatów lili, dla nas kobieta o talii osy. Naprawdę widzi tu mademoiselle jakąś istotną różnicę? Bo ja doprawdy nie. Pod tym względem obie kultury pozostają ze sobą w stanie doskonałej harmonii.

- Dziwny jest ten świat - westchnęła Patrycja.

- Ale czasem naprawdę miło jest na niego popatrzeć - doktor Zakrzewski szerokim gestem ogarnął widoki po obu stronach rzeki.

Za Kirynem zaczęły się równiny, a barw i zapachów przybyło po stokroć. O tej porze roku mandzurski step wprost rozkwitał. Jak

okiem sięgnąć pyszniły się niebieskie łany kosaćców, żółtych żoło-tarników oraz czerwonych maków, ujętych niekiedy płotami w regularne pola opium. Trafiały się też kwitnące sino kępy trującego lulka, narkotyku preferowanego przez Tunguzów. Ponadto wszędzie kłębiły się gęszcze pokrzyw, trzciny i rzewieni.

Orgia roślin i ptasiego zgiełku sięgnęła zenitu koło ujścia rzeki Nonni, gdzie rozciągały się niezmiernie bagna przecięte linią telegrafu, którego słupy wbite w podmokły grunt chwiały się jak pijane. W suchszych miejscach przez lornetkę można było wypatrzeć hasające wśród murawy bobaki i chomiki.

Na brzegach Sungari miejsce sosen zajęły wierzy i topole, które w czerwonych promieniach zachodzącego słońca zamieniały się w istoty nie z tej ziemi, z uwagą i w skupieniu obserwujące małe ludzkie istotki przemijające wraz z rzeką u ich stóp.

Po zmroku w kabinie pod pokładem Patrycja i Lien dawały sobie delikatną i cichą rozkosz. Patrycję urzekło całkowite poczucie bezgrzeszności, z jakim do ich związku podchodziła Lien. Przy niej wszelka nienaturalność i nieczystość cielesnego kontaktu dwóch kobiet wydawały się najniedorzeczniejszym z absurdów. Aż dziwne, że w ogóle można było tak myśleć. Nie było nic bardziej naturalnego! I zarazem dającego większe poczucie bezpieczeństwa.

To ostatnie okazało się po pierwszej, czysto kurtuazyjnej rozmowie z Sergiuszem, kiedy ten wreszcie pokazał się na pokładzie - a ściślej mówiąc, pozwolił się tam wynieść. Patrycja podeszła, zagadała po francusku na temat piękna krajobrazu i pogody, po czym zlaną zimnym potem uciekła pod pokład prosto w ramiona Lien. Powód był równie prosty, jak zaskakujący. Ranny oficer ucieszony konwersacją uśmiechnął się do niej, a w tym momencie dziewczynie serce stanęło w gardle. Sergiusz Lawendowski miał uśmiech Jima Somersa!... Wrażenie było tak nagłe i tak gwałtowne, że Patrycjaomal nie krzyknęła. Ze strachu czy

z wściekłości? Nie wiedziała sama. Pragnęła tylko schronienia przed światem, które natychmiast dała jej Lien. Sergiusz zaś długo w noc łamał sobie skołataną głowę, rozmyślając, co u licha powiedział nie tak.

Z drugiej strony okazało się, że nawet cudowny chiński lotos ma kolce, prostoduszna niewinność Lien rozciągała się bowiem także na okrucieństwo. Od kiedy wyłynęli na spokojniejsze nizinne wody, Lao Ping zrobił sobie wędkę i całymi dniami namiętnie łowił ryby, przeważnie karpie, z których co wieczór gotował zupę albo piekł je na węglach. Chinka ze srokami w klatce często towarzyszyła mu podczas wędkowania i gdy tylko Lao coś złapał, Lien natychmiast ogłuszonej ledwie rybce wydłubywała oczy, po czym dawała je swoim ptakom. Wstrząśnięta Patrycja w żaden sposób nie potrafiła wytłumaczyć jej okropności tego postępowania. Lien zrazu wzruszała ramionami, nie wiedząc o co chodzi, a wreszcie przemyślała problem i za pośrednictwem doktora z wielkim przekonaniem oznajmiła, że widocznie takie musiało być tych ryb przeznaczenie. Wszak ryb w rzece są miliony. Dlaczego właśnie tę a nie inną złowił Lao? Widać rybce pisane było cierpienie, więc musiał być w tym większy nadludzki zamysł, a ona, prosta dziewczyna, jest tu tylko narzędziem w rękach losu. Jakże mogła się sprzeciwiać kosmicznym siłom? Zresztą sroki nakarmione oczami karpia będą na pewno dawać więcej szczęścia i radości, więc cierpienie ryb nie poszło na marne.

Afera z oślepianymi rybami okazała się wodą na młyn Sergiusza, który natychmiast skorzystał z okazji, by wziąć stronę Patrycji, a stryjowi nagadać na temat nieprzezwyciężalnej różnicy kultur i w związku z tym fundamentalnej niemożliwości polsko-chińskiej Rzeczypospolitej.

- Czy ten wasz Łokietek mówi chociaż po polsku? - spuentował swą filipikę.

- Czemu Łokietek? - szczerze zdziwił się starszy Lawendowski.

237

- Bo sam stryj mówił, że mieszka w jaskini, a do tego mu Władystaw. Wzrostu, jako Chińczyk, też musi być nikczemnego... Słowem, Łokietek Drugi Żółty!

Stanisław zniósł prowokację z kamienną twarzą.

- Wśród Europejczyków nasz król uchodziłby raczej za człowieka średniego wzrostu. Po polsku mówi biegle, zaczął się uczyć następnego dnia po elekcji.

- A co z naszych zwyczajów rozumie?

- Wyobraź sobie, synku, że wiele. To mądry człowiek, a ponadto ma jedną prawdziwie królewską cechę.

- No jaką, stryju?

- Gdy czegoś nie wie albo nie rozumie, to pyta. Cecha u zwykłych ludzi raczej mało spotykana.

- Rzeczywiście, prawdziwy tytuł do monarszej wielkości! Zwłaszcza wśród Polaków...

- Dość tego, smarkaczu! - zdenerwował się w końcu Stanisław. - To jest król, czy ci się to podoba, czy nie! Ludzie za niego przelewają krew! Albo od tej chwili zaczniesz wyrażać się o nim z szacunkiem, albo...

- Zetnie mi stryj głowę?

- Nie, po prostu go nie zobaczysz. Zostaniesz w San Sing i będziesz tam czekał na dalszy rozwój wypadków. Jak zwykły jeńiec.

- A nie jestem zwykłym jeńcem? r--!-,

- Możesz nie być. Potrzebujemy świadectwa osoby nam nieprzychylnej.

- Co wobec tego stryj proponuje?

- Wezmę cię do pałacu pod słowem honoru, że nie zdradzisz nikomu drogi ani niczego, co dotyczy osoby króla. Słowa nie dasz, zostawię cię w San Sing. Twój wybór.

- Zaufa mi stryj? -

- W końcuś Lawendowski!

- Niech mi stryj jeszcze powie, jaka tam u was etykieta panuje.

- Podwójna. Każdy naród czci króla według swojej tradycji. Chińczycy padają na twarz, Polacy całują królewską dłoń.

Sergiusz z wyraźnym wysiłkiem powstrzymał się od złośliwego komentarza.

- Wobec tego - przemówił pod dłuższej chwili, starannie dobierając słowa - ja, jako carski poddany, będę się do niego odnosić jak do cara.

- Doprawdy, szacunek i zniewaga w jednym - syknął Stanisław. - Ale dobrze, układ stoi. Dajesz słowo?

- Daję oficierskie słowo honoru, że gdy mnie ktokolwiek zapyta, powiem, że byłem w niewoli u chunchuzów. Bliższych szczegółów podać nie mogę, bo z powodu rany głowy szwankuje mi pamięć oraz zdolność odróżniania prawdy od majaczeń. Co zresztą jest całkiem możliwe. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że jeszcze nie odzyskałem przytomności po wybuchu granatu.

Podali sobie ręce.

Caj Cung-jen powiadomiony o umowie nie był zachwycony, ale nie protestował. Bardziej zdziwiło go, że pułkownik mimo to zamierza nadłożyć drogi i płynąć do San Sing, choć nie zostawi tam jeńca.

- Musimy pilnie spotkać się z królewskim bankierem - odparł Stanisław.

- Czy nie byłoby słuszniej najpierw pokłonić się naszemu królowi?

- Nie, panie Caj. Teraz najważniejsze są armaty dla bokserów. Bez nich cała nasza misja na nic.

- Rozumiem, ale czy czcigodny Czang Sun-sin zdoła sprowadzić nam cudzoziemskie armaty?

- Armat nie, bo to nie jego asortyment, za to parowiec jak najbardziej. Najlepiej nowy i szybki. Pan Czang kupi lub wynajmie parowiec, a ja mu go zarekwiruję!

- Najmocniej proszę o wybaczenie, szanowny panie pułkowniku, ale polskie poczucie humoru najwyraźniej znowu mnie przerosło...

Adam Chęciński razem z pozostałymi kandydatami na artylerzystów oraz większością ochrony płynął na drugiej dżonce. Wprawdzie pułkownik Lawendowski proponował mu miejsce przy poselstwie, ale Chęciński wymówił się, twierdząc, że woli być ze swoimi ludźmi. Prawdziwy powód był taki, że czułby się zbyt zakłopotany towarzystwem dwóch kobiet mających się ku sobie i zdających sobie sprawę, że on o tym wie. Nie potępił ich, lecz doprawdy o takich rzeczach lepiej było czytać u starożytnych Greków, niż być ich świadkiem. Zdecydowanie wybrał więc męskie towarzystwo i nie żałował. Strzelcy Jaskólskiego na wieczornych postojach nie szczędzili barwnych opowieści o utarczkach z chunchuzami, podbojach bandyckich księstewek, transportach złota do Kiongdu i powrotach przez skaliste bezdroża z zakupioną w Korei bronią, o wyrafinowanych rozgrywkach z podstępными mandarynami. Historia Ukrytego Królestwa, od czasu gdy kilkuset polskich awanturników wycofujących się znad Zeltugi natknęło się w górach Małego Chinganu na tajną gminę tajpingów, aż do teraz, gdy Druga Rzeczpospolita Obojga Narodów kontrolowała jedną trzecią obszaru Mandżurii i szykowała się, by ujawnić światu swoje istnienie, była doprawdy warta słuchania przy ognisku z kubkiem wódki z prosa w ręku. Jednak najciekawsza była odpowiedź na pytanie: co dalej?



Szczegółów negocjacji w Yidzu im nie przekazano poza tym, że wszystkie sojusze oraz zobowiązania zostały zawarte i należy je teraz wypełnić. Reszta w ręku Boga i historii. A właściwie tylko Boga, bo historię stawiali przecież na głowie. Wszyscy żołnierze

240

i ochotnicy mieli niejasne przeczucia, że wkrótce przyjdzie im zadrzeć z połową świata. W najlepszym razie tylko z połową.

Pomruki tłącego się na południu chińskiego powstania budziły równie wiele nadziei co wątpliwości. W końcu Chiny ponosiły od sześćdziesięciu lat same militarne klęski, jakż więc być z nich sojusznik? Jak dalece można polegać na bezładnym buncie zabobonnych wieśniaków? Wszyscy ufali dowództwu, ale pytania wciąż się mnożyły. Zadano je więc któregoś wieczora pułkownikowi Lawendowskiemu.

- Sami wskóramy niewiele - przyznał oficer, dosiadając się do ogniska. - Gdyby sami Polacy mieli wszcząć w Mandżurii powstanie, stanęłoby pod bronią nie więcej niż pięć tysięcy ochotników, pewnie bliżej trzech tysięcy. Tymczasem w dzisiejszym świecie liczą się armie co najmniej stutysięczne.

- I dlatego właśnie potrzebujemy Chińczyków? - domyślił się Chęciński. - Ich jest czterysta milionów...

- Zgadza się, młody człowieku - skinął głową pułkownik. - Ale Chińczycy to tylko ślepa siła, ludzka masa nieznająca współczesnej techniki, broni ani metod wojowania. Z tym z kolei obeznani jesteśmy my. Trzeba nam zatem połączyć siły. Nic nie stoi na przeszkodzie, bo wrogowie są wspólni. Niemcy i Rosja najpierw rozebrały Polskę, teraz chcą zebrać Chiny. Inne kraje europejskie tylko idą za nimi, korzystając z politycznej okazji, ale tym razem złodziei cudzych ziem czeka przykra niespodzianka. Zastawiliśmy tu potrzask na imperialistyczne bestie i dopilnujemy, by miały się z pyszna. My i Chińczycy mamy jeden cel i jednego króla. Takich atutów nie można zmarnować. Wy macie być kadra oficerską i podoficerską wspólnej polsko-chińskiej armii, która ocali Chiny i pomści nasze rozbiory.

- Tylko czy to przywróci Polsce niepodległość? - zapytał ktoś. - Wszak to drugi koniec świata.

- Ten świat to już jedna całość - odparł pułkownik. - Żadna jego część nie żyje w oderwaniu od innych. Gdy nasz król zasiądzie

241

na cesarskim tronie w Pekinie, a my staniemy za nim jako główna podpora tronu, wówczas radykalnie zmieni się cały światowy układ sił. Kręgosłup rosyjskiego imperium zostanie złamany. Czy myślicie, że patrioci w kraju pozostaną wtedy bezczynni? Z kolei kraje pragnące robić interesy w Chinach najpierw będą musiały się opowiedzieć za oddaniem Polsce niepodległości. My zaś poprzemy Francję, która chce odzyskać Alzację i Lotaryngię, więc i Niemcy zostaną poskromieni. Jeżeli nie zwrócą naszych dawnych ziem po dobroci, rozpętały wielką europejską wojnę, w której odrodzi się Polska!

- A my zakończymy życie w jedwabnych sukienkach jako mandaryni? - uśmiechnął się Chęciński.

- Pewnie niektórzy z nas tak. Reszta jak zechce, powróci do kraju przodków.

- Przez Rosję?

- Ja tam bym wam radził wracać przez Amerykę - pułkownik puścił do nich oko. - Droga wprawdzie okrężna, ale przyjmą was dużo cieplej, będą prosić o wywiady i autografy. Sporo zarobicie, wydając wspomnienia, jak zdemolowaliście świat!

Wszyscy wybuchli gromkim śmiechem.

Następnego dnia zobaczyli dymiące kominy Harbinu. Kuźnie, cegielnie, gorzelnie, lokomobile... Miasto wręcz kipiało ludzką pracą. Daleko po rzece niosły się odgłosy nitowania żelaznych konstrukcji, turkot wozów, gwizd lokomotyw. Na brzegach uwijały się tłumy objuczonych pakami kulisów. Niebawem przepłynęli pod mostem kolejowym o dziewięciu przęsłach, zbudowanym przez inżyniera Kierbedzia juniora.

- Tośmy z powrotem tutaj! - skwitował jeden z ochotników, gdy mijali długą zieloną wyspę na środku Sungari. - Na co nam było hen, w tamte góry gonić, żeby zaraz wracać?

- Spełniamy misję, która tego wymaga! - Chęciński stanowczo uciął zbędne komentarze. - Widać tak było trzeba! Wszystkiego dowiedzie się w swoim czasie. \*

242

W Harbinie się nie zatrzymali. Tylko przy krańcu wyspy dżon-ka wioząca pułkownika Lawendowskiego przybiła na chwilę do brzegu i rzucono trap. Na pokład weszło dwóch ludzi w chińskich kapeluszach nasuniętych głęboko na oczy. Nie dało się poznać, czy to Polacy czy Chińczycy. Rozmawiali z dowódcą przez kilka minut, po czym skłonili się i znikli. Poselstwo ruszyło w dalszą drogę.

Do San Sing płynęli jeszcze dwa dni. Było to największe i najważniejsze miasto handlowe północno-wschodniej Mandżurii. Konkurencyjny Harbin, choć rozwijał się w naprawdę imponującym tempie, potrzebował jeszcze dobrych kilku lat, aby mu dorównać. W San Sing miało siedziby pięć chińskich banków oraz dziesięć dużych domów handlowych. Panował tu wielki ruch, zwłaszcza teraz, w lipcu, gdy zewsząd ściągali myśliwi z worami sobolowych skórek, zbieracze żeń-szenia oraz objuczeni złotym piaskiem poszukiwacze znad rzeki Wok-eń. Tamtejsze złoża złota, leżące kilkadziesiąt kilometrów na zachód od San Sing, zaliczały się do najbogatszych w całej Mandżurii. Na tutejsze jarmarki ściągali kupcy z północy i południa od Kirynu aż po Sachalin, skąd sprowadzano morską kapustę i tran ze śledzi. Były to produkty spożywcze o klasę wykwintniejszą od łososi, które w tych okolicach po odkrojeniu najbardziej mięsistego fragmentu grzbietu zakopywano na polach jako nawóz. Handlowano też na wielką skalę tytoniem, opium, żelazem, jelenimi rogami uchodzącymi za afrodyzjak i gaolianem, czyli odmianą miejscowego prosa o łodygach długich na trzy metry. Słowem, udające kupiecką misję poselstwo zupełnie nie rzucało się w oczy.

Zresztą tutaj spiskowcy nie musieli się kryć ani niczego obawiać. San Sing pełniło praktycznie funkcje stolicy Ukrytego Królestwa. Zrazu mieściła się tutaj tylko intendentura dworu. W ruchliwym handlowym mieście, nie budząc podejrzeń, można było dyskretnie nabywać i wysyłać na górę Pingding wszystko co potrzebne do zaopatrzenia królewskiej siedziby. Transporty te płynęły sto

243

pięćdziesiąt kilometrów w górę Sungari, oficjalnie do Harbinu lub Kirynu, po czym drugiej nocy od opuszczenia San Sing zniknęły niepostrzeżenie w najbardziej odludnych miejscach lewego brzegu rzeki. Puste barki i dżonki wracały, odczekawszy czas niezbędny dla zachowania pozorów.

W miarę jak związani z gminą tajpingów Polacy zwiększali wydobycie złota, następnym krokiem były układy z kupcami i bankierami. Interes był obustronnie korzystny - łatwy hurtowy zbył wydobytego kruszcu i pośrednictwo w zakupach broni w zamian za stałość dostaw i bezpieczeństwo dla kupieckich transportów. To ostatnie wymagało rozprawienia się z chunchuzami znad środkowej i górnej Sungari. Z każdą rozbitą bandą coraz więcej kupców było skorych do współpracy. Skutkiem tego Ukryte Królestwo rosło w siłę i wpływy niczym śnieżna kula.

Proces ten uwieńczyło zhołdowanie miejscowego mandaryna. Zdzierstwo mandżurskich urzędników było wręcz przysłowiowe, toteż nic dziwnego, że po chunchuzach przyszła kolej na nich.

Pierwszy mandaryn otrzymał w czasie zaćmienia Księżycy list od niebiańskich bóstw, który wzywał go do powstrzymania się od nakładania podatków według własnego widzimisię i do czynienia sprawiedliwości. Dokument ozdobiony wizerunkami demonów napisano na bawełnianej tkaninie. Mandaryn demonstracyjnie wyszydził bóstwa, że nie stać ich na dobry papier lub jedwab do pisania listów, po czym rzucił przesłanie w ogień. List wybuchł, a pokrywające go znaki jeszcze przez chwilę wirowały w powietrzu rozpalone do białości, po czym znikły. Mandaryn nie wpadł na to, że list napisano na płacie bawełny strzelniczej, która spaliła się szybciej od pokrywającego ją tuszu, lecz gdy minęło pierwsze wrażenie, uznał, że nie ulegnie kuglarskim sztuczkom. Wtedy sam zniknął, jakby porwały go demony. Naprawdę wytoczono mu proces za nadużycia i ścięto go w imieniu trzeciego Niebiańskiego Króla. O tym jednak wiedzieli nieliczni.

244

Jego następca zarządził szczegółowe śledztwo i torturami próbował dowiedzieć się czegoś od służby poprzednika. Wtedy dostał taki sam łatwopalny list z żądaniem wypuszczenia uwięzionych. Nie wiadomo, czy uwierzył w jego nadprzyrodzone pochodzenie czy nie, ale skalkulował odległość dzielącą go od Pekinu i posłuchał. Nie zamierzał jednak zaprzestać łupienia kupców. Wtedy przydarzyła mu się historia rodem ze starych chińskich legend. Nocą, szukając wrażeń w dzielnicy uciech San Sing, mandaryn spotkał tajemniczą piękną dziewczynę, która zaproponowała mu gościnę, opium i cielesną rozkosz. Rano obudził się tak jak inni bohaterowie tego typu przygód - w grobie. Z tą różnicą, że nie mógł z niego wyjść. Dopiero po tygodniu specjalnie wezwany taoistyczny szaman odnalazł mistyczne ślady wiodące na cmentarz i wskazał nienaruszony grób, w którym duchy uwięzili mandaryna. Ów żył jeszcze, ale doznał całkowitego pomieszania zmysłów i nie był w stanie sprawować urzędu.

Trzeciego mandaryna piątej rangi, obecnie urzędującego pana Li Tunga, do San Sing już zesłano. Był młodym i nieprawomyślnym zwolennikiem reform, który nie pozwolił krępować stóp swoim córkom, a ponadto zbyt głośno krytykował warunki pokoju zawartego po wojnie z Japonią. Zwierzchnicy liczyli zapewne, że i jego diabli wezmą, lecz okazało się, że politycznie niepewnych w zaświatach także nie chcą. Dyskretny wywiad przeprowadzony przez kupców ujawnił, że Li Tung miał w rodzinie niejednego taj-pinga, o czym władze mandżurskie nie wiedziały. Młodego urzędnika zaproszono więc na górę Pingding, gdzie ów z radością powrócił do wiary przodków i złożył hołd królowi. Od tej pory Ukryte Królestwo całkowicie kontrolowało San Sing, zyskując solidne zaplecze handlowe i bankowe.

Tajpingowie mogliby tu jawnie prezentować długie włosy, ale nie czyniono tego, żeby nie narobić kłopotów Li Tungowi.

Historie te opowiadał im doktor Zakrzewski, gdy spacerowali główną ulicą San Sing noszącą, jakżeby inaczej, dumną nazwę

245

Gościńca Wielkiego Spokoju. Metafora zupełnie nieodpowiednia, zważywszy na kłębiący się tutaj tłum, zwały błota i odpadków prowokujące co chwila do grubszych przekleństw. Jak w każdym innym chińskim mieście, tak i tutaj uważano, że orientacja ulic zgodna z zasadami feng-shui oddała konieczność regularnego wywozu śmieci. Zła energia odpływała sama dzięki prawidłowo ustalonej geomancji, a reszta to były niegodne uwagi prawdziwych uczonych i estetów przyziemności, do których należało się odnosić właśnie z wielkim spokojem. Tą cechą dysponowali tu także kupcy, zwłaszcza podczas targów o ceny. Wygadana jak własne sroki Lien okazała się w tej mierze znacznie skuteczniejsza od doktora Zakrzewskiego.

Największe zakupy robiły Patrycja i Lien, żeby odpowiednio wyglądać na królewskim dworze. Ponieważ na wydatki reprezentacyjne nie pożałowano pannom srebra, towarzyszący im żołnierze i ochotnicy wkrótce zamienili się w tragarzy damskiej konfekcji. W tym samym czasie pułkownik Lawendowski i obaj tajpingowie konferowali z najważniejszym miejscowym bankierem nazwiskiem Czang. Sergiusz i batuszka zostali na dżonce pod strażą. W San Sing można było spotkać wielu Rosjan, więc postanowiono oszczędzić im pokus.

Wieczorem Adam Chęciński rozstał się ze swoimi ludźmi. Pułkownik po powrocie odesłał ich do domu bankiera Czanga i tam kazał czekać na dalsze rozkazy. Podobne polecenia dostała większość ochrony. Strzelcy Jaskólskiego przyjęli to ze stoickim spokojem, ale ochotnicy byli niepokieszeni, że nie zobaczą króla.

- Król jest po to, aby mu służyć, a nie żeby go oglądać! - uciął dyskusję pułkownik. - Wystarczy, że jego wysokości zostanie przedstawiony wasz dowódca, pan Adam. On wam zda relację.

- Chciałoby się jednak zobaczyć tego, za kogo mamy ginąć... -zaoponował markotnie któryś.

- Wielu już poległo, nie widząc króla na oczy. Wystarczyła im wiara. Biercie z nich przykład i pamiętajcie, że to od was zależy,

246

czy i kiedy nasz król będzie mógł pokazać się światu. Walczycie za ideę, którą król uosabia. Pamiętajcie o tym, że patrząc na innego człowieka, nie zobaczycie idei, jeśli nie będzie jej w was samych.

- Wary nam wystarczy! - zapewnił ochotnik.

- Więc zostańcie z Bogiem.

Rano już tylko jedną dżonką popłynęli w górę Sungari. Wioślarzami byli miejscowi milczący Chińczycy, głęboko wtajemniczeni, sądząc po szacunku, jaki mimochodem okazywali królewskim urzędnikom. Z każdą godziną nastrój stawał się coraz bardziej uroczysty. Lao Ping już nie łowił ryb. Dziewczęta pilnie

szyły, a Caj Cung-jen nie rozstawał się z różańcem. Tylko Sergiusz uparcie dociekał wszystkich szczegółów i okoliczności. Z niejasnych powodów pułkownik Lawendowski polecił Chęcińskiemu asystować przy swoich rozmowach z bratankiem. Nie zabierać głosu, tylko uważnie się wszystkim przysłuchiwać.

- Pamiętam mapę i muszę przyznać, że miejsce wybraliście niezłe - mówił młodszy Lawendowski. - Obszar na południe od Małego Chinganu aż po Sungari to rzeczywiście kompletne pustkowie. Można by tam ukryć ze dwa księstwa Hajdengiogo. Wszystkie ludzkie siedziby na lewym brzegu to osady rybackie. Te między Harbinem a San Sing da się policzyć na palcach jednej ręki, a jednak niemożliwe, żeby nikt się nie zorientował. Dwór... niech wam będzie, że królewski... to minimum kilkaset osób. Myśliwi polujący w tych górach, Tunguzi, poszukiwacze złota i inni włóczędzy prędzej czy później musieliby się dowiedzieć, a od nich wieść rozeszłaby się dalej. Przecież chyba nie zabijacie każdego, kto się zbliży?

- Oczywiście, że nie - odparł Stanisław. - Nieproszonych gości grzecznie prosimy, by zawrócili.

- W imię króla może?

- Nie, w imieniu wielkiego lamy. Nie jest niczym dziwnym, że w tych stronach na górach mieszkają świątobliwi mężowie, których spokoju zakłócać nie wypada. Nie mówiono ci o tym, syn-

247

ku? Niemal co góra, to klasztor... Ale ty pewnie wolałeś szukać góry, na której jawnie mieszka król, co? Stąd poniosło cię aż pod Pektu?

- Zgadza się... - burknął skwaszony Sergiusz. - Zaraz, to ten wasz król jest w końcu lamą?

- Za takiego uchodzi. Zwłaszcza wśród zaprzyjaźnionych Tunguzów. Lama to po prostu lekarz. Przybywają zatem chorzy, którym udzielamy pomocy. Doktor Zakrzewski wraz z kilkoma kolegami z Harbinu założył na górze Pingding mały, lecz doskonale wyposażony szpital, w którym praktykuje też pan Caj. Nowoczesna chirurgia i farmakologia Zachodu plus stara medycyna Wschodu, dodatkowo okraszone tradycyjną tunguską i lama-istyczną magią. Efekty graniczą wprost z cudotwórstwem. Zgadnij, synku, jak przyjaźnie ta działalność usposabia do nas miejscowych koczowników. Jak wielu plemiennych książąt i głów rodu zawdzięcza nam życie własne, swoich synów, żon i córek? Ilu z nich poczuwa się do głębokiej wdzięczności i zrobi naprawdę wiele, by nie stało się nam nic złego?

- Dobrze pomyślane - przyznał niechętnie Sergiusz.

- A przy tym jakże zgodne ze starą europejską tradycją mówiącą, że dotyk króla leczy.

- Tylko z tego co słyszałem, na Dalekim Wschodzie poddanym nie wolno władcy dotykać, a często i oglądać.

-1 na to jest sposób, który zapożyczyliśmy od Mongołów. Podczas ceremonii przez szpital przeciągamy czerwony sznur. Król trzyma jeden jego koniec, a chorzy chwytają za drugi i tak spływa na nich uzdrawiające błogosławieństwo. To oczywiście efekt pla-cebo, ale dobrze wspomaga terapię.

Wymyśliliśmy jeszcze wiele podobnych udogodnień, by pogodzić różnice kultur. Na dworze między sobą nazywamy to znajdowaniem garnka.

- Dlaczego garnka?

- Bo garnek z pożytkiem godzi ogień i wodę.

- Zatem stworzyliście utopię.

248

- Tak też można by to nazwać. -

- Jednak wszystkie utopie mają to do siebie, że są niemożliwe - skwitował Sergiusz. - Same upadają pod własnym ciężarem. Jak eksperymenty paragwajskich jezuitów, jak amerykańskie falanstery i... No tak! Jakże mogłem o tym zapomnieć! Czterdzieści lat temu właśnie tutaj, w Chinach. Niebiańskie Królestwo Tajpingów ze stolicą w Nankinie. Coś was z nimi łączy, nieprawdaż? Widzę to po minie stryja. Podobno nazywano ich długowłosymi rebeliantami. Wystarczy teraz spojrzeć na panów Caja i Lao Pinga. I cóż się okazuje?... - Sergiusz znacząco zawiesił głos.

- No co? - zirytował się Stanisław.

- Samiście dowiedli, że Polska to zjawisko z kategorii utopii. Istnieć w realnym świecie nie ma prawa! A jeśli już jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zaistnieje, zaraz w przyziemnym błocie się topi i przepada. To, co ma trwać, musi być częścią bagna...

- Więc tylko zło, podłość i chciwość mają rację bytu?! - nie wytrzymał Chęciński.

- To normalne skłonności człowieka. Nie można ich wyrugować z ludzkiej natury. Zakładanie utopii to naiwna droga na skróty, która kończy się niepotrzebnym rozlewem krwi. Jak wasze styczniowe powstanie i jak powstanie tajpingów. Ilu ich wtedy wyróżniło? Słyszałem o milionie ściętych głów...

- Ja też - przyznał niechętnie pułkownik.

- No, a nasz car Aleksander II humanitarnie zsyłał na Sybir. Nie chcieliście go docenić, a szkoda! Woleliście zabić cara wyzwoliciela w przededniu wielkich reform, które przedsięwziął...

- Gdyby car - kat nie żył w ciągłym strachu o własne życie, nie byłoby żadnych reform - odparł Stanisław. - Bez nieudanych zamachów nie byłoby też żadnej amnestii.

- Tak, a ślepa przemoc z obu stron zniszczyła wszystko co rozumne. Ech, Norwida by sobie stryjaszek poczytał. Albo i Dosto-jewskiego...

- To już nie Darwina mam czytać?

249

- Sumienie musi przepalić ten glob - kontynuował niezrażony Sergiusz. - Tego procesu nie da się przyspieszyć ani ogniem, ani mieczem. Mój ojciec to rozumiał, szkoda tylko, że jego brata w ślepej złości wychowano.

- A może lepiej fałę historii okiełznać i na niej płynąć?

- O, stryjasek w głębi duszy też poeta?...

Na koniec tej dyskusji Chęciński miał ochotę zgrzytać zębami, a Sergiusza udusić albo utopić. Najlepiej wszystko naraz...

- Ten pański bratanek to diabeł wcielony! - wydyszał ochotnik, gdy carskiego oficera zniesiono pod pokład i został sam z pułkownikiem. - Truje duszę wątpliwościami niczym jadem. Nie chcę go więcej słuchać!

- Wręcz przeciwnie - odparł spokojnie starszy Lawendowski. - Będzie pan rozmawiać z moim bratankiem, ile tylko będzie po temu okazji. Niech sobie mówi, co chce, im więcej, tym lepiej...

- Ale dlaczego?

- Jeśli powiem, że to rozkaz, wystarczy?

- Tak, panie pułkowniku. Przepraszam i życzę dobrej nocy. - Chęciński odwrócił się, by odejść.

- Proszę zaczekać. Małe wątpliwości są jak szczepionka, czynią umysł odpornym na wielkie zwątpienie i utratę wiary. Jest pan inteligentny, więc na pewno sam pan znajdzie argumenty, by Sergiuszowi odpowiedzieć, ale o to mniejsza. Niech pan mu się przygląda i słucha, bo wkrótce musi pan stać się nim... Rozumiemy się?

- Tak, panie pułkowniku - odparł przejęty ochotnik.

- Dobranoc zatem.

Bładym świtem przybili do przystani ukrytej przemyślnie w zakolu starorzecza. Czekają tu na nich konie i dwa wozy, jeden dla kobiet, drugi dla Sergiusza. Szybko minęli drogę lądową łączącą San Sing z Harbinem, po czym wszelkie ślady ludzkiej działalności zostawały coraz dalej za nimi. Wokół gęstniał las, w górę pięły się stoki Małego Chinganu. Kluczyli. Jeńcowi zabroniono wygląda-

250

dać na zewnątrz. Osobiście pilnował tego Chęciński jadący z nim w jednym wozie. Siłą rzeczy znudzony podróżą Sergiusz do reszty wszedł w rolę adwokata diabła i z zapałem nawracał towarzysza podróży na imperialny wielkoruski panslawizm. W końcu jednak Adam znalazł na to sposób.

- Pan jest przecież wojskowym - zauważył - a używa pan argumentów godnych literata lub filozofa. Całkiem panu z tym nie do twarzy.

- To niby co miałbym mówić? - spytał zaskoczony Sergiusz.

- Proszę popatrzeć na naszą sytuację po wojskowemu. Jest armia, jest król, są zawarte sojusze i sprzyjające okoliczności strategiczne. Co by pan zrobił wobec tego na moim miejscu?

- Jako kawalerzysta? Szczerze mówiąc, tylko jedno. Szabla w garść i hajda do szarży!

- Właśnie, panie Lawendowski! Należy odróżnić wpisywanie się w cudzą historię od tworzenia własnej. To różnica dokładnie taka jak między piórem a mieczem. Hegłowskiego ducha dziejów złapać za kark i zamknąć w butelce jak dżina, ot co! Potrzebna tylko wola i okazja, a tę zawsze gdzieś można znaleźć.

Od tej pory darowali sobie politykę. Rozmawiali tylko o swoich petersburskich studiach i kobietach. Sergiusz nie krył, że tutaj w oko wpadła mu Patrycja, i zachodził w głowę, czemu Irlandka go unika. Chinki niemal nie zauważała. Chęciński musiał parę razy ugryźć się w język, ale w końcu udało mu się zachować dyskrecję i nie powiedział, jaki stosunek łączy obie panny.

Po dwóch dniach zostawili wozy i ruszyli pieszo. Sergiusza niesiono na krześle. Droga wiodła przez gęsty las. Nie było żadnej ścieżki. Pułkownik wspominał, że celowo starano się ich nie wydeptywać.

Tygrys po prostu wyszedł im na spotkanie. Wynurzył się z zarośli i spokojnie wszedł pomiędzy idących ludzi. Pułkownik, lekarz i tajpingowie zupełnie się nim nie przejęli. Ogromny drapieznik też ich zignorował. W zamian starannie obwąchał i polizał ręce wszystkim nowym osobom. Lien omal nie zemdląca. Patrycji zbłądły wszystkie piegi, ale przemogła się i bestię nawet pogłaskała.

251

Chęciński się na to nie zdobył, Sergiusz naśladował zachowanie stryja. Batuszkę z kolei trzeba było przytrzymać siłą, inaczej rzuciłby się do ucieczki i zginął rozszarpany parę sekund później. Drugi tygrys czał się z tyłu kolumny, czekając na takich właśnie delikwentów.

Chwilę później poznali przewodnika bestii. Był to młody, pro-stoduszny i bardzo nieśmiały Polak, którego wołano Chwostek. Widząc, że wystraszył kobiety, zmieszał się okropnie i zaczął bezładnie przeproszać „jasne panienki”, objaśniając na przemian, że on „ot, tak od małego zawsze na wszelkich kociętach się rozumiał”, że to jest powinność jego, więc prosi uniesienie, „coby się jasne panienki na niego zbyt nie zagniewały”... Gdy polecono mu odejść, natychmiast przepadł w lesie ze swoimi „kociętami”.

Musieli zrobić krótki postój, żeby ochłonąć. Pułkownik wyjaśnił nowym, że spotkanie to było próbą wymyśloną przez Chińczyków z królewskiego otoczenia. Zgodnie z miejscowymi wierzeniami obecność tygrysa wypłasza demony, a zatem jego nagłe zjawienie się powinno też szczególnie strwożyć zdrajców oraz wszelkich innych ludzi żywiących złe zamiary.

Sergiusz już miał wyśmiać głupi zabobon, gdy spostrzegł, że roztrzęsiony batuszka machinalnie obmacuje kraj swojej sutanny. Nie tylko on to zauważył. Natychmiast rozcięto tkaninę i wydobyto zaświadczenie ochrony, że okaziciel niniejszego dokumentu, diakon Krępuć Mikoła, za zgodą cerkiewnej zwierzchności pozostaje w cesarskiej służbie i należy udzielić mu wszelkiej pomocy oraz dać wiarę wszystkiemu, co powie. Słowem, to on był agentem przydzielonym do oddziału starszego lejtnanta Lawendowskiego.

Sergiusz tak się wściekł, że o własnych siłach wstał z krzesła, na którym go niesiono. Jednak w mordę szpiclowi, jak sobie wcześniej obiecywał, nie dał. Batuszka stał ze spuszczonego wzrokiem i milczał. Oficerowi opadła wzniesiona do uderzenia lewa ręka. Nikt inny też nic nie powiedział ani nie zrobił. Spojrzenia Chińczyków były zupełnie nieodgadnione. Po chwili jakby



ligdy nic ruszono dalej. Młody Lawendowski tym razem odmó-lektyki. Zaczął iść, wspierając się na ramionach Chęcińskiego Lao Pinga. Nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy zaczęła się wspinaczka na szczyt góry Pingding. Krępuć podążał za nimi jak trup.

Niedaleko wierzchołka dołączyło do nich kilku tajpingów w długich szarych szatach, ze skrzyżowanymi na piersiach pasami z nabojami. Włosy mieli związane w końskie ogony, a brwi zabarwione na czerwono. Wszyscy uzbrojeni byli w rosyjskie karabiny systemu Mosina. Do takich tu najłatwiej o amunicję, przemknęło przez myśl zmęczonemu Sergiuszowi. Góra Pingding nie była bardzo wysoka, miała tylko nieco ponad tysiąc metrów wysokości, ale w jego stanie był to niemalże śmiertelny wysiłek. Mimo to Sergiusz właśnie czegoś takiego potrzebował, żeby zdusić przepelniający go gniew i obrzydzenie.

Królewscy gwardziści zamienili kilka słów z pułkownikiem, po czym związali batiuszce ręce za plecami. Pozwolili mu jednak iść z innymi.

Król czekał na nich na szczycie.

Nie było tu tronu, tylko mała kamienna ławeczka zwrócona na południe. Siedział na niej mężczyzna w średnim wieku ubrany w kaftan z czarnego aksamitu. Głowę okrywała mu niebieska chusta związana na karku w misterne węzły. Nieruchomo kontemplował krajobraz oraz przepływające w dali obłoki. Widok był rozległy, ale teraz mocno przymglony. Słońce słabo przebijało się dziś przez chmury.

Słyszac za sobą kroki wielu osób, Władysław V wstał, a następnie odwrócił się bez pośpiechu. Miał czarne i gęste, mocno uniesione do góry brwi, które sprawiały, że oczy wydawały się mniej skośne niż rzeczywiście były. Do tego krótkie wąsy i równie krótką spiczastą brodę w stylu dawnego europejskiego musz-kietera. Wszelkie azjatyckie cechy rysów twarzy były wyraźnie na drugim planie. Król nie wyglądał na typowego Chińczyka i to

akurat nie powinno dziwić, jako że pochodził z ludu Hakka, nie Han.

Na jego piersiach błyszczała wyhaftowana złotą nicią ryba, którą otaczał smok. Ryba dominowała nad smokiem, który ją chronił i osłaniał.

'biącu

u c ii

Chabarowsk według chińskich pojęć powinien być środkiem świata. Tu krzyżowały się najważniejsze wodne i kolejowe szlaki Syberii i Dalekiego Wschodu. Tu Ussuri wpadała do Amuru, który dwieście kilometrów wcześniej pochłonął Sungari, a widły potężnych rzek przecinała jeszcze kolej transsyberyjska. W dokach portów rzecznych i na bocznicach kolejowych Chabarowska dzień i noc wrzało jak w ulu. Nie, ul, to zbyt mało powiedziane, młyn tytanów byłoby lepiej. Europejskie towary, chińska herbata, mandżurskie złoto, koreańskie drewno, syberyjskie surowce, wszystko bez końca z wagonów na statki, ze statków na wagony, z magazynów do magazynów. Przesyłki cywilne,

wojskowe, międzynarodowe. Z południa na północ, z zachodu na wschód i odwrotnie, i we wszelkich możliwych kombinacjach. Tranzyt, przeładunek i jeszcze raz tranzyt!

Jednakowoż, prawdę powiedziawszy, szło przywyknąć. Po paru latach w takim kołowrocie człowiek już machinalnie przekładał manifesty przewozowe, zapotrzebowania, dyspozycje z jednego końca biurka na drugi. Pieczętował, podpisywał, won do akt i krzyżyk na drogę! Potem tyk pocieszycielki i dawaj wszystko od początku! Co tam dokładnie w tych papierach było, i koń by nie spamiętał, choć u konia łeb duży. Od samego czytania ogłupieć by można. Słowem, papierom, które przechodziły przez jego ręce, Spiridon Łazariewicz Kanawkin, naczelnik wojskowych składów tranzytowych w Chabarowsku, nigdy zbytnio się nie przyglądał, ale też nigdy czegoś takiego na pewno nie widział! Inaczej zapamiętałby na całe życie. Z wrażenia wyparował z niego cały poran-

255

ny klin. W jednej chwili trzeźwy jak niemowlę stał za biurkiem na baczność, dopinając mundur pod grubą szyją. Przekłęty guzik wymykał się z palców...

Na tym dokumencie był odręczny cesarski dopisek „godne zaufania” i Najjaśniejszy Podpis.

Tylko spokojnie! Przede wszystkim sprawdzić... Kanawkin opanował drżenie rąk, wyteżył całą uwagę i pamięć. Przypomniawszy sobie, czego uczono go na taką okoliczność. Najpierw pieczęcie: Ministerstwa Wojny, Kancelarii Tajnej, kolejne sekretariaty... pary adnotacji i asygnat... Na marginesach powinna być odnotowana cała droga służbowa dokumentu przez wszystkie instancje poprzedzające przekazanie pisma do osobistej decyzji cesarza i z powrotem, aż do rąk wykonawcy. Żadnego z kilkunastu etapów nie pominięto, co wskazywałoby na oszustwo. Wszystko było jak należy, wręcz wzorowo. Największe wrażenie robiły daty z dopiskiem „Pilne”. Wynikało z nich, że dokument nabierał wagi urzędowej w ciągu zaledwie tygodnia. Protekcja musiała być więc niebywała. Tylko car się nie spieszył, trzymał u siebie drugie tyle, ale to była rzecz zrozumiała i budząca dodatkowe zaufanie. Bo jakżeby imperator miał się spieszyć?

Naczelnik jeszcze raz sumiennie sprawdził kolejność instancji i dat. Żaden łajdak, choćby ośmielił się sfałszować wszystkie podpisy, nie mógł ukraść piętnastu urzędowych pieczęci naraz i przybić ich we właściwym porządku według kompetencji organów zatwierdzających. Dokument musiał być prawdziwy i był! Na Ka-nawkina znów uderzyło gorąco. Nałana twarz poczerwieniała mu jak od kwarty wódki wypitej jednym haustem.

- Skończyliście? - zapytał surowo starszy lejtnant, który przyniósł pismo. Towarzyszył mu milczący szpakowaty sierżant w średnim wieku. - Długo jeszcze będziecie czekać? Sprawa pilna i tajna, a wy mi tu przewlekacie!

- Wy jesteście Sergiusz Henrykowicz Lawendowski? - upewnił się Kanawkin, zerkając na cesarskie upoważnienie.

256

- Tak, a bo co? - Przebrany w rosyjski mundur Adam Chęciński podniósł głos o ton wyżej. Wprowadził przy sobie książeczkę wojskową Sergiusza z podretuszowanym zdjęciem, ale właśnie ze względu

na ten retusz należało jak najbardziej wytrącić z równowagi sprawdzającego papiery. Zęby zanadto się nie wpatrywał...

Trzeba było jeszcze dokładnie sprawdzić tożsamość składającego zamówienie i naczelnik zwykle tak robił, ale tym razem rutynę przesłonił tańczący przed oczami najkrótszy z możliwych podpisów urzędowych. Samo imię „Mikołaj”, żadnego nazwiska i tytułu, bo te wszak znali wszyscy... Toż to relikwia! Podpis imperatora wręcz hipnotyzował. Co tu dużo gadać, jeszcze takiego dotknięcia sacrum pocziwy Spirydon Łazariewicz w swej karierze prostego urzędnika wojskowego nie doświadczył. Podpisy generał-guberna-tora Władystoku czy Irkucka to były najwyższej rangi autografy, jakie dotąd oglądał. Nie było porównania! I stanowczo nie należało denerwować niecierpliwego oficera, bo ten raport ze skargą gotów jeszcze wysłać, aż strach pomyśleć dokąd...

- Czego wam trzeba, wasze wysokobłagorodie? - zapytał usłużnie starszego lejtnanta.

- Karabiny szybkostrzelne Maxima i trzycalowe armaty Depor-ta macie?

- Pozwólcie spojrzeć... - Kanawkin przerzucił pośpiesznie spisy magazynowe. - A tak. Maximy na stanie są. Działa... tego, no...

- De-por-ta - przesyłabizował Chęciński głośno i wyraźnie. - Koniecznie najnowszy model z 1897 roku.

- Ano... też, wasze wysokobłagorodie. Stoją na boczniczy, transport specjalny do Władystoku... - tu Kanawkin się zająknął. Formuła „transport specjalny” oznaczała, że przesyłka jest właściwie poza zasięgiem jego kompetencji. Miał ją tylko przechować i przesłać dalej. Dysponować bez uzgodnienia normalnie nie mógł. Tylko jak tu odmówić człowiekowi z takim upoważnieniem? Zwłaszcza gdy się już nieopatrznie rzekło, że armaty są...

257

- Pokażcie je! - polecił stanowczo oficer. - Chcę obejrzeć.

Kanawkin odetchnął z ulgą, że zyskuje na czasie. Skwapliwie ruszył do drzwi kantorka, otworzył je zamasyżąc przed oficerem, a następnie poprowadził obu interesantów przez zastawione wagonami rozjazdy składnicy tranzytowej. Dużo było tych wagonów, prawdę powiedziawszy trochę za dużo, ale co począć, skoro jednotorowa linia kolei transsyberyjskiej miała taką przepustowość, jaką miała. Parowozu też z rękawa na zawołanie wytrząsnąć się nie dało. Każdy wojskowy transport musiał swoje odstać na mijankach i bocznicach, tym bardziej że w czasie pokoju armia nie miała priorytetu ani takich argumentów jak kupcy. Ci zaś nader przekonywająco dbali, żeby pociągi z ich towarami w pierwszej kolejności puszczano na tory. Ot, bezgrzeszne dochody za pomoc dobrym ludziom wyświadczoną... Lepiej jednak, żeby żaden wojskowy rewizor z powodu naruszenia transportu specjalnego na chabarowskiej składnicy się nie pojawił. Bryza znad Amuru sprawiła, że Kanawkin ochłonął z wrażenia i zaczął kombinować, jak uniknąć ambarasu. Może wezmą działa innego typu? Starych modeli Kruppa mógł dać, ile wlezie... Tymczasem jednak odnalazł właściwą bocznicę.

Armat Deporta było sześć. Stały okryte brezentem, po trzy na dwóch platformach kolejowych. Obok nich przechadzał się tam i z powrotem strażnik z bagnetem na karabinie. Na widok oficera stanął na baczność, służbiście zasalutował.

Chęciński odsalutował niedbale i pierwszy wszedł na platformę. Osobiście odwiązał i odrzucił brezent. To było to! Na widok najnowocześniejszego osiągnięcia wojennej techniki nie zdołał powstrzymać westchnienia. Cudeńko! Wprost chciało się pieścić szary metal pachnący dziewiczym fabrycznym sma-

rem.

Natomiast Kanawkin był mocno zdziwiony. - Aż trzy lufy? - zapytał zdumiony. - Z tego dwie ślepe... Jakże to z tego strzelać, wasze wysokobłagorodie?

258

- Te ślepe rury to nie lufy, tylko oporopowrotnik - wyjaśnił Chęciński.

- A cóż to za ustrój stwo?

- Hamuje odrzut i po każdym strzale nie trzeba działa z powrotem na pozycję podtaczać ani od nowa celować. Bierzemy trzy sztuki!

Naczelnik nerwowo przełknął ślinę. Cesarski podpis znów zatańczył mu przed oczami. Dać - źle, odmówić - jeszcze gorzej. Boże, ratuj!

-Ależ... - zaczął się jękać. - Może by tak... eee... z Władystwo-stokiem uzgodnić...? - spytał nieśmiało.

- Czasu nie ma! - uciął ostro Chęciński. - Chińczycy się burzą, kolej mandżurska przez bandytów zagrożona, a wy tu myślicie przewlekać procedury? Te armaty już dawno powinny być w Harbinie! Chcecie, żeby było na was, jak się jakie nieszczęście wydarzy?

Kanawkin spłynął zimnym potem. W tym momencie podszedł do niego milczący dotychczas starszyna.

- Sprawa nie na waszą głowę - szepnął Stanisław Lawendowski do ucha naczelnika. - Ale w zaufaniu wam powiem, że szykuje się obława na sławnego chińskiego bandytę Hajdengiego, który nam wielkich szkód narobił na mandżurskiej kolei. Za jego głowę nagrodę sto tysięcy rubli wyznaczono. Jak nie będziecie robić przeszkód, może jaka zaliczka już teraz się znajdzie... A potem koniecznie oficjalna pochwała będzie i może nawet awans.

- Ależ będą pytać, czemu bez zgody adresata połowę transportu specjalnego przekierowałem! Dziurę w brzuchu będą wiercić... - Kanawkin zaczął się łamać. - No jakże ja się z czegoś takiego za zwykłym pokwitowaniem wytłumaczę?

- Nikt wam żadnej przykrości nie zrobi, jeżeli pokażecie cesarskie upoważnienie - odparł spokojnie Lawendowski. - Papier wam zostawimy. Starszy lejtnant co prawda będzie o to zły, ale jemu też na tej nagrodzie zależy, chce ją zdobyć przed wszystkimi innymi, więc myślę, że da się uprosić. To dla niego będzie inwesty-

259

cja, jak mówią Amerykanie. Tylko koniecznie papier mu do Har-binu jak najszybciej odeślijcie, kiedy tu już wszystko uladzie. Propozycja była więcej niż kusząca.

- Ma się rozumieć! Koniecznie... jak najbardziej... - Na czerwonej twarzy Kanawkina rozlał się szeroki uśmiech. Takiego zastawu sam nie śmiałyby żądać, ale mając taki dokument w garści... Zbawicielu, pominiuj! Przed oczami naczelnika jak całe życie umierającego przeleciały wizje tysięcy możliwości. Co z tego, że upoważnienie było imienne na okaziciela? Sprawę zawsze można było załatwić w imieniu starszego lejtnanta Sergiusza Lawen-dowskiego, ot chociażby nieznacznie krótkoterminowy wekselek wystawić... Wszakże u Mateczki Rosji wszystko uzyskać można, tylko wiadomo, z ostrożną!

- Dobrze - zgodził się, udawszy głęboki namysł. - Idźcie pomówić z waszym oficerem.

- Mowy nie ma! - oznajmił Chęciński z jeszcze lepiej udanym oburzeniem, kiedy przedstawiono mu propozycję. - Wszak ja na ten dokument potrzebuję jeszcze dodatkowe asortymenty z innych składów pobrać...

- - Królu złoty! - naczelnik składnicy tranzytowej omal nie padł przed nim na kolana. - Wasze wysokobłagorodie, ależ bierzcie, co chcecie! - szerokim gestem ogarnął całą swoją dziedzinę. - Toż u mnie wszystko jest!

- Skoro tak, dacie mi na każde dział siedemset pocisków. Po czterysta granatów i trzysta naboji kulkowych Shrapnela. I żeby mi przypadkiem te granaty nie były po terminie... - pogroził palcem.

- Dam świeżuteńkie, prosto z fabryki!

- Dacie pięć karabinów maszynowych Maxima i po trzydzieści taśm amunicyjnych na sztukę.

- Jak sobie życycie, wasze wysokobłagorodie. Także do maxi-mów będzie razem... - Kanawkin wyjął notes i zaczął mozolnie rachować.

260

- Dla równego rachunku dorzucicie jeszcze dziesięć taśm - Chęciński policzył szybciej w pamięci.

- Razem do maximów czterdzieści tysięcy naboji - zanotował naczelnik. - Co jeszcze?

- Polową centralę telefoniczną, sześć aparatów i piętnaście kilometrów kabla. To będzie czternaście wiorst...

- Jak mam, to dam - zapewnił Kanawkin. - Tylko wpierw, wasze wysokobłagorodie, w papiery muszę zajrzeć.

- Pokażecie mi stany magazynowe, to jeszcze sobie coś powybioram.

- Znakiem tego serdecznie proszę do kantorka! A na co każecie to wszystko załadować?

- W porcie rzeczonym czekają trzy barki i parowiec „Szantarsk”.

- Wodą do Harbinu? Nie koleją? - zdziwił się naczelnik.

- Na mijankach nie będą zatrzymywać. Sami wiecie, jak to jest.

- Ano, wodą chyba szybciej będzie... - skinął głową naczelnik. - Ale czy wy z tym parowcem już wszystko załatwili? - Kanawkin zaniepokoił się o obiecany dokument. Spółka z właścicielem statku mu się nie uśmiechała. - Skąd armator?

- Z Sachalinu - powiedział uspokajająco Stanisław Lawendowski. - Kitajce od naszych go wynajęli, a my jego zabrali Kitajcom, taki gambit... Znaczący, była to rekwizycja dla potrzeb wojska.

Naczelnik parsknął śmiechem.

Powinien był żałować, że owej „rekwizycji” nie widział. Czang Sun-sin albo zapomniał uprzedzić swojego kapitana, pana Ju, albo ten był nieprzeciętnie dobrym aktorem, bo pokaz rozpacz z powodu odebrania statku wystawił w chabarowskich dokach wprost niebywały. Mało sobie warkocza z głowy własnoręcznie nie wyrwał. Tak głośno lamentował i desperował, że teraz patron go wygna, a jego dzieci umrą z głodu, aż jakiś litościwy kupiec, który znalazł się wśród gapiów, zaproponował mu pracę u siebie. Mówiąc krótko, statek załatwili przed wizytą u Kanawkina.

261

Po powrocie z bocznic naczelnik wyciągnął z biurka butelkę wódki oraz pełny wykaz stanów magazynowych. Chęciński dla porządku wypił pierwszą kolejkę, po czym siadł nad papierami i zabrał się za składanie dyspozycji, nie honorując przy tym żadnych granic przyzwoitości ani wyobraźni. Wypisywał faktury na wszystko, co mogło być przydatne królewskiej artylerii. Stanisław Lawendowski, który przy wódce dotrzymywał towarzystwa gospodarzowi, parę razy zajrzał mu przez ramię i z trudem ukrył zdumienie. Dość powiedzieć, że telefony i teodolity to były jeszcze najmniej dziwne z pomysłów ambitnego ochotnika.

Kanawkin na gotową listę ledwie spojrział. Podpisał bez czytania, przybił pieczęć i przekazał swoim podwładnym z nakazem pilnego wysłania do portu. Przeładunek broni, amunicji i sprzętu miał się rozpocząć jutro z samego rana i potrwać do późnego popołudnia. Na koniec spotkania, naczelnik przyjął „zaliczkę nagrody za głowę zbója” w wysokości pięciuset rubli. Umówili się, że przekazanie cesarskiego upoważnienia nastąpi w porcie po skończeniu załadunku, po czym rozstali się w najlepszej zgodzie.

- Panie Chęciński, jak my pomieścimy przeszło dwa tysiące pocisków artyleryjskich? - zapytał Stanisław Lawendowski, gdy wyszli na ulicę. - Toż barki będą wyładowane z czubem!

- Ależ, panie pułkowniku! Skąd my tam na końcu świata dostaniemy naboje zespolone kaliber 75, gdyby ich przypadkiem brakło? Lepiej wziąć mniej dział, a więcej amunicji.

- Rozumiem, a cała ta reszta?

- Proszę mi zaufać, panie pułkowniku. Wszystko sobie dobrze przemyślałem. Sam pan chciał, żeby było światowo i nowoczesnie, prawda? Telefon na polu bitwy to podstawa współczesnego dowodzenia!

- Telefony rozumiem, ale po jaką cholere zamówił pan aż dwa pudy kalihpermanganicum? Zamierza pan przefarbować Morze Żółte na fioletowo?! A jeszcze ta... - Lawendowski nie dokończył

262

I machnął ręką. - Dobrze, w końcu to pan będzie dowodzić tym konwojem. Pana cyrk, pana małpy!

- Mnie ciekawi co innego - zmienił temat Chęciński. - Jak to się stało, że pański bratanek, mając takie pełnomocnictwa, wyruszył na nas ledwie z garścią ludzi? Przecież mógł mieć bez mała armię!

- Sergiusza zgubił brak doświadczenia - odrzekł pułkownik w zadumie. - Nie znał specyfiki miejscowych stosunków. Daleki wschód imperium to nie stołeczna obłast, tutaj sama depesza do załatwienia sprawy nie wystarczy. Trzeba przyjść, człowiekowi w oczy spojrzeć, a często gęsto na niego wrzasnąć, pięścią huknąć w stół. Wtedy czują, że ktoś ważny, zwłaszcza gdy człowiek nowy, bez miejscowych znajomości. Sam papier znaczy niewiele, starczy go w szufladzie zamknąć, a krzyczeńie nie będzie. Zresztą z tego, co mi Sergiusz mówił, wynikało, że on tego najważniejszego upoważnienia z cesarskim podpisem nikomu nie pokazywał, chyba tylko w Ningucie, kiedy tam kipisz na odchodne robił. Zamierzał to pismo zachować na wielki finał, a tymczasem na Syberii pierwsza zasada taka, że tu wszystko zaczynać trzeba od pieca.

- Tym lepiej dla nas! - parsknął Chęciński. - Wie pan, ja go nawet polubiłem. Aż przykro myśleć, jakich afer ten Kanawkin na konto pańskiego bratanka teraz nawyczynia.

- Fakt, nieładnie rodzinę tak wykorzystywać - przytaknął melancholijnie starszy Lawendowski. - Jednak lepsze to, niż napadać na pociąg.

- Taki był pierwotny plan?

- Mieliśmy zatrzymać upatrzony transport wojskowy na brzegu Amuru, w rejonie stacji Jekatierino-Nikolskaja, sto kilometrów powyżej ujścia Sungari. Potem działa na tratwy i szybko na chiński brzeg.

- Ryzykowne - zauważył Chęciński. - Bez rozlewu krwi by się nie obyło, a i dużo sprzętu tak na łapucu wziąć by się nie dało.

263

- Afera międzypaństwowa byłaby jeszcze gorsza. Zwłaszcza gdyby Rosjanie uzgodnili z Dajcynami wspólny pościg i obławę. Trzeba byłoby najpierw króla w bezpieczne miejsce odprowadzić. W sumie dziękować Bogu za Sergiusza. Spadł nam jak z nieba z tymi swoimi papierami!

- A mówią, panie pułkowniku, że z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu...

Dotarli do portu i weszli na pokład „Szantarska”. Był to bocz-nokołowy parowiec z jednym kominem, wysłużony, lecz świeżo po remoncie maszynowni. Miał nowy kocioł i łożyska przekładni. Zaufanie budziły wzmocnione łopaty kół napędowych przystosowane do przedzierania się przez pola kry wokół Sachalinu. Na rasowy lodołamacz „Szantarsk” się co prawda nie nadawał, ale lód nie grubszy niż na trzy palce jeszcze nie był mu straszny.

Pierwotną załogę wymienili już podwładni Jaskólskiego i Chęcińskiego z wyjątkiem maszynisty i sternika, bo tych nie dało się zastąpić zwykłymi żołnierzami. Jednak pułkownik Lawendowski i Czang Sun-sin dopilnowali zawczasu, żeby byli to ludzie zaufani. Maszynista był Polakiem, sternik Chińczykiem, a obaj byli szwagrami, aczkolwiek z im tylko znanych przyczyn za nic nie chcieli się przyznać, który poślubił czyją siostrę. Stanowili zgrany duet, na co wskazywały już ich przyzwiska. Pierwszy kazał się nazywać Dużym Leonem, drugi był Leonem Małym. Duży Leon to było naprawdę

wielkie chłopisko. Nie potrzebował szufli, by ładować węgiel do kotła, starczyłyby mu same dłonie. Trudno było przedstawić go sobie w roli męża drobnej Chinki, więc wychodziło na to, że raczej Mały Leon jest żonaty z Polką. Jednak on po polsku ledwie rozumiał, mówił ze szwagrem tylko po rosyjsku. Doprawdy byłaby to niezła zagadka familijna na spokojniejszy czas...

Pułkownik zaraz po kolacji zamknął się w swojej kajucie i poszedł spać, Chęciński zaś nijak nie mógł sobie znaleźć miejsca. Teraz, kiedy załatwili co trzeba i należało tylko czekać, z całą mocą dotarło do niego zuchwalstwo, na jakie się poważyli. Wleźć śpią-

264

cemu niedźwiedziowi w paszczę i wybierać mu z woreczka żółciowego kamienie - to porównanie najlepiej oddawało istotę całego przedsięwzięcia. Pułkownik Lawendowski zapewniał, że wszystko będzie dobrze, jeśli nie zabraknie im zimnej krwi i bezczelności. Tego jak na razie im nie brakowało, lecz kłaść się spać w takiej chwili... Chęciński szczerze podziwiał chiński spokój pułkownika. Sam nie mógł nie tylko się położyć, ale nawet usiąść. Chodził po kajucie z kąta w kąt.

Rozległo się energiczne pukanie. Chęcińskiemu serce skoczyło do gardła. Zanim zdołał wykrztusić „proszę”, cały spłynął zimnym potem.

Zamiast carskiej żandarmerii w progu stanął Duży Leon z butelką wódki i słoikiem marynowanej słoniny.

- Ja na słóweczko, panie oficerze.

- Chyba raczej na nocną rodaków rozmowę... - Chęciński uśmiechnął się z wysiłkiem, oceniwszy stan przygotowań do wizyty. Nie nadano mu jeszcze żadnego stopnia wojskowego, ale Duży Leon od początku tytułował go „panem oficerem”, nie wnikając w konkretną rangę.

- Może najpierw po maluchu, bo widzę, że pan oficer czegoś nieswój...

Wypili trzy kolejki, zanim maszynista przeszedł do rzeczy.

- Ja tak... znaczy się... o naszego króla zapytać się chciałem. Pana ludzie mówili, że pan jego widział.

- Niedobrze, że mówili! - rzekł ostro Chęciński. - Jak się na dworze upewnią, że zasługujecie, to was wezwą i wtedy sami królewską osobę zobaczycie. Tak jak inni przed wami, z zachowaniem zasad ostrożności. Znacze je chyba?

- Tak... - zmarkotniał Duży Leon. - Przepraszam, panie oficerze - zrobił ruch, by odejść.

- Dobrze już. - Chęciński uznał, że musi z kimś przegadać tę noc, bo inaczej zwariuje. - Coś niecoś wam opowiem. Co byście chcieli wiedzieć?

- Jaki to jest człowiek, panie oficerze?

- Po raz pierwszy - zaczął opowieść ochotnik - zobaczyłem go stojącego na szczycie góry...

Pierwszy podszedł do króla pułkownik Lawendowski. Przyklęknął na prawe kolano, a Władysław V podał mu dłoń do ucałowania. Kiedy oficer wstał, serdecznie się uściskali i pocałowali w oba policzki.



- Drogi zięciu, cieszę się ogromnie, widząc cię w dobrym zdrowiu - powiedział po polsku król. Mówił z silnym chińskim akcentem, ale poprawnie.

Natomiast z Sergiusza w jednej chwili wyparowało całe zmęczenie. Stanął o własnych siłach i z bezbrzeżnym osłupieniem popatrzył na stryja, potem powiódł wzrokiem po pozostałych. Stojący obok Adam Chęciński był równie zaskoczony.

- Zięć?... - wyrwało się Sergiuszowi stanowczo za głośno jak na powagę chwili.

- Później panu wyjaśnię - syknął doktor Zakrzewski. Król zignorował incydent.

- Dzień dobry, doktorze - uprzejmie skinął głową. - Ostatnio bardzo brakowało mi naszych partii szachów. Inni stanowczo zbyt łatwo dają mi wygrywać. Zechce pan doktor dziś wieczorem dotrzymać mi towarzystwa?

- Witam waszą królewską mość - lekarz pokłonił się nisko. - Przyjdę z największą przyjemnością. Mam również nadzieję, że w kwestiach medycznych moja obecność na dworze nie była konieczna.

- Pan Nieba był łaskaw dla nas wszystkich.

Następnie do króla zbliżyli się Caj Cung-jen i Lao Ping. Ambasador szedł dwa kroki przed młodszym urzędnikiem. Obaj osunęli się na kolana, po czym trzy razy dotknęli czołami ziemi.

267

- Jestem najszcześniejszym z władców, mając w was tak użytecznych wykonawców mej woli i mądrych doradców - król przeszedł na chiński.

- Jest dla nas ogromnym szczęściem widzieć, że Jezus Pan Nieba raczył zachować swego młodszego brata w dobrym zdrowiu - odpowiedział z powagą Caj Cung-jen.

- Powstańcie i stańcie u mego boku.

- Proszę teraz podejść, mademoiselle - szepnął doktor do Pa-trycji. - Król już wie o wszystkim, nie musi pani nic wyjaśniać. Ja wezmę pieska.

Patrycja oddała mu Chu Chulainna. Całe szczęście, że zwierzak zamknięty był w wiklinowym koszu, bo nie wiadomo, jak skończyłaby się jego próba z tygrysem. Przypomniała sobie, że gdy wyruszali dziś rano, kosz przyniósł Lao Ping i uprzejmie, acz stanowczo nakłonił ją do zamknięcia w nim cesarskiego pieska. Natomiast Lien polecono zakryć jedwabną chustą klatkę ze srokami. Wyglądało na to, że nic nie pozostawiono przypadkowi. Jak się zaraz okazało, dotyczyło to nie tylko tego dnia. Najważniejsza próba odbyła się znacznie wcześniej...

Irlandka skinęła na Lien, by poszła za nią. Uzgodniły już wcześniej, że Chinka będzie naśladować jej gesty. Miały podejść do króla jak europejskie damy dworu. A zatem suknie uniesione dwoma palcami, płynne posuwiste kroki, a na koniec niskie dygnięcie z głębokim pochyleniem głowy...

Król powiedział coś po polsku. Patrząca w ziemię Patrycja nie zauważyła, że się uśmiecha.

- Pani włosy, panno McGinn, są bardziej niezwykle, niż mi mówiono - przetłumaczył na francuski doktor Zakrzewski. - Mogłaby pani zawstydzić zachodzące słońce.

- Dziękuję bardzo, wasza królewska wysokość - powiedziała Patrycja po polsku, jak najstaranniej wymawiając słowa.

- Podobno myślała pani o tym, aby zostać damą mego dworu?

- Będę zaszczycona, wasza królewska wysokość. gfl

268

- Według starej chińskiej legendy - rzekł w zadumie Władysław V - na niebie świeciło kiedyś dziesięć słońc, przez co na ziemi było zbyt gorąco. Aby ocalić świat, bohaterski łucznik Hou Yi zestrzelił dziewięć z nich i zostało to jedno, które teraz widzimy. Mam nadzieję, że moi przodkowie oraz Najwyższy Pan Nieba wybaczą mi, kiedy na moim dworze pojawi się drugie, łagodniejsze słońce, które oświeca nie ogniem, lecz zaletami charakteru. Panno McGinn, będę szczęśliwy, widząc w pani osobie kolejną śiucai. Proszę wstać i zająć miejsce u mego boku.

- Dziękuję, wasza królewska wysokość.

- Liczę na to, że dziś wieczór za pani sprawą będziemy mogli się przekonać, jak smakuje chińska herbata parzona na sposób angielski.

- Oczywiście, wasza królewska wysokość, postaram się jak najlepiej. Moja towarzyszka też...

- Tak! - wszedł jej w słowo król, a jego głos stwardniał. - Teraz zajmijmy się pani towarzyszką. Panno Dou Lien, proszę na mnie spojrzeć! - rozkazał po chińsku i odczekał chwilę, aż dziewczyna podniesie wzrok i dobrze mu się przyjrzy. - Czy widzisz rybę na moich piersiach?

- Tak, wielki królu - odparła Lien wystraszona zmianą tonu.

- Czy jej też chciałabyś wylupić oczy?

Chinka zamarła na chwilę z otwartymi ustami, po czym zakryła dłońmi oczy i padła na twarz. Nie ośmieliła się powiedzieć nic więcej. Jego wysokość Hung Siao-Tien przemówił do niej oraz do wszystkich wokół:

- Ryba jest pradawnym znakiem Jezusa w krajach Zachodu, z których przyszła do nas jego nauka. Wśród ludu Hakka, moich przodków, ryba oznacza króla i jego majestat. Dla Hanów, o czym sama dobrze wiesz, Dou Lien, ryba to obfitość, bogactwo i przyjemność płodzenia. Mój najczcigodniejszy ojciec Hung Siou-ćy-uan, łącząc te tradycje w chwili boskiego objawienia, stał się bratem Jezusa i współwładcą Nieba, zarazem Królem Rybą i Królem

269

Rybakiem. Osiągnął mistyczną jedność, która przerasta ludzkie pojmowanie, lecz z której wynikało jego, a po nim moje prawo panowania nad ludźmi Wschodu i Zachodu oraz nad mieszkańcami wszystkich krajów świata, gdzie żyją ryby, gdzie się je czci lub choćby tylko szanuje jako źródło pożywienia.

-Jestem głupia, bardzo głupia... - zaszlochala Lien. - Proszę nie karać mnie zbyt surowo!

- Zgrzeszyłaś brakiem współczucia, Dou Lien. A czyż tobie wcześniej współczucia nie okazano? Dlaczego zatem nie potrafiłaś dać tego, co sama wcześniej otrzymałaś?

- Jestem głupia i nic niewarta... Niczego nie wiem i nie rozumiem...

- Nie rozumiesz przede wszystkim tego, Dou Lien, że ja nie chcę cię ukarać, tylko pouczyć. Żyjesz w nieświadomości, a twoja dusza błądzi w mroku. Nie wiesz kim jesteś, więc zależnie od okoliczności stajesz się dręczycielką albo ofiarą udręczenia. Nadużywasz swej władzy nad słabszymi lub drżysz z lęku przed cudzą siłą, tak jak teraz przed moją. Powiedziałaś, że jesteś bezwolnym narzędziem w rękach przeznaczenia. Skoro jesteś tylko narzędziem, Dou Lien, nie możesz być śiucai Niebiańskiego Króla. Powinnaś uczyć się szlachetności i współczucia od swej starszej siostry. Zostań więc przy niej i spełniaj każde zdanie, jakie ona ci wyznaczy. Możesz być pewna, że choćbym dał pannie Patrycji całkowitą władzę nad twoim życiem i śmiercią, ona nie wyłupi ci oczu. Postaraj się zrozumieć dlaczego, Dou Lien.

Król minął klęczącą Chinkę i podszedł do Sergiusza. Rosyjski oficer wyprostował się z wysiłkiem i złożył sztywny wojskowy ukłon. Potem długą chwilę obaj patrzyli sobie w oczy. Za królem do zapłakanej Lien przypadła Patrycja, zaczęła ją tulić, pocieszać i ocierać jej łzy.

- Czuję się w obowiązku osobiście wyjaśnić rodzaj zachodzącej pomiędzy nami koligacji, która tak pana zadziwiła - powiedział Władysław V - Cztery lata temu dotknęło mnie wielkie nieszczę-

270

ście. Moja ukochana córka, księżniczka Hung Sianku, zachorowała i zmarła, zanim zdążyła dorosnąć do zamążpójścia. Ponieważ nie wypada, aby duch młodej dziewicy zdążał do niebios samotnie, pański stryj uczynił mi ten honor i zechciał poślubić duszę mojej córki. Dzięki niemu Sianku mogła stanąć przed Jezusem jako czcigodna niewiasta. Ten rodzaj ślubu w naszej tradycji nazywamy minghun. Dlatego pański stryj jest moim zięciem, a zarazem wdowcem. Ma prawo wziąć sobie drugą żonę, do czego go zachęcam, lecz pułkownik Stanisław woli pozostać wierny pamięci księżniczki, co, jak wiem, jest jednym z waszych szlachetnych zwyczajów.

- Szczerze żałuję, że jesteśmy wrogami - odpowiedział Sergiusz. - Nie może jednak być dwóch polskich królów. Ten, którego ja znam, nosi imię Mikołaj.

- Jeżeli jest ich za dużo, niech zostanie jeden lub żaden - odpowiedział spokojnie Hung Siao-Tien. - Lecz zanim to nastąpi, proszę czuć się moim gościem. Przyjmuję pańskie słowo honoru.

-Jednak nie wolno mi stąd odejść - zauważył z przekąsem Sergiusz.

- Noszę co prawda tytuł Króla Nieba, ale staram się nie bujać w obłokach. Będę szczerze zobowiązany, jeśli nie zmusi mnie pan do twardego stąpania po ziemi i szukania rady w księgach Machiavellego... Proszę czuć się swobodnie w granicach rozsądku.

Młody Lawendowski skłonił się jeszcze raz, a król skierował wzrok na Adama Chęcińskiego, który przyklęknął, biorąc przykład z pułkownika. Nie planował tego, wcześniej czuł wewnętrzny opór na tę myśl, ale teraz po prostu kolana ugięły się same. Tym razem król nie podał ręki do pocałowania. Zgodnie z pradawnym obyczajem polskiego dworu na taki zaszczyt prosty żołnierz jeszcze nie zasługiwał.

- Dziękuję za pańską wiarę - powiedział Władysław Y -1 mam nadzieję, że nie zawiodłem pańskich wyobrażeń.

271

- Wasza wysokość, moje życie nigdy nie miało więcej sensu niż tej chwili. Proszę nim dysponować według swojego uznania.

- Zechce pan stanąć u mego boku, panie Chęciński. Teraz zajmiemy się najsmutniejszą sprawą, którą pozostawiłem na koniec...

Na znak pułkownika strażnicy przyprowadzili Krępuca i rzucili go do stóp króla. Batuszka szczękał zębami i bełkotał coś w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, jakąś ni to modlitwę, ni fragmenty pism kanonicznych czy żywoty świętych. Uciszył się, gdy strażnik otwartą dłonią uderzył go w kark.

- Nie zasługujesz na życie ani na śmierć - przemówił surowo Władysław V - Ani na litość, ani na potępienie. Jesteś pustką. Tam, w górach, w chwili cierpienia zdołałeś zbliżyć się do Jezusa, ale mimo to potem nie pozbyłeś się nikczemnego dokumentu i próbowałeś oszukać nas wszystkich, udając fałszywe nawrócenie. To ludzkie, lecz jakże nikczemne. Zadziwia nas bezmiar twojej małości. Wywyższyłbym cię w sposób niedopuszczalny, każąc cię zabić i tym samym podnosząc do rangi plamy na moim sumieniu. Nic nie mów! -król uniósł gwałtownie rękę, widząc, że Krępuć znów otwiera usta. -Nie chcę słyszeć twojego głosu! Ani słowa! Jeśli usłyszę choć jedno, sprawię, by nigdy nie zabrzmiało drugie. Jeśli chcesz żyć, masz milczeć. Nie potrzebuję też twojego niemego przytakiwania. Jesteś odtąd żywą twarzą Judasza, przestroga dla wszystkich. Będziesz żyć w tych górach jako milczący pustelnik i może kiedyś Jezus wypełni światłem nicość obleczonej w twoje ciało. - Hung Siao-Tien zwrócił się do strażników. - Rozwiążcie go i wskażcie mu jego miejsce. Niech zginie, jeśli przemówi lub spróbuje uciec.

Krół odwrócił się i odszedł w towarzystwie osobistej straży. Pozostali skłonili się na pożegnanie, a następnie zaczęli schodzić ze szczytu inną drogą. Sergiusza całkiem opuściły siły, więc dał się usadzić w lektyce. Lien już się uspokoiła, ale szła z opuszczoną głową, nie reagując na pocieszenia Patrycji. Na samym końcu dwóch tajpingów bezceremonialnie popychało przed sobą Krępuca. Niebawem cała trójka skręciła w bok i znikła w lesie.

272

- Co się z nim stanie? - zapytał Sergiusz, oglądając się za nimi.

- Tak jak słyszałeś. Dostał szansę odpokutowania swoich win jako pustelnik - odparł sucho Stanisław.

- Czy może raczej więzień?

- Od niego zależy, którym zechce być. Tak zwykle postępujemy ze szpiclami: pozwalamy im ukarać samych siebie.

- I naprawdę oni wszyscy godzą się resztę życia spędzić jako pustelnicy?

- Nie, jeszcze żaden nie znalazł w sobie takiego powołania. Są łajdakami i łajdakami pozostają. Prędzej czy później wszyscy próbują ucieczki, podczas której giną. Dla Krępuca akurat ostatnio zwolnił się erem.

- Czemu więc to robicie?
- To dobrze wpływa na czujność i gotowość królewskich straży. Rutyna jest największym wrogiem konspiracji. Zwłaszcza nasze tygrysy nie powinny się nudzić.
- Urządzacie na szpiegów polowania?
- Oni sami decydują, czy i kiedy chcą zostać zwierzyną. My się do tego nie zniżamy.
- Zdziwiająca jest ta wasza mieszanka mistycyzmu z cyni-lem!
- Bardzo przedłuża życie, drogi bratanku. Zarówno doczesne, yak i wieczne.
- Wobec tego stryj pozwoli, że zacznę od cynizmu... - Sergiusz uśmiechnął się paskudnie. - Czemu stryj się nie chwalił taką zażyłością z królem? Ślub z duchem to doprawdy nie byle co!
- Zrobiłem to nie dla chwały, lecz aby bardziej zjednoczyć nasze narody - zmarszczył brwi pułkownik.
- A czy zięć króla może być następnym królem?
- Król ma syna. Młodego księcia wysłaliśmy do szkoły w Europie.
- Tylko jednego syna? Nie ma innych dzieci? Dziwne to jak na chińskie zwyczaje. Oni mogą mieć wiele żon.

273

- Nasz król jest inny niż wszyscy - wtrącił się do rozmowy doktor Zakrzewski. - Po śmierci księżniczki królowa Lilia zapadła na melancholię i zapagnęła resztę życia spędzić jako mniszka w buddyjskim klasztorze. Król zgodził się na to, ale nie myśli o nowym małżeństwie. Wybrał samotność.
- Myślałem, że będzie żonaty z Polką. To poniekąd nasz stary zwyczaj...
- Gdy spotkaliśmy jego wysokość Hung Siao-Tiena, był już mężczyzną w sile wieku, żonatym i z dwójką dzieci. Nie wypadło, aby Polka została drugą żoną.
- Zawsze mogliście wykorzystać casus pani Walewskiej - stwierdził ironicznie Sergiusz. -Jaki kraj, taki Napoleon... A czym właściwie zajmował się jego wysokość, zanim został królem Polski?
- Wzorem Chrystusa w młodości wybrał zawód cieśli. - Stanisław wciąż nie dawał się sprowokować. - Wyobraź sobie, że w tym okresie zdarzyło mu się nawet kilka zamówień na koła do wozów.
- Popieram! Przecież nie mógł być plantatorem opium... A właściwie dokąd my teraz idziemy?
- Do pałacu. - Ton głosu pułkownika wskazywał, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.
- A gdzie ten pałac? - Sergiusz ani myślał zaprzestać szyderstw.
- Królewska siedziba - wyjaśnił doktor, też wyraźnie bliski wybuchu - składa się z systemu jaskiń w górze Pingding oraz z ukrytej w przyległej dolinie wioski, w której pierwotnie żyła gmina zbiegłych tajpingów.

- Ach, tak! W Pekinie dla cesarza jest Zakazane Miasto, tu Zakazana Wieś... Muszę przyznać, że nigdy w żadnej operetce nie bawiłem się aż tak dobrze.

- Pan jest wstrętny! - krzyknęła Patrycja po francusku. - Podły, wstrętny człowiek!

- Pani rozumie po polsku? - Sergiusza zamurowało.

- Trochę... już tak... - wycodziła Patrycja i w gniewie przeszła na angielski: - Reszty się domyśliłam. Pan wart jest swojego sługi!

274

W gruncie rzeczy niczym się pan nie różni od tego żałosnego Kr... e... pucia! Ma pan w duszy taką samą pustkę! Nie wiem, czemu król przyjął od pana słowo honoru, skoro pan w ogóle nie ma uczuć wyższych!

- Czy któryś z panów mógłby mi to przetłumaczyć?

- Ja mogę - odparł Adam Chęciński. - Ale proszę nie potraktować tego jako wyzwania na pojedynek.

- Potrafię odróżnić wiadomość od posłańca! - burknął Sergiusz.

Chęciński przetłumaczył wypowiedź Patrycji na polski. Chwilę później, kiedy dotarł do niego cały sens tych słów, młodszy La-wendowski wyglądał tak, jakby koło głowy drugi raz wybuchł mu granat.

- Pani mnie źle ocenia... - wykrztusił po francusku zmieszany w najwyższym stopniu.

-Doprawdy? Poniżając swojego wroga, poniża pan siebie! Zwłaszcza że jest pan jeńcem!

- Nie musi mi pani o tym przypominać. - Sergiusz zaciął wargi. - Dowiodę pani, że można być człowiekiem honoru nie tylko wtedy, gdy służy się jakiejś absurdalnej i niedorzecznej utopii!

- Daję panu wolną rękę!

- Trafiła kosa na kamień - skwitował rozbawiony pułkownik. -To wielka prawda - odezwał się milczący dotąd Caj Cung-

-jen. - Są takie kamienie, których dotyk sprowadza zarazę na demony...

- Nasz król doprawdy zna się na ludziach i potrafi wybierać sobie obrońców - skwitował doktor Zakrzewski, szarmancko kłaniając się Patrycji.

Sergiusz więcej się nie odezwał. Wieczorem, gdy zaproszono go na kolację u króla, wymówił się złym samopoczuciem i został na kwaterze. Nie nalegano na zmianę zdania. Nie przyszła też Lien, choć powinna. Była teraz służącą damy dworu i do jej obowiązków należało być na każde skinienie swej pani, kiedy ta służyła

275

królowi. Jednak Patrycja uznała, że dziewczyna dość już dzisiaj przeszła i że z parzeniem herbaty poradzi sobie sama.

Jadalnia była urządzona w grocie, której naturalny wygląd zmieniono, wylewając betonem posadzkę i częściowo obmurowując ściany czerwoną cegłą. Mimo zastosowania tak surowych środków osiągnięto intrygujący efekt architektoniczny, łączący echo europejskiego gotyku z pozornym chaosem chińskich falistych meandrów, w które przekształcono naturalne nacieki. Innych ozdób ani fresków nie było i ta oszczędność środków dodatkowo podkreślała graniczący z geniuszem talent nieznanego artysty. Wizja artystyczna z pewnością wyprzedzała epokę. Całe pomieszczenie oświetlono rzęście elektrycznymi żarówkami Edisona. Doktor Zakrzewski wyjaśnił mimochodem, że mają w pałacu lokomo-bilę z prądnicą.

Stół nakryto z zachowaniem obu tradycji. To znaczy, przed Europejczykami położono małe lniane obrusy i porcelanową zastawę, podczas gdy Chińczycy używali srebrnych naczyń, które stawiali wprost na blacie z czarnej laki. Jadłospis był już znacznie mniej wyrafinowany, składał się po prostu z pierogów i herbaty. Nie była to bowiem żadna wystawna uczta, tylko zwykła królewska kolacja, z udziałem najbliższych współpracowników i gości Władysława V

Nową postacią w tym gronie był młody szczupły Polak o pociągłej trójkątnej twarzy, ozdobionej płowymi wąsami nastroszonymi jak u kota. Był niezwykle elokwentny i gadał niemal bez przerwy z szalonym entuzjazmem, a chwilami potrafił wpaść w słowo nawet samemu królowi. Wszyscy traktowali go jednak z życzliwym pobłażaniem.

- Stanisław Leopold Brzozowski, nasz nadworny filozof - przedstawił go Patrycji pół żartem, pół serio pułkownik Lawen-dowski. - Zwrócili naszą uwagę jego artykuły prasowe, pisane z niezwykłą pasją i talentem, więc zaproponowaliśmy panu Brzozowskiemu podróż incognito... ;. ^

276'

- Cała rodzina myśli, że jestem na wakacjach we Florencji, a ja tymczasem spędzam czas wśród aniołów! - stwierdził Brzozowski z namaszczeniem, całując dłoń Patrycji.

- Pan uważa, bo ten anioł jak mało który potrafi dać po łbie słowem albo czajnikiem - przestrzegł go doktor Zakrzewski.

- Dla przyjaciół nie jestem aż taka straszna - zapewniła Irland-ka.

- A co słyhać w polityce, panie pułkowniku? - zagadnął Lawendowski Brzozowski.

- Trzymamy się mocno - odparł stanowczo zapytany.

- Ogromnie się cieszę! Bo proszę sobie wyobrazić, panie pułkowniku, że tam, w Krakowie, nic, tylko chleją! Albo klepią pacierze. Ten Przybyszewski ze swoją zgrają śmie twierdzić, że oni tak tworzą nową rzeczywistość! A naprawdę tkwią w jakiejś pozadzi-jowej próżni i przypisują samoistne znaczenie momentowi swego społecznego istnienia tylko dlatego, że sami w nim istnieją!

- Czyż to nie tak jak my tutaj? - zagadnął go Chęciński.

- Ależ skąd, drogi panie! - zaperzył się Brzozowski. - Oni usiłują wyzwolić się od historii, uciec od niej, skutkiem czego padają ofiarą historii niezrozumianej, która dominuje nad nimi jak ślepy żywioł. Są skazani na błędzenie w ślepych zaułkach własnej duszy i jej wewnętrznych stanów. Tymczasem ten kto chce być panem swoich losów, świadomie przeżyć i tworzyć swoje życie, musi sięgać aż do tych

głębin, w których tworzą się siły określające bieg i kierunek wielkiej dziejowej rzeki. Tworzyć siebie i tworzyć historię to jedno!

We dwóch przez całą noc wypili sześć kwart wódki, ale równie dobrze mogli pić czystą wodę. Działania alkoholu nie poczuli ani trochę. Duży Leon pewnie z racji wagi i przyzwyczajenia. Chęciński zaś był tak zdenerwowany czekaniem w niepewności, że po prostu nie mógł się upić, choć nigdy w życiu nie wypił tyle naraz. Chanszyn momentalnie wyparowywał mu z głowy, nie zostawiając po sobie ani szumu. Zasnąć też się nie dało. Najpierw więc Chęciński opowiadał o królewskim dworze, potem Duży Leon na zasadzie: tajemnica za tajemnicę, zrewanżował się swoją rodzinną historią. Była na tyle zabawna, że Adam wreszcie zdołał się trochę odprężyć.

Po pierwsze, Mały Leon naprawdę nazywał się Lao, a na imię miał Mayi, czyli Mrówka. Duży Leon spolszczył to sobie po swojemu na Leon Mały, robiąc z mrówki lwa, co Chińczyka szalenie śmieszyło. W ten pokrętny sposób zostali imiennikami, a że pływali razem od lat, przemierzając tam i z powrotem cały Amur wraz Ussuri oraz Sungari i Nonni, przydomki utrwaliły się na dobre. Mały Leon pochodził spod Błagowieszczeńska, gdzie po rosyjskiej stronie Amuru żyła duża kolonia Chińczyków. Duży Leon, pomijając zbędne szczegóły, był spod Płocka. Ich wspólna rodzinna tajemnica polegała na tym, że Mały Leon miał trzy młodsze siostry, a Duży Leon ożenił się ze wszystkimi trzema. Zrobił to, by pomóc przyjacielowi, który stale narzekał, że rodzice nie wiadomo za jakie grzechy pokarali go taką liczbą sióstr, a jego stać tylko na posag dla jednej. Na propozycję ślubu hurtowego, trzy w cenie jednej, przystał z radością. Duży Leon ze swej strony początkowo

278

kalkulował sobie, że jedna filigranowa Chinka to stanowczo za mało na takiego wielkiego chłopa jak on. Trzy panny Lao razem to miała być baba w sam raz. Popełnił grubo błąd, oceniając temperament narzeczonych według wzrostu. Skutkiem tego najdalej po miesiącu spędzonym w domowych pieleszach marzył już tylko

O celibacie. Jak na marynarza rzecz zaiste nietypowa - wszystkie żony w jednym porcie, a w pozostałych przykładna wstrzeźliwość, bo Duży Leon na czas rejsów brał od płci odmiennej stanowczy urlop. Tęsknił tylko za dziećmi, których szczęśliwe małżonki urodziły mu jedenaścioro.

Potem do tego wszystkiego doszły jeszcze komplikacje natury formalnej. Mały Leon urządził siostrom tradycyjną chińską ceremonią ślubną, ale Duży Leon ani myślał porzucać wiary przodków

1 przechodzić na konfucjanizm. Kompromisowo zatem z jedną z żonek wziął ślub katolicki, z drugą prawosławny, trzecią też poślubił po chrześcijańsku, lecz według obrządku tajpingów. Bóg trójcę lubi, więc nie powinien się gniewać. Gorzej z Jego urzędnikami, gdyby się o tym ekumenicznym przedsięwzięciu dowiedzieli. Z kolei ochrona królewskiego dworu szybko odkryła, że z panami szwagrami jest coś nie tak, że ukrywają jakąś dziwną tajemnicę, więc choć obaj służyli wiernie jeszcze od czasów Republiki Zeftugi - przewozili wtedy rannych i amunicję - teraz obu małżeńskich kombinatorów uznano za politycznie niepewnych i na wszelki wypadek niegodnych przedstawienia królowi. Dlatego żaden z nich nie postawił stopy na górze Pingding.

Tak sobie gawędząc, Adam i Duży Leon dosiedzieli przy butelce do świtu. Rozmowa skończyła się obietnicą wzajemnego dotrzymania ujawnionych sekretów, po czym maszynista poszedł rozpalać pod kotłem, obiecując, że za szesnaście godzin para będzie gotowa, by dać ją na tłoki.



Dla Chęcińskiego zaczął się najdłuższy dzień w życiu. Śniadania nie zdołał przełknąć. Próbując uspokoić myśli, snuł się po nabrzeżu do godziny siódmej rano, kiedy to zaczęły podjeżdżać

279

pierwsze wozy wyładowane skrzyniami z amunicją artyleryjską. Zaraz potem dotarły platformy z działami, następnie karabiny maszynowe. Wokół dymiącego „Szantarska” zaroilo się od robotników portowych, a Adam z ulgą rzucił się w wir pracy, pilnując rozmieszczenia ładunku.

Do ładowni parowca poszło jedno działo i dwa maximy, początkowo z minimalną ilością amunicji, oraz dodatkowy sprzęt wyszabrowany z magazynów Kanawkina z wyjątkiem jednej dużej sześciennej paki, którą Chęciński kazał załadować na rufę trzeciej barki, licząc od statku. Do pierwszej barki poszły dwa pozostałe działka i trzy karabiny maszynowe. W drugiej miała być cała amunicja do maximów i część artyleryjskiej, w trzeciej same pociski do dział. Skrzyń z tymi ostatnimi było jednak tyle, iż się nie zmieściły, zwłaszcza że Chęciński nalegał, by na rufie trzeciej barki obok sześciennej skrzyni zostawić trochę wolnego miejsca. Nie wyjaśnił nikomu po co, ale tym samym zrujnował własny plan, by cały najgroźniejszy ładunek umieścić w ostatniej barce, z dala od statku, żeby w razie wybuchu mieli jakies szansę przeżycia.

- Eee tam, panie oficerze! - skwitował zbyteczną ostrożność Duży Leon. - Tyle tego mamy, że statek czy barka, różnicy nijakiej nie ma. Jak pizdnie, tak czy tak lecimy do Australii na kangury!

Stanęło na tym, że resztę amunicji działowej dołożą do ładowni „Szantarska”. Jak fruwać, to wysoko i najkrótszą drogą do nieba.

Pułkownik Lawendowski nie wtrącał się do niczego. Przebrany w mundur rosyjskiego sierżanta spokojnie obserwował pracę tragarzy i operatora dźwigu portowego przenoszącego armaty. Co więcej, wyglądał na wyspanego, budząc tym szczery podziw Chęcińskiego.

- A czym tu się przejmować? - odpowiedział zagadnięty o powody tego olimpijskiego spokoju. - Zrobiliśmy wszak wszystko co trzeba, tak jak trzeba i nic już od naszej woli nie zależy. Po co denerwować się tym co ponad nami? W takich okolicznościach doskonale sprawdzają się chińska cierpliwość i fatalizm. Proszę to

280

sobie przemyśleć i wypraktykować, jeśli pan zdoła. Najlepiej medytować: świat przepływa obok pana... jest pan czystym spokojem...

- O Boże, Kanawkin! Z żandarmem... Miał przyjść, dopiero gdy skończymy załadunek!

- Proszę się wziąć w garść, panie Adamie.

Powiedzieć było łatwo, ale w głowie Chęcińskiego rozkrzyczała się tylko jedna myśl: TO KONIEC!

- Witam, wasze wysokobłagorodie - Kanawkin zsalutował Chęcińskiemu. Żandarm, który przyszedł z naczelnikiem, trzymał się kilkanaście kroków od nich i rozglądał dookoła.

- Czego?! - warknął Adam, zamieniając cały strach w gniew. - Teraz nie mam dla was głowy! Przyjdzie wasza kolej, to się wami zajmę!

- Najmocniej proszę o wybaczenie, wasze wysokobłagorodie -naczelnik spokorniał. - Mała nieścisłość jest... Ot, formalność zwykła. Trzeba by sprawę wyjaśnić w kapitanacie portu...

- Pilnuję załadunku! - Chęciński miał wrażenie, że serce mu stanęło, skurczyło się jak suszona śliwka i spadło mu gdzieś w okolice pięt. Poza tym strasznie chciało mu się rzygać. Pytanie: zdoła dojść pięć kroków do rzeki czy zrobi to od razu na buty urzędnika?

- Tak, oczywiście, ale... - Kanawkin przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Mówcie tu i teraz! - Adam sam nie wiedział, jak wziął się w garść. - Przecież nie mogę pozwolić, żeby pociski armatnie rzucali mi byle jak!

- Tak, oczywiście, oczywiście... Postaram się nie zajmować wam czasu, wasze wysokobłagorodie. Ten transport broni dla Harbinu, prawda?

- Oczywiście, ile razy mam wam powtarzać?!

- Jeszcze dziś wasze wysokobłagorodie zamierza wyruszyć?

- Tak. Jak tylko kocioł będzie pod parą.

281

- No, sprawa w tym... - oczy Kanawkina biegały na boki. - Ze mogą jeszcze pytać o coś niecoś. Wypadałoby zostać dzień, dwa...

- Nie mam czasu! - warknął Chęciński cały zlany zimnym potem.

- Ja wiem, wiem... Ale gdyby wasze wysokobłagorodie mnie dał... imienne upoważnienie, wtedy to ja już wszystko sam...

Przysłuchujący się rozmowie pułkownik Lawendowski nieznacznie skinął głową. A więc o to szło! Chęciński zrozumiał, w czym rzecz, i kolana zrobiły mu się tak miękkie, że omal nie usiadł, jak stał. Ulga uderzyła jak kafar. Chytry naczelnik składnicy tranzytowej przez noc wymyślił sposób, jak jeszcze bardziej uprawomocnić obiecane cesarskie pełnomocnictwo. Dodatkowe imienne upoważnienie... To rzeczywiście był pomysł. Gdyby takie dostał, nikt już o nic by się do niego nie przyczepił. Mógłby wtedy z dokumentem Sergiusza w imieniu starszego lejtnanta zrobić, cokolwiek by zechciał. Innymi słowy, Kanawkin miał już w głowie gotową koncepcję machlojek, które zamierzał przedsięwziąć. To dlatego tak kręcił, na przemian prosząc i wymyślając przeszkody.

- Bezterminowo wam takiego upoważnienia nie dam! - Chęciński pamiętał, żeby nie zgadzać się zbyt łatwo. - Trzy dni wystarczy?

- Wasze wysokobłagorodie, a jak złośliwe swołoczce formalności przewlekać będą? Dajcie na dwa tygodnie.

- Tydzień.

- Dziesięć dni - Kanawkin patrzył błagalnie. - Na wszelki wypadek. Nigdy nic nie wiadomo... Potem zaraz, jak Bóg na niebie, odsyłam dokumenty do Harbinu!

- Czy wy mnie, Kanawkin, przypadkiem wykorzystacie nie próbujecie?

- Ależ, Siergieju Henrykowiczu... - w oczach czynownika były sama uczciwość i święte oburzenie.

- Dobrze, dziesięć dni. Tylko z umiarem. Wy wiecie, a ja się już chyba domyślam... Interesy, tak? Co ja będę z tego miał?

282

- Jakby się trafił jaki złoty interes, to godziwa część zysku będzie dla pana oficera, jak się należy, jak najbardziej... - Kanawkin popatrzył z szacunkiem na Chęcińskiego. - Pozwólcie ze mną do kapitanatu, bo tam upoważnienie poświadczyc trzeba. Ja już do-kumencik pozwoliłem sobie zawczasu przygotować... - otworzył teczkę i pokazał papier. - Jeszcze tylko parę słów dopisać, podpisy i pieczęteczka.

- Ale szybko. - Chęciński dał znak pułkownikowi i poszli za Kanawkinem do biura zarządu portu. Milczący żandarm powlókł się za nimi wyraźnie znudzony. Wyglądało na to, że naczelnik składnicy zabrał go ze sobą tylko po to, żeby dodać sobie powagi.

Po kwadransie było po wszystkim. Dobre imię oraz reputacja Sergiusza Lawendowskiego ostatecznie legły w gruzach. Samo pozostawienie cesarskiego dokumentu w niepowołanych rękach mogło być od biedy uznane za lekkomyślność. Pisemne przekazanie uprawnień było już świadomym nadużyciem, którego nie sposób wytłumaczyć pośpiechem i naiwnością. Na dodatek Chęcińskiemu mimo całego zdenerwowania podpis starszego lejtnanta wyszedł idealnie. Nie darmo trenował go dzień i noc przez całą drogę z San Sing do Chabarowska. Ostatecznie w oczach przyszłego śledczego sprawa powinna prezentować się jasno i jak najbardziej życiowo. Kanawkin poszedł na rękę im, oni Kanawkinowi, wszyscy byli zadowoleni. Tylko patrząc na zagadnienie idealistycznie wychodziło, że obdarzony osobistym zaufaniem imperatora oficer nadużył tego zaufania w sposób haniebny, by robić prywatne szemrane interesy. I nie ulegało wątpliwości, że jak się afera wyda, Kanawkin będzie zwałąc wszystko na wyższego stopniem, który sprowadził niewinnego na złą drogę, świecąc mu w oczy cesarskim podpisem.

- Aleśmy chłopaka urządzili... - westchnął ciężko pułkownik Lawendowski, kiedy wychodzili z kapitanatu. - Spaliliśmy za nim mosty, ale może dzięki temu zostanie teraz z nami?

- Liczy pan na jego nawrócenie po czymś takim?

283

Pułkownik nie odpowiedział.

Załadunek dobiegł końca zgodnie z planem. Duży Leon także dotrzymał słowa, jeśli chodzi o gotowość maszynowni. Krótko przed piątą po południu „Szantarsk” odbił od nabrzeża i holując trzy wyładowane po brzegi barki, ruszył w mozołną drogę w górę Amuru, trzymając się bliżej chińskiego brzegu. Szybkość nie była imponująca - pięć, sześć węzłów, ale przy takim obciążeniu trudno było liczyć na więcej.

- No, a teraz z przyjemnością się wyrzygam! - oświadczył Adam Chęciński, gdy zabudowania Chabarowska znikły im z oczu za zakrętem rzeki.

- Atak choroby morskiej, panie Adamie? - zapytał ironicznie pułkownik.
- Nie, muszę sobie ulżyć! Przez tego łajdaka Kanawkina czuję się, jakbym miał w żołądku stęchlą szmatę...
- Radziłbym zaczekać.
- Na co?
- Jeszcze tylko dwa tysiące kilometrów, z tego ponad trzysta przez góry, i może pan sobie rzygać do woli.
- Do tej pory albo skonam na wrzody, albo już nic na tym świecie mnie nie poruszy!
- Szczerze mówiąc, liczę na to drugie. Dowódca mojej... przepraszam, królewskiej artylerii musi umieć zachować zimną krew. Doceniam, że w porcie nie uległ pan panice.
- Niewiele brakowało...
- Doceniam też pańską szczerłość i fantazję, zwłaszcza jeśli chodzi o ten dodatkowy ładunek. Niniejszym zawiadamiam pana, że wystąpię do króla o nominację oficerską dla pana.
- Sądzi pan pułkownik, że będą nas ścigać? - zmieszany Chęciński zmienił temat.
- Póki płyniemy Amurem, zawsze jest możliwość, że każą nam się zatrzymać i przybić do rosyjskiego brzegu. Myślę jednak, że cokolwiek by się działo, Kanawkin we własnym interesie będzie

284

grać na zwłokę przynajmniej dwa, trzy dni. Do tej pory osiągniemy ujście Sungari i znajdziemy się na terytorium Chin. Tam aż do Harbinu powinniśmy być względnie bezpieczni.

- A potem?
- Ja na miejscu komendanta garnizonu Władywostoku brakujących dział Deporta za nic bym nie odpuścił. Natychmiast zażądałbym wyjaśnień. Jednak póki oficjalnie płyniemy do Harbinu, rzecz ograniczy się do wymiany depesz. Poczekają, aż starszy lejtnant Lawendowski się zamelduje i wytłumaczy, co to wszystko ma znaczyć.
- I co ja im powiem?
- Nic. Pańska noga w ogóle w Harbinie nie postanie. Przecież tam Sergiusza znają, dalsza mistyfikacja nie miałaby szans. Minie pan miasto całą parą.
- Wtedy się zacznie...
- O, tak. Moi ludzie postarają się jak najbardziej opóźnić pościg. Reszta zależy od Boga i pańskiego rozumu.
- Postaram się nie zawieść, panie pułkowniku!

- Już pan nie zawiódł. Ale proszę się wreszcie położyć i przespać. Ogląda pan jak upiór z chińskiej opery.

- Dziękuję za komplement, panie pułkowniku. Czuję się raczej jak ofiara wampira...

Do San Sing dotarli bez przeszkód po pięciu dobach żeglugi. Tu czekał już kozacki goniec z pisemnym rozkazem dla Sergiusza Lawendowskiego, polecającym natychmiast stawić się w komendanturze harbińskiego garnizonu „celem złożenia, obszernych wyjaśnień w wiadomej sprawie”. Chęciński zapewnił, że tak zrobi, lecz to nie wystarczyło. Kozak beczelnie zaokrętował się na „Szantarsk”, żądając, by rejs wznowiono niezwłocznie po uzupełnieniu zapasu węgla i zapewniając, że nie dopuści do żadnych opóźnień. Popłynął więc jeszcze tej samej nocy, ale w dół rzeki i z ukręconą głową. Duży Leon złamał mu kark jak zapałkę, w chwili gdy delikwent wychylał szklanekę wódki po toaście „na

285

zdrowie”. Zanim wyrzucili ciało za burtę, pułkownik Lawendowski kazał jeszcze przebić mu brzuch bagnietem, żeby trupie gazy nie wzdęły zwłok i nie spowodowały ich wypłynięcia. Asystujący im Chęciński tym razem porzygał się jak kot. W sumie jednak sprawy szły dobrze, bo z dostarczonego pisma i słów posłańca wynikało, że Sergiusza podejrzewają jedynie o skrajną samowolę, nie zaś o zdradę.

W San Sing po zabójstwie posłańca zostali jeszcze dzień, który Chęciński wykorzystał, aby dodatkowo zabezpieczyć ładunek. Skrzynki z amunicją działową zostały obłożone zakupioną na miejscu dębową tarcicą, a w newralgicznych miejscach workami z piaskiem. Obciążenie barek wzrosło, za to można było liczyć, że w razie ostrzału karabinowego nie polecą od razu do nieba.

Pułkownik Lawendowski rozstał się z Chęcińskim tego popołudnia, zabierając ze sobą jeden karabin maszynowy z zapasem amunicji do ochrony królewskiego dworu. Przed pożegnaniem uzgodnili jeszcze system komunikacji i ochrony konwoju w trakcie dalszej drogi. Na prawym brzegu Sungari statek miał eskortować oddział trzydziestu jeźdźców, jak zwykle udających ochronę kolei mandżurskiej. Lewym brzegiem miało się posuwać trzech do pięciu zwiadowców. Wiadomości mieli przekazywać sygnałami świetlnymi.

- Zobaczymy się za pół roku w Het-ala albo nigdy - powiedział pułkownik, ściskając rękę Adama. - Powodzenia!

Dwa dni drogi na południe od San Sing, w miejscu gdzie Sungari najbardziej zbliża się do góry Pingding, z przystani ukrytej w starorzeczu wypłynęła rybacka łódź, która zręcznie przybiła do napływającego z przeciwka „Szantarska”, tak że statek nie musiał się zatrzymywać ani nawet zwalniać. Z rufy rzucono rybakom cumę i sznurową drabinką, po czym na pokład zręcznie wdrapał się Lao Ping. Łódź niezwłocznie odbiła od kadłuba, po czym znikła w nabrzeżnych sitowiacz. Cała akcja trwała niecałe dwie minuty.

286

Królewski przedstawiciel został wysłany z kolejną misją do Korei, ale miał też do wykonania zadanie na pokładzie. Przywiózł ze sobą nominację oficerską i zadziwiająco sprawnie poradził sobie z pasowaniem Adama Chęcińskiego w obecności załogi na porucznika wojsk Drugiej Rzeczypospolitej

Obojga Narodów. Ceremonia odbyła się według polskiego rytuału, lecz z użyciem chińskiego miecza z czerwoną kitą na końcu rękojeści.

Na świętowanie awansu nie było czasu. Tej nocy mieli minąć Harbin. Żeby nie pojawić się tam za wcześnie, „Szantarsk” przystanął o zmroku dziesięć kilometrów od miasta i czekał do północy. Zgodnie z planem mieli się przemknąć obok portu rzecznego w najgłębszych ciemnościach, między pierwszą a drugą w nocy.

Z tego co mówił Lao Ping, w Harbinie wszystko już było gotowe i dotyczyło to obu zainteresowanych konwojem stron. Kapitanat miał przyjąć „Szantarsk” w pierwszej kolejności o każdej porze dnia i nocy. Rosjanie zupełnie się nie spodziewali, że parowiec może kontynuować rejs i próbować ucieczki. Jak donieśli zaufani ludzie z komendantury garnizonu, major Kondratenko choć uważał wyczyn domniemanego Sergiusza za skandaliczny, to jednak dostrzegał kozacki fason tej eskapady, nie krył uznania i nie miał nic przeciwko dozbrojeniu swojej placówki w najnowocześniejsze armaty. Nie podjęto więc żadnych kroków, żeby zatrzymać statek siłą. Najważniejszą kwestią była jednak odpowiedź na pytanie: kiedy wyruszy pościg? Jeżeli miałyby się to stać jeszcze tej samej nocy lub o świcie, los transportu broni byłby przesądzony.

Z kolei pułkownik Lawendowski dopilnował, aby wieczorem na głównych harbińskich posterunkach rzecznych, czyli u wejścia do portu, na Długiej Wyspie oraz przy moście Kierbedzia, zupełnie przypadkiem pojawili się serdeczni goście z szanszynem i za-gryzką. A to kupiec, któremu się dziś poszczęściło w interesach, więc hojną ręką stawiał wszystkim, a to swojak przyjechał, to znów panna ręki nie odmówiła, za co stanowczo nie uchodziło nie

287

wypić... Do północy wszędzie tam trwała już radosna i tęgo zakrapiana biesiada, do której zaproszono miejscowe ladacznice.

Natomiast na rzece, przed dziobem sapiącego miarowo „Szan-tarska”, pojawiło się malutkie światełko. Wyglądało jak błędny ognik, ale nim nie było. Wręcz przeciwnie. Zakryta z trzech stron lampka na rufie łodzi wiosłowej sprawnie pilotowała parowiec, pozwalając mu mimo ciemności bezpiecznie omijać lokalne mielizny.

Noc była pochmurna i mglista. „Szantarsk” bez świateł sunął majestatycznie jak okręt widmo. Plusku wody młóconej bocznymi kołami żadną miarą nie dało się ukryć. Jednak na brzegach ci, do których to należało, śpiewali na całego gardło Wołga, Wołga... lub wszczynali awantury dla odwrócenia uwagi. Potem wysiadło elektryczne oświetlenie portu.

Port został za nimi.

Potem początek Długiej Wyspy.

Koniec Długiej Wyspy.

Gawriła Paszkow, jeden ze strażników na moście kolejowym, opróżniał właśnie pęcherz za barierkę do rzeki, kiedy nagle w dole jego zaćmionym od szanszynu oczom ukazał się prychający i rozchlapujący wodę wielki ciemny kształt. Ani chybi smok albo jaki lewiatan... Minęła długa chwila, zanim strażnik zdążył się zorientować, co widzi, a potem jeszcze przyjąć do wiadomości, że pod

mostem przepływa parowiec ciągnący trzy barki. Kiedy to wszystko do niego dotarło, zaraz za sprawą wypełnionej mokrym piaskiem skarpety spadły na niego egipskie ciemności.

Rano Paszkow obudził się z tak ciężkim bólem głowy, że dopiero blisko południa skojarzył, że widział w nocy to, o co wszyscy wokół pytają, i złożył naczalstwu stosowne doniesienie. Potem był ogromnie zdziwiony, gdy zamiast pochwały wlepili mu sto kijów za brak czujności i picie na służbie. Dobrzy ludzie kazali się jednak cieszyć, nie narzekać, bo w sumie tanim kosztem się wykpił. W komendanturze garnizonu nastał sądny dzień. Ponoć mieli tam

288

wieszać, pasy drzeć, rozstrzeliwać i urywać łby, tylko jeszcze nie wiadomo czyje. Spokojny zazwyczaj komendant dostał białej gorączki i w całym Harbinie na gwałt szukano winnych.

Potem druty telegraficzne w trójkącie Harbin-Władywo-stok-Chabarowsk rozgrzały się niemal do czerwoności. Po wymianie depeesz podjęto decyzje.

Adam Chęciński dowiedział się o nich wieczorem następnego dnia w uzgodniony sposób. Z Harbinu wyruszył za nimi parowiec „Zorza” z trzydziestoma żołnierzami na pokładzie oraz nakazem aresztowania starszego lejtnanta Sergiusza Lawendowskiego w celu niezwłocznego postawienia go przed sądem wojskowym. Zwiadowcy dopilnowali, aby ustalić prędkość „Zorzy”, i to była wiadomość gorsza: „Szantarsk” miał szansę uciec tylko po pozbyciu się barek z ładunkiem. Można było uratować jedynie to, co w ładowni - jedno działo, maximy, trochę amunicji. Lecz najgorsze powiedziały Chęcińskiemu obliczenia dokonane za pomocą cyrkla, mapy i suwaka logarytmicznego.

Spotkanie z „Zorzą” miało nastąpić kilkanaście kilometrów powyżej ujścia Nonni, w miejscu gdzie po obu stronach Sungari rozciągały się bagna uniemożliwiające lądowej eskorcie podejście do rzeki i udzielenie jakiegokolwiek pomocy. Załoga „Szantarska” mogła liczyć tylko na siebie.

Teraz oni musieli decydować.

Po królewskiej reprimendzie Lien wyglądała, jakby wyrwano jej duszę, a Patrycja zupełnie nie wiedziała, co na to poradzić. Ich fizyczny związek zbladł i przestał cieszyć. Pierwszej nocy po audiencji na górze Pingding obie jak zwykle położyły się razem, ale Lien niespodziewanie zaczęła się zachowywać jak niewolnica istniejąca tylko po to, by dać rozkosz swej pani. To wzbudziło spontaniczny sprzeciw Patrycji, który Chinka potraktowała jak odrzucenie. Skończyło się na tym, że Lien zrobiła sobie legowisko w kącie izby i od tej pory znów spały osobno. Było tak jak wtedy, gdy się poznały, a nawet gorzej, Lien bowiem przestała nosić kolorowe haftowane stroje, które dotąd tak ją cieszyły. Ubierała się teraz jak prosta służąca - w długą szarą suknię, czarny kaftan bez rękawów i czarną czapkę ściśle przylegającą do głowy. Nadal tytułowała Patrycję „starszą siostrą”, lecz prawdziwie siostrzana bliskość między nimi gdzieś przepadła.

Patrycja próbowała z nią o tym rozmawiać, jednak przy jej znajomości chińskiego poważnej i szczerzej rozmowy od serca nie dało się przeprowadzić. Owszem, Irlandka próbowała, ile mogła. Doszły do tego, że Lien uważa się za osobę nic niewartą i jej starsza siostra może z nią robić, co chce. Jeśli będzie nieposłuszna, pragnie być bita. Zdaje się, że tak właśnie zroszczyła intencje króla. Patrycji opadły ręce. Dalsze tłumaczenia przerosły jej możliwości. Należałoby poprosić o pośrednictwo doktora Zakrzewskiego, ale Irlandka czuła, że rozmowa we troje na tak delikatny temat jeszcze

bardziej Lien upokorzy. Była w kropce. Na dodatek sama bynajmniej nie czuła się święta i przypuszczała, że Lien została ukarana za nie obie, za ich

290

grzeszny związek. Do tej pory nie myślała o tym w ten sposób, lecz teraz zaczęła się gubić w domysłach i wyrzutach sumienia.

Koniec końców poprosiła doktora o rozmowę w cztery oczy. Spotkali się w pałacowym ogrodzie, czyli fragmencie lasu u podnóża góry Pingding, urządzonym w tak przemyślny sposób, że osoba postronna nie domyśliłaby się, że jest to ogród. Ot, po prostu uroczysko, na którym zrzędzeniem losu wyrosło więcej niż gdzie indziej leśnych kwiatów, winorośli, dzikich róż, poziomek i cytryńców, właśnie zaczynających dojrzewać. Dołożono naprawdę wielu starań, by sprawić wrażenie, że wszystkie te rośliny znalazły się tu najzupełniej przypadkowo i zgodnie z naturą. Nie było ścieżek, za to wszędzie leżało dość płaskich kamieni, aby można wygodnie stąpać. W miejscach szczególnie narażonych na wydeptanie krzewiła się niezwykle sprężysta trawa ma, zwana trzecim skarbem Mandzurii po sobolach i żeń-szeniu, ponieważ w całym kraju powszechnie używano jej do wykładania wnętrza butów. Po takiej murawie stąpało się jak po materacu, a ślady przechodzącej osoby zniknęły dosłownie w oczach. Inne niezbędne parkowe urządzenia, jak ławeczki, mostki, zadaszone altanki, w razie niebezpieczeństwa można było szybko usunąć i ukryć.

- Dziękuję mademoiselle za zaufanie - powiedział doktor Za-krzewski, wysłuchawszy zwierzeń Patrycji. Siedzieli na brzegu maleńkiego strumyka, szerokiego zaledwie na dwie piędzi, pod okapem z dzikiego wina zwieszającego się z gałęzi rozłożystego klonu. - Przede wszystkim myślę, że niesłusznie przykłada pani do tej sprawy europejską miarę. Dla Chińczyków seks nie jest tak grzeszny jak dla nas. Co prawda, mają oni znacznie większe niż my poczucie wstydu, bo na przykład typowe dla naszej kultury przedstawienia nagich ciał w rzeźbie i malarstwie stanowią dla nich szczyt bezeceństwa, ale cielesne obcowanie, nawet między osobami tej samej płci, jeśli odbywa się z zachowaniem pełnej dyskrecji, absolutnie nie stanowi powodu do jakiegokolwiek poczucia winy czy grzechu. Ja sam, przyznaję, nie zauważyłem nic

291

z tego, co między pannami zaszło. Wykluczam też stanowczo, aby nasi chińscy przyjaciele mogli się wykazać niedyskretnym wścibstwem i donosicielstwem. Taka świętoszkowatość zupełnie nie leży w ich naturze, czego niestety nie da się powiedzieć o wielu bardzo moralnych we własnym mniemaniu Europejczykach... Ale to z pewnością nie dotyczy pułkownika Lawendowskiego i jego towarzyszy broni. Tak więc, panno Patrycjo, myślę, że zupełnie bezpodstawnie przypisuje pani naszemu królowi ukryte intencje. Aczkolwiek przyznaję, że jego wysokość był dla pani towarzyszki bardzo surowy. Panna Lien publicznie straciła twarz, a to najgorsze, co może spotkać człowieka Wschodu. Na dodatek ona najwyraźniej nie do końca zdaje sobie sprawę, dlaczego tak się stało. We tylko, że popadła w niełaskę i wzbudziła niechęć osoby wysoko postawionej, co pozbawia ją we własnych oczach wszelkiej ludzkiej godności. Pani zaś żadną miarą nie może Lien tej straconej godności przywrócić, ponieważ jest pani osobą niższej rangi od króla.

- Mgż to bez sensu! Nasza wartość tkwi w nas samych!



- Nie dla Chińczyków. O tym, ile oni są warci, decydują ich relacje z innymi. Europejczyk odpowiada za swoje czyny przed Bogiem, inni ludzie mogą w to wkraczać tylko wtedy, gdy Boga w jakiś sposób reprezentują, jako kapłani lub władcy. Zawsze jednak jest Bóg jako ostateczna instancja odwoławcza od wszelkich ludzkich decyzji. W Chinach nie ma do kogo apelować. Tu człowiek zawsze jest tylko czymś poddanym, czymś dzieckiem, rodzeństwem, krewnym, rodzicem. To osoby stojące wyżej decydują, czy Chińczyk jest dobrym czy złym człowiekiem. Nie wartości absolutne, jak w naszym wypadku.

- Król postąpił niezwykle okrutnie! - wybuchła Patrycja.

- Mademoiselle, jest wysoce niestosowne osądzać króla - zmitygował ją doktor Zakrzewski. - Zwłaszcza damie dworu to nie uchodzi.

- Korzystam z europejskiego prawa moralnej oceny władcy!^ odparowała Irlandka.

292

- Szybko się panna uczy - uśmiechnął się rozbawiony doktor. - Lecz postępuje mademoiselle zbyt pochopnie. Jego wysokość istotnie stał Lien na proch w moralnym znaczeniu tego słowa, ale nie wątpię, że postąpił słusznie. Myślę, że zrobił to po to, aby pani towarzyszka mogła się odrodzić jak feniks z popiołów, jako nowy człowiek...

- To znaczy jako kto?

- Obywatelka Królestwa Niebiańskiego Pokoju. W prawdziwym znaczeniu tych słów - podkreślił stanowczo. - Nie chodzi tu o kolejny wzniosły frazes, jakimi w tej części świata, z upodobaniem przekraczającym granicę cynizmu, zwykło się nazywać nieład, nędzę i okrucieństwo. Powiedzmy, że panna Lien przechodzi teraz pewien rodzaj inicjacji lub bolesnej metamorfozy. Dokonujemy tu żywej syntezy kultur Wschodu i Zachodu. Staramy się połączyć co w nich najlepsze, a czasem trzeba też stanowczo odciąć to, co jest nie do przyjęcia, jak europejska obłuda czy chiński relatywizm etyczny. Dobrym prawem naszego króla jest wydawać osąd w tej mierze.

- Synteza kultur? - Patrycja wzruszyła ramionami. - Czy to w ogóle możliwe, panie doktorze?

- Zdaniem takiego na przykład pana Sergiusza, absolutnie nie. Możemy sobą stale pogardzać i zabijać się dla odmiany. Pytanie tylko, czy można polegać na zdaniu pokonanego wroga? Cóż... Darujmy już sobie te dywagacje. Jeśli pani pozwoli, chciałbym zapytać, oczywiście jako lekarz, czy wcześniej miewała pani erotyczne skłonności do kobiet?

Dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, marszcząc brwi.

- Raczej nie, panie doktorze.

- A zatem w pani przypadku jest to prawdopodobnie skutek lęku przed mężczyznami - stwierdził doktor Zakrzewski. - Rzecz poniekąd zrozumiała po tym, co pani przeszła, ale proszę pamiętać, że ten stan minie. Kiedyś się pani otrząśnie, znów przyjdzie

293

dzień, w którym zapragnie pani kochać mężczyznę i być przez niego kochaną.

- Tak pan sądzi, doktorze? - spytała z powątpiewaniem.

- Nie wątpię - odparł. - A mówię o tym, ponieważ dotyczy to również panny Lien. Jeśli jej skłonności do kobiet są trwałe, w przyszłości może poróżnić was zazdrość.

- Więc co właściwie mam robić? - wybuchła Patrycja.

- Proszę dostrzec dobrą stronę faktu, że wasz związek uległ rozluźnieniu. Być może nie warto go ponownie zacieśniać, jeśli wasze oczekiwania są tak różne.

- Rozumiem, panie doktorze - pokiwała głową w zadumie.

- Po drugie, powinna mademoiselle wiedzieć, że Chińczycy mają bardzo ładną nazwę na tego typu związek dwóch młodych kobiet. Nazywają go więzią złotej orchidei. To rodzaj przyjaźni, która może, choć nie musi, obejmować też obcowanie cielesne. Chodzi tu przede wszystkim o miłość i piękno. Dlatego proszę towarzyszyć panie Lien, kiedy będzie odnajdywać swą nową tożsamość. Ona teraz bardzo potrzebuje miłości i przyjaźni, choć chwilowo czuje przede wszystkim rozpacz i ból. Nie wątpię, że w przyszłości król chętnie zobaczy na swoim dworze dwie śiucai, złote orchidee.

- Wobec tego obiecuję, jak wy to mówicie... poszukać garnka! - oświadczyła Patrycja pół żartem, pół serio.

- Cieszę się. I mam nadzieję, że przez te wszystkie rozterki nie zapomniała pani o dzisiejszej audyencji. Mam nadzieję, że jest pani gotowa?

- Prawdę mówiąc, mam tremę, panie doktorze. Nie bardzo wiem, co mam robić i czego się spodziewać. Pani ochmistrzyni mówi tak szybko po polsku, że ja...

- No to jeszcze raz po kolei - uśmiechnął się doktor Zakrzewski. - Dotychczasowe spotkania z królem, w których brała pani udział, miały charakter półoficjalny i prywatny. Były przeznaczone dla bliskich współpracowników jego wysokości, dobrze orientujących się w sprawach dworu, oraz dla specjalnych gości.

294

- Rozumiem i czuję się zaszczycona. '

- Dzisiaj jednak przybędzie grupa zwykłych poddanych, których nagrodzono w ten sposób za wierność i oddane usługi. Czekali lata, by dostąpić tego zaszczytu, i równie długo byli sprawdzani, czy są godni zaufania. Bardzo możliwe, że nigdy więcej już swego króla nie zobaczą. Dlatego dzisiejsza audyencja powinna być dla wszystkich zaproszonych wydarzeniem jak ze snu, które będzie długo wspomniane, umacniając ich wierność królowi i Rzeczypospolitej. Łatwo o zwątpienie, gdy trzeba poświęcać życie za kogoś, kogo nigdy nie widziało się na oczy. Łatwo też o zwątpienie, gdyby w takiej chwili zdarzyło się rozczarowanie. Prości ludzie pragną zobaczyć króla i dwór całkowicie zgodny z ich wyobrazeniami. Dlatego w tej materii poszliśmy na rozsądny kompromis z syntezą kultur i z zasady nie robimy audyencji mieszanych dla Polaków i Chińczyków razem. Każdy naród ma inne wyobrażenia królewskiego majestatu, a prości ludzie z trudem by się pogodzili z rzeczami oczywistymi dla nas, dworzan, obcujących z tym od lat. Dzisiaj więc przyjdą Polacy...

- Bo gdyby to byli Chińczycy, powinnam z moimi włosami schować się w mysiej norze, żeby wszystkiego nie popsuć! Wiem, akurat tyle z przemowy pani Agnieszki zrozumiałam! - nadąsała się Patrycja.

- Nasza droga jejmość ochmistrzyni ma zwyczaj mówić prosto z mostu i bez ogródek, ale to bardzo poczciwa niewiasta. Proszę się tym nie przejmować, wiem, że panią polubiła.

- Wy, Polacy, macie osobliwy sposób okazywania sympatii. Cudzoziemiec, którego polubicie, powinien natychmiast się upić lub zażyć garść bromu, żeby to znieść w dobrym zdrowiu!

- Tym razem wystarczy, że będzie pani pięknie wyglądać i uśmiechać się. Reszta należy do mistrza ceremonii.

- A właściwie za ile...

- Już za pół godziny. Dlatego pytałem, czy pani aby nie zapomniała.

295

- Boże! Biegnę się przebrać! I muszę jeszcze wyszczotkować Chu Chulainna... - poderwała się dziewczyna i znikła za drzewami.

Doktor Zakrzewski wzniosł oczy ku niebu.

- Oto prawdziwa Arkadia - powiedział do siebie z filozoficznym uśmiechem. - A ja w niej żyję!

Zdyszana Patrycja z cesarskim pieskiem na rękach przybyła na miejsce zbiórki dam dworu jako ostatnia, ale się nie spóźniła. Niewiele brakowało, bo po drodze spotkała Sergiusza Lawen-dowskiego, który o lasce przechadzał się po lesie ze znudzoną miną i zatrzymał ją na pogawędkę. Ostatnio widywali się rzadko, ponieważ gdy starszy lejtnant odrzucił zaproszenie na kolację, przestał być zapraszany do królewskiego stołu. Wyjaśniając swój brak i J czasu, Irlandka powiedziała, jakie obowiązki ją za chwilę czekają.

Sergiusz na to parsknął szyderczym śmiechem i życzył jej przyjemnego udziału w romantycznej farsie.

Patrycja obróciła się na pięcie i poszła bez słowa tam, gdzie jej oczekiwano. Był to inny fragment leśnego ogrodu, odległy kilkaset kroków od zakątka, w którym rozmawiała z doktorem Za-krzewskim. Tu nie starano się ukrywać, że miejsce to jest w istocie pałacowym parkiem, ale zarazem nie zmieniono natury w sposób trwały. Sprzeczne wymogi konspiracji i królewskiego przepychu pogodzone, rozstawiając wśród leśnych drzew i krzewów donice z cieplarnianymi kwiatami - chryzantemami, tulipanami, storczykami, liliami i goździkami. Zaskakujący kontrast tej kompozycji psuło kilka gipsowych posągów w stylu pseudoantycznym, tandetnych podróbek dzieł mistrzów włoskiego renesansu. Ich autorem był, zdaje się, jakiś chiński rzemieślnik, który czuł się w obowiązku barbarzyńskie rzeźby ucywilizować w duchu kultury Państwa Środka, osiągając efekt, delikatnie mówiąc, mało harmonijny. Przykładowo figowe listki były do przesady duże, nasuwając skojarzenia z łopianem, a figury kobiet bez mała pozbawione piersi. Kanony greckiego piękna zostały kompletnie sponiewierane. Na

296

widok takiej syntezy Wschodu i Zachodu Patrycja stanęła jak wryta z otwartą buzią. Wszystko, co do tej pory widziała w pałacu, było urządzone z subtelnym smakiem, teraz nagle znalazła się wśród łące jarmarcznego kiczu. Myśl, co by powiedział Sergiusz, gdyby to zobaczył, sprawiła, że zapłonęły jej uszy. Parodia... namiastka... brak gustu... Dopiero wspomnienie słów doktora, że przygotowano to wszystko dla prostych ludzi, zgodnie z ich wyobrażeniami, sprawiło, że się opamiętała. Wszak prostych ludzi na dwory władców z zasady nie zapraszano. Ten dwór był wyjątkiem i należało to docenić!

Wzięła cesarskiego pieska na smycz, poprawiła fałdy haftowanej w srebrne feniksy czerwonej sukni z nieprawdopodobnie szerokimi rękawami, każdy jak osobna spódnica, po czym z wielką godnością zaczęła się przechadzać między posągami i kwietnymi donicami, dopełniając całości żywego obrazu.

Oprócz Patrycji było tu jeszcze pięć innych odświętnie ubranych dam dworu: trzy Polki, znane jej już z widzenia, oraz dwie Chinki, które widziała po raz pierwszy. Wszystkie były mniej więcej w podobnym wieku. Panny Ewelina, Dorota i Anna bawiły się, rzucając do siebie kolorową piłkę, śmiejąc się głośno i nawołując. Chinki zachowywały się bardziej powściągliwie. Siedziały na trawie i udawały, że pilnie haftują. Ożywiły się dopiero na widok Chu Chulainna. Odłożyły robótki, zaczęły go głąskać i przemawiać do niego czule.

Patrycja miała zamiar się przedstawić oraz zapytać je o imiona, ale zanim znalazła w pamięci odpowiednie słowa, gdzieś blisko rozległ się głos myśliwskiego rogu. Chwilę później na polanę wyszło kilkunastu brodatych mężczyzn w białych rosyjskich koszulach i futrzanych czapkach na głowach, mimo że było bardzo ciepło. Rozglądali się wokół z wyraźnym onieśmieniem, chociaż żaden nie wyglądał na nieśmiałego z natury. Znać było, że znacznie lepiej radziliby sobie z dzikimi bestiami niż w tych okolicznościach. Na posągi, które tak zniesmaczyły Patrycję, patrzyli z nie-

297

ukrywanym nabożeństwem. Prowadził ich pan Jan, niski, drobny człowieczek we fraku i cylindrze, sprawujący urząd królewskiego szambelana i mistrza ceremonii. Z tego, co Patrycja zdążyła zauważyć, pan Jan oraz doktor Zakrzewski niezbyt się lubili. Podobno dlatego, że pan Jan był zagorzałym towiańczykiem, co irytowało doktora. Irlandka kompletnie nie rozumiała, o co im chodzi, ale przez grzeczność wolała nie pytać. Ona sama nie miała mistrzowi ceremonii nic do zarzucenia. Był to po prostu sumienny, poważny szambelan, niczym nieróżniący się od tych, których widywała w dotychczasowej karierze pokojówki.

- Oto jesteśmy w gaju, gdzie panny dworskie igrają! - oznajmił z wielką powagą pan Jan, zwracając się do towarzyszących mu mężczyzn, którzy z uszanowaniem zdjęli papachy i zaczęli się niezdarnie kłaniać.

Dziewczęta przestały się bawić i się odkłoniły, każda nacja na swój sposób. Uśmiechały się przy tym tylko Polki. Chinki były śmiertelnie poważne.

- Damy dworu będą nam towarzyszyć przed królewskie oblicze - oznajmił pan Jan.

Patrycja podeszła do najstarszego z przybyłych. Był to typ syberyjskiego trapera, który ostatnie dni spędził w łaźni i u fryzjera, mimo to jego profesja wciąż była rozpoznawalna na pierwszy rzut oka.

Blizny na ogorzałej twarzy, dłonie z bliznami po odmrożeniach, ale w niebieskich oczach coś budzącego zaufanie.

- Zechce pan podać mi ramię? - zapytała Patrycja po polsku. Speszony mężczyzna popatrzył na pana Jana, który zademonstrował, co należy zrobić.

- Tylko delikatnie - zaznaczył szambelan - W żadnym wypadku nie prowadzimy panny jak niedźwiedzicy z gawry... Ale chińskich panien nie dotykamy! - szybko zapobiegł niezręcznemu incydentowi. - W ich zwyczajach to nie uchodzi! Panny Li i Yu - płynnie przeszedł na chiński - pójdą przodem i wezmą ze sobą pieska.

298

Polki poszły za przykładem Patrycji, wybierając sobie partnerów, a następnie cały orszak podążył przez las, potem pod górę. Niebawem dotarli do jaskini jasno oświetlonej elektrycznym światłem. Wejście do pieczary ukształtowano na wzór zamkowej bramy, której boków strzegły kamienne tygrysy, a u góry wykuto herb Ryby i Smoka. Ta dekoracja była trwała. Podobno w razie niebezpieczeństwa cały portal miał zniknąć pod sztuczną lawiną.

Wewnątrz stał luźny szpaler królewskich gwardzistów w mundurach żuawów śmierci z karabinami u nogi. Ich dowódca zsalutował szambelanowi i gestem zaprosił przybyłych do środka. Wszystko odbywało się w wielkiej ciszy i powadze. Goście weszli jak do kościoła, ktoś się nawet przeżegnał.

Szli korytarzem o sztucznie wygładzonych ścianach, na których wymalowano sceny z historii - po lewej stronie Chin, po prawej Polski. Każdy z krajów, jak objaśniał pan Jan, zajmował stronę w swojej kulturze zaszczytną, a jednocześnie były to obie strony tego samego korytarza. Symbolika jedności uderzała swoją prostotą. Z kolei autor malowideł, w przeciwieństwie do twórcy posągów, bynajmniej nie był partaczem. Znać było rękę anonimowego mistrza.

Freski zaczynały się od mitycznych początków obu narodów. Po polskiej stronie były to postrzyżyny Ziemowita w obecności dwóch aniołów, naprzeciw, po chińskiej, legendarny cesarz Fuśi ustanawiał instytucję małżeństwa, objaśniając ludowi, na czym ono polega. Drugą parę malowideł tworzyła monumentalna szarża husarii pod Wiedniem i zwycięstwo wojsk cesarza Kangxi nad Mongołami na pustyni Gobi. Trzecią stanowiły portrety władców, cesarza Kangxi i Jana III, patrzących sobie w oczy z dumą i godnością. Potem były ekspresyjne sceny boskich objawień Hung Śiou-ćyuan i Andrzeja Towiańskiego, któremu towarzyszył Adam Mickiewicz klęczący u stóp proroka i spisujący jego słowa. Owo malowidło pan Jan objaśniał wyjątkowo długo i z wielką egzaltacją, po czym przeszli do scen martyrologii, to jest upadku Nanki-

299

nu oraz powstania styczniowego - Hung Śiou-ćyuan, osaczony przez wrogów w płonącym mieście, wypijał truciznę naprzeciw stojącego pod szubienicą dyktatora Traugutta. Na króla tajpingów czekało już otwarte Niebo i dwaj aniołowie, ci sami co wcześniej w scenie z Ziemowitem. Dalej były dwie grupy tułaczy zdążających z przeciwnych stron do Mandżurii i rysującej się na horyzoncie góry Pingding - garść poranionych tajpingów osłaniających brzemienią Kuei-lan i grupa zbiegłych syberyjskich zesańców z zerwanymi kajdanami na rękach.

Tu korytarz się kończył i weszli do małej sali ozdobionej jednym wielkim freskiem, przedstawiającym na chiński sposób, czyli bez perspektywy, dziejące się jednocześnie: scenę wolnej elekcji na szczycie góry Pingding, Hung Siao-Tiena uroczyste zaprzysięgającego konstytucję oraz składających mu hołd Polaków i tajpingów. Sama księga konstytucji Drugiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów leżała otwarta na postumencie z białego marmuru pośrodku pomieszczenia. Spisano ją w obu językach, tak by polskie litery pisane od lewej strony i chińskie znaki idące od prawej spotykały się dokładnie pośrodku stronic.

- Z największą starannością zachowaliśmy i połączyli w jedno wszystko, co w nowej sytuacji zachowało swą aktualność z naszej konstytucji majowej oraz dekretów ustanawiających pierwsze Królestwo Niebiańskiego Pokoju - objaśnił zgromadzonym pan Jan, po czym wskazał na otwartą stronę i przeczytał głośno po polsku: - „Lud rolniczy, spod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy"... Obok mamy zapis chiński o tym samym znaczeniu, podyktowany niegdyś przez ojca naszego króla. Proszę tędy! - pokazał dalszą drogę.

Weszli do wielkiej i bardzo ciemnej sali, w której jedyną drogę wskazywały owady świetliki, zamknięte w niewielkich szklanych naczyniach rozstawionych na posadzce co kilka kroków. Pan Jan

300

ściszym głosem wezwał zebranych do zachowania najwyższej powagi i kazał się zatrzymać.

Przez chwilę stali w całkowitej ciszy. Potem gdzieś w ciemności rozległy się dźwięki fortepianu. Patrycja stwierdziła, że słyszała już tę melodię, i to nieraz, ale za nic nie mogła przypomnieć sobie nazwiska kompozytora...

W górze nad nimi rozżarzyły się druciki żarówek Edisona. Światła przybywało najpierw powoli, a potem nagle w jednej chwili zalało całą salę. Przybysze wydali z siebie zbiorowe westchnienie.

Władysław V siedział na podwyższeniu w złotej koronie ze stylizowanych kwiatów lilii i lotosu oraz w podbitym gronostajami czerwonym płaszczu na ramionach. W dłoniach trzymał srebrne berło i nefrytowe jabłko ze srebrnym krzyżem. Na piersiach wisiał mu łańcuch z białym orłem w koronie. Po lewej stronie króla stał Caj Cung-jen trzymający tarczę z królewskim herbem - Rybą i Smokiem, a z prawej polski oficer prezentował nagi miecz. Dalej stali inni dworzanie i żołnierze obu narodów, wśród nich nadworny filozof Stanisław Brzozowski. Irlandka odruchowo poszukała wzrokiem pułkownika Lawendowskiego, lecz zaraz przypomniała sobie, że on i Adam Chęciński kilka dni wcześniej opuścili królewski pałac z jakąś misją.

Fortepian ucichł.

- Oto majestat najszlachetniejszego władcy Wschodu i Zachodu! - przemówił wielkim głosem pan Jan.  
- Patrzy na was najdostojniejszy Władysław, z łaski Boga i woli Obojga Narodów król Polaków i Chińczyków! Przepowiedziany przez proroków Czterdzieści i Cztery! Oddajmy mu pokłon!

Przyklękli. Patrycja spostrzegła, że jej towarzysz ma łzy w oczach i cały aż drży od tłumionego szlochu. Poczuła, że bardzo, ale to naprawdę bardzo nie lubi Sergiusza Lawendowskiego.

- Powstańcie i bądźcie moimi miłymi gośćmi - powiedział król.

- Najjaśniejszy panie - odparł mistrzceremonii. - Pozwól przedstawić sobie dobrych Polaków, którzy od lat służą ci całym sercem.

301

- Pragnę poznać ich imiona.

Pan Jan zaczął po kolei wymieniać przybyłych oraz ich zasługi. Towarzysz Patrycji nazywał się Franciszek Kąkol, walczył w trzech bitwach z chunchuzami, był dwukrotnie ranny i oddawał do królewskiego skarbcza połowę znalezionej złota zamiast oczekiwanej jednej piątej. Przedstawiani kolejno podchodzili do tronu, przyklękali i całowali skraj królewskiego płaszcza.

Następnie znów rozległa się muzyka, a szambelan wyprowadził przybyłych.

Po uroczystej audiencji zaplanowano dla królewskich gości przyjęcie, w którym Patrycja nie musiała już brać udziału. Postanowiła, że spędzi ten wieczór z Lien, grając z nią w madżonga. Niespodzianie w drodze powrotnej natknęła się na Sergiusza, który wyraźnie na nią czekał. Irlandka przyspieszyła kroku, uniosła wysoko głowę i demonstracyjnie na niego nie patrząc, minęła oficera bez słowa.

- Panno Patrycjo! - pokuszył ją za nią pospiesznie. - Proszę o wybaczenie! Moje zachowanie było absolutnie niedopuszczalne! Pragnę panią z całego serca przeprosić...

Przystanęła. Może trochę za szybko, chyba powinna być bardziej niedostępna, ale w końcu miała do czynienia z inwalidą. Nie zamierzała jednak ukrywać, że jest na niego zła.

- Dobrze. Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

-Tylko moje rozgoryczenie... może kalectwo... - uniósł nieznacznie rękę, na której się opierał.

- Doktor mówi, że niebawem będzie pan całkiem zdrowy, czego panu życzę - odpowiedziała oschle.

- Doprawdy zupełnie nie wiem, co we mnie wstąpiło, panno Patrycjo. Po naszej ostatniej rozmowie poczułem się jak świnia...

- Ocenia się pan zbyt surowo - złagodniała. - Myślę, że każdy w pana stanie też by patrzył na świat raczej w czarnych barwach.

- To wszystko wyszło nie tak... - zrobił krok w jej stronę. -Chciałbym, żeby pani wiedziała, dlaczego tu jestem... dlaczego dałem słowo... v|>;

302

- Nie szukał pan króla?

- Szukałem, ale wcale nie pragnąłem go widzieć. W każdym razie nie w pierwszej kolejności. Był większy i ważniejszy powód.

-Jaki?

- Pani. Gdybym nie dał słowa, pewnie nigdy więcej byśmy się nie spotkali. Kiedy panią pierwszy raz zobaczyłem, coś się zmieniło...

- Doprawdy w dziwny sposób pan to dotychczas okazywał.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Zachowywałem się jak ostatni dureń. Naprawdę nie jestem tądakiem bez wyższych uczuć. Przyjmie to pani ode mnie na przeprosiny? - sięgnął za pazuchę i wyjął czerwoną kiść dojrzałych cytryńców. - Wie pani, co to jest?

- Wiem. - Zrobiło się jej zimno na wspomnienie tego, co stało się po tym, jak wręczono jej bukiet kwiatów tej rośliny. Jednak poza wahaniem nic po sobie nie pokazała.

- Chińczycy nazywają go owocem o pięciu smakach - mówił Sergiusz. - Jego smak zależy ponoć od stanu emocji osoby, która go spożywa.

- Jak panu smakował?

- Był cierpko-słony... Ale już nie gorzki. Zechce pani skosztować? - spojrzął jej prosto w oczy.

Zerwała jedną jagodę i rozgryzła.

- Mój jest słodko-kwaśny - stwierdziła.

- Czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś będzie słodszy?

- To dopiero połowa lata - odparła wymijająco. - Jeśli będziemy mieli więcej słońca, kto wie... - wzięła kiść z ręki Sergiusza. -Dziękuję. Myślę, że możemy zostać przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi - podkreśliła.

- O niczym innym nie marzę.

- Dobrej nocy, panie Sergiuszu.

o&a rzeki ii

w\

Dym z komina ścigającego ich parowca wyglądał jak szara chmura na północnym horyzoncie ciemniejąca z każdą chwilą. Spotkanie było kwestią dwóch, najdalej trzech godzin. Na „Zorzy” musieli znać ten czas znacznie dokładniej, bo tuż przed ujściem Nonni „Szantarsk” minął się z rosyjskim statkiem płynącym z Cycham do Harbinu. Tamci o niczym nie wiedzieli, wymienili z Polakami rutynowe pozdrowienia, ale zapytani o uciekający konwój mogli podać dokładne miejsce spotkania i prędkość „Szantarska”. Rosjanie mieli ich zatem jak na dłoni.

Lao Ping milczał i zachowywał spokój. Załoga zaczęła szeptać

o konieczności odcięcia barek. Na razie jeszcze nikt nie ośmielił się powiedzieć tego głośno. Czekano, co zrobi świeżo upieczony porucznik. Wreszcie Chęciński uznał, że nie może dłużej zwlekać,

1 kazał zebrać ludzi na pokładzie przed nadbudówką.

- Kto z was umie obsługiwać karabin maszynowy systemu Ma-xima? - zapytał bez wstępów.

Podniosło ręce dwóch żołnierzy przydzielonych przez Jaskółskiego.



- Proszę wziąć jeden kulomiot z ładowni, ustawić na rufie i przygotować do otwarcia ognia. Potem przykryć brezentem, żeby tamci nic nie zauważyli, i czekać na mój rozkaz.

- Za pozwoleniem, panie poruczniku, a co się z nami stanie, jeżeli tamci też zaczną do nas strzelać? Jedziemy tu przecie na beczce prochu... - odezwał się bosman Malicki, stary wyga jeszcze z czasów walk nad Zeltugą.

Załoga poparła go zgodnym pomrukiem.

304

- Nie będziemy się wdawać w strzelaninę - odparł Chęciński.

- Proszę wybaczyć, panie poruczniku, ale pan jest młody i nie ma doświadczenia. Wieziemy ze sobą królewskiego pościa, którego nie wolno narażać - bosman spojrzał na Lao Pinga. - Niech on teraz powie słowo...

- Proszę wykonać rozkazy wasz oficer! - Chińczyk uciął dyskusję łamaną polszczyzną. - Ufam pan Adam całkowicie.

Chęciński podziękował mu za poparcie lekkim ukłonem.

- Mam plan obmyślony zawczasu i będę potrzebował trzech ludzi do pomocy - oznajmił. - Kto się zgłasza? Może ci najbardziej ciekawi?... - popatrzył wymownie na dotychczasowego oponenta.

Malicki skinął głową. Potem zgłosili się jeszcze dwaj marynarze. Chęciński kazał im czekać na pokładzie, a resztę odesłał do swoich zajęć. Sam zszedł do maszynowni.

- O ile możecie zwiększyć prędkość? - zapytał Dużego Leona, przekrzykując syk pary oraz łoskot mimośrodków obracających boczne koła „Szantarska”.

- Byłem ciekaw, kiedy pan oficer o to spyta - uśmiechnął się sardonicznie usmolony olbrzym, krzyżując ręce na piersiach. - Jak dobrze sypnę węgla w palenisko i dam kołek pod zawór bezpieczeństwa, wyciągniemy jak nic osiem węzłów.

- To niech pan daje! Ale ja potrzebuję prędkości powyżej dziesięciu węzłów.

- Musiałbym, panie poruczniku, chyba czystym prochem palić!

- Pozwólcie ze mną! - Chęciński ruszył do ładowni, po drodze zabierając ze skrzynki z narzędziami krótki łom. Odszukał dwie skrzynie, które kazał załadować w Chabarowsku, po czym podważył ich wieka. W jednej było mnóstwo małych, jednouncjowych papierowych torebek, w drugiej, znacznie większej, wymoszczonej od środka słomą i trocinami, stało osiem szklanych pięciolitrowych gąsiorów z żółtawym płynem. Duży Leon pochylał się nad nimi i pociągnął nosem.

305

- Terpentyna... no, nieźle! - stwierdził z uznaniem. - A to drugie, w torebkach?

- Kalihpermanganicum, inaczej mówiąc, nadmanganian potasu.

- Tym się dezynfekuje rany - przypomniał sobie maszynista. -Ale co to ma do terpentyny?
- Rozgrzany nadmanganian wydziela czysty tlen...
- W imię ojca i syna! - przeżegnał się zamaszycie Duży Leon. -1 co o tym myślicie?
- Pan każe z rzeki wyjechać i na przetaj przez step pomykać?
- Żarty się was trzymają, a ja chcę wiedzieć, czy maszyna wytrzyma taki eksperyment?
- Sam jestem ciekaw, panie oficerze. No, ale to ruska aparatura, gniotsa nie łamiotsa, taką mam nadzieję...
- Mówcie jasno!
- Tak z ręką na sercu, panie poruczniku, to kocioł jest solidny i świeżo po odkamienianiu. Powinien dużo wytrzymać.
- To chciałem usłyszeć! Bierzcie skrzynkę z terpentyną, ja wezmę nadmanganian.

Przetaszczyli dopalacze do maszynowni.

- Kiedy mam zacząć?

- Dam wam znak.

Chęciński wyszedł na pokład, zabierając ze sobą łom. Chwilę rozmawiał z Małym Leonem i Lao Pingiem, wtajemniczając ich w szczegóły swojego planu. Chińczycy wysłuchali go z kamiennymi twarzami.

- Pan, panie Lao, dowodzi statkiem w czasie mojej nieobecności na pokładzie.

Królewski poseł skinął głową.

- Ochotnicy za mną! - polecił Chęciński. - Schodzimy na barki.

Po drodze zamienił jeszcze kilka słów z obsługą cekaemu, następnie zsunęli się z rufy „Szantarska” na pierwszą barkę, po czym balansując na łączących je linach i łańcuchach, przedostali się na

306

trzecią i stłoczyli na rufie w wolnym miejscu, które Chęciński kazał zostawić podczas załadunku.

- Zasuńcie brezent na głowy, żeby nie było nas widać - polecił.
- Co pan porucznik zamierza? - spytał zaintrygowany bosman.
- Czekać - odparł spokojnie Chęciński. - Wszystko zobaczycie, Malicki, na własne oczy i mam nadzieję, że się nie wystraszycie...
- Roztropność to jedno, a strach całkiem co innego, panie poruczniku - odparł urażony bosman. - Strach się po nas nie pokaże!

- To bardzo dobrze... - Chęciński wysunął spod brezentu rękę z czerwoną chustką, dając znak Lao Pingowi. Ten odwrócił się do Małego Leona stojącego przy kole sterowym i wydał po chińsku krótki rozkaz.

„Szantarsk” skorygował dotychczasowy kurs i zaczął iść dokładnie środkiem nurtu Sungari.

Tymczasem w maszynowni Duży Leon wtajemniczał w szczegóły swojego pomocnika.

- Panienko Przenajświętsza! - jęknął tamten i pośpiesznie ucałował medalik. - Jakże my z życiem ujdziemy?

- Masz tutaj, Wiesiu, trochę ostatniego namaszczenia - Duży Leon podał mu butelkę chanszynu. - Jak ginąć, to z fantazją! Niech żyje król!

- Ano, za króla! - pomocnik pociągnął pół butelki jednym haustem.

„Zorza” dochodziła ich szybko. Nie minęła nawet godzina od dyskusji na pokładzie, gdy dziób ścigającego parowca wyłonił się zza zakrętu rzeki. Stojący na mostku Lao Ping nie spuszczał wzroku z rufy ostatniej barki. Teraz zobaczył kolejny umówiony znak Chęcińskiego i pochylił się nad tubą głosową prowadzącą do maszynowni.

- Pan porucznik każe teraz - powiedział po polsku.

307

- Zrozumiałem! - odkrzyknął Duży Leon i odwrócił się do pomocnika. - Cała para na tłoki! Wiesiu, bierz kołek i zatykaj piczkę!

Pomocnik przesunął ciężar przeciwwagi zaworu bezpieczeństwa na sam koniec dźwigni i dodatkowo zablokował ją drewnianym polanem, wciskając je pomiędzy dźwignię a sufit maszynowni. Następnie obaj na wyścigi zaczęli szuflować węgiel do paleniska. Wskazówka manometru energicznie skoczyła w kierunku czerwonej granicy bezpieczeństwa.

„Szantarsk” przyspieszył wyraźnie. „Zorza” także, musiała mieć jednak większy zapas mocy maszyny parowej, bo odległość między oboma statkami malała nadal.

- Oni też musieli zatkać zawór bezpieczeństwa - stwierdził bosman Malicki, wyglądając przez szparę pod uniesionym brezentem. - Tak łatwo nam nie odpuszczą.

- Zobaczymy, co poradzą na to... - porucznik dał trzeci znak. Lao Ping przekazał do maszynowni kolejny rozkaz.

- Terpentyna pod ogon! - wrzasnął radośnie Duży Leon. Nabrał pełną szufłę torebek z nadmanganianem potasu i rzucił je w ogień. - Dawaj, Wiesiu, raz matka rodziła!

Pomocnik wyjął korek z gąsiora z terpentyną i z rozmachem cisnął całe naczynie pod kocioł. Duży Leon natychmiast zatrzasnął i zaryglował drzwiczki paleniska, po czym obaj odstąpili dwa kroki, patrząc, co będzie dalej. Nie musieli czekać długo. Tylko kilka uderzeń bijących coraz szybciej serc...

Płomienie buchnęły wszystkimi szczelinami paleniska. Na zewnątrz z komina „Szantarska” wyleciał kilkumetrowy słup żywego ognia, następnie opary palącej się terpentyny utworzyły nad statkiem kulę

ognia pałającą jak drugie słońce. Fala żaru uderzyła w mostek kapitański. Lao Ping odruchowo osłonił twarz przedramieniem. Parowiec skoczył do przodu jak dźgnięty ostrogami rumak.

308

- Rany boskie, co to było?! - wykrzyknął jeden z marynarzy na barce. - Robimy ze dwanaście węzłów! I to z obciążeniem pod prąd! Zaraz jak nic wybuchnie kocioł! Albo nam pourywa łopatk! Nie daj Bóg, żeby teraz w rzece trafił się jaki pień...

- Wobec tego nie traćmy czasu! Pomóżcie mi! - Chęciński zaczął podwładać łomem wieko największej skrzyni. - Szybko!

W maszynowni „Szantarska” zrobiło się gorąco jak w piekle. Termometr pokazywał czterdzieści pięć stopni Celsjusza, a rtęć wciąż pięta się w górę.

- Panie Leonie, żyjemy jeszcze? - pomocnik maszynisty ostrożnie otworzył oczy. - O Jezu... - spojrzał na manometr.

Wskazówka przyrządu wygięła się na ograniczniku skali.

- Spokojnie, Wiesiu, manometr jest delikatny, angliczański, za to kocioł ruski... Dawaj, powtarzamy!

Chwilę później Lao Pong skulił się przed kolejną falą żaru. Natomiast „Zorza” przestała skracać dzielący ich dystans, choć sądząc po intensywności dymu bijącego z jej komina, tamtejsi palacze też dawali z siebie wszystko. Chwilę później, wnosząc po kolorze płomienia, który strzelił z komina „Zorzy”, poświęcili znajdujący się na pokładzie spirytus.

Pościg znów zaczął się przybliżać. W odpowiedzi „Szantarsk” plunął ogniem w niebo po raz trzeci. Dystans się ustalił.

- Długo tak nie damy rady! - sapnął marynarz pomagający Chęcińskiemu oderwać wieko skrzyni.

- Niech oni się dobrze rozpędzą... - odpowiedział oficer. - Im bardziej, tym dla nas lepiej.

- Jakim cudem lepiej? - zdziwił się Malicki. - Przecież dogonią... - Wieko odskoczyło. - O Jezu!!! - jęknął na widok szarego żeliwnego czerepu.

- Stary marynarski wyga jesteście, a nie widzieliście miny morskiej?

- Takiej bestii w życiu, panie poruczniku! Toż ona i na pancernik by starczyła.

309

- Mniejszych na składzie nie mieli. Macie tu zapalniki... - Chęciński sięgnął za pazuchę i wyjął pakunek zawinięty w naoliwione płótno. - Ja będę odbezpieczał, wy wkręcajcie je w te otwory...

- Za pozwoleniem, a pan porucznik robił to już kiedy?

- Nie, Malicki, na uniwersytecie nie było okazji takich figli robić, ale bez obaw, dokładnie przeczytałem instrukcję. - Na dowód wyjął z kieszeni pomiętą ulotkę.

- Chrystusie, pomiłuj!

- Przestańcie joczyć jak stara baba! Wkręcajcie! Delikatnie, ale szybko!

- Tak jest! - Marynarze pobledli i zaciskając zęby, zaczęli uzbrajać minę.

- Zaraz ją wyrzucimy za rufę i wszystko będzie dobrze. Wkręcajcie spokojnie, nic na siłę...

W maszynowni „Szantarska” Wiesiek od stóp do głów pokryty czarnym błotem z węglowego miazgu i potu nie bał się już niczego.

- Heeej siup! - chwycił czwarty gąsior z terpentyną.

- Nie teraz! - Duży Leon gwałtownie przytrzymał go za ramię. - Jak teraz wrzucisz, kocioł eksploduje!

- Skąd szef wie?! - spytał zaskoczony pomocnik.

- Słyszę śpiew metalu. Jest już dokładnie na granicy wytrzymałości. Prawie, prawie...

Obaj zamarli w bezruchu, zasłuchani w odgłosy wydawane przez pracującą maszynę. Wśród miarowego sapania tłoków i łoskotu przekładni wprawne ucho potrafiło wyłowić delikatny, przenikliwie wysoki jęk naprężonych do ostateczności nitów.

- Czekaj... czekaj... czekaj... - szeptał Duży Leon zbielejącymi wargami.

Cichy syreni śpiew metalu zaczął się przekształcać w demoniczny chichot.

310

Na barce po uzbrojeniu miny jeden z marynarzy wyrzygał się ze zdenerwowania między skrzynki z amunicją. Chęciński przyglądał mu się ze zdumieniem, nie mogąc nadziwić się sobie, że on sam nie ma już na to najmniejszej ochoty. Czuł tylko jakąś drapieżną ekscytację.

- Zobaczą i ominą... - mruknął bosman Malicki.

- Nie zdołają. Przy tej prędkości nie manewruje się łatwo, zgadza się? Zresztą to nie wszystko... - porucznik machnął chustką po raz trzeci.

Cekaemiści na rufie „Szantarska” odsłoniли karabin maszynowy. Dwie sekundy później długa seria z maxima siekła po mostku kapitańskim i pokładzie „Zorzy”, wywołując tam dziki popłoch. Widać było, że ludzie kryją się, gdzie popadnie.

- Teraz! - krzyknął Chęciński, odrzucając brezent znad głów. - Teraz nikt z nich nie patrzy na rękę! Podnosimy ją i wyrzucamy! Szybko! Już!

Cztery pary rąk chwyciły minę od spodu.

- Na trzy! Raz, dwa...

Maxim grzechotał bez chwili przerwy.

- Ciskaj, Wiesiu, teraz! - W maszynowni Duży Leon otworzył palenisko i sypnął nadmanganianu. - Już odpuściło!

- Jest szef... pewien? - pomocnik szczękał zębami. - A jak... ja...

- Nie myśl! Wrzucaj!

- Trzy!

Unieśli minę nad krawędź burty. Tuż nad nimi świszcząły pociski cekaemu.

- Nie za wysoko! - krzyknął Chęciński. - Bo jaka kula zaczepi...

„Szantarsk” bryzgnął ogniem z komina i szarpnął ostro barka-li. Jeden z marynarzy trzymających minę stracił równowagę. Po-

311

zostali razem z najeżoną zapalnikami kulą polecieeli na rufową burtę barki.

- Róóówno!!! - wyrzeszczał Chęciński, chrypnąc w połowie krzyku. - W nurt!

Mina wyleciała za burtę i znikła pod wodą. Wypłynęła kilka metrów dalej, po czym pochwycił ją prąd rzeki i poniósł ku rozpędzonej „Zorzy”. Sekundę później w cekaemie na „Szantarsku” skończyła się taśma.

- Zauważą... nie zauważą... zauważą... nie zauważą... - mruczał Chęciński, nie odrywając wzroku od tańczącej w wirach miny.

- Co jest? - Duży Leon pociągnął nosem. - Co tak czuć? Pomocnik przestąpił z nogi na nogę.

-Ja... się zesrałem, szefie... - powiedział z żalną miną.

- Spokojnie, Wiesiu - maszynista poklepał go po ramieniu. -Nie ma takiego odważnego, co by teraz miał prawo się z ciebie śmiać. Za króla to i honor się zesrać.

- Ale nie będziemy już rzucać terpentyny i... tego tam proszku... - pomocnik dygotał na całym ciele. - Nie będziemy już, prawda?

- Nie, Wiesiu, nie będziemy - powiedział Duży Leon najłagodniej, jak umiał.

Cekaemiści założyli drugą taśmę i otworzyli ogień w chwili, gdy na pokładzie „Zorzy” pojawili się ludzie z karabinami. Kilku padło, lecz pozostali zajęli stanowiska na dziobie ścigającego statku. Pierwsze zaskoczenie już minęło.

-Jak spostrzegą minę, zaczną do niej strzelać... - myślał głośno Chęciński.

- Żaden nie patrzy w wodę - odparł bosman, nie spuszczać z oczu rosyjskiego parowca. - Patrzą na cekaem. Jest dobrze, panie poruczniku. Jest dobrze...

Z pokładu „Zorzy” padły pierwsze strzały.

312

- Przystanie być dobrze, jak trafią w ekrazyt... - burknął któryś z marynarzy.

Cekaem na „Szantarsku" znów zagrał długą serią.

- Co oni robią?! - zdenerwował się Chęciński, oglądając na statek. - Przecież kazałem oszczędzać amunicję na minę, gdyby miała ich ominąć. Jeśli wybuchnie blisko, może uszkodzi im choć burtę...

- Spokojnie, panie poruczniku, jest dobrze - powtórzył swoje Malicki. W głosie bosmana był już tylko całkowity spokój.

- Cholera! Gdzie ta mina?! Utopiła się czy jak?! - teraz Chęcińskiemu puściły nerwy. - Nie widzę jej! Cholera, nie widzę!

- Jest dobrze - przemawiał Duży Leon do pomocnika jak do dziecka. - Wszystko będzie dobrze, Wiesiu. Zaraz zwolnimy... dopłyniemy... zakurzymy...

Manometr nie nadawał się już do niczego, zupełnie nie było widać skali. W jego mechanizmie musiało coś pęknąć i szybka całkowicie zaparowała od środka.

- A ja ją widzę! - oznajmił wesoło Malicki. - Już ich nie minie... Niżej głowy!

W ciemnej toni Sungari tuż przy dziobie „Zorzy" zabłysło podwodne słońce.

Kula ognia rozrosła się momentalnie, odpychając od siebie rzekę i wyrzucając w górę strzępy blach oraz bezradne ludzkie figurki. Dziób parowca, a z nim cała przednia połowa kadłuba, aż do kół napędowych na śródookręciu, po prostu znikła między jednym a drugim mgnieniem oka. Fala wybuchu odepchnęła wodę na wszystkie strony, tworząc w powierzchni rzeki gigantyczny dół. „Zorza" siłą bezwładu, ze wciąż sprawną maszyną, bezradnie młóćąc łopatkami, wpłynęła w rozwartą wodną otchłań, ześlizgując się po jej stoku, jak dziecinna zabawka zrobiła fikołka przez komin i wywróciła się dnem do góry.

313

Chwilę potem Sungari zamknęła się nad pogruchotanym statkiem, ale zanim rozkołysana powierzchnia rzeki zdołała się choć trochę uspokoić, rozerwał ją gejzer pary z wybuchającego kotła.

- Chińczycy wierzą - powiedział półgłosem bosman - że każda rzeka ma swojego boga, którego trzeba zjednać lub odstraszyć, jeśli chce się po niej bezpiecznie pływać. W pierwszym przypadku składają bogu rzeki ofiarę, pozwalając tonącym zginąć, w drugim należy wrzucić do rzeki żelazo, które ponoć odstrasza demony. Myśmy zrobili jedno i drugie naraz...

Nigdzie nie było widać ocalałych rozbitków ani żadnych unoszących się na wodzie szczątków „Zorzy". Pościg zamienił się w tuman widmowej mgły, rozpływającej się z wolna po powierzchni rzeki i znikającej wśród przybrzeżnych chaszczy.

Chęciński kazał swoim ludziom wracać na statek. „Szantarsk" płynął znów z normalną prędkością. Na pokładzie przywitał ich Lao Ping, któremu żar buchającej z komina płonącej terpentyny opalił brwi i poskręcał włosy tak, że wyglądał niemal jak ambasador Caj. Mały Leon nie ucierpiał od ognia, bo nie rozplatał warkocza, a także w porę włożył kapelusz ze słomy ryżowej, lecz jak się okazało, to na nim skupili ogień strzelcy z „Zorzy" i jedna z kul drasnęła go w udo. Mimo to wciąż stał pewnie przy sterze.

- Przepraszam, powinienem być pana uprzedzić - powiedział zmieszany Chęciński do osmalonego posła.

- Nic nie szkodzi. - Chińczyk włożył prawą pięść w lewą dłoń i pokłonił się porucznikowi. - To ja dziękuję za niezwykle przy- jemne i silne emocje.

Z wejścia do pulsującej gorącem maszynowni wynurzył się błyszczący od potu Duży Leon.

- Potrzebuję nowego pomocnika - oznajmił.

- A co się stało dotychczasowemu? - spytał Chęciński.

- Nerwy się biedakowi całkiem rozterlikały - odparł maszynista, ocierając pot z czoła. - Tak jakby... hm... znów zamienił się w małe dziecko. , \*

314

- Ja pomogę - powiedział bosman Malicki i zszedł na dół. Porucznik zwrócił się do Lao Pinga.

- Myślę, że kiedy Rosjanie się zorientują, co tu zaszło, będziemy już za Kirynem.

Królewski poseł przytaknął skinieniem głowy, po czym dodał:

- Ale dobrze nie stawać w żaden port.

- Nie ma takiej potrzeby, panie Lao. W San Sing zabraliśmy dość węgla, by starczyło na całą drogę - poinformował Chęciński.

- Podziękujmy zatem Panu Nieba Jezusowi - rzekł z wielką powagą Chińczyk. - Modlimy za jego wielką łaską dla nas i za dusze pogrzebane w tej rzece...

Kiryn minęli bez przeszkód drugiej nocy po zatopieniu „Zorzy”. Lądowa eskorta transportu broni zadbała, aby nie musieli przystawać tu nawet na symboliczną kontrolę. Przekupiony mandaryn dopilnował też, by rosyjskie depesze z pytaniami o los obu parowców dotarły do rąk mandżurskiego gubernatora możliwie najpóźniej, a potem by wyjaśnianie sprawy maksymalnie przewlec.

Zanim zniecierpliwieni rosyjscy wysłannicy dotarli osobiście z Harbinu do pałacu kiryńskiego gubernatora i zdołali się czegokolwiek dowiedzieć, „Szantarsk” dawno osiągnął Cziń-czań, gdzie kapitan Jaskólski zarządził mobilizację wszystkich swoich ludzi. Zebrano też miejscowych poszukiwaczy złota, a z Het-ala ściągnięto szkolonych tam rekrutów, którzy mieli spełnić rolę tragarzy. Przez dwa dni rozładowywano barki, demontowano działa, szykowano ręczne nosidła i dorabiano ze sznurów uchwyty do skrzyń z pociskami.

Trzeciego dnia czterystu kulisów, objuczonych ciężką bronią i amunicją oraz eskortowanych przez batalion strzelców górskich, ruszyło w długą, mozolną drogę ku przetęczom Czang-bo. Potem wędrowali bezdrożami płaskowyżu Kema, gdzie zastała ich jesień oraz pierwsze śniegi. Nie szli prostą drogą do Het-ala, żeby przypadkiem nie ściągnąć tam szpiegów. Tak licz-

315



ną karawanę zbyt łatwo było śledzić. Dla bezpieczeństwa kluczyli zatem po pustkowiach Kemy, zakładając tam pozorne bazy i magazyny, a przy tym rozpraszając się stopniowo i podążając ku dolinie Jalu małymi grupami i różnymi drogami. Chun-chuzi Hajdengiego zachowali lojalność i nie przeszkadzali, pilnie strzegąc przed obcymi terenów nad górną Sungari, ale mimo to transport artylerii przez Góry Wschodniomandzurskie trwał ponad cztery miesiące.

Tymczasem po stronie rosyjskiej sprawa wyłudzonej w Chaba-rowsku broni rozmywała się w dziesiątkach domysłów i urzędowych pism wymienianych na różnych szczeblach carsko-dajcyń-skiej biurokracji. Parowiec „Szantarsk” oraz puste barki odnaleziono w Kirynie pod koniec września. Załoga była już jednak nowa, wynajęta przez miejscowego armatora i nie wiedziała nic o poprzednim rejsie. Poprzedni armator z San Sing domagał się od rosyjskich władz wojskowych odszkodowania za rekwizycję statku. W jednej z rybackich wiosek nad Sungari, pod miastem Bodune, znaleziono poparzonego marynarza cudem ocalałego z katastrofy „Zorzy”. Z jego zeznań wynikało, że na parowcu wybuchł kocioł i najprawdopodobniej był to skutek zbyt wytężonego pościgu połączonego z zaniedbaniem zasad bezpiecznej eksploatacji maszyny parowej. Podobno miała też miejsce strzelanina, ale rozbitek skutkiem przeżytego szoku nie pamiętał szczegółów, nie był pewien, czy na pewno ani kto pierwszy otworzył ogień. Z kolei władze chińskie informowały, że problem zaginionych rosyjskich armat leży im na sercu ogromnie, że badają rzecz z najwyższą wnikliwością - i na tym się kończyło. Wreszcie zdecydowano powiadomić o sprawie Petersburg, prosząc o instrukcje, i wtedy śledztwo ucięła depesza z Ministerstwa Wojny, w której potwierdzono specjalne pełnomocnictwa Sergiusza La-wendowskiego, nakazano zostawić mu wolną rękę i nie przeszkadzać. Wówczas wszystkie badające sprawę instancje doszły do zgodnego wniosku, że wszelkie niejasności może wyjaśnić tylko

316

starszy lejtnant Lawendowski i należy zaczekać, aż oficer się odnajdzie.

W połowie grudnia do królewskiego pałacu w trzewiach góry Pingding przekazano dobrą wiadomość. Wszystkie działa, amunicja i karabiny maszynowe dotarły do Het-ala!

Przed Bożym Narodzeniem 1899 roku na dwór Władysława V przyszła także wiadomość zła, choć zrazu nie umiano jeszcze ocenić, jak bardzo jest zła. Otóż generał Juan Szy-kaj został wysłany na półwysep Szantung w celu stłumienia powstania bokserów. Ci ostatni, pod wpływem doniesień o świeżych klęskach Anglików w wojnie z małym narodem burskim, przestali miarkować swoje poczynania i w dwójnasób zaczęli nękać niemiecką strefę ekonomiczną oraz chrześcijańskie misje. Ataki na te ostatnie zdarzały się, mimo że jego królewska wysokość Hung Siao-Tien ponownie stanowczo tego zakazał. Widać było wyraźnie, że przywódcy I-He-ćiuana, z którymi prowadzono negocjacje w Yidzu, słabo panują nad całością żywiołowego ruchu. Znacznie większy posłuch zyskiwało rzucone przez kogoś hasło, że skoro milion Burów mogło powstrzymać całe brytyjskie imperium, to czterysta milionów Chińczyków z łatwością pokona zarówno mandzurskich najeźdźców, jak i wszystkie wspierające Dajcynów potęgi Zachodu. Entuzjazm przeważał nad rozsądkiem, przeradzając się w zaślepienie. Powstanie wzmogło się przedwcześnie, zmuszając władze w Pekinie do stanowczej reakcji, na dodatek w najmniej korzystnej dla I-He-ćiuana porze roku, gdy na śniegu zostawały ślady partyzanckich drużyn, a Ukryte Królestwo wciąż mobilizowało siły i szkoliło żołnierzy.

Po zdobyciu nowoczesnej artylerii kolejnym niezbędnym przedsięwzięciem stało się zgromadzenie dla armii żywności. Ryż, suszone ryby, oliwę i proso sprowadzano nie mniej mozolnie niż działa, okrężną drogą przez port Kiongdzu. Krótszą i wygodniejszą trasę przez Yidzu odradził książę Om Gon, by nie nadwe-

318

rażać cierpliwości Japończyków oraz zachować ten szlak na cięższe czasy, co było bez wątpienia rozsądną radą.

Co gorsza, z wieści docierających na górę Pingding wynikało, że bokserzy nie dość ostrożnie obchodzili się z głową Juan Czzun--ju, a nawet posunęli się do publicznego zaprezentowania jej w kilku wioskach, skutkiem czego wieść o profanowaniu szczątków krewnego dotarła do generała Juan Szy-kaja. Od tej chwili walka z I-He-ćiuan stała się dla niego kwestią osobistej zemsty i honoru. Jeżeli chciał zachować twarz, nie miał innego wyjścia, jak odzyskać głowę i pogrzebać całe ciało członka swojego rodu. Cesarzowa Wdowa nie robiła przeszkód, kiedy generał zażądał wysłania przeciw bokserom najlepszych oddziałów pekińskiej gwardii. Niebawem kilkunastotysięczny korpus wojsk rządowych przekroczył Huang-ho w rejonie miasta Tsinan i na początek wyparł I-He-ćiuan ze stoków świętej góry Tai o trzech wierzchołkach. Zaraz potem komunikacja zaczęła się rwać. Bokserzy przerwali wszystkie połączenia telegraficzne i Chiny znów stały się krajem ogromnym, w którym czas przekazywania wiadomości z godzin i dni wydłużył się raptownie do całych tygodni i miesięcy. Raporty wywiadowcze od Ałbazińca zupełnie przestały docierać na drugi koniec Mandżurii.

Na dworze Władysława V w pierwszej chwili nie przejmowano się tym za bardzo. Tradycyjnie już podczas zimy król nie udzielał oficjalnych audiencji i nie przyjmowano transportów z zaopatrzeniem dla pałacu, poprzestając na zgromadzonych zapasach, by nie zostawiać zbędnych śladów. Dwór zamykał się w swoim gronie, ograniczając kontakty ze światem do minimum. Rozkazy były wydane, lokalni dowódcy i urzędnicy królewscy robili, co do nich należało, więc nie było powodów do zmartwień. Tak się przynajmniej wydawało. Zgodnie z planem powstanie w Szantungu też powinno było przygasnąć i tlić się do wiosny. Któż mógł przypuszczać, że dowódcy I-He-ćiuan okażą na tyle szaleni, aby już teraz, nie czekając na posiłki, otwarcie stanąć do walki z armią Juan Szy-

319

-kaja? Jak się potem okazało, w przyjęciu tej strategii duży udział mieli taoistyczni mnisi, którzy wpierając duchowo bokserów, z niezachwianym przekonaniem obiecywali im nieśmiertelność w walce. Stanowczo na wyrost, ale jak to w takich prorocत्वach bywa, po wszystkim nie było komu składać reklamacji.

Nadchodzący rok był rokiem szczura, zwierzęcia, które pierwsze miejsce w chińskim zodiaku zawdzięczało swej przebiegłości. Szczur skrycie wdrapał się na grzbiet wołu, a w decydującej chwili, gdy bogowie ustalali kolejność znaków i jako pierwszego wezwali wołu, szczur niespodzianie zeskoczył mu z głowy i stanął przed nim. Nikt w Ukrytym Królestwie nie przypuszczał, że rola zodiakalnego szczura przypadnie generałowi z Pekinu...

Królewski dwór na górze Pingding zajmował się zatem sobą. Z końcem jesieni rozgorzał tam namiętny spór o godła i symbole. Konkretnie poszło o to, co żołnierze Drugiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów powinni nosić na czapkach. Grupa towiańczyków skupionych wokół szambelana Jana uparła się przy

liczbie 44. Caj Cung-jen i pozostali tajpingowie chcieli, aby był to królewski herb Ryba i Smok. Obie strony, zwykle skłonne do szukania kompromisów, tym razem się zawzięły i jeśli ktoś chciał szukać garnka, to bodaj tylko po to, żeby ugotować w nim oponenta.

Cztery lata wcześniej, kiedy z luźnych grup poszukiwaczy złota i myśliwych zaczęto tworzyć regularną armię Ukrytego Królestwa, żołnierze dostali mundury, na których nie było żadnych innych znaków prócz stopni wojskowych. Poprzestano wtedy na czytelnej dla obu stron symbolice Dwóch Sztandarów - Bursztynowego i Niebiańskiego. Ten drugi przedstawiał Rybę i Smoka w równobocznym czerwonym trójkącie, oznaczającym Trójkę Świętą, na błękitnym tle. Wojsko składające się w zdecydowanej większości z Polaków używało sztandaru Bursztynowego. Z kolei tajpingowie, stanowiący większość na królewskim dworze, podczas uroczystości religijnych według swojego obrządku, a także przy ceremoniach świeckich z udziałem króla posługiwali się sztandarem

320

Niebiańskim. Ustalono, że oba sztandary mają jednakową rangę honorową, ale zwykle używano ich oddzielnie.

Teraz jednak, kiedy Druga Rzeczpospolita Obojga Narodów miała objawić się światu jako nowe zjednoczone państwo, a w Het-ala sformowano mieszany oddział kosynierów, należało dać im jednolite umundurowanie oraz znaki łączące symbolikę obu narodów. Ponadto godło Ukrytego Królestwa powinno budzić respekt zarówno na Wschodzie, jak i Zachodzie. Pod tym względem Ryba, z całym szacunkiem dla głębi i uniwersalności tego symbolu, była jednak zbyt dwuznaczna i mało groźna, a żołnierze z takim godłem na czapkach łatwo mogli się narazić na drwiny wrogów. Takie było stanowisko towiańczyków. Frakcja Caj Cung-jena uważała pryncypialnie, że zdanie wrogów się nie liczy, a dwie arabskie cyfry to nie jest dla Chińczyka godło godne szacunku. Towiańczycy replikowali, że będzie to widomy znak dla Europy i świata, iż przepowiednia proroka Andrzeja właśnie się urzeczywistnia, a takiej okazji bez boskiej obrazę zaprzepaścić nie wolno. Stąd biegła już prosta droga do dyskusji, czyje prorocтва ważniejsze: Towiańskiego czy Hung Śiou-ćyuana? Po miesiącu takich debat na dworze zapachniało religijnym rozłamem. Zgoda panowała tylko podczas odrzucania propozycji kompromisowych, jak choćby takiej, by wspólnym znakiem ustanowić hybrydę, pół orła, pół tygrysa, bo w praktyce wychodził z tego ni pies, ni wydra.

Władysław V przysłuchiwał się dyskusjom swych uczonych doradców z kamienną twarzą i żadnym słowem ani gestem nie dawał do zrozumienia, który projekt byłby skłonny poprzeć. Do czasu. Królewska cierpliwość wyczerpała się kilka dni przed terminem wyznaczonym przez rzemieślników z San Sing jako absolutnie ostateczny, jeżeli mają zdążyć z wykonaniem oznak na wiosnę. Jego wysokość niespodziewanie uciął jałową dyskusję i oświadczył, że godłem królestwa będzie Orzeł w Koronie siedzący na Skale. W takim ujęciu stare godło Polaków stawało się zrozumiałym dla Chińczyków symbolem samotnej i dumnej walki. Aby zaś zazna-

321

czyć, że skała-opoka symbolizuje Pana Nieba Jezusa, należy jeszcze umieścić na niej wizerunek Ryby jakby wykuty w kamieniu. Nikt nie ośmielił się protestować, towiańczycy zamilkli zawstydzeni, że sami na to nie wpadli, i ostatecznie taki wzór zamówiono w San Sing. Po wszystkim pułkownik

Lawendowski długo nie krył satysfakcji z tego, że król nie dał się zwariować i że ta cecha charakteru, jak podkreślał stary oficer, przed wszystkimi innymi łaskami Boga i ludzi predestynowała jego wysokość Hung Siao-Tie-na na władcę Wschodu i Zachodu.

Reszta dworskiego towarzystwa, mniej skłonna do mistyczno-- symbolicznych dywagacji, przygotowywała się do europejskiego karnawału oraz chińskiego Nowego Roku, które wypadły w tym samym czasie. Składano też uroczyste wizyty wodzom tunguskich klanów żyjących w głębi Małego Chinganu, aby podtrzymać przyjazne stosunki. Odbywały się uczty i wspólne polowania, jak na przykład polowanie na dziki nad brzegami górskiego jeziora Tuń--wouzi...

Sergiusz postawił prawą nogę na kamieniu i przeniósł na nią cały ciężar ciała, wążąc w rękę ciężki oszczep. Wciąż odczuwał lekką obawę, ale wszystkie mięśnie zareagowały jak należy. Wróciła mu już dawna siła i sprężystość ruchów. Teraz o tym, że jest całkiem zdrowy, musiał jedynie przekonać samego siebie, przełamując mimowolny lęk i zbyteczną ostrożność. A przy okazji, co tu dużo mówić, popisał się przed panną Patrycją...

Oszczepnictwo ćwiczył trochę na ostatnim roku szkoły oficerskiej. Od kiedy wznowiono greckie igrzyska olimpijskie, w dobrym tonie było uprawiać jakiś antyczny sport, lecz akurat nie boks, który zbyt kojarzył się z Anglią. Sergiusz wybrał oszczep, po trosze dlatego, że było to w nowoczesnej armii takie ekscentryczne. Teraz okazało się, że jest to doskonały sposób rehabilitacji po częściowym paraliżu, którego doznał. Wielkoduszność i przyjaźń Patrycji sprawiły, że starszy lejtnant otrząsnął się z abne-

322

gacji i energicznie zabrał do ćwiczeń, w ciągu jesieni odzyskując zdrowie, a nawet poprawiając wcześniejszą kondycję. Tutaj, nad Tuń-wouzi, koniec miał zwieńczyć dzieło. Demonstracyjnie odmówił, gdy zaproponowano mu berdanę, zamiast strzelby wybierając oszczep. Teraz wszystkie oczy wpatrzone były w niego. Zapewne postawiono już zakłady o to, czym się skończy ten popis.

Stado dzików drepczących po świeżym śniegu przesunęło się między sosnami dwadzieścia kroków dalej. Sergiusz wpatrywał się w największego odyńca. Trafienie musiało być precyzyjne, tuż za łopatkę. Jeśli chybi lub tylko zrani bestię, kompromitacja pewna! Przyczajeni za Sergiuszem myśliwi z bronią palną z pewnością dobiliby dziką, zanim zwierzę zrobiłoby oficerowi poważniejszą krzywdę, ale z równą pewnością nie odmówiliby sobie przyjemności popatrzenia na paniczną rejteradę starszego lejtnanta, a może jeszcze poczekaliby, aż wlezie na drzewo. No a razem z nimi patrzyłaby Patrycja... Sergiusz odsunął od siebie myśl, do jakiego stopnia stracił głowę dla tej dziewczyny. Skupił się na dziku. Musiał przewidzieć jego ruch co najmniej na dwie sekundy naprzód i nie spłoszyć go, biorąc zamach. Najlepiej więc rzucić oszczep zza drzewa, w chwili gdy odyniec będzie zajęty ryciem pod śniegiem. Jeśli coś go zaniepokoi, uniesie łeb i stanie nieruchomo na tę jedną, dwie sekundy potrzebne, by oszczep doleciał do celu.

Na razie jednak albo dzik robił, co trzeba, albo Sergiusz miał dobrą pozycję. Od kwadransa człowiek i zwierzę rozgrywali między sobą wśród drzew precyzyjną grę podchodów na miarę partii szachów. I nagle wszystkie potrzebne elementy układanki ułożyły się w całość!

Ręka z oszczepem wyskoczyła do przodu popchnięta dodatkowym skrętem całego tułowia. Dzik uniósł łeb, by zobaczyć, co to leci ku niemu, i zanim zobaczył, poczuł... W bok wbiło mu się całe ostrze oszczepu i jeszcze kilkanaście centymetrów drzewca.

Rozległ się wściekły, przeciągły kwik. Odyniec wstrząsnął się z furją, usiłując się pozbyć tkwiącej w boku przyczyny cierpienia,

323

a gdy to nie poskutkowało, rozjuszona bestia runęła do szarży na sprawcę swego bólu i gniewu.

Sergiusz, zamiast uciekać, wyszedł zza drzewa na otwartą przestrzeń i zaczął iść naprzeciw szarżującej bestii. Dzik na ten widok przyspieszył i pognął na oślep. Nie umiał przewidzieć, że z wystającym z ciała oszczepem nie zmieści się pomiędzy drzewami dzielącymi go od człowieka. Z impetem uderzył o pień drzewcem, które w tym momencie zadziało jak dźwignia, dokonując w jego ciele ostatecznych spustoszeń, wyłamując żebra i rozrywając przebite serce. Odyniec runął w śnieg i zakręcił się jak bąk, miotając się w szaleńczych konwulsjach.

Oszczepnik nie czekał na koniec agonii. Dосkoczył do dzika, chwycił i dopchnął oszczep, przybijając zwierzę do zmarzniętej ziemi. Dodatkowo przekręcił ostrze w ranie, aż krew chlusnęła mu na cholewy butów. Kiedy nadbiegła reszta towarzystwa, dzik podrygiwał już nieznacznie w ostatnich drgawkach.

Patrycja wyjęła dłonie z sobolowej mufki i pierwsza zaczęła bić brawo. Potem przyłączył się pułkownik Lawendowski i pozostali Polacy. Towarzyszący im Tunguzi z uznaniem kręcili głowami.

Rozgrzany walką Sergiusz ruszył prosto do Patrycji. Miał szczerzy zamiar wygłosić jakiś dworny rycersko-romantyczny komentarz, na przykład prosząc, by zechciała przyjąć na pamiątkę szable bestii, ale gdy spojrzał na Irlandkę, stwierdził, że najważniejszy moment tego polowania nadchodzi dopiero teraz. Zobaczył w jej oczach taki zachwyt, podziw i przyzwolenie, że po prostu z marszu wziął ją w ramiona i pocałował w usta.

Oddała pocałunek. Tak, co do tego nie było wątpliwości. Jej wargi szukały jego warg, a ręce mocno objęły go za szyję. Pytanie tylko, dlaczego chwilę później odskoczyli od siebie jak oparzeni, chcąc przeproszać się nawzajem? Od razu jednak zamilkli, urywając słowa w połowie.

Świadkowie zachowali dyskrecję, udając, że nic nie widzieli. Byli myśliwymi i żołnierzami, więc rozumieli doskonale, jakie emocje

324

wyzwała świeżo rozlana krew. Tylko pułkownik Lawendowski uśmiechnął się cierpko i jedynie Patrycja to zauważyła. Dlaczego? Czyżby szukała u Stanisława aprobaty lub potępienia? Czemu właśnie u niego? - zadała sobie pytanie, odwracając wzrok.

Ktoś głośno pochwalił rzut oszczepem i wszyscy skwapliwie poszli za tym przykładem, prześcigając się w gratulacjach i klepaniu po ramionach. Ktoś inny podał Sergiuszowi manierkę z wódką, a on pociągnął duży łyk, wracając do rzeczywistości. Zajście między nim a Patrycja wydarzyło się jakby poza czasem i przestrzenią, było jak krótkie spięcie, błysk rozładowanej butelki lejdejskiej, po którym zostaje oślepiający powidok niemożliwy do wymazania spod powiek. I z powierzchni warg...

Patrycja zaś chciała uciekać, tylko zupełnie nie wiedziała przed czym lub przed kim. Przed sobą? Przed pułkownikiem Lawen-dowskim? Przed Sergiuszem? Czy może przed Lien?

Tego wieczora podczas uczyty u goszczącego ich kacyka Irland-ka nie odezwała się do Sergiusza ani słowem, a on nie próbował rozmawiać z nią. Jakby po chwilowym przemożnym zbliżeniu zapanowało między nimi równie nieodparte odpychanie. Jednak już następnego ranka, kiedy ruszyli w drogę powrotną do pałacu, Patrycja sama zaprosiła starszego lejtnanta do swoich sań, prosząc, by zechciał dotrzymać jej towarzystwa. Była równie zdziwiona, jak rozbawiona, kiedy chwilę potem dosiadł się do nich jeszcze pułkownik Stanisław.

Lawendowscy skrzyżowali spojrzenia zimne jak ostrza rapierów. Nie ulegało wątpliwości, że obaj panowie mają zamiar o nią rywalizować, i Patrycji pozostawała już tylko nadzieja, że jej rumieniec zostanie zapisany na karb panującego mrozu. Postanowiła zacząć konwersację od możliwie neutralnego tematu.

- Zawsze unikał pan odpowiedzi - zwróciła się do Sergiusza -kiedy pytałam, co sądzi pan o poglądach pana Brzozowskiego.

Filozofa obecnie nie było na dworze, we wrześniu bowiem wrócił przez Harbin do Europy, ale miał znów pojawić się na

325

wiosnę, by towarzyszyć wyruszającej w pole armii. Wyprosił, a raczej wymolestował na to królewską zgodę, twierdząc, że koniecznie musi być świadkiem tak śmiałego aktu twórczości dziejowej.

- Bo znowu zarzuciłaby mi pani niedostatek romantyzmu, delikatnie mówiąc - odparł Sergiusz, zerkając koso na stryja. - Całkiem nieźle tu sobie życie, ale zamiast się tym cieszyć, uparliście się skoczyć głową w przepaść. I po co? Dla wielkich słów tego egzaltowanego młokosa? Żeby potem on miał o czym dysertację napisać?

- Może powinniśmy czekać, aż znajdzie nas kolejny młody zdolny oficer? - zapytał sarkastycznie Stanisław. - Żeby ten dla odmiany mógł sobie z naszych głów zbudować kolejny szczebel kariery? Już doprawdy lepsza dysertacja filozofa! Jesteśmy wolnymi ludźmi i takimi chcemy pozostać. Lecz wiemy, że depreczący człowieczeństwo oprawcy tego świata, carat i Dajcynowie, nigdy na to nie pozwolą i nie dadzą nam żyć. Dlatego nie możemy czekać, aż tyrani nas znajdą, tylko trzeba chwycić ich za gardła, kiedy nadarza się okazja.

- Ależ wy oszukujecie siebie - odpowiedział Sergiusz, patrząc wyłącznie na Patrycję. - Przyznaję, że znaleźliście dobry czas i miejsce, szczerze podziwiam wasz geniusz organizacyjny, ale to jedynie dziejowa osobliwość, wyjątek i mała chwila, na którą realna historia spuściła was z oczu. Nie, doprawdy nie mogę zrozumieć, czemu tak samobójczo chcecie tej historii o sobie przypomnieć.

- Chwila, mówi pan... - stwierdziła w zadumie Patrycja. - Pan Brzozowski akurat wiele mówił na temat znaczenia chwil. Że są jak ruchomy piasek, na którym stawiamy gmach wieczności, że każda chwila naszego życia rodzi skutki rozrastające się w nieskończoność. Chyba warto żyć chwilą i dla chwili, szczególnie takiej, prawda?

- A co z przyszłością, panno Patrycjo?

- Czy pan zna przyszłość, panie Sergiuszu?

- Obawiam się, że waszą znam nader dokładnie. I powiem szczerze, że chciałbym przed tą przyszłością panią uratować.

- Mnie już uratował pański stryj, panie Sergiuszu. Mam tego żałować?

- Tego łajdaka, który tak z panią postąpił, bez wahania kazałbym moim Kozakom zasieć nahajami! Lecz nie odbiegajmy od tematu. Uważam, że powinna się pani znaleźć w bezpiecznym miejscu, póki nie jest za późno.

- Ja i Lien postanowiliśmy, że będziemy pomagać rannym jako siostry miłosierdzia. Chce pan nas od tego odwieść?

- Tak, panno Patrycjo. Ponieważ to wasze, za przeproszeniem „państwo”, jest tworem nielegalnym z punktu widzenia prawa narodów. Nie podlegacie ochronie międzynarodowych konwencji i nawet nie chcę myśleć, jaki los może panie spotkać...

- Pan się boi, panie Sergiuszu?

- Tylko o panią. Pani nie zasługuje, by ginąć w tym szaleństwie.

- A jeśli nam się uda?

- Nie uda się wam. Nie może. Proszę to wreszcie zrozumieć.

- Dlaczego?

- Bo jesteście za słabi! - wybuchnął Sergiusz. - Bo sytuacja was przerośnie. Bo... nie wiem dokładnie co, ale realne sprawy nigdy nie idą zgodnie z przewidywaniami!

- Pan Brzozowski mówi, że przyszłości się nie przewiduje, tylko ją tworzy. - Patrycja uśmiechnęła się promiennie. - To właśnie zamierzamy, panie Sergiuszu. Stworzyć przyszłość dlatego, że jej nie mamy. Pragniemy dokonać tego dla siebie i dla świata. Pan zaś jest więźniem przeszłości, panie Sergiuszu. Skoro postanowił pan mówić szczerze, proszę też odpowiedzieć szczerze: czy nam pan nie zazdrości?

- Tej romantycznej awantury? Tak, zazdrozczę, panno Patrycjo, i co z tego? Tak samo byłbym skłonny czasem zazdrościć szczęśliwemu wariatowi, którego wszystko cieszy i który śmieje się do

wszystkiego wokół. Ale zająć jego miejsce to już przesada! Podobnie jak ginąć dla romantycznej przygody, jakiejś mrzonki, utopii, arkadii czy jak to zwać, nie, dziękuję! Wolę stąpać po twardym gruncie, choćby i ciernistym, ale prawdziwym. Tam jest moje miejsce!

- A jeśli nie? - rzucił od niechcienia Stanisław. - A jeśli ty nie masz już dokąd wracać?

- Może stryj mówić jaśniej?

- Miałeś specjalne pełnomocnictwa...

- Miałem, ale je zniszczyłem, żeby nie wpadły w wasze ręce.

- Jesteś pewien, drogi bratanku, że zniszczyłeś?

- Do diabła! Co stryj sugeruje?! Pamiętam, że... - Sergiusz zamarł jak skamieniały. - Pamiętam, że... - powtórzył, myśląc intensywnie - że... zamierzałem je zniszczyć i... wtedy wybuchł ten granat...

- Tak bardzo chciałeś je zniszczyć, aż wmówiłeś sobie, że to zrobisz. Nie mieliśmy powodu wyprowadzać cię z błędu. Tymczasem te papiery bardzo nam się przydały. Zwłaszcza dokument z carskim podpisem.

- Coście z nim zrobili?! - Sergiusz z trudem panował nad sobą.

- Zaopatrzyliśmy się dzięki niemu w nowoczesną artylerię. Na twoje konto, drogi bratanku.

Starszy lejtnant Lawendowski zamrugał, jakby dostał w czoło obuchem.

- Zrobiliście ze mnie zdrajcę?

- Raczej aferzystę, jeśli mam być szczerzy. Porucznik Chęciński tak przekonująco odegrał twoją rolę, że w tym prawdziwym świecie, za którym tak tęsknisz, czeka na ciebie nakaz aresztowania i sąd wojskowy

- Jest pan zbyt okrutny! - obruszyła się Patrycja.

- Proszę wybaczyć, panienko, lecz miałem już dość wysłuchiwanie, jakim to jestem głupim romantykiem! - Zirytowany pułkownik wstał i zawołał na eskortę, by przyprowadzono mu wierzchowca. - Zegnam państwa! - Wysiadł z sań.

328

Sergiusz Lawendowski dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że Patrycja trzyma go za rękę.

- I co pan teraz robi, panie Sergiuszu? - spytała dziewczyna ze szczerym współczuciem.

- Jak to co? - wycedził przez zęby pobladły oficer. Gwałtownie wyrwał rękę z jej dłoni. - Zostanę z wami do końca. Doprawdy za nic nie odmówię sobie przyjemności zobaczenia, jaki ten koniec będzie... Pozwoli pani, że ja też ją teraz pożegnam!

Rozgniewany Sergiusz wyskoczył z sań i poszedł szukać wolnego konia. Patrycja owinęła się szczelnie futrem ze srebrnych lisów i zadumała głęboko nad zachowaniem obu mężczyzn oraz własnymi uczuciami. Doprawdy miała o czym myśleć...

Trzy dni później wrócili na górę Pingding.

Akurat nastał pierwszy zimowy nów 1900 roku i Chińczycy zaczęli świętować początek nowego cyklu zodiakalnego, w którym to, co zginęło, miało się odrodzić. Obchody noworoczne zaczęto od uczczenia pamięci przodków, przede wszystkim królewskiego ojca, po czym zaczęło się wielkie świętowanie. Tajpingowie ozdobili swoje domy lampionami i do późnej nocy bawili się na wolnym powietrzu, urządając korowody ze smokami i przedstawienia teatralne.



We wnętrzu góry Władysław V wydał bal karnawałowy w europejskim stylu, na który zaproszono gości z zewnątrz, w tym wtajemniczone panie z harbińskiego towarzystwa wraz z dorastającymi córkami. Panny, przejęte aż do granic omdlenia widokiem króla Polski oraz okazanym im zaufaniem, snuły się jak lunatyczki po tonącej w kwiatach głównej sali pałacu. Jego wysokość dodatkowo wzmagając oszołomienie, osobiście dotrzymując im towarzystwa i kolejno przedstawiając rozemocjonowane dziewczęta Stanisławowi Lawendowskiemu. Król swoim zwyczajem, bez nalegania, lecz nieustępliwie, próbował pułkownika swatać, ten jednak tym razem był bardziej chłodny i zdawkowo uprzejmy niż kiedykol-

329

wiek wcześniej. Zabawa ani flirty nie zdołały zatrzeć nastroju nerwowego wyczekiwania. Nad karnawałem na górze Pingding zawisło niewypowiedziane przez nikogo słowo „ostatni”.

Potem nadeszła pełnia Księżycy, ustało świętowanie, a goście rozjechali się z zachowaniem wszelkich zasad ostrożności. Stopniowo topniały śniegi i ruszały lody na Sungari. Woda spływała z gór, a w przeciwną stronę podążały oddziały koncentrujące się w Het-ala. Pod koniec marca wszystko już było gotowe.

Nadszedł czas rzucić wyzwanie historii i przeznaczeniu.

Japończycy odcinali ich od morza.

Kolejne oddziały armii cesarskiej zajmowały pas ziemi między pozycjami Jaskólskiego a wodami Zatoki Koreańskiej. Pułkownik Lawendowski nie odrywał lornetki od oczu. Kolumny żołnierzy w granatowych mundurach, białych sztylpach i płaskich czapkach z pomarańczowym otokiem zatrzymywały się jedna po drugiej, zmieniały front, zwracając się twarzami do armii Dwóch Sztandarów, i rozwijały w długie równe szeregi. Szyk marszowy przekształcał się w bojowy płynnie, ze sprawnością godną najwyższej pochwały. Nagle linie japońskiej piechoty zamigotały stalą. Żołnierze założyli bagnety i znieruchomieli. Chwilę później po stronie przeciwnika poruszała się już tylko Chryzantemowy Sztandar -czerwone słońce z szesnastoma promieniami na białym tle.

Zadzwoił telefon polowy, odebrał chorąży Filipiak.

- Kapitan Jaskólski melduje gotowość i czeka na rozkazy -oznajmił, zwracając się do Stanisława Lawendowskiego. - Co pan pułkownik rozkaże?

Jak mogło do tego dojść?... - zapytał sam siebie stary żołnierz.

W Het-ala wbrew oczekiwaniom pułkownik Lawendowski nie zastał Ałbazińca ani żadnych wiadomości od niego. Był tylko Lao Ping, który spędził zimę u księcia Om Gona i mimo najlepszych chęci zdołał zebrać jedynie fragmentaryczne informacje na temat tego, co się działo na półwyspie Szantung. Wynikało z nich, że bokserzy zostali zmiażdżeni przez armię Juan Szy-ka-ja. W lutym, zaraz po Nowym Roku, doszło tam ponoć do

331

strasznej masakry i całkowitego unicestwienia I-He-ćiuan. Z drugiej strony inne doniesienia mówiły, że powstanie bokserów rozwija się zgodnie z pierwotnym planem i rozlewa właśnie na całe Chiny. Lao

Ping nie potrafił wyjaśnić tych rozbieżności. Nie można było wykluczyć, że powstańcy w Szantungu ponieśli tylko lokalną porażkę, bez większego znaczenia, którą cesarska propaganda wyolbrzymiła do rozmiarów zagłady całego ruchu. Kwestię mogły rozstrzygnąć wiarygodne informacje od Ałbaziń-ca, ale ten przepadł jak kamień w wodę. Za to Koreańczycy robili swoje sprawnie i dyskretnie, jak było uzgodnione, gromadząc na Archipelagu Potockiego dżonki i statki handlowe. Nie mogli jednak trzymać ich tam w nieskończoność, nie budząc podejrzeń japońskiego wywiadu. Armia Dwóch Sztandarów powinna była niezwłocznie przystąpić do desantu na półwysep Szan-tung, lecz bez dokładnych informacji wywiadowczych było to zbyt ryzykowne. Jeżeli natomiast bokserzy ponieśli poważną klęskę, pomoc była im potrzebna natychmiast. Nie można było też przetrzymywać za długo wojsk zgromadzonych w Het-ala, gdyż oznaczało to bezproduktywne przejadanie zapasów i nieuchronny upadek morale.

Tylko artylerzyści skorzystali na zwłocze, ponieważ w tym czasie doszło do pierwszej wiosennej burzy, w trakcie której mogli bez obaw przeprowadzić ostre strzelanie. Po dwóch miesiącach morderczego treningu z atrapami naboju z drewna wypełnionego ołowiem, przez szesnaście godzin na dobę ładowanych do dział i wybijanych uderzeniem stempla imitującym odrzut, wszystkie trzy działony zdołały wystrzelić po sześć pocisków w ciągu piętnastu sekund. Porucznik Chęciński ustalił indywidualny rozrzut i celność każdej armaty, po czym zameldował pełną gotowość baterii, poprawiając nieco nastroje dowódców.

Wątpliwą sytuacją strategiczną najmniej przejmował się sierżant Fedorczyk, który choć dowodził batalionem kosynierów, stanowczo odmówił awansu na stopień oficerski.

332

- Ależ, panie pułkowniku, jaki tam ze mnie oficer?! - wybuchnął na tę propozycję. - Wszak ja nie szlachcic ani nawet po szkołach! Pradziad kuśnier, dziad kuśnier, ojciec kuśnier, tylko ja się z zacnej rodziny wyrodziłem, bo skóry na żywych psu bratach kroję. Gdzie mi tam w oficerzy? Dziękuję pięknie panu pułkownikowi, ale starszy sierżant to dla mnie naprawdę dość.

Stary żołnierz miał większy problem. Dociekał, kto i jakim sposobem tak bardzo odmienił mu jego „kochanego kitajskiego sza-łaputa”. Lien rzeczywiście bardzo spoważniała. Jeszcze w lecie wypuściła na wolność swoje sroki i zaczęła pomagać w szpitalu doktora Zakrzewskiego, zyskując tym królewską pochwałę, która utwierdziła ją w postanowieniu. W Het-ala była już wykwalifikowaną pielęgniarką i choć żołnierze po staremu nazywali ją Trzecią Sroką, rzadko słyszeli jej śmiech. W zamian Lien z całym szacunkiem zaczęła nazywać sierżanta Fedorczyka „dziadkiem”, a każdy dzień zaczynała i kończyła, podając mu herbatę. Zachowanie Chinki nader skutecznie pozbawiało zacnego podoficera jego demonstracyjnej surowości, zamieniając ją w rozczulenie. Do Patry-cji starszy sierżant odnosił się teraz, jak przystało do damy dworu.

W roli żołnierskiej maskotki zastąpił Lien Stanisław Brzozowski. Młody filozof chodził po twierdzy jak w narkotykowym transie, wszędzie było go pełno i każdemu, kto chciał i nie chciał, wygłaszał egzaltowane wykłady na temat wspaniałości samospelnienia poprzez historiokrację. Żołnierze traktowali go jak świętego szaleńca, oficerowie życzliwie tolerowali, gdyż niewątpliwie podnosił morale.

Po dziesięciu dniach daremnego oczekiwania na znak życia od Ałbazińca Caj Cung-jen i Stanisław Lawendowski po długiej naradzie zdecydowali się na strategiczny kompromis. Ustalili, że Armia Dwóch Sztandarów wyruszy na półwysep Liaotung, na umówione miejsce spotkania z Koreańczykami, i tam będzie czekać na wieści od I-He-ćiuan. Oznaczało to jednak ujawnienie Ukrytego Królestwa, niemożliwe bowiem, aby na dystansie dwustu kilome-

333

trów, które mieli do pokonania, nie zauważono regularnych i egzotycznie umundurowanych wojsk. Mieli jednak pakt o neutralności z Japończykami i to przesądziło.

Rankiem 5 kwietnia 1900 roku zgromadzonym w Het-ala oddziałom Caj Cung-jen uroczysto odczytał królewski dekret, ogłaszając, że Druga Rzeczpospolita Obojga Narodów z tym dniem staje się członkiem społeczności niepodległych państw świata i zobowiązuje się stosować do prawa narodów, w szczególności przestrzegać konwencji i praw wojny przyjętych niedawno w Hadze. Na znak jawności należy odtąd zaprzestać wymawiania dotychczasowej, potocznej nazwy „Ukryte Królestwo”, a w zamian zacząć używać imienia „Bursztynowe Królestwo” przez szacunek dla żołnierzy z Polski, Kraju Bursztynu, Duszy Tygrysa, stanowiących główną siłę zbrojną tej Rzeczpospolitej. Po wojnie - Bóg da, że zwycięskiej - Bursztynowe Królestwo stanie się Królestwem Niebiańskim, drugim, lecz już ostatnim, które tak samo jak nauka Pana Nieba Jezusa ogarnie z miłością wszystkich pięć stron świata, aż zapanuje na nim Wielki Pokój. O to modli się i to nakazuje młodszy brat Jezusa, Hung Siao-Tien, Władysław, król.

Odśpiewano Te Deum, po czym pułkownik Lawendowski dał rozkaz wymarszu. Z Het-ala wyszło pięciuset polsko-chińskich kosynierów Fedorczyka, trzystu pieszych strzelców Jaskólskiego, dwie setki konnych zuawów śmierci, artyleria Chęcińskiego oraz tabory z eskortą. W sumie blisko tysiąc pięciuset znakomicie uzbrojonego i wyćwiczonego wojska. Mieli się stać kręgosłupem powstańczej armii, która obali tyranów i pomści rozbiory pierwszej Rzeczpospolitej.

Trzy dni później sforsowali rzekę Cao, dopływ Jalu, i weszli na gęsto zaludnione tereny. Spotkali tu mały pograniczny oddział chińskich wojsk rządowych, który na ich widok pośpiesznie, bez walki wycofał się na północ w kierunku miasta Fuń-Huań-czeń. Na patrol japoński, zgodnie z przewidywaniami, natknęli się, przecinając drogę z Mukdenu do Phenianu. Była to część oddzia-

334

łów strzegących mostów na Jalu oraz ich przyczółków po mandżurskiej stronie. Niepokoje w Chinach sprawiły, że Japończycy bez skrupułów zapuszczali się w głąb obcego terytorium.

Pierwsze spotkanie przebiegło spokojnie. Do Japończyków podjechał chorąży Filipiak z białą flagą i glejtem podpisanym przez pana Minamoto. Dowodzący patrolem podoficer po zapoznaniu się z treścią dokumentu z wielkim szacunkiem poprosił, aby „czcigodni sojusznicy” raczyli chwilowo zaprzestać dalszego marszu i zaczekali, gdyż on musi niezwłocznie udać się po dokładniejsze instrukcje. Wrócił po czterech godzinach z kapitanem cesarskiej armii, który miał ze sobą kopię zawartego w Yidzu porozumienia. Po stwierdzeniu autentyczności dokumentu przedstawionego przez Polaków spotkanie zakończyło się wymianą wojskowych honorów i armia Bursztynowego Królestwa wznowiła marsz.

Japończycy, nim odjechali, bez skrępowań obejrzeni sobie i policzyli mijające ich oddziały. Porucznik Chęciński zorientował się w porę i na wszelki wypadek kazał dobrze schować karabiny maszynowe oraz zamaskować brezentem działa Deporta tak, by wyglądały jak zwykłe chińskie dwukołowe wózki.

Poza tą odrobiną w sumie zrozumiałego w tych warunkach wścibstwa wszystko przebiegło zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Wielkie było zatem zdumienie pułkownika Lawendowskiego, kiedy trzy dni później straż tylna doniosła, że maszeruje za nimi japońska półbrygada, ponad trzykrotnie liczniejsza i wyposażona w stu pięćdziesięciomilimetrowe działa Kruppa...

Za plecami uszykowanej do bitwy japońskiej piechoty pojawiła się kawaleria. Jeźdźcy podzielili się na dwie grupy, które stanęły na obu skrzydłach. Na prawym było ich znacznie więcej niż na lewym. Pomiędzy szwadronami zaczął ustawiać się drugi rzut cesarskiej piechoty, kilka razy silniejszy niż pierwsza linia.

Pozycje polsko-chińskie przypominały w ogólnym zarysie latawiec położony bokiem na rozległym płaskim stoku łagodnie opa-

335

iii

dającym ku morzu. Okopywali się przez całą noc, najintensywniej o świcie, kiedy było już widać, co robią. Najbardziej wysunięte do przodu były pozycje strzelców Jaskólskiego oparte o grupę niewielkich wapiennych skałek, między którymi ustawiono trzy karabiny maszynowe. Na lewo od strzelców i bardziej z tyłu, w polu gaolianu, kryli się kosynierzy Fedorczyka, zajmując czubek umownego latawca. Dojrzałe mandżurskie proso dorastało do trzech metrów, tak że z łatwością krył się w nim jeździec wraz koniem, ale o tej porze roku źdźbła gaolianu nie miały nawet połowy normalnej wysokości. Fedorczyk kazał więc swoim ludziom położyć się na ziemi. W gęszczu świeżej zieleni nie było nikogo widać i nie mignął ani błysk stali. Pewnie właśnie dlatego Japończycy uznali to miejsce za doskonały teren dla rajdu kawalerii na tyły Jaskólskiego i ustawili naprzeciw siedem szwadronów kawalerii. Już teraz nie wyglądało to najlepiej...

Konni żuawi śmierci stanęli na prawym skrzydle, czyli tylnym wierzchołku latawca, w płytkiej dolince obok wzniesienia, na którym przygotowano starannie zamaskowaną ziemiankę dla sztabu chronionego przez gniazdo czwartego maxima. Dwieście pięćdziesiąt metrów za pozycjami Jaskólskiego rozmieścił swą artylerię Chęciński, każde działo w osobnym zakrytym okopie. Za artylerią, w lesie, ukryto wozy i improwizowany odwód złożony z eskorty taboru. Tam też doktor Zakrzewski zorganizował połowy szpital. Pomiędzy wszystkimi wierzchołkami latawca rozciągnięto linie telefoniczne z centralką w sztabie.

W sumie byli do walki nieźle przygotowani z jednym zastrzeżeniem, znacznie poważniejszym niż niedogodne wyjściowe położenie kosynierów na lewym skrzydle. Do tej bitwy w ogóle miało nie dojść! Nie po to tu przyszli, żeby bić się z najważniejszym strategicznym sojusznikiem Bursztynowego Królestwa. To była katastrofa niezależnie od wyniku.

- Panie pułkowniku, co pan rozkaże? - nalegał chorąży Fili-piak.

336

Wszyscy adiutanci patrzyli na dowódcę z napięciem i wyczekiwaniem. Nawet Caj Cung-jen i Lao Ping nie potrafili zachować swego zwykłego spokoju - uśmiechali się z wysiłkiem, błędzili gdzieś wzrokiem. Wyraźnie nie mieli żadnych mądrych rad ani sugestii, co począć w tej sytuacji. Chęciński nerwowo bawił się suwakiem logarytmicznym. Sergiusz w białej kozackiej koszuli stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i ponuro patrzył na przedpole. W sztabie nie było Brzozowskiego, i dobrze, bo w tej sytuacji jego gadanina byłaby nie do zniesienia. Młody człowiek uparł się oglądać bitwę z perspektywy pierwszej linii. Pułkownik nie oponował, wychodząc z małodusznego założenia, że zdecydowanie bardziej woli, aby filozof zawracał teraz głowę Jaskólskiemu, a nie jemu. Lecz mniejsza o egzaltowanego wariata, trzeba było podjąć ostateczną decyzję!

Może to tylko demonstracja siły? Może zaraz przyślą parlamentariuszy? - myślał z napięciem Stanisław Lawendowski. Nie odważył się jednak powiedzieć tego głośno, żeby się nie ośmieszać. Zamiary Japończyków były więcej niż jasne.

- Proszę jeszcze raz potwierdzić gotowość naszych pozycji! - rzekł głośno, by zyskać na czasie.

Filipiak energicznie zakręcił korbką telefonu.

Japończykami dowodził generał Tajra Kanemitsu, wyniosły i oschły przedstawiciel samurajskiego rodu starszego niż kraj Polaków, o czym nie omieszkął poinformować od razu przy powitaniu.

- Stanisław Lawendowski herbu Paprzyca, pułkownik i głównodowodzący armii Bursztynowego Królestwa - przedstawił się Stanisław, ignorując niegrzeczność.

- Nic nie wiem o takim królestwie. - Japończyk najwyraźniej nie zamierzał być uprzejmy.

Spotkali się dwa dni wcześniej na brzegu morza. Na plaży ustawiono stolik, a Patrycja podała herbatę parzoną w europejskim stylu. Dowódcy usiedli, adiutanci stanęli obok. Tłumaczem

337

I

Stanisława był jak zwykle chorąży Filipiak. Japońskiemu generałowi towarzyszył porucznik Tanaka Joritomo. Obecność dawnego kompana Filipiaka wskazywała niedwuznacznie, że japoński dowódca wie o rozmowach w Yidzu i nie trzeba mu o nich przypominać. Tanaka ze swej strony zachowywał się tak, jakby widział Polaków po raz pierwszy. Filipiak, tłumacząc wypowiedź generała podczas wstępnej prezentacji, nie omieszkął dodać mimochodem, że rody Tajra i Minamoto mają ze sobą na pieńku od siedmuset lat.

- Dlaczego za nami idziecie? - Pułkownik Lawendowski darował sobie owijanie w bawełnę. Chorąży Filipiak jednak nie, bo powiedział po japońsku znacznie więcej niż cztery słowa.

- Język polski jest zadziwiająco treściwy - odparł z kamienną twarzą generał Tajra. - Całkiem jak chiński. Widzę, że doprawdy wiele was łączy... Znacznie więcej, niż sądziliśmy.

- Proszę się do niego nie odzywać, póki nie odpowie na temat - dodał Filipiak do swojego tłumaczenia.

Pułkownik Lawendowski sięgnął po filiżankę i zaczął spokojnie popijać herbatę.

- Rosjanie są w tej chwili naszymi sojusznikami - przemówił wreszcie japoński generał, gdy milczenie przeciągnęło się ponad miarę. - Pański oddział podąża zaś w kierunku Portu Artura. Wobec tego uznałem za wskazane poprosić o wyjaśnienia.

- Wyjaśniam zatem, że nie zamierzamy atakować tej twierdzy - odparł pułkownik.

- Wobec tego co tutaj robicie?

- To nasza tajemnica strategiczna. Powiem tylko, że szukamy naszych starych wrogów, ale tym razem nie chodzi nam o Rosjan. Oczekujemy, że armia cesarska nie będzie ingerować w nasze sprawy zgodnie z ustaleniami podpisanymi przez pana Minamoto.

- Pan Minamoto został wezwany na konsultacje do Tokio i teraz ja tutaj rządzę. - Filipiak albo pominął w swym tłumaczeniu formy grzecznościowe, albo ich w wypowiedzi generała nie było.

338

- Przypominam, że pan Minamoto działał w imieniu waszego cesarza.

- Obawiam się, że chcieliście naszego cesarza oszukać. Pan Minamoto popełnił błąd, który ja zamierzam naprawić.

- W jaki mianowicie sposób?

Japończyk zamiast odpowiedzieć na pytanie, poprosił o wyjaśnienie, co to jest „herb paprzyca”.

- Znak na rycerskiej tarczy wyobrażający otwór w kamieniu młyńskim, zwany po staropolsku paprzyca - odparł Stanisław Lawendowski.

- Czy pańscy przodkowie byli młynarzami?

- Nie, panie generale, nadano im ten herb, ponieważ jak kamienie młyńskie miażdżyli wrogów. Z całym szacunkiem proszę przyjąć do wiadomości, że nie szukamy nowych ofiar do rozgniecenia.

- Doprawdy? Słyszałem, że Polacy wręcz lubują się w ponoszeniu klęsk. Nie pragniecie zatem doznać ich od wszystkich możliwych przeciwników?

- Panie pułkowniku, on ma nas za nic. Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy.

- Wobec tego proszę mu powiedzieć, że najmocniej przepraszam za jakość tej herbaty. Ta, którą piłem w towarzystwie pana Minamoto, była o wiele smaczniejsza.

Generał Tajra zaciął usta i poderwał się z krzesła. Pułkownik Lawendowski wstał, patrząc mu prosto w oczy. Wymienili sztywne wojskowe ukłony, po czym rozeszli się w swoje strony.

Dwie godziny później przyjechał Tanaka Joritomo z ultimatum. Tym razem japoński porucznik nie udawał obcego.

- Michał-san, czuję się głęboko zawstydzony zachowaniem swojego zwierzchnika - powiedział, wręczając pismo Filipiakowi. - Niestety, w żaden sposób nie mogę się w to mieszać. Pragnę jednak zapewnić, że jeśli będę musiał pana zabić, zrobię to z najwyższym szacunkiem.

- A ja z żalem - odparł na to chorąży.

339

Pismo zawierało żądanie, aby wszyscy chińscy żołnierze Bursztynowego Królestwa w ciągu dwudziestu czterech godzin złożyli broń i poddali się armii cesarskiej. Polacy mogli iść dalej swoją drogą. Przewrotne uzasadnienie opierało się na dosłownej interpretacji porozumienia z Yidzu, w którym była mowa tylko o wojsku niosącym Bursztynowy Sztandar. Chińczycy z oddziału Fedor-czyka nieśli zaś Sztandar Niebiański.

Ciszę, która zapadła po odczytaniu dokumentu, przerwał Adam Chęciński.

- Panie pułkowniku, proponuję, abyśmy cofnęli się od morza, mniej więcej kilometr w głąb lądu. Tam jest dogodny teren do obrony.

- Proszę wykonać - odpowiedział Stanisław.

Japończycy ruszyli. Pierwsza fala piechoty liczyła pięciuset ludzi, druga przynajmniej tysiąc. Obie rozpoczęły marsz jednocześnie. W sumie wypadało po pięciu na każdego z żołnierzy Jaskólskiego.

- Zrezygnowali z przygotowania artyleryjskiego? - zdziwił się Chęciński.

- Widać uważają, że szkoda na nas artylerii - wycedził przez zęby Filipiak. - Oczekują, że się poddamy na sam widok przewagi cesarskiej armii.

- Stryju - odezwał się Sergiusz - chciałbym, żeby stryj wiedział, że nie żywię urazy za te papiery. Na miejscu stryja postąpiłbym tak samo.

Podali sobie ręce. Następnie Stanisław zwrócił się do Filipiaka:

- Proszę łączyć z Jaskólskim!

- Na linii, panie pułkowniku - odpowiedział po chwili chorąży, podając mu słuchawkę.

- Kapitanie, czy pamięta pan, że to przeciwnik szkolony w stylu pruskim? Kiedy natkną się na silny ogień, zareagują ucieczką do przodu.

- Pamiętam, panie pułkowniku.

340

- Wobec tego proszę otworzyć ogień, kiedy uzna pan za stosowne.

v;-;

- Tak jest! . . . ' . . .

Salwa karabinowa rozległa się dziesięć sekund później. Zaterkotał jeden karabin maszynowy. Pierwsza linia Japończyków poderwała się do biegu. Przez palbę przedarło się gromkie: „Ban-zaj!”.

- Poruczniku Chęciński, ostrzał pociskami Shrapnela, umiarkowane natężenie ognia.

- Tak jest! Łączyć z działanami! - polecił Chęciński Filipiako-wi, który przełożył wtyczki w łącznicy telefonicznej. Dowódca artylerii chwycił cyrkiel i pochylił się nad zaimprovizowaną mapą. Wczoraj po południu jego ludzie biegali z tyczkami i teodolitami po całym przewidywanym polu bitwy, ustalając dla potrzeb artylerii najważniejsze odległości. - Wszystkie działony, odległość dziewięćset metrów, ładuj szrapnelami! - powiedział do słuchawki. - Zapalniki czwarta nastawa! Tempo dziesięć strzałów na minutę! - Chwycił w drugą rękę lornetkę i wyjrzał na przedpole.

Japońska piechota sunęła jak dwie fale tsunami, jedna większa od drugiej. Chęciński rzucił okiem na mapę i ze słuchawką przy policzku odczekał jeszcze parę sekund.

- Wszystkie działony, ognia!

Działa pod lasem zagrzmiały salwą, po czym w sztabie dał się słyszeć świst nadlatujących pocisków. Sekundę później w powietrzu nad Japończykami eksplodowały trzy kule żółtego ognia. Dokładnie po sześciu sekundach, gdy pierwsze wybuchy szrapneli zamieniły się już w obłoki czarnego dymu, wykwitły następne trzy małe słońca, znowu trzy i jeszcze trzy... Siekący z nieba deszcz ołowianych kulek położył pokotem całe połacie japońskiej tyraliery.

- W mięso! - stwierdził z uznaniem Sergiusz. - Całkiem nieźle jak na amatorów z kradzionymi armatami...

Nikt nie zareagował na tę pochwałę. Japończycy właśnie zaczęli ucieczkę do przodu, starając się jak najszybciej skrócić dystans

dzielący ich od przeciwnika. Na tę chwilę czekały dwa pozostałe maximy Jaskólskiego, które właśnie teraz podjęły ostrzał. Mimo to japońska piechota nie traciła impetu. Dotarła już do połowy ziemi niczyjej.

- Odległość siedemset, nastawa zapalnika trzy... - Chęciński na bieżąco korygował ogień.

- Więcej szrapneli! - polecił pułkownik Lawendowski. - Wszystkie działony, maksymalne tempo! Walcie, chłopaki, ile

wlezie!

Nad Japończykami rozpętała się burza. Kłęby dymu z wybuchających szrapneli zlały się w jedną wielką ciemną chmurę, w której bez przerwy błyskało i grzmiało. Strugi ołowianego deszczu jak niewidzialna miotła wymiatały żołnierzy w granatowych mundurach, ale luki w szyku wciąż zapełniali następni, nadbiegający z tyłu.

- Uwaga, rusza się ich kawaleria naprzeciw naszego lewego skrzydła! - zawołał Sergiusz, który znalazł sobie wolną lornetkę. - Próbuje nas oskrzydlić!

Stanisław na dźwięk słowa „nas” popatrzył na bratanka ze zdumieniem. Zaraz jednak się opamiętał.

- Podrywajcie Fedorczyka! - rozkazał szybko. Kosynierzy podnieśli się z gaolianu.

Z młodego prosa wyrósł nagle las. Wrażenie to pogłębiały mundury koloru morskiej zieleni. Ze strojami kosynierów był swego czasu spory problem. Ochotnicy każdej z nacji życzyli sobie mundurów zgodnych z ich tradycjami i nie dało się zaprojektować jednolitego wzoru. Stało na tym, że wszyscy



dostali zielonobłękitne kurtki o chińskim kroju, natomiast nakrycia głowy były dwojaki. Chińczycy nosili swoje kapelusze ze słomy ryżowej, Polacy tradycyjne konfederatki. Stąd z kolei poszedł spór, gdzie umieścić godło Orzeł Na Skale, bo na stożkowym chińskim kapeluszu wyglądało to nie najlepiej. W rezultacie Chińczycy nosili orły na piersiach, Polacy na czapkach.

342

Fedorczyk szybko ustawił swoich ludzi w trzy szeregi po stu pięćdziesięciu kosynierów plus pięćdziesięciu ludzi z tyłu, w odwodzie do zatykania wyłomów. Niebiański Sztandar załopotał na lewym krańcu szyku, obok chińskiego chorążego stanął sędziwy dowódca z przełożonym przez lewe ramię obrzynem z trójłufowego myśliwskiego drylinga.

Wyglądało to dumnie, ale podniosły efekt zdecydowanie psuło siedem szwadronów japońskiej kawalerii idących pełnym galopem na zderzenie czołowe.

- Zgniotą ich - stwierdził Sergiusz.

- Nie znasz Fedorczyka - uśmiechnął się Stanisław i rozkazał: - Sztabowy cekaem, wesprzeć kosynierów ogniem z długiego dystansu. Niech uważają, by nie trafić naszych.

Tym razem obyło się bez dzwonienia. Rozkaz przekazał osobiście Lao Ping, wybiegając z ziemianki. Pułkownik Lawendowski zwrócił się do bratanka.

- Lepiej uważaj teraz, młody człowieku, bo tego w Petersburgu pewnie cię nie uczyli... - odsunął się, by zrobić Sergiuszowi lepsze miejsce przy szczelinie obserwacyjnej.

Trójszereg żołnierzy w stożkowych kapeluszach i przekrzywionych na bakier konfederatkach, z kosami trzymanymi w pozycji „prezentuj broń”, z fatalistycznym spokojem stał naprzeciw rozpędzonej, znacznie liczniejszej jazdy. Nie mieli najmniejszych szans wytrzymać takiego uderzenia.

I nie zamierzali. Nagle cały szyk kosynierów usunął się z linii ataku, uchylając się niczym otwierane drzwi, których zawiasem było drzewce Niebiańskiego Sztandaru. Płynn timer bez najmniejszego załamania długiej na ponad sto metrów linii kosynierzy Fedorczyka zaczęli maszerować do tyłu, każdy trójrząd w odrobinę różnym, lecz idealnie zgranym z sąsiadami tempie, mierząc krok na ziemi dygoczącej od kopyt nadlatującej jazdy.

Prosty poprzeczny szyk liniowy w pół minuty zamienił się w szyk skośny. I dokonała tego nie kompania reprezentacyjna

343

gwardii na placu ćwiczeń, ale batalion w warunkach bojowych. Sergiusz po prostu nie mógł uwierzyć własnym oczom. Japończycy najwyraźniej też nie, bo dwie trzecie ich kawalerii z rozpędu wjechało w puste miejsce po kosynierach, nie zdoławszy w żaden sposób zareagować na ich manewr. Reszta wpadła bokiem na pochylone kosy i przejechała się po nich jak ziemniak po tarce o bardzo długich, ostrych i zakrzywionych zębach.

Przeraźliwy kwik ranionych koni zagłuszył na moment działa, wybuchy szrapneli, serie maximów i klekot karabinów ręcznych. Ale to jeszcze nie było najgorsze, co miało spotkać zbyt pewnych siebie

potomków samurajów. W chwili gdy część kawalerii, która chybiła celu, wstrzymała konie, usiłując się przegrupować, w największy gęszcz jeźdźców zaczął prażyć cekaem ze stanowiska przy sztabie.

- Jedno działo, wesprzeć kosynierów pociskami Shrapnela! -rozkazał Stanisław.

- Uwaga trzeci działon! - powiedział do słuchawki Adam Chęciński. - Zmiana kierunku ognia, podaję nowe namiary...

Można było to zrobić, bo atakująca piechota właśnie zaległa pod huraganowym ogniem niecałe sto metrów od pozycji Jaskól-skiego. I zarazem nie można było odmówić przytomności umysłu prowadzącemu Japończyków oficerowi, który widząc, że ogień artylerii zelżał, natychmiast wstał z ziemi i wskazując mieczem stanowiska Polaków, znów poderwał swoich ludzi.

Pułkownik Lawendowski podniósł lornetkę i uważnie przyjrzał się dzielnemu dowódcy.

- Pan porucznik Tanaka ładnie sobie radzi - stwierdził z uznaniem. - Chce pan popatrzeć, chorąży Filipiak? - obejrzał się na adiutanta. - Tylko niech się pan pospieszy, bo zaraz ludzie Jaskól-skiego go rozstrzelają.

Sergiusz Lawendowski w milczeniu przygryzł wargę.

-Poruczniku Chęciński - zmienił temat pułkownik - szyk przeciwnika stał się zbyt luźny na pociski Shrapnela, proszę przejść na granaty!

344

Dowódca artylerii rozkazał działom wspierającym centrum zmienić amunicję i za moment atakujących oślepiły czarne rozbryzgi wyrwanej ziemi przemieszane z kłębami pyłu i dymu. Japończycy przestali widzieć swojego oficera. Na jego szczęście polscy strzelcy też.

Na lewym skrzydle japońska kawaleria - z jednej strony skłębiona beztadnie na ścianie kos poruszających się z góry na dół i tnących jak nożyce sturamiennego kraba, z drugiej natomiast masakrowana krzyżowym ogniem dział i cekaemu uniemożliwiający oderwanie się od przeciwnika i sensowne przegrupowanie -w błyskawicznym tempie traciła pozory regularnej formacji zbrojnej. W centrum ich piechota zaległa po raz drugi, dosłownie wbita w ziemię przez polskie granaty wybuchające niemal co sekundę. Na dodatek z bliska ogień wyborowych strzelców Jaskólskiego stał się zupełnie nie do wytrzymania. Odwaga równała się śmierci.

Jednak generał Tajra miał jeszcze pięciuset jeźdźców stojących naprzeciw zaledwie dwóch setek żuawów śmierci na polskim prawym skrzydle i właśnie zamierzał skorzystać z tej szansy. Drugi oddział japońskiej kawalerii zaczął obchodzić z lewej walczącą w centrum piechotę. Tu jednak teren był znacznie mniej sprzyjający do szarży niż na lewym skrzydle. Przed wyjściem na czyste pole musieli najpierw zostawić za sobą niewielki zagajnik i kręty jar, sygnalizując swoje zamiary ze znacznym wyprzedzeniem.

- Panie Lao, proszę nakazać żuawom formować szyk bojowy -powiedział Stanisław.

Chińczyk skłonił się i znów wybiegł z ziemianki. Pułkownik niespodziewanie zwrócił się do bratanka:

- Pokażesz nam, czego nauczył cię generał Brusilow?

- Mam poprowadzić tę szarżę? - zdumiał się Sergiusz.
- Jeśli mam być szczerzy, to nie mam pod ręką lepszego oficera kawalerii...
- Ja mam wam pomagać?!
- Zęby nauczyć Japończyków większego szacunku dla Polaków. Paprzyca to także twój herb.

345

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem pozostało już tylko uzgodnić szczegóły taktyczne.

- Jak mam się bić przy stosunku sił dwóch i pół do jednego? -zapytał Sergiusz.
- Wystarczy, że ich powstrzymasz, nie musisz pokonać. Poślemy nad waszymi głowami salwę szrapneli, tak że wejdziecie w skotłowany szyk. Dalej już chyba dasz sobie radę?
- A co będzie, jeśli kulkami z tych szrapneli to my dostaniemy po karkach?
- Poruczniku Chęciński, da pan radę odpalić salwę nad szarżującą jazdą tak, by odłamki poszły przodem? To będzie pański doktorat z matematyki.
- Jeśli to ma być doktorat, panie pułkowniku... - dowódca artylerii pochylił się nad mapą, sprawdził odległość cyrklem i policzył coś szybko na suwaku logarytmicznym. - To dam dwie salwy! - oznajmił.
- Raz matka rodziła! - Sergiusz Lawendowski przeżegnał się w prawosławnym stylu.

Stanisław odpiął i podał mu własną szablę. Następnie odwrócił się do adiutanta.

- Chorąży Filipiak, poniesie pan Bursztynowy Sztandar.
- Tak jest, panie pułkowniku! - Młody człowiek, nie kryjąc radości, przekazał następcy obsługę centrali telefonicznej.

Pułkownik popatrzył jeszcze przez lornetkę na przedpole i upewniwszy się, że sytuacja na razie jest pod kontrolą, wyszedł z ziemianki, by odprowadzić Sergiusza i Michała.

- Czy oni znają rosyjskie komendy? - zapytał młodszy Lawendowski, patrząc na uszykowanych do szarży żuawów śmierci.
- Nie będzie z tym kłopotu - odpowiedział Stanisław. Starszy lejtnant wskoczył na siodło. Chorąży Filipiak podjechał

z Bursztynowym Sztandarem i stanął u boku dowódcy. Sergiusz zerknął z ukosa na łopoczące, pokryte chińskimi znakami biało--czerwone płótno i uśmiechnął się cierpko. Potem włożył dwa pal-

346

ce do ust i dla fasonu zagwizdał przenikliwie, po kozacku. Następnie wy dobył szablę.

- Szwadrony! - zawołał po rosyjsku, stając w strzemionach. -Kłusem w przód! - zawiął klingą, pokazując kierunek szarży.

Czarni jeźdźcy z białymi krzyżami na piersiach ruszyli, rozpędzając się z wolna na pochyłym stoku.

Stanisław Lawendowski wrócił do sztabu. Porucznik Chęciński trzymał w zębach suwak logarytmiczny i zezując na jego skale, za pomocą linijki i ołówka zaznaczał na swojej mapie jakieś punkty. W następnej chwili wypluł suwak na stół, złapał za telefon i podał celowniczym nowe koordynaty ognia.

Polska artyleria zamilkła, szykując się do oddania najbardziej precyzyjnych strzałów w tej bitwie. Terkotały już tylko karabiny maszynowe i bezładnie grzechotały ręczne. Japończycy zyskali szansę, by złapać drugi oddech.

Stało się jednak coś gorszego. Powietrzem targnął potężny huk, który przetoczył się dudniącą falą po polu bitwy, zagłuszając wszystkie inne odgłosy walki, i przeszedł w jazgot rozchichotanych demonów. Za stanowiskami dział Chęcińskiego eksplodowały gejzery ognia i ziemi. Podmuchy połamały sosny na skraju lasu, kilka drzew wrywały z korzeniami.

- Podciągnęli wreszcie swoje sto pięćdziesiątki... - pułkownik Lawendowski zmarszczył brwi.

- Za późno - odparł z kamiennym spokojem dowódca artylerii. - Tym zabytkowym szajsem od Kruppa nie zdążą dobrze wstrzelać się w nasze pozycje. Działony - powiedział do słuchawki - potwierdzić dokonane nastawy!

Druga salwa japońskiej ciężkiej artylerii okazała się za krótka i nikomu nie szkodząc, przeorała pusty środek polsko-chińskiego latawca. Wyglądało na to, że Chęciński miał rację.

Tymczasem żuawi śmierci prowadzeni przez Sergiusza pędzili zwartym klinem ku kawalerii przeciwnika. Dzieliło ich już tylko kilkanaście uderzeń serca.

347

- Po salwie kąp podniesienia natychmiast dwa stopnie w górę -instruował swoich Chęciński. - Druga salwa bez rozkazu. Uwaga! Działony, ognia!

Polska salwa, japońska salwa i przed upływem trzech sekund znowu polska... Wystrzelone pociski minęły się w powietrzu. Potem wszystko stało się jednocześnie. Błyski szrapneli, wybuchających jeden obok drugiego ponad głowami szarżujących żuawów śmierci, zlały się w jasną smugę ognia, jakby nad Polakami zabłysnął ognisty miecz archanioła, który ciął Japończyków na odlew.

- Brawo... - zaczął pułkownik Lawendowski i nie dokończył. Na polskich tyłach wyleciał w powietrze skład amunicji trafiony

pociskiem z japońskiej sto pięćdziesiątki. Słup ognia sięgnął nieba, rozbił je i sprawił, że runęło na ziemię - inaczej tego, co się stało, nie można opisać. Potem były już tylko ściskające skronie cęgi gromu i przenikliwe dzwonięcie w uszach. Następny zrozumiały dźwięk, jaki dał się usłyszeć, to triumfalne „BANZAJ!!!” japońskiej piechoty, która nagle dostała skrzydeł.

- Działony! Meldować o stratach! - krzyknął Chęciński, nasłuchiwał chwilę, po czym z furią rzucił słuchawkę na stół. - Cholera jasna, przerwało połączenie!

- Panie Lao, proszę dopilnować, by przeciągnięto nową linię telefoniczną - rozkazał Stanisław, starając się zachować spokój, i spojrzął na prawe skrzydło.

Sergiusz ze swoimi ludźmi przebił się na wylot przez wyszczerbione pociskami Shrapnela szeregi Japończyków i właśnie zawracał, by wjechać na tyły większej z dwóch pozostałych części oddziału przeciwnika. Chwilę potem zamigotały szable w zacieklej walce wręcz.

Do walki na bagnety doszło w pierwszej linii okopów Jaskół-skiego, gdzie wtargnęli właśnie żołnierze cesarskiej piechoty. Obie strony obrzucały się granatami ręcznymi. Na lewym skrzydle kosynierzy Fedorczyka wciąż jeszcze panowali nad sytuacją. Walczyli spokojnie, zgranymi trójkami - pierwszy z przykłęku atakował ni-

348

ska końskie pęciny i brzuch, drugi parował ciosy kawalerzysty, osłaniając klęczącego towarzysza, trzeci szukał okazji zadania decydującego ciosu. Tym systemem powalali jednego jeźdźca po drugim. Mimo to Japończycy początkowy chaos w swoich szeregach mieli już za sobą. Zdołali zmienić front i naciskali coraz mocniej, sprawiając, że polsko-chiński trójszereg giął się niczym klinga. Natomiast pociski ciężkich dział spadały za plecami żołnierzy Fedorczyka raz za razem, niczym pięści olbrzyma, obsypując ich grudami ziemi. Japońscy artylerzyści starali się trafić w linię piechurów, ale tak, by nie zaszkodzić własnej kawalerii. Wybuchy następowały coraz bliżej walczących kosynierów, lada chwila kolejny mógł rozerwać ich napięty jak struna szyk.

Nadszedł decydujący moment bitwy. Tymczasem polskie działa milczały.

- Artyleria powinna teraz wesprzeć nasze centrum - powiedział pułkownik. Po tonie głosu nie dało się poznać, czy to rozkaz czy pobożne życzenie.

- Do diaska, przecież nie mogli tam zginąć wszyscy! - Zdenerwowany Chęciński złapał raketnicę i wybiegł ze sztabu. Chwilę później czerwona rakietka pomknęła łukiem w kierunku przedpola Jaskólskiego

Wszystkie trzy działa Deporta podjęły energiczny ostrzał wskazanego odcinka.

- Panu Nieba niech będą dzięki! - odetchnął z ulgą pobladył Caj Cung-jen.

Porucznik Tanaka nie zdołał przysłać pomocy swoim żołnierzom, którzy dotarli do polskich okopów, zanim ich tam wybito. Mimo jego desperackich zachęt wykrwawiona cesarska piechota, ponownie przygnieciona ogniem artylerii, zaczynała się nieodwołalnie cofać.

Na prawym skrzydle Sergiusz, zmieszawszy kompletnie szyki japońskiej kawalerii, zostawił za sobą zdezorientowanego przeciwnika i zawracał ze swymi ludźmi na pozycje wyjściowe.

349

Stanisław wyszedł na spotkanie powracającego bratanka. Sergiusz zamaszystym samurajskim gestem otrząsnął szablę z krwi i przytrzymując klingę dwoma palcami, schował ją do pochwy.

- Jeśli tego im mało, możemy powtórzyć! - oznajmił zawadiacko.

- Dobra robota - pochwalił Stanisław. - Teraz trzeba odciążyć ludzi Fedorczyka.

- Szarża po liniach wewnętrznych? - Sergiusz fachowo ocenił sytuację. - Na dodatek pod flankującym z prawej ogniem ciężkiej artylerii? Do czegoś takiego przydałaby się husaria...

- Masz jakieś zastrzeżenia do tych chłopców?

- Najmniejszych. - Sergiusz obejrzał się na żuawów. Nie wróciło około trzydziestu i niemal wszyscy pozostali odnieśli jakieś rany w zacieklej rąbaninie z Japończykami, ale trzymali fason. - Formuj szyk! - zakomenderował po rosyjsku. - Szable do boju! - znów wyciągnął własną.

- Uderzaj natychmiast, jak będziesz gotów - polecił Stanisław i wrócił do sztabu.

Nie zauważył, że zajmujący swoje miejsce w szyku chorąży Fili-piak jest trupio błydy, a drzewce Bursztynowego Sztandaru ma przywiązane rzemieniem do kikuta lewego przedramienia. Nie okazując słabości, wykrwawiony żuaw śmierci stanął w pierwszym szeregu, by wraz z kolegami ruszyć w ekrazytowy dym i gąszcz ostrzy.

- Panie pułkowniku, łączność z działonami przywrócona! -oznajmił triumfalnie Chęciński. - Straty wbrew pozorom niewielkie. Wybuchła tylko jedna z czterech ziemianek amunicyjnych, częściowo już opróżniona.

- A wyglądało tak, jakby wybuchło wszystko - mruknął Stanisław.

- To dlatego, panie pułkowniku, że ekrazyt jest przeszło dwa razy silniejszy od dynamitu - wyjaśnił dowódca artylerii. - Ci Japończycy mieli po prostu szczęście głupiego, że przy takim roz-

350

rzucie zdołali trafić w nasz składzik - wymownie wskazał na kolejne wybuchy sto pięćdziesiątek, które przestały nękać kosynierów i teraz bezskutecznie, choć z wielkim hałasem usiłowały znów zmusić do milczenia polską baterię. - Po prostu biją na oślep!

- Łączcie z Fedorczykiem! - rozkazał pułkownik.

Chwilę trwało, zanim telefonista na lewym skrzydle zdołał odszukać swojego dowódcę.

- Panie pułkowniku - głos starego sierżanta tonął w bitewnej wrzawie i szczęku żelaza - ja tu odpieram przeważające siły, a pan każe mi w trąbkę gadać?!

- Nie wydziwiajcie, Fedorczyk! Posyłam wam jazdę na pomoc. Weźmiemy Japończyków między młot a kowadło. Wy będziecie kowadłem.

- Ma się rozumieć, panie pułkowniku! Zakujemy ich w pod-kówkę na dziesięć tysięcy szczęść!

Zuawi Sergiusza ruszyli do drugiej szarży. Cekaem przy sztabie, któremu weszli w linię ognia, natychmiast zmienił kierunek ostrzału, do reszty zniechęcając japońską kawalerię na prawym skrzydle do kontynuowania ataku. Minutę później mordercze uderzenie szwadronów Sergiusza zepchnęło Japończyków na nastawione kosy, zatraskując cesarską kawalerię jakby w kolczastym wnętrzu dziewicy norymberskiej i zaraz potem puszczając w ruch krwawy młyn. W kłębowisku walczących zachwiało się nagle i padł Bursztynowy Sztandar, ale natychmiast go podniesiono. Za moment żuawi

śmierci, idąc po trupach ludzi i koni, połączyli się z kosynierami. Ucieczka japońskich niedobitków zapoczątkowała ogólny odwrót atakujących na całej długości frontu.

- A teraz pora uciszyć ten pruski demobil. - Chęciński określił dokładnie położenie stanowisk sto pięćdziesiątek Kruppa. - Odległość tysiąc dwieście metrów - przekazał celowniczym. - Zarzućcie ich granatami, chłopcy!

351

Porucznik podniósł do oczu lornetkę i na bieżąco korygował ostrzał. Po pięciu minutach artyleryjskiego pojedynku jedno z japońskich dział zamilkło rozbite bezpośrednim trafieniem granatu. Minutę później Polacy odpłacili Japończykom pięknym za nadobne, także trafiając w amunicję. Tyle że ta miała dwa razy większy kaliber i musiało jej tam leżeć znacznie więcej.

Wybuch był tak potworny, jakby obudził się uśpiony wulkan.

Przez chwilę wydawało się, że wody Zatoki Koreańskiej zaleją japońskie pozycje, wypełniając powstały krater. Gdy opadła kurzawa, okazało się, że podmuch eksplozji przewrócił drugie działo.

- Tak się to robi! - wykrzyknął Chęciński i otarł pot z czoła. Zapanowała przenikliwa cisza. Japończycy nie byli zdolni do

żadnych działań.

Pułkownik Lawendowski upewniwszy się, że nie będzie drugiego ataku, zwołał na naradę swoich dowódców.

- I co dalej, panowie? - powiódł wzrokiem po zachmurzonych twarzach.

- Może teraz zgodzą się negocjować? - podsunął myśl Caj Cung-jen.

- Tylko na jaki temat? - spytał z przekąsem Sergiusz.

- Obrazili moich chłopców i złamali umowę - stwierdził oschle Fedorczyk. - Krwi! - uderzył pięścią w stół.

- Znieważyli nas wszystkich - dodał kapitan Jaskólski. - Powinniśmy ten papier z Yidzu wetknąć im teraz w tyłek i podpalić. Krwi! - powtórzył za Fedorczykiem.

- Wojna z cesarstwem Japonii nie leży w naszym interesie - przypomniał Caj Cung-jen.

- Teraz to nie jest już kwestia polityki, tylko naszej twarzy i honoru! - warknął dowódca strzelców.

- Trzeba Japończykom dać nauczkę - dopowiedział pułkownik - żeby na przyszłość szanowali nas i zawarte z nami umowy. Raz na zawsze! Dlatego proponuję, abyśmy doprowadzili tę lekcję do końca i niezwłocznie przeszli do kontrataku.

352

- Czy to oznacza, że teraz nasi żołnierze mają iść na japońskie cekaemy? - odezwał się królewski ambasador. - Aż wszystko zostanie całkiem zaprzepaszczzone?

- Ich maximy niewiele nam zaszkodzą, jeśli zaatakujemy w nocy - odparł Stanisław.
- Walka nocą nie leży w zwyczajach Japończyków - zauważył Lao Ping.
- A w naszych przeciwnie - sierżant Fedorczyk uśmiechnął się drapieżnie. - Nocny atak na bagnety to poniekąd nasza narodowa specjalność.
- Moi ludzie wręcz marzą o takim polowaniu! - Jaskólski zatarł ręce.
- Nie będę powstrzymywać ludzi honoru, którzy pragną pomścić zniewagę - ustąpił Caj Cung-jen. - Utoście z nich tyle krwi, ile pragniecie.
- A zatem kontratak został postanowiony jednomyślnie -stwierdził pułkownik Lawendowski.
- Najprzejmiej proszę o zaszczyt dołączenia do pańskich żołnierzy - zwrócił się Lao Ping do Fedorczyka.
- A kosą, synku, obracać umiesz?
- Zimą u księcia Om Gona ćwiczyłem walkę halabardą.
- Przyda mi się każdy zuch! - stary kosynier wielkodusznie wznosił się ponad swe uprzedzenia.
- No to do dzieła! - rzekł pułkownik Lawendowski. Godzinę później generał Tajra przystał parlamentariuszy. Nie

pozwolono im jednak mówić. Zakomunikowano, że polscy oficerowie nie mają armii cesarskiej nic do powiedzenia, w szczególności jej generałom, i odesłano posłów tam, skąd przyszli.

Kiedy zapadła noc, sierżant Fedorczyk wyszedł przed linię swoich kosynierów, przyłożył do ust zwinięte dłonie, nabrał głęboko tchu i wydał z siebie przeciągły wilczy skowyt. Za chwilę tak samo odpowiedzieli mu strzelcy Jaskólskiego oraz spieszeni żuawi Sergiusza.

353

- Krwi! Krwi! Krwi! - to słowo wykrzykiwane w obu językach wyznaczyło początkowy rytm marszu. - Siue! Krew! Siue! Krew!

Potem padł pierwszy strzał i ciemność okrywająca półwysep Liaotung rozbrzmiała nieartykułowanym wyciem spragnionych mordu wilkołaków.

Pokryta różową pianą fala przyboju mozolnie starała się wypchnąć na plażę ciała w zielonych, czarnych, popielatych i granatowych mundurach. Było ich jednak za wiele, zwłaszcza tych ostatnich. Stu kilkudziesięciu zdolnych jeszcze do walki Japończyków, odkąd zaczął się przyptyw, stało po kolana w wodzie. Skupili się wokół porucznika Tanaki i Chryzantemowego Sztandaru, który już dwa razy próbowano im wyrzeć i który z szaleńczym poświęceniem obronili. Ostrza kos kilkakrotnie dosięgły jednak czerwonego słońca, odcinając kilka promieni.

Kosynierzy Fedorczyka klęczeli z pochylonymi ostrzami na granicy fal, gotowi poderwać się do następnego ataku. Za nimi z uniesioną bronią stali strzelcy Jaskólskiego. W szyku zrobiono dwie luki dla karabinów maszynowych, które właśnie skończono ustawiać na wydmach. Do trzech razy sztuka...



Japończycy, w większości już bez amunicji, nie mieliby żadnych szans, gdyby nie to, że przed chwilą ogłoszono wstrzymanie ognia.

- Panie poruczniku Tanaka! - W morze wjechał konno pułkownik Lawendowski. - Proszę podejść! - zawołał po chińsku. Na japoński przełożył to Lao Ping z lewą ręką na zakrwawionym temblaku.

Japoński oficer opuścił miecz i postąpił naprzód kilka kroków.

- Jest pan w tej chwili najstarszym stopniem oficerem armii cesarskiej - poinformował go pułkownik. - Pańscy zwierzchnicy zginęli lub są w naszej niewoli. Decyzja o złożeniu broni należy zatem do pana. Jeśli to zrobicie, pozwolimy wam zachować cesarski sztandar, tylko proszę go zwinąć.

Tanaka namyślał się chwilę.

355

- Czy zostanie zapamiętane, że propozycja kapitulacji nie wyszła z naszej strony?

- Tak będzie. Nie chcemy upokarzać najdzielniejszych żołnierzy cesarza Japonii.

Porucznik obejrzał się i wydał rozkaz. Japoński chorąży uklonił się i zaczął zwijać Chryzantemowy Sztandar. Tanaka chwycił katanę w obie ręce, zamierzając ją złamać na kolanie.

- To nie będzie konieczne - powstrzymał go polski dowódca. - Może pan zatrzymać swój miecz.

- Jak mam to rozumieć? - porucznik zbladł.

- Zgodnie z europejską tradycją przeciwnikowi, który wykazał się największym męstwem, pozwala się w niewoli zachować szablę. Ja i moi oficerowie jesteśmy całkowicie zgodni, że zasługuje pan na ten zaszczyt. Nie może pan tylko dobywać broni.

- Rozumiem i dziękuję - porucznik Tanaka skłonił się, po czym otarł zakrwawione ostrze i schował je do pochwy. Przewłókł rzemyki przez otwory w płytce jelca i zawiązał je demonstracyjnie, pokazując, że wyjęcie miecza stało się niemożliwe. Na koniec wydał swoim rozkaz złożenia broni.

- Teraz proszę ze mną, panie Tanaka. - Stanisław Lawendowski wyjechał z wody i zsiadł z konia. - Musimy się zastanowić, jak uprzątnąć ten cały bałagan... - wskazał rozległe pobojuwisko, nad którym wciąż unosiła się woń spalonego ekrazytu.

- Czy Michał-san został ranny? - zapytał porucznik, spoglądając niechętnie na Lao Pinga.

- Chorąży Filipiak poległ w boju.

- Najprzejmiej proszę o zaszczyt uczestniczenia w jego pogrzebie.

>|•| ; •

- Zgadzam się. A teraz proszę mi wyjaśnić, panie poruczniku Tanaka, dlaczego cesarstwo Japonii postanowiło uznać nas za wrogów?

- Rząd jego cesarskiej wysokości nie ma nic wspólnego z tym pożałowania godnym incydentem.

356

- Chce pan powiedzieć, że generał Tajra działał na własną rękę?

^

- O ile mi wiadomo, jest to możliwe. Wypowiadał się zawsze z wielką niechęcią o białych barbarzyńcach... Proszę o wybaczenie! W grę wchodził też zadawniony spór z rodem Minamoto.

- Skąd zatem wziął się tutaj tak silny oddział cesarskiej armii? Jakie było wasze pierwotne zadanie?

- Na wypadek gdyby niepokoje w Chinach przybrały na sile, mieliśmy wspólnie z Rosjanami z Portu Artura zająć miasto Muk-den.

-1 generał Tajra postanowił użyć tych sił do załatwienia prywatnych porachunków z panem Minamoto? Jakaż to w tej waszej armii panuje dyscyplina?

Porucznik Tanaka pochylił głowę i milczał. Zamiast niego odpowiedział Lao Ping:

- Wszystko byłoby dobrze, gdyby generał Tajra zwyciężył. Dowiódłby wówczas, że zawarte przez pana Minamoto porozumienie było błędem, i jednocześnie skompromitowałby starego wroga.

Po minie japońskiego oficera widać było, że zrozumiał słowa Chińczyka. Nie próbował im zaprzeczać.

- Ale mu się nie udało - skwitował z przekąsem pułkownik. -Doprawdy dziwne macie podejście do przyjętych zobowiązań.

- Zerwanie paktu z przeciwnikiem, który okazał się zbyt słaby, f nie stanowi ujmy na honorze samuraja, a przeciwnie, świadczy

o jego mądrości. - Lao Ping nadal mówił za milczącego Tanakę. -1 co, okazaliśmy się za słabi?

- Mam głęboką nadzieję, że rząd jego cesarskiej wysokości uczyni wszystko, żeby zatrzeć to niemiłe wrażenie - odezwał się wreszcie japoński porucznik.

- Będziemy czekać na rezultaty pańskich mediacji, rozważając, czy dalszy sojusz z Japonią jest nam istotnie na rękę. Może jednak powinniśmy dogadać się z Rosjanami?

Tanaka zbladł.

357

- Proszę przekazać swoim zwierzchnikom nasze pytanie: wolicie być z nami czy przeciw nam?

- Przekażę - zapewnił z powagą porucznik.

- Wobec tego pozostała nam do załatwienia jeszcze jedna sprawa. - Pułkownik skinął przyzywająco dłonią i z pobliskich zarośli strzelcy Jaskólskiego wyprowadzili generała Tajrę z rękami związanymi na placach. Japoński dowódca w chwili pojmania został mocno obity kolbami. Teraz rzucono go na kolana.

Porucznik Tanaka z pogardą ominął wzrokiem posiniaczoną twarz byłego zwierzchnika.

- Słuchamy, co pan ma do powiedzenia, generale Tajra - rzekł Stanisław Lawendowski.

- Chcę umrzeć z honorem! Dajcie mi miecz!

- Jest pan bezczelny, generale. Zgodnie z naszymi zwyczajami, wiarołomcy na żaden honor nie zasługują. Mogę zaproponować panu co innego, odpowiedniejszego dla ludzi pańskiego pokroju. Rozwiążcie go, ale nie tnijcie więzów - polecił eskortcie.

- Co mi pan proponuje? - zapytał po chwili Tajra, masując nadgarstki.

- To co leży teraz u pańskich stóp. Sznur. Proszę go użyć zamiast miecza.

Generałowi zbladły sińce na policzkach. W oczach porucznika Tanaki błysnęła czysta groza.

- Mam się powiesić? - wyszeptał Tajra zbielełymi wargami.

- Nie, panie generale. Jako wisielec przesadnie epatowałby pan nas swą obecnością, a nie zasługuje pan na aż tyle uwagi z naszej strony. Proszę raz na zawsze zniknąć z naszych oczu. W morzu. Z kamieniem, który sam pan sobie przywiąże do szyi. Nie będzie to wprawdzie kamień młyński z wygodną do przewleczenia sznura paprzycą, ale mam nadzieję, że jakoś pan sobie poradzi. Mówiąc krótko i po polsku: idź się utop, łajdaku! - Odwrócił się plecami do Japończyka i rzekł do eskorty: - Proszę wskazać panu generałowi odpowiednio głęboką wodę, ale nie pomagać mu w za-

358

den inny sposób. Chyba że na dodatek dowiedzie, że jest zwykłym tchórzem.

Na koniec pułkownik Lawendowski spojrział surowo na porucznika Tanakę.

- Ofiarowujemy honor i honoru oczekujemy! - rzekł twardo. - Czy to jasne?!

Japoński oficer skłonił się nisko bez słowa.

- A teraz powinien pan zadbać o swoich żołnierzy. Bardzo wielu trzeba opatrzyć lub pogrzebać.

Wśród rannych po polskiej stronie był postrzelony w pierś Stanisław Brzozowski. Karabinowa kula utknęła mu gdzieś między aortą i kręgosłupem tak niefortunnie, że doktor Zakrzewski nie podjął się jej wyjąć. O dziwo, płuco nie było poważnie uszkodzone, nie doszło nawet do większego krwawienia. Brzozowski na razie czuł się dobrze, chciał nawet wstawać i oglądać pobojuwisko, lekarz jednak poważnie obawiał się infekcji oraz dalszych powikłań, które na dłuższą metę mogły poważnie skrócić życie młodego filozofa.

Po południu, kiedy zaczęto chować poległych, pojawił się wreszcie długo oczekiwany Ałbaziniec. Przybył w żebraczych łachmanach, brudny i tak wyczerpany, że pułkownik Lawendowski nie miał sumienia robić mu wymówek. Ze swej strony Ałbaziniec nie chciał słyszeć o żadnym posiłku ani odpoczynku. Wstrząśnięty zastanym widokiem natychmiast poprosił o rozmowę.

W ziemiance sztabowej znów zebrali się wszyscy oficerowie oraz sierżant Fedorczyk. Sergiusza wśród nich nie było. Po bitwie, choć nikt tego od niego nie żądał, zwrócił szablę i znów stał się jeńcem.

- Wysyłałem ludzi do Het-ala, prosząc, abyście nie opuszczali twierdzy - mówił łamiącym się głosem Ałbaziniec, ściskając w obu dłoniach kubek z gorącą herbatą.

- Nikt nie dotarł - odparł pułkownik.

- Dlatego poszedłem tam sam, ale już was nie zastałem. Bogu dzięki, że przynajmniej tutaj się nie spóźniłem!

359

- Chyba jednak trochę... - mruknął kwaśno Fedorczyk.

- Nie możecie płynąć na Szantung!

- Możemy - odparł Stanisław. - Śmierci chorążego Michała Fi-lipiaka nigdy nie odżałujemy, ale straty w sumie mamy niewielkie: stu pięćdziesięciu zabitych i rannych. Przeważa nad nimi korzyść ze zdobytego doświadczenia bojowego. Z artylerią też nie jest źle... - spojrzął znacząco na Chęcińskiego, który uściślił wypowiedź dowódcy.

- Amunicji artyleryjskiej wyszła nam prawie połowa, ale za to zdobyliśmy jedno ciężkie działo w dobrym stanie z pięćdziesięcioma trzema pociskami. Mamy też dwa sprawne japońskie karabiny maszynowe i amunicję do nich. Wciąż jest czym zalać Niemcom sadła za skórę, i to zdrowo!

- Proszę wybaczyć, ale szlachetni panowie nic nie rozumieją. Na Szantungu nikt na nas nie czeka.

-Jak to: nikt nie czeka?! - zdenerwował się pułkownik.

- Wang i Meng zginęli. Wraz z nimi wygubiona została cała partia Białego Lotosu, która za główny cel powstania miała obalenie dynastii Dajcynów

- Przecież ktoś jeszcze chyba wiedział o rozmowach w Yidzu?

- Nawet jeśli wiedzą, to nie zamierzają uznawać żadnych sojuszy z zamorskimi diabłami.

- No to się Prusakom upiekło... - Jaskólski z rezygnacją pokręcił głową.

- Ale to jeszcze nie jest najgorsze - stwierdził Ałbaziniec.

- Cóż, u licha, może być gorszego od fiaska całej naszej roboty? - westchnął Stanisław Lawendowski.

- To, że ruch I-He-ćiuan został podporządkowany Dajcynom. Wymordowano przywódców i otumaniono prostych wojowników. Teraz bokserzy mają walczyć po stronie swych katów, by zachować mandżurską dynastię, a przeciw wszystkim cudzoziemcom oraz ich religii. Mówi się, że Cesarzowa Wdowa wkrótce uczyni I-He-ćiuan legalnym stowarzyszeniem i aby to zaznaczyć, ich nazwa

360

zostanie zmieniona na I-He-tuan. A żeby nie zapomnieli sobie, czego pragnęli wcześniej, bez przerwy szczuje się ich na chrześcijan i cudzoziemców. Z każdym dniem Dajcynowie rozpętują coraz większe szaleństwo nienawiści do wszystkiego co zagraniczne. Taoistyczni mnisi na polecenie mandarynów podburzają wieśniaków i rozdają im czerwone pigułki na nieśmiertelność, od którym biedacy do reszty tracą rozum. A zgadnijcie, szlachetni panowie, kto okazuje największą gorliwość?

Któż najwięcej wygaduje na cudzoziemców? Ten sam Zang Tung, któremu tak nieopatrnie darowaliście życie!

- Proszę się uspokoić. Czy coś zagraża panu i pańskim ludziom?

- Owszem, wszak wyznajemy Chrystusa. W Pekinie jest jeszcze spokojnie, ale pogrom wisi już nad naszymi głowami. Lecz w pierwszej kolejności mają iść pod nóż zagraniczni dyplomaci oraz ich rodziny...

- Co takiego?! - zdumiał się pułkownik.

- I-He-ćiuan odgrażają się, że jak wejdą do stolicy, nie oszczędzą nikogo w dzielnicy ambasad.

- Niemożliwe! - zawołał Stanisław Lawendowski. - Jeśli bokserzy zaatakują poselstwa, dokonają czegoś, czego historia jeszcze nie widziała. Zjednoczą przeciw sobie całą Europę! W obliczu takiego barbarzyństwa wszystkie swary pójdą na bok. Nawet Francuzi podadzą rękę Niemcom. Byłoby to niewyobrażalne i niedopuszczalne polityczne szaleństwo!

- A jednak my skądś to znamy... - wycedził przez zęby Fedor-czyk.

- Co pan ma na myśli, sierżancie?

- Galicyjską rabację, panie pułkowniku. Tyle że tutaj, jak mi się zdaje, to będzie rabacja do kwadratu.

- Czy król może nam pomóc? - spytał cicho Ałbaziniec.

- Damy wam pieniądze. Proszę się zgłosić do płatnika po listy kredytowe bankierów z San Sing. Ratujcie się, jak potraficie.

361

- Dziękuję... - Ałbaziniec opuścił głowę.

- I co teraz? - zapytał w imieniu wszystkich kapitan Jaskólski. - Kolejny sojusz okazał się iluzją.

- Wracamy do Het-ala! - pułkownik Lawendowski otrząsnął się z przygnębienia. - Jeszcze nie wszystko stracone! Skoro droga na Pekin jest zamknięta, możemy wziąć Mukden, sprowadzić tam króla i ogłosić go cesarzem Mandżurii. Jego Wysokość nie musi od razu panować nad całym Chinami. Na początek wystarczy jedna prowincja.

- Mamy dość sił, by zająć Mukden nagłym atakiem - zgodził się Jaskólski. - Ale wątpię, czy zdołamy go utrzymać, jeśli Dajcy-nowie ściągną armie z północy i południa.

- Nie będziemy go trzymać sami. Proszę nawiązać kontakty z I-He-ćiuan działającymi w Mandżurii, zwłaszcza z tymi w dolinie rzeki Liao i okolicach Kirynu. Cóż, przyznaję, że powinniśmy byli zrobić to wcześniej, zbyt zapatrzyliśmy się na Szantung i za bardzo polegaliśmy na pośrednictwie Białego Lotosu... Trudno! Naprawimy to teraz. Przecież chyba nie wszyscy bokserzy oszaleli.

- Tak jest! - zasalutował Jaskólski.

Teraz najpilniejszą sprawą było udzielenie pomocy rannym i przygotowanie sprawnego odwrotu. Doktor Zakrzewski porozumiał się ze swoim japońskim odpowiednikiem, by zorganizować wspólną salę operacyjną. Szpitale polowe trzeba było jednak rozdzielić, bo ranni Chińczycy i Japończycy byli gotowi podobiać się nawzajem, choćby gołymi rękami. Jeden z Japończyków przemycił bagnet i pchnął nim bandażując go Lien, na szczęście niegroźnie. Na incydent zareagował natychmiast porucznik Tanaka, który zwrócił winowajcy jego ostrze i polecił zrobić z niego bardziej honorowy użytek. Lien po opatrzeniu rany natychmiast wróciła do pracy.

Koreańczycy przyptynęli następnego dnia rano. Nie znali wprawdzie ostatecznego celu wyprawy - mieli go poznać dopiero

362

po spotkaniu z Polakami - ale byli niezmiernie zdziwieni, że mają ewakuować do Yidzu rannych i rozbrojonych Japończyków.

- Tylko nie potopcie ich gdzie po drodze! - zaznaczył z naciskiem pułkownik Lawendowski.

Koreański kapitan patrzył na niego długo i ponuro.

- Dowieziemy wszystkich - zapewnił na koniec bez entuzja-

zmu.

Na statkach umieszczono też najciężej rannych Polaków oraz Stanisława Brzozowskiego. Porucznik Tanaka zaręczył słowem, że będą mieli opiekę równie dobrą jak jego ludzie, a gorączkującego filozofa zobowiązał się możliwie szybko wyekspediować do Wła-dywestoku i umieścić w pociągu do Europy. Brzozowski ze swej strony przyrzekł zachować mandżurską przygodę w tajemnicy i nie publikować na ten temat niczego bez królewskiego zezwolenia. Ostatecznie nigdy go nie doczekał.

Do Het-ala wrócili 30 kwietnia. Droga powrotna przebiegła bez zakłóceń. Japończycy trzymali się od nich z dala i chociaż próbowali armię Bursztynowego Królestwa śledzić, to jednak posłuchali, kiedy bardzo uprzejmie poproszono ich, aby nie przekraczali rzeki Cao. Pułkownik Lawendowski wydzielił specjalny oddział do zacierania śladów przemarszu, lecz nie udało się ukryć faktu, że wszystkie zainteresowane rządy wiedziały lub łatwo mogły się dowiedzieć, co kryje się wśród południowych pasm Gór Wschod-niomandżurskich.

Pierwszy na prawym brzegu Cao pojawił się japoński poseł z białą flagą i listem od pana Minamoto. Cesarski rezydent w Yidzu gorąco przeproszał za „nieporozumienie wynikłe z niedopuszczalnej nadgorliwości". Zapewniał, że to się więcej nie powtórzy, i potwierdzał zobowiązania porucznika Tanaki względem rannych. Generała Tajrę uznano urzędowo za osobę nieistniejącą. Ponadto pan Minamoto prosił, aby „czcigodni sojusznicy" w dowód przyjaźni zechcieli przyjąć zdobytą w bitwie broń jako dar cesarza Japonii. Była to zrozumiała wielkoduszność w sytuacji, gdy

363

jak donosił książę Om Gon, skutkiem wspomnianego wyżej „nieporozumienia" Japończycy w północno-wschodniej Korei zostali chwilowo bez wojsk zdolnych do jakichkolwiek poważniejszych działań.

Potem sprawy zaczęły iść coraz gorzej. Wprawdzie Ałbaziniec tym razem nie zawiódł i wiadomości od niego zaczęły przychodzić regularnie, mniej więcej w dwutygodniowych odstępach, ale nie były to dobre wieści. Dynastia mandzurska przejęła nad bokserami całkowitą kontrolę i odsunęła od siebie zagrożenie, kierując całą energię powstania przeciw cudzoziemcom. Oni stali się teraz sprawcami klęsk żywiołowych - powodzi, suszy lub trzęsień ziemi, zależnie od regionu kraju - oraz jedynymi odpowiedzialnymi za skutki tych katastrof, czyli za głód, choroby i wszelką nędzę. Wszystko to przez cudzoziemskie fabryki, maszyny, czarnoksiężskie praktyki i bluźniercze obyczaje. Znieważone duchy przodków, smoki nieba, ziemi oraz wszelkie inne boskie istoty odwróciły się ze wzdrgą od ludu Han, który na to pozwolił. Jeśli natychmiast nie wypędzicie cudzoziemców, mówili przerażonym wieśniakom taoistyczni szamani i mandaryni, zginiecie wy, wasze dzieci oraz wszystko co żywe, a Kraj Środka zamieni się w pustynię.

Pod koniec maja przerwano linię kolejową z Pekinu do Taku, co oznaczało początek otwartej wojny z Zachodem. W połowie czerwca bokserów zalegalizowano, a ich drużyny razem z wojskami rządowymi stanęły do walki z zaimprovizowaną naprędce wyprawą marynarzy angielskiego admirała Seymura, którzy wyruszyli z Taku, aby przywrócić połączenie z Pekinem. Po tygodniu nieprawdopodobnej rzezi wyposażony w najnowocześniejszą broń oddział Seymura ustąpił przed zawziętością uzbrojonych we włócznie, miecze i halabardy wojowników, których mandzurscy generałowie pchali masami na pierwszą linię. Jakkolwiek tę taktykę oceniać, skończyła się epoka łatwych wojen opiumowych.

Zwycięstwo pod Taku pozbawiło bokserów wszelkich politycznych skrupułów. Pierwszym zabitym w Pekinie dyplomatą był rad-

364

ca Sugiya z japońskiej ambasady. Po nim, 20 czerwca, przyszła kolej na Niemca, von Kettelera, i tego dnia rozpoczęło się oblężenie dzielnic ambasad. Świat Zachodu w pierwszej chwili zamarł ze zgrozy i oburzenia, a następnie, zgodnie z przewidywaniami pułkownika Lawendowskiego, podali sobie ręce nawet odwieczni wrogowie. Cała Europa zjednoczyła się, by ukarać Chiny.

W Mandzurii, niedaleko ruin prawdziwego Het-ala, kapitan Ja-skólski nawiązał kontakt z miejscowymi bokserami, ale zdecydowanie nie taki, jakiego sobie życzył. Jego parlamentarzysta zamordowano i wyrwano mu serce. Potem drużyna I-He-tuan przypuściła fanatyczny atak. Jaskólski rozbił ich w puch i jeszcze próbował negocjować, ale prędzej dogadałby się, jak sam stwierdził, z galerią obrazów. Bokserzy nie słyszeli o żadnym Ukrytym Królu, który miał im przyjść z pomocą, i czystą zgrozą napawała ich myśl o jakimkolwiek cyrografie z zamorskimi diabłami. Kapitan na znak dobrej woli zwolnił jeńców, chociaż doktor Zakrzewski stanowczo przeciw temu protestował, nalegając, aby leczyć tych ludzi z ciężkiego zatrucia rtęcią. Piekielne pigułki nieśmiertelności dokonały w ich organizmach i psychice tragicznych spustoszeń. Resztę zrobiła szowinistyczna indoktrynacja. Ostateczny wniosek był taki, że wszyscy bokserzy jednak oszaleli.

Zostali bez sprzymierzeńców i możliwości szerszego działania. Zresztą teraz, wobec zgodnego stanowiska całej Europy w kwestii Chin, jakkolwiek próba realizacji dawnych planów oznaczała samobójstwo militarne i polityczne. Na niczyją pomoc nie można już było liczyć. Na dodatek kończyła się żywność i nie można było dłużej trzymać w Het-ala tak liczne wojsko.

Pułkownik Lawendowski spędzał właśnie kolejny samotny wieczór, rozmyślając nad wyjściem z tej sytuacji, gdy do jego kwatery niespodziewanie weszła Patrycja.

- Słucham panią... - ciężko podniósł się z krzesła.

Bez słowa zaczęła rozpinać guziki swej sukni. Był to strój chińskiego kroju, więc Patrycja odsłoniła najpierw szyję i lewe ramię.

365

Chcąc mieć całkowitą pewność co do zamiarów dziewczyny, Stanisław zaczekał, aż suknia całkiem opadnie na podłogę, ale kiedy to się stało, mimo wszystko nie zdołał powstrzymać głupiego pyta-

nia:

- Co pani robi?

- Wybrałam ciebie.

Cesarzowa Wdowa, oskarżając o spowodowanie wszystkich chińskich nieszczęść cały świat, byle nie własny rząd, musiała w końcu całemu światu wypowiedzieć wojnę. Także Rosji, choć ta lojalnie dotrzymywała sojuszu z Dajcynami i była w sumie naj-przyzwoitszym spośród krajów, z którymi zawarto traktaty koncesyjne, a na pewno znacznie porządniejszym od Niemiec. Z tej racji carskie władze na Dalekim Wschodzie do ostatniej chwili żyły w błogim przekonaniu, że cała ta awantura na południe od Wielkiego Muru w najmniejszym stopniu ich nie dotyczy i na pewno nie rozszerzy się dalej na północ. Pierwsze tygodnie otwartej wojny z Zachodem zdawały się to potwierdzać. To, że w oblężonej dzielnicy ambasad mieściło się także rosyjskie poselstwo, wydawało się tylko niedogodnością topograficzną.

Wybuch powstania bokserów w Mandżurii na początku lipca 1900 roku był więc kompletnym szokiem i zaskoczeniem. Jak wcześniej pod Taku, tak i tu najpierw przecięta została łączność telegraficzna, by druty nie kaleczyły więcej duchów powietrza, potem zerwano tory kolei mandżurskiej, przynosząc ulgę dręczonym smokom ziemi. Wybito rosyjskie garnizony na mniejszych stacjach. Pod Aigunem ostrzelano parowce na Amurze.

Pierwsza reakcja przebudzonego rosyjskiego niedźwiedzia była ślepa i okrutna. W obawie, że powstanie przekroczy granice Rosji, zarządono natychmiastową deportację chińskiej kolonii w Błagowieszczeńsku na mandżurski brzeg Amuru. Zamiar wykonano, nie bacząc na brak dostatecznej liczby łodzi oraz na to, że Chińczycy z zasady nigdy nie uczyli się pływać, uważając to za czyn-

367

ność dla człowieka nienaturalną. Zgromadzony na brzegu tłum wygnanych z domów ludzi, w większości kobiet, dzieci i starców, Kozacy po prostu wepchnęli do rzeki. Utopiło się trzy tysiące osób. Duży Leon na wieść o tym osiwił w ciągu jednej nocy.

Potem Amur sforsowała stutysięczna armia rosyjska, zajmując Aigun i Mergen nad rzeką Nonni, a następnie ruszyła na Cycy-char i Chailar z zamiarem opanowania przełęczy Wielkiego Chin-ganu. Harbin stał się twierdzą, z której przysłane z Chabarowska parowce ewakuowały kobiety i dzieci.



Zanim doszło do tych wydarzeń, pułkownik Lawendowski rozkazał całkowite opuszczenie Het-ala, by uniknąć oblężenia bez nadziei na odsiecz. Twierdza nie była igłą w stogu siana, raczej polanem, które musiał znaleźć każdy, kto tego chciał. A szukano już z dwu stron. Na północy, zebrawszy nowe siły, krążyli po górach żądni zemsty bokserzy, pobici wcześniej przez Jaskólskiego. Od południa naciskały wojska rządowe. Jeden z ich patroli dopiero karabin maszynowy zmusił do rezygnacji z forsowania rzeki Cao. Należało się spodziewać, że oddziały regularne wrócą niebawem w towarzystwie wojowników I-He-tuan, przekonanych o swej nieśmiertelności tak bardzo, że nie mieli nic przeciw temu, by służyć dajcyńskiej armii za żywe tarcze. Taki podział ról, jak wynikało z relacji Ałbazińca, praktykowano podczas walk o dzielnicę ambasad. obrońcy poselstw nie wiedzieli tylko, co jest powodem braku instynktu samozachowawczego u bokserów, którzy szli na karabiny maszynowe jak lunatycy, w ogóle nie próbując unikać kul.

Potyczka nad Cao, a niedługo potem przybycie do Het-ala zagrożonych masakrą poszukiwaczy złota z nad rzeki Ba-dao sprawiły, że pułkownik Lawendowski przestał się wahać. Rannych Chińczyków, którzy jeszcze nie wydobrżeli, odesłano za Jalu, pod opiekę księcia Om Gona. Potem porucznik Chęciński otrzymał rozkaz zniszczenia dział i amunicji artyleryjskiej. Przyjął to z taką miną, jakby kazano mu strzelić sobie w łeb.

368

- Musimy jak najszybciej wycofać się na prawy brzeg Sungari i nie ma mowy, aby z powrotem taszczyć armaty przez góry Czang-bo - tłumaczył po ojcowsku Stanisław. - Wystarczają nam karabiny maszynowe. A tutaj nie zostawię nikogo, żeby pilnował artylerii, bo ostatecznie zostawiłbym tych ludzi na śmierć, a działa wrogowi.

- Panie pułkowniku, to może lepiej je ukryć... - próbował dyskutować zrozpaczony Chęciński.

- Rozumiem, co czujesz, młody człowieku - pułkownik poklepał go po ramieniu - ale gdzie my je schowamy? Nie mamy tu dość pewnych kryjówek ani czasu, aby je przygotować i dobrze zamaskować. Jeśli mamy zakopywać działa w ziemi, to szkoda czasu na kopanie. Zresztą nie wiem, kiedy tu wrócimy. Jeśli za kilka lat, co jest prawdopodobne, do tej pory każdy ekrazytowy granat zamieni się w puszkę Pandory. Więcej będzie z nich kłopotu niż pożytku.

- Pociski Shrapnela nie stracą ważności. Panie pułkowniku, chociaż jedno działo z zapasem szrapneli...

- Chce pan zostawić wrogowi?! - wpadł mu w słowo zniecierpliwiony dowódca. - Kiedy bokserzy tu przyjdą, przeszukają wszystko, piędź po piędzi, właśnie dla takich sentymentalnych pamiątek, które bardzo przydadzą się im do masakrowania chrześcijańskich misji. Może pan nie docenia chińskiej inteligencji i cierpliwości, ale ja tak. Koreańczykom też tych dział nie oddamy, bo byłby to akt jawnie wrogi wobec Japonii. Ja też rozważałem różne możliwości. Zatem dość tego mazgajstwa, poruczniku, proszę wykonać rozkaz!

- Tak jest.

Ze skrzynek z amunicją ustawiono podest, na którym umieszczono działa z lufami całkowicie wypełnionymi ładunkami miotającymi i obłożone granatami. Doktor Zakrzewski uparł się, żeby ów stos ofiarny umieścić poza terenem twierdzy, gdyż wybuch zagrażał zachowanym fragmentom

Wielkiego Muru. Porucznik Chęciński zanim podpałił długi lont, zsalutował ginącej broni. Jego podwładni mieli łzy w oczach.

369

Południowa Mandżuria pożegnała ich kanonadą żałobnych gro-  
mów.

W zamian odwrót był naprawdę szybki i sprawny. W ciągu zaledwie dwunastu dni przeszli płaskowyż Kema, góry Czang-bo, Sungari i dotarli do bazy nad rzeką Huń-tuń-cziań. Tutaj dowiedzieli się o rosyjskiej inwazji i o wydarzeniach w północno-wschodniej Mandżurii. Z południa przez Kiryn dotarła jeszcze informacja, że Rosjanie z Portu Artura podjęli własną wyprawę na Mukden, ale pozbawieni obiecanego japońskiego wsparcia, które z całym szintoistycznym ceremoniałem pogrzebano na brzegu Zatoki Koreańskiej, utknęli pod miasteczkiem Haj-czeń, sto kilometrów od Mukdenu, i czekali na pomoc swoich wojsk z północy, na co się jednak nie zanosilo. Przekazanie tej wiadomości była ostatnim przejawem współpracy ze strony Hajdengiego. Stary zbój wyczuł okazję i postanowił się wyrwać spod władzy Bursztynowego Królestwa. Otwartego buntu jeszcze nie ogłosił, ale zaczął już ignorować polecenia. Przywołanie go do porządku trzeba było odłożyć na później ze względu na znacznie pilniejsze sprawy do załatwienia.

Stutysięczna carska armia operująca w dolinie rzeki Nonni stanowiła śmiertelne, choć na razie tylko ewentualne zagrożenie dla królewskiego pałacu. Na górze Pingding został jedynie mały oddział, który w razie zwycięstwa miał zapewnić królowi bezpieczny przejazd incognito do Pekinu i nic ponad to. Teraz należało jak najszybciej wzmocnić ochronę królewskiej osoby. Pułkownik La-wendowski pchnął przodem na Mały Chingan wszystkich żuawów śmierci, po czym zamierzał podążyć za nimi z piechotą Jaskółskie-go i Fedorczyka, omijając Harbin szerokim łukiem. Następnie planował skupić się na obronie matecznika Drugiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, czyli okolic góry Pingding i miasta San Sing. Plany te zmienił zaskakujący rozkaz samego króla.

Władysław V ze swej strony uważnie śledził rozwój wydarzeń i uznał, że nie może pozostać obojętny wobec pogromów chrze-

ścijańskich misji, palenia świątyń i rzezi chińskich wyznawców Jezusa, dokonywanych nieustannie przez I-He-tuan. Armia Bursztynowego Królestwa miała zatem stanąć do otwartej walki z bokserami, co w sumie było już faktem dokonanym. Król jednak poszedł dalej, stanowczo nakazując odwrócenie sojuszy. Zamiast omijać Harbin, pułkownik Lawendowski miał pomóc Rosjanom go bronić. Zdaniem króla wojska mandżurskie i drużyny I-He-tuan należało powstrzymać pod Harbinem, tak aby nie mogły pójść dalej na północ, do San Sing, gdzie dotychczas panował spokój. Gdyby oddziały Dajcynów tam dotarły, niewątpliwie doszłoby do masakry świeżo nawróconych tajpingów, czyli rodzin kosynierów Fedorczyka. Władysław V podkreślał, że choć rosyjskiej zbrodni pod Błagowieszczeńskim nic nigdy nie usprawiedliwi i nie może ona popaść w zapomnienie, należy jednak odróżnić pojedynczy akt ślepej zemsty od wyrachowanej eksterminacji chińskich chrześcijan stanowiącej większe zło. Obrona wyznawców Jezusa jest moralnym obowiązkiem Młodszego Brata Jezusa oraz wszystkich jego wiernych poddanych. W imię tych racji królewscy żołnierze pochodzący z Kraju Bursztynu mają zapomnieć o swej odwiecznej wrogości do Ludzi Cesarstwa Głodu, przyłączyć się do nich i wspólnymi siłami odeprzeć wroga.

Sprzeciwów nie było. Tylko gdy Caj Cung-jen skończył czytać królewski list, nastąpiła długa posępna cisza.

Wśród spraw największych przepadła jedna mała. Stanisław i Patrycja planowali poprosić króla o udzielenie im ślubu w obrzędzie tajpingów niezwłocznie po powrocie na górę Pingding. Teraz stało się jasne, że jeszcze długo do tego nie dojdzie.

Pułkownik nie tracił czasu na rozpamiętywanie. Poleciał wezwać swego bratanka i zakomunikował mu królewską wolę.

- Jesteś wolny - oznajmił na koniec.

Starszy lejtnant milczał długo. W ciągu ostatnich tygodni, od kiedy Patrycja zaczęła sypiać ze Stanisławem, Sergiusz niemal nie odzywał się do nikogo. Schudł, a rysy jego twarzy z dnia na

371

dzień wyostrzały się i ciemniały, jakby spalał go niewidzialny ogień.

- Będziemy potrzebowali pośrednika i oficera łącznikowego -dodał pułkownik.

- Dobrze - odpowiedział wreszcie młodszy Lawendowski. -Pod warunkiem że mnie tam od razu nie rozstrzelają.

- W miarę możliwości pomożemy ci tego uniknąć. Ale też nie ma przymusu, abyś brał to wszystko na siebie. Możesz też zostać z nami.

- Stryj namawia mnie do dezercji?

- Mówię ci tylko, że masz wolny wybór.

- Co ja mam wybierać, stryju? Jakąś fatamorganę? Polityczną efemerydę?! - wybuchnął. - Wierność carowi przysiągłem ojcu na łożu śmierci, ale nawet nie to jest tu najważniejsze. Jak mam położyć głowę, wolę za coś, co istnieje naprawdę i ma przed sobą jakąkolwiek przyszłość. Sam popatrz, stryju, co się z wami porobiło! Nie ponieśliście klęski w polu, nie było zdrady ani rozłamu. Po prostu zmiotła was sama rzeczywistość, nawet nie dostrzegając zbytnio waszego istnienia. Zbiegi okoliczności powołały was do istnienia i one teraz was grzebią. Historia naprawia własne niedopatrzenie, jak by powiedział ten wasz Brzozowski. I co możesz na to odrzec, stryju?

- Dam ci konną eskortę do Harbinu. My pójdziemy za tobą.

- Tylko spalcie te mundury, zanim wejdziecie do miasta.

- Spalimy.

Pięć dni później Sergiusz Lawendowski zameldował się w gabinecie majora Kondratenki.

- Starszy lejtnant Lawendowski? - komendant podniósł się zza biurka. - Własnym oczom nie wierzę... - głos mu zlodowaciał. -Po tylu psotach ot, tak przychodzicie?

- Jestem gotów ponieść całą odpowiedzialność, panie majorze.

- Odpowiadać chcecie? - Kondratenko założył ręce na piersiach. - Ano, policzmy za co... Garnizon w Ningucie rozgromiony.

372

Połowa sotni wytracona. Skład broni w Chabarowsku splądrowany. Najnowsze armaty przepadły! Do tego jeszcze parowiec z całą załogą zatopiony. Wyście, Sergieju Henrykowiczu, niby oficer kawalerii, a wychodzi na to, że jeździec apokalipsy!

- Byłem w niewoli u chunchuzów niejakiego Hajdengiego - zaczął tłumaczyć się Sergiusz. - Oni przejęli moje dokumenty i... - zmieszany spuścił wzrok. - Znaleźli jakiegoś białego renegata, który podał się za mnie.

- Słowem, nie dopilnowaliście?

- Nie dopilnowałem.

- Rosja to wielki kraj. Tak wielki, że nie będziemy zawracać sobie głowy drobiazgami! - komendant roześmiał się niespodziewanie, po czym serdecznie uściskał Sergiusza. - Sława Bogu, starszy lejtnancie, żeście cali i zdrowi wrócili! - ucałował go w oba policzki. - Wszystkie wasze winy zmazane!

-Jak to?

- To chyba należy do was? - major Kondratenko położył na biurku carskie pełnomocnictwo Sergiusza. - A tu macie wyjaśnienie - podał mu zapieczętowaną kopertę.

List był od generała Brusilowa. Wewnątrz prócz zapisanej odręcznie kartki był jeszcze wycinek z gazety, niewątpliwie z jakiegoś brukowca. W oczy bił krzykliwy tytuł: „BOHATERSKA ŚMIERĆ CESARSKIEGO OFICERA W PASZCZY CHIŃSKIEGO SMOKA!!!”. Poniżej litograficzna ilustracja przedstawiała samego Sergiusza z bardzo udatnie uchwyconym podobieństwem. Młody oficer w poszarpanym mundurze, ze złamaną szablą w ręku, wyraźnym ostatkiem sił stawiał czoło szczerzącej kły i pazury jakiejś przedpotopowej bestii, broniąc jej dostępu do skąpo odzianej Azjatki przykutej łańcuchem do skały. Dookoła poniewierały się czaszki i piszczele. Podpis pod ilustracją głosił: „Ostatnie chwile kapitana lejbgwardii Sergiusza Lawendowskiego w obronie dziewiczej księżniczki Mulan złożonej w ofierze krwiożerczej bestii przez swych barbarzyńskich rodaków w dzikich górach Mandżu-

373

rii. Szkic sporządzony według relacji naocznego świadka wydarzeń, podróżnika Alfreda Tomaszewskiego”.

Sergiusz poczuł, że musi usiąść. Komendant Kondratenko zerknął mu przez ramię i skwapliwie podsunął krzesło.

- Proszę, proszę, nawet awans dostaliście... - skomentował z przekąsem major.

Kompletnie oszołomiony Sergiusz zaczął czytać list od generała.

Petersburg, 16 czerwca 1900 roku

Szanowny Siergieju Henrykowiczu!

Skoro czytacie to pismo} znaczy, żyjecie, za co z całego serca dziękuję Bogu w Trójcy jedynemu i nie zwlekając, przechodzę do rzeczy. Doszły mnie wieści, żeście w tej Mandżurii co nie bądź namieszali, ale już nie musicie się niczym martwić. Winnicie za to wdzięczność Najjaśniejszej Pani. Tak się bowiem złożyło, że któraś z pokojówek albo dam dworu w Carskim Siole zobaczyła w jednej podłej gazecie wasz portret (wyimek dołączam), zaczem nie mieszkając pokazała to Monarchini i Carównom. Wielki płacz podniósł się za wami, Siergieju Henrykowiczu. Caryca niezwłocznie do Najjaśniejszego Małżonka się udała, nalegając stanowczo, iż „naszego Sergiusze” ratować trzeba albo choć po chrześcijańsku pogrzebać wasze kości. Skutkiem tego Jego Cesarska Mość z niezwykłą dla siebie energią podjął kroki w celu ustalenia waszego losu. Szybko wyszło na jaw, że sprawa wasza niezbyt jasna, że cesarskie pełnomocnictwa trafiły w niepowołane ręce i możecie mieć powody, żeby się przed władzami ukrywać. Wszakże Najjaśniejsza Pani o żadnej waszej umyślnej winie słyszeć ani chciała i żebyście mogli śmiało do Carskiego Sioła wracać, wymogła dla was cesarskie wybaczenie z góry za wszystko, cokolwiek mogliście prze-skrobać. Ja zaś czekając na raport z Waszej misji, po ojcowsku Warn błogosławię.

A. Brusilow

374

- Rozumiecie już? - spytał major Kondratenko. - Nas tutaj zewsząd obstepują te zdradzieckie żółte hordy, a Ministerstwo Wojny nic tylko mi dziurę w brzuchu wierci, gdzie się podział starszy lejtnant. Niech się wali, niech się pali, ale powiedzcie naj-sampierw, co z tym Lawendowskim! Słowem, upić się ze szczęścia, żeście w porę wrócili! Już wysyłam na Amur kanonierkę z wiadomością! Tam zaraz z pierwszej przystani zadeszują do Pitra, a ja tu wreszcie spokojnie wojowaniem będę mógł się zająć.

- Co do wojowania, panie majorze, przyprowadziłem ludzi.

- Jakich ludzi?

- Pozbierałem po drodze, kogo się dało... - Sergiusz zająknął się z lekka. - Strażnicy kolei, myśliwi, poszukiwacze złota, chińscy ochotnicy...

- Chińczycy przeciwko swoim?

- To są chińscy chrześcijanie, panie majorze, których bokserzy mordują.

- A tak, słyszałem, przekłeta dzicz... - pokiwał głową Kondratenko. - Ręczycie za tych ludzi?

- Ręczę.

- Wobec tego nie mam innych pytań. Tylko powiedzcie mi jeszcze, co się stało z tymi nieszczęsnymi armatami? Czy mogą zostać użyte przeciw nam?

- Nie ma obawy, panie majorze. Wszystkie zostały zniszczone. Te żółte dzikusy nie potrafiły należycie obchodzić się z amunicją.

- Jesteście tego pewni?

- Byłem świadkiem wybuchu. W zamieszaniu, do którego doszło potem, udało mi się zbiec... - Sergiusz poczuł, że się rumieni. Kolejna półprawda z trudem przeszła mu przez gardło, ale komendant nie zwrócił na to uwagi. Rozkładał właśnie na biurku plan Harbinu z naniesionymi pozycjami obrony.

- To do dzieła! Popatrzcie... - Kondratenko pokazał palcem. - Muszę wzmocnić wysuniętą placówkę, o tu, koło tych cegielni...

375

Piece do wypalania cegieł są solidne jak fortowe kazamaty, zatem nie można dopuścić, by przeciwnik je obsadził, bo będzie miał gotowy przyczółek w mieście. Dacie radę wziąć to na siebie? - Tak jest, panie majorze!

Powiedziano im, że idzie na nich święty oddział. Spodziewali się mnichów z jakiegoś klasztoru, z nadzwyczajną biegłością władających białą bronią lub walczących gołymi rękami, a podobno jeszcze stosujących tak zręczne uniki i zwody, że nie sposób było ich trafić.

- Trzymajcie się razem i pilnujcie swego miejsca w szyku, a żaden wróg was nie pokona! - nawoływał sierżant Fedorczyk, idąc wzdłuż szeregu kosynierów. - Żadnych popisów! Żadnych osobnych pojedynków! Walczycie razem i jeden drugiego osłaniacie przed ciosami. Każdy zastawia towarzysza z prawej!

Nie wyglądali już tak wspaniale jak cztery miesiące wcześniej. Chińczycy znów włożyli tradycyjne czarne chałaty i kaftany, a żeby odróżnić się od identycznie ubranych bokserów, zawiązali sobie na prawym ramieniu czerwone szarfy. Ich kolor był dyskretnym nawiązaniem do nazwiska króla - Hung, czyli Czerwony. Polacy prezentowali się jak cywilbanda, mieli na sobie jakieś surduty, kozackie koszule, marynarki w angielską kratę, nawet kozuchy mimo sierpniowego upału. Jednak aby zaznaczyć, że wciąż są królewskim wojskiem, oni też zadbali, by mieć na sobie coś czerwonego - apaszki, cyklistówki, chustki w kieszonkach marynarek, a choćby i czerwone skarpetki.

Jedni i drudzy walczyli zgrani jak jedno ciało, nadrabiając zawziętością gorycz straconych marzeń. Przeciwnicy nazywali ich Czerwonym Diabłem o Tygrysiach Pazurach, gdyż w pojęciu bokserów ten doskonale wyszkolony oddział był dziełem jednego demona, który równocześnie opętał kilkuset ludzi różnych ras. Teraz najwyraźniej postarali się o egzorcyzmy.

377

Przed kosynierami znów rozciągało się pole gaolianu, tym razem dojrzałego, lecz niezebranego i w większości zdeptanego w poprzednich starciach. Na przeciwległym krańcu ocalało jeszcze trochę wysokich kęp prosa, zza których mieli wkrótce wyłonić się atakujący. Za chińsko-polskim trójszeregiem wznosiły się kopuły wygasłych pieców do wypalania cegieł, a dalej zabudowania przedmieść Harbinu. Na skrzydłach kosynierów, jak trzydzieści siedem lat temu, stanęli strzelcy. Nad nimi wszystkimi powiewał Niebiański Sztandar, którego symbolika nic Rosjanom nie mówiła.

Rozległa się dzika wrzawa i z gaolianu wybiegły... bokserki.

Sierżant Fedorczyk przystanął, nie wierząc własnym oczom. Było ich jakieś trzy setki, dziewcząt i dziewczynek, najstarsze miały najwyżej dwadzieścia lat, najmłodsze blisko dziesięciu. Uzbrojone były we włócznie i długie noże, którymi wymachiwały bez najmniejszej wprawy, nadrabiając to zapałem i

groźnymi minami. Szyku nie trzymały żadnego, biegly, szły lub truchtały każda we własnym tempie. Cały ten babski tłum kłębił się w całkowitym nieładzie, zawodził histerycznym wrzaskiem, wył, rzucał obelgami. Niektóre opuszczały spodnie, prowokująco odsłaniając łona lub wypinając pośladki. Nikt nimi nie dowodził i nie byłby w stanie. Każdy student medycyny na pierwszy rzut oka rozpoznałby krańcowe stadium psychozy spowodowanej zatruciem rtęcią i dodatkowo wzmożonej zbiorowymi obrzędami potęgującymi nienawiść i agresję.

Dla zwykłych żołnierzy były to jednak kobiety i dzieci. Szyk, stężyły dotychczas jak mur, nagle zmiękł i zafalował. Zdumieni kosynierzy oglądali się na siebie, upewniając się, że widzą to samo. Ten i ów mimowolnie postąpił krok naprzód lub w tył. Równe linie sterzcących nad głowami kos zmieszały się i zakotłowały. Rozległy się głosy niedowierzania i sprzeciwu.

Bokserki były już o niecałe sto metrów.

- Wyrównaj szyk! - zakomenderował Fedorczyk po chińsku i od razu powtórzył to samo po polsku.  
> ?

378

Nie posłuchali. Polacy pierwsi dali znak do buntu, wbijając kosy ostrzami w ziemię.

- Rozbroimy je gołymi rękami! - zaczęli wołać.

Chińczycy z mniejszym lub większym wahaniem poszli w ich ślady Szyk pogromców japońskiej kawalerii kompletnie stracił ład.

- Gołymi rękami! - krzyczano coraz głośniejsze. - Nie zabijać!

- Żeby to było takie proste... - wycodził przez zęby Fedorczyk i ocienił dłonią oczy.

Za plecami bokserki w wysokim prosie czaiło się regularne mandzurskie wojsko. Zadaniem dziewcząt było pozbawić wrogów woli walki i zmieszać niezachwiane dotąd szeregi kosynierów. Już prawie osiągnęły swój cel.

- Co się dzieje?! - do Fedorczyka podbiegł pułkownik Lawen-dowski.

- Zaraz będzie po nas - stwierdził krótko sierżant.

- Nie chcemy hańby! - żołnierze dostrzegli głównego dowódcę. - Nie chcemy hańby! - wołano w obu językach. - Gołymi rękami!

- Żołnierze! - odkrzyknął pułkownik. - Całą waszą hańbę biorę na siebie!

- Równaj szyk, bando ślepych durni! - wrzasnął Fedorczyk. - Spójrzcie tylko, kto idzie za nimi!

Posłuchali z ociąganiem, lecz nie wszyscy, nawet nie większość. Albo nie usłyszeli wołania sierżanta, albo go nie zrozumieli, albo nie chcieli wierzyć jemu lub własnym oczom. Bez znaczenia. Stało się jasne, że kiedy bokserki na nich wpadną, zamiast walki zacznie się bezładna szamotanina, a gdy w ten chaos uderzy prawdziwe wojsko, cała linia obrony pójdzie w rozsypkę. Sytuację mogły jeszcze uratować ustawione na dachach cegielnia-nych pieców zdobyte na Japończykach karabiny

maszynowe, ale te milczały jak zakłète. Żadnemu z oficerów rozkaz otwarcia ognia nie mógł przejść przez gardło. Strzelcy na skrzydłach stali

379

tak, jakby nagle przestali wiedzieć, co zrobić z trzymanymi w rękach karabinami.

- O Boże... - jęknął nagle pułkownik Lawendowski. - Ona tam jest!

- Kto? - spytał zdumiony Fedorczyk.

- Moja żona... księżniczka Sianku.

- Nie może być, panie pułkowniku! Pewnie tylko jakaś podobna...

- Przyszła po mnie - powiedział zmartwiałym głosem Stanisław Lawendowski.

- Co też pan mówi?! - przeraził się stary kosynier.

- Nadszedł mój czas. Przepróście ode mnie pannę Patrycję. Przez kosynierów przepchnęła się Lien w białym fartuchu sanitariuszki. Była bardzo wzburzona.

- Opamiętajcie się! Co wy robicie?! - krzyknęła do bokserek i pobiegła w ich stronę. - Oszukano was! Oszukano! To przyjaciele! Gubicie siebie i nas! - rozłożyła szeroko ramiona. - Stójcie!

Obstąpiły ją, zaczęły bić i dźgać na oślep, wymyślając przy tym i plując. Lien nie cofnęła się. Stała, nie bacząc na rany, uparcie wzywając do opamiętania. Wytrzymała kilkanaście pchnięć włóczni, zanim padła.

Sierżant Fedorczyk wydał z siebie nieartykułowany ryk. Nie bacząc na nic, skoczył w tłum oszalałych fanatyczek, unosząc swój obrzyn z drylinga.

- Zdychaj, więdźmo! - odstrzelił pół głowy bokserce, która z diabelskim uśmieszkiem wierciła dzielą w brzuchu Lien. Następnej strzelił w otwarte we wrzasku usta, kolejnej między oczy. Potem zaczął tłuc rękajeścią i lufą na wszystkie strony, starając się odpędzić napastniczki od ciała przybranej wnuczki.

Szyk kosynierów wyrównał się bez udziału ich woli. Zareagowali odruchowo, jakby przez szeregi przeszedł elektryczny impuls.

- Pomścijcie Trzecią Srokę! - zawołał ktoś po chińsku.

380

- Uwolnijcie ich dusze! - Pułkownik Lawendowski odruchowo przejął dowodzenie i wyszarpnął z kabury mauzera. - Niech idą prostą drogą do nieba! Naprzód!

Kosynierzy pochyliłi ostrza i ruszyli równą falą. Bokserki nie miały najmniejszych szans. Nie umiały odbijać pchnięć ani parować ciosów, które lśniącą lawiną spadły na ich szyje, czoła i skronie. Błyskawicznie, głęboko, pewnie odcinając płomyki życia od ciała, kości i krwi. Nieszczęsne wojowniczkki nie dotrzymały kosynierom pola ani przez chwilę. Ścięli je wszystkie z marszu, jak gałązki wierzb, i przyspieszyli kroku, by dopaść tych, którzy tchórzliwie ukryli się za plecami dziewcząt.



Dajcyńskie wojsko widząc, że podstęp zawiódł, zaczęło się wycofywać, jednak tym razem kosynierzy nie poprzestali na samym odparciu przeciwnika, lecz rzucili się do wściekłego kontrataku, chcąc pomścić swoją hańbę. Dopadli i roznieśli na ostrzach wszystkich, którym resztki honoru nie pozwoliły uciekać na łeb na szyję. Jak się który potknął, było po nim. Jeńców nie brano. W szalonej gonitwie zdeptano do reszty całe proso. Strzelcy Ja-skólskiego rozsypali się w tyralierę i urządzili sobie bezlitosne polowanie, tropiąc umykających wrogów i strzelając do nich jak do kaczek. Zapędzili się przy tym dobry kilometr w głąb pozycji oblegających. Gdyby dostali posiłki, przerwałiby pierścień okrążenia. Minęło pół godziny, zanim dowódcy zdołali powstrzymać wybuch furii i nakazali odwrót do cegielni.

Sierżant Fedorczyk wciąż siedział na ziemi, trzymając na kolanach głowę Lien. Doktor Zakrzewski nie mógł dla niej nic zrobić. Młoda Chinka umarła, ściskając dłoń klęczącej obok Patrycji. Powracający kosynierzy przykryli skrwawione ciało bohaterki Niebiańskim Sztandarem.

Potem na zaimprovizowanych noszach z kos przyniesiono pułkownika Lawendowskiego. Patrycja na ten widok poderwała się na równe nogi i zamarła jak słup soli, zakrywając dłonią usta. Stanisław już nie żył. Po prostu padł od kuli w bitewnym rozgardia-

381

szu. Nikt nie spostrzegł kiedy i jak. Poległego dowódcę znaleziono po wszystkim i teraz złożono go u stóp tłumiącej szloch Irlandki. Wokół niej z pochylonymi głowami gromadzili się oficerowie, podoficerowie i żołnierze. Milczenie zapadło tak głębokie, jakby nagle wszyscy przestali oddychać, jakby wszystkie serca przestały bić.

Ciszę zakłócił tętent konia. Nadjechał Kozak Symeon, nowy adiutant Sergiusza Lawendowskiego, który nie brał udziału w bitwie, z samego rana bowiem wezwano go do sztabu.

- Macie zadowolenie od samego komendanta! - zawołał radośnie goniec, osadzając wierzchowca. - Gaspadzin major patrzył na was i mówi, że tak dobrego ataku na sztyki nie widział od czasu uśmierzenia polskiego buntu sześćdziesiątego trzeciego roku!

Fedorczyk delikatnie zsunął z kolan głowę Lien, podniósł się z ziemi i spojrzał na Kozaka tak ciężkim wzrokiem, że temu od razu zrzędał mina.

- Nu, a co tu u was tak smutno? - spytał zdziwiony.

- To były baby... - odpowiedział mu ktoś. Symeon popatrzył uważniej na pobojuwisko.

- Ot i przykrość - pokiwał głową ze zrozumieniem. - Nawet Aleksander Macedoński by się zasromał. Ja powiem mojemu oficerowi, to każe przysłać wam szanszynu. Jedno wiadro na czterech...

- Na trzech! - warknął Fedorczyk. Kozak spojrzał na niego z szacunkiem.

- Tak i powiem - zapewnił.

- Powiedźcie starszemu lejtnantowi, że jego stryj poległ - dodał sierżant.

- Nie trzeba. - Symeon obejrzał się i zdjął czapkę. - Już sam tu jedzie.

Sergiusz Lawendowski zeskoczył z konia i pobrzękując ostrogami, przeszedł przez rozstępujący się w milczeniu tłum. Przyklękął obok ciała Stanisława, przeżegnał się, a następnie za-

382

mknął zmarłemu oczy. Trwał przy nim chwilę z pochyloną głową, ale nie było widać, czy się modli, czy namyśla. Wreszcie powstał energicznie i spojrzał na adiutanta.

- Arszanowow, zawiadomcie intendenturę, że potrzebna trumna na oficerski pogrzeb.

- Oni tu, wasze wysokobłagorodie, prosili jeszcze chanszynu...

- Załatwcie!

- Tak jest! - Symeon zsalutował i odjechał.

Sergiusz odczekał, aż Kozak się oddali, po czym zwrócił się do Fedorczyka.

- Jutro dotrze do nas odsiecz z Cycycharu - oznajmił. - To koniec oblężenia i naszego sojuszu.

Oczy starszego sierżanta zwęziły się niebezpiecznie.

- Najlepiej będzie, jak odejdziecie stąd rankiem następnego dnia - kontynuował carski oficer, ignorując niemą groźbę. - Daję wam miesiąc. Potem z silnym oddziałem Kozaków wyruszę na górę Pingding, by sprawdzić pogłoski o ukrywającym się tam królu chunchuzów. Dopilnujcie, abym mógł napisać w raporcie, że wszystko to były bzdury wysane z palca. Dla waszego własnego dobra.

- Nie strasz nas, póki mamy w garściach kosy i karabiny - rzekł zimno Fedorczyk.

- Tylko że już nic nimi nie zwojujecie. To koniec waszych rojeń. Mandżuria jest teraz rosyjską prowincją, a wy macie do wyboru: zniknąć lub zginąć. Po starej znajomości doradzam to pierwsze. Wracajcie do patriotycznej legendy, tam gdzie wasze miejsce. A jeśli będzie okazja, przekażcie ode mnie panu Brzozowskiemu, że historia tworzy też efemerydy przemijające bez znaczenia i on oglądał tu jedną z nich.

- Wszystko z czasem przemija - odparł spokojnie Fedorczyk. - Tylko że po jednych zostaje dla przyszłych pokoleń natchnienie, po drugich brzydkie blizny...

Sergiusz już go nie słuchał. Podszedł do milczącej Irlandki.

383

- Panno Patrycjo, proszę wrócić ze mną do prawdziwego świata.

- Słucham? - popatrzyła na niego z roztargnieniem.

- Pani przecież wie, że ją kocham...

- Noszę dziecko pańskiego stryja.

- Mogę dać pani to samo nazwisko. I obiecuję wychować to dziecko jak własne.

- Na kogo wychować? Na niewolnika? Czy duchowego starca, takiego jak pan?
- Rozumiem, że jest pani teraz bardzo wzburzona. Ale proszę choć chwilę pomyśleć: gdzież pani pójdzie z maleństwem na poniewierkę?
- Mogą Tunguzki, mogę i ja.
- Ależ pani jest cywilizowaną kobietą! Patrycja uniosła wysoko głowę.
- Jestem śiucai jego królewskiej wysokości Hung Siao-Tiena, Władysława V, i moje miejsce jest u boku króla. Moje i moich dzieci! - podkreśliła. - Mam nadzieję... - popatrzyła na leżące przed nią ciała. - Głęboko wierzę i czuję, że to będą bliźnięta, chłopiec i dziewczynka...
- Zbyteczna egzaltacja - burknął zmieszany Sergiusz.
- Nie, panie Sergiuszu, to jest prawdziwy sens życia, którego pan się wyrzekł.
- Czego jak czego, panno Patrycjo, ale sensu w tym nie ma za grosz!
- Jest taki sens, panie carski oficerze - wtrącił się do rozmowy Fedorczyk - że póki chwytamy się każdej szansy, mamy pewność, że nie przegapimy tej właściwej, która pozwoli odrodzić Rzeczpospolitą. Bo tego chcemy! A cały świat, polityczna rzeczywistość, historia, prawa dziejów czy co tam kto chce w końcu muszą ustąpić przed naszą wolą i wiarą. A tę oficerską trumnę zachowaj dla siebie. - Demonstracyjnie otworzył komory drylinga, wyrzucił łuski i włożył nowe naboje. - Będzie jak znalazł, kiedy znów się spotkamy!

Kosynierzy odeszli z Harbinu nad ranem 4 sierpnia 1900 roku. Zabrali ze sobą ciała Lien i pułkownika Lawendowskiego. Pochowano ich w głębi góry Pingding, po czym zawalono wszystkie wejścia. Król był gotów poświęcić swój pałac już w chwili, gdy nakazał zawrzeć sojusz z Rosjanami.

Tego samego dnia armia zjednoczonej Europy ruszyła z Taku na Pekin, który zdobyto dziesięć dni później, uwalniając oblężoną dzielnicę ambasad. Pokonanych za to, że podnieśli rękę na posłów, uznano za przeciwników pozbawionych honoru, zasługujących wyłącznie na pogardę i niepodlegających żadnym konwencjom międzynarodowym. Niemiecki kajzer zakazał swoim żołnierzom brać jeńców i okazywać jakąkolwiek litość. Niemcy mścili się za śmierć von Kettelera jeszcze przez rok po kapitulacji Dajcy-nów, masakrując kolejne chińskie wioski. Na tym zajęciu zastał ich XX wiek.

Książę chunchuzów Hajdengii pod koniec sierpnia podporządkował się Rosjanom, którzy wzięli jego syna jako zakładnika. Być może z tego względu nigdy nie przyznał się, komu służył wcześniej. Kupcy z San Sing pozostali równie dyskretni, by uniknąć konfiskat i kontrybucji, ale od kiedy Ukryty Król przestał zapewniać im ochronę przed chunchuzami, stopniowo wycofali się ze współpracy.

Sergiusz Lawendowski podejrzewał, że szczątek Bursztynowego Królestwa trwa jeszcze gdzieś w okolicach jeziora Tuń-wouzi, lecz zrezygnował z marszu w głąb pustkowi Małego Chinganu, wiedząc, że nawet jeśli przeżyje spotkanie z sierżantem Fedorczy-

kiem, to kolejnego wytraconego oddziału władze wojskowe już mu nie podarują. W raporcie napisał, że druga Republika Zeftugi okazała się fikcją, a pogłoski o polskim królu to żałosne, pocieszające rojenia znękanym karami buntowników. Naprawdę chciał w to uwierzyć, a wódka mu w tym pomogła. Cała przygoda skończyła się dla niego tak jak zaczęła - znów znalazł się w Carskim Siole w roli oficera-zabawki młodych carówien. Tylko że teraz upijał się regularnie.

Bokserów zdelegalizowano i chińska armia rządowa ponownie zaczęła ich zwalczać. Schwytanym publicznie ścinano głowy, jakby byli zwykłymi bandytami. Oszukani, truci, pozbawieni wszelkiej czci i niemal doszczętnie wymordowani, zdołali jednak uwolnić Chiny od widma rozbiorów. Zachód nie odważył się kontynuować polityki krojenia żółtego arbuza, wiedząc, że każde następne powstanie musi być lepiej zorganizowane, dowodzone i bardziej świadome swojego celu, a przy tym równie masowe.

Cesarzowa Wdowa na przeprosiny zaczęła rozdawać żonom zachodnich dyplomatów cesarskie pieski, które odtąd nazywano pekińczykami. Niewiele jej to pomogło, gdyż kontrybucje nałożone po powstaniu bokserów doprowadziły dynastię mandżurską do finansowego bankructwa i politycznego upadku w 1911 roku. Dla Chin zaczęła się epoka kolejnych rewolucji.

Generał Juan Szy-kaj został prezydentem, a potem przy pomocy Japonii usiłował ogłosić się cesarzem. Nie udało mu się, ale jak przystało na naprawdę wielkiego łajdaka, umarł spokojnie we własnym łóżku.

Ekrazyt zastąpiono w końcu znacznie słabszym, lecz stabilniejszym i bezpieczniejszym w użyciu trotylem.

Kang Ju-weja pozostał do końca życia utopijnym marzycielem. A może wizjonerem?

Władysław V mocą władzy danej mu od Boga i wolnych ludzi udzielił Patrycji ślubu z duchem pułkownika Stanisława Lawen-

386

dowskiego. Sierżant Fedorczyk, składając życzenia młodej matce, powiedział, że gdy jej dzieci dorosną, na pewno też będą miały okazję postawić historię na głowie, bo właśnie tak jest ten świat urządzony.

KTL

Warszawa, styczeń-maj 2008 r. ,

t

Podstawowym kryterium przyjętym przez Autora w zapisie chińskich imion i nazw geograficznych była wygoda polskiego czytelnika. Wykluczało to użycie obowiązującego systemu transkrypcji pinyin, który dobrze sprawdza się w badaniach sinologicznych, ale nie w literaturze. Umiejętność czytania pinyin jest rzadka i trudno wymagać jej od czytelnika beletrystyki. W praktyce utrudniłoby to lekturę i pozbawiło nazewnictwo chińskie powabu egzotyki.

Autor bazował zatem na obowiązującym w przedstawianej epoce systemie palladiańskim, dokonując transkrypcji na polski z rosyjskich map opisanych cyrylicą oraz map niemieckich z okresu republiki

weimarskiej. Wykorzystane zostały też uproszczone (bez apostrofów) elementy systemu polskiego, używanego przed wprowadzeniem pinyin, jak również zupełnie dowolne, lecz barwne i efektowne określenia Ferdynanda Ossendowskiego, np. Dajcy-nowie, które były tu inspiracją. W przypadkach spornych Autor po konsultacjach z sinologami podejmował decyzje arbitralne, m.in. przyjmując zapis imienia pierwszego króla tajpingów w formie: Hung Śiou-ćyuan, nie bacząc na dalsze sprzeciwy specjalistów.

System transkrypcji przyjęty w Bursztynowym Królestwie jest więc całkowicie eklektyczny i nie powinien funkcjonować poza tę powieść. Aby odnaleźć miejsca akcji na współczesnych mapach, należy kierować się wskazówkami geograficznymi zawartymi w fabule, a nie zapisem ich nazw.

388

|                                       |     |
|---------------------------------------|-----|
| 1. Indiańska pokojówka.....           | 5   |
| 2. Jako wąż wystygły.....             | 16  |
| 3. Dziesięć tysięcy ceremonii .....   | 24  |
| 4. Kraj złota i soboli.....           | 37  |
| 5. Cesarski piesek .....              | 49  |
| 6. Święta góra .....                  | 67  |
| 7. Szachy w pełnym galopie .....      | 76  |
| 8. Cień smika.....                    | 89  |
| 9. Mandżurskie Gniezno .....          | 100 |
| 10. Dwa krańce gór .....              | 114 |
| 11. Trójramienna waga.....            | 132 |
| 12. Na tropie smoka.....              | 149 |
| 13. Sosna, bambus i śliwa.....        | 156 |
| 14. Trzecia sroka .....               | 170 |
| 15. Zderzenie z legendą.....          | 180 |
| 16. Miecz i herbata .....             | 193 |
| 17. Syreny z Podniebnego Jeziora..... | 211 |
| 18. Rzeka Sosnowych Kwiatów.....      | 224 |
| 19. Ryba i smok.....                  | 240 |
| 20. Śpiący niedźwiedź .....           | 255 |

|                                  |     |
|----------------------------------|-----|
| 21. Znak Ryby.....               | 267 |
| 22. Parowiec widmo.....          | 278 |
| 23. Złote orchidee .....         | 290 |
| 24. Ofiara dla boga rzeki .....  | 304 |
| 25. Rok szczura .....            | 318 |
| 26. Pole gaolianu.....           | 331 |
| 27. Rabacja .....                | 355 |
| 28. Zbudzony niedźwiedź.....     | 367 |
| 389                              |     |
| 29. Historia, wiara i wola.....  | 377 |
| Epilog .....                     | 285 |
| Transkrypcja nazw chińskich..... | 388 |

Polecamy książki

Konrada T. Lewandowskiego

wydane w Wydawnictwie Dolnośląskim

Konrad T. Lewandowski

Magnetyzer

MAGNETYZER

Warszawa, lata 20. XX w. Eleganckie kawiarnie, w których dyskutuje się o Einsteinie i Freudzie, oraz brudne spelunki, gdzie nad setką wódki załatwiają porachunki chłopaki z ferajny. Bieda i przemoc, ułańska fantazja i polskie piekło, lecz jeden honor. Komisarz Jerzy Drwęcki zgłębia mroczne tajemnice tych światów, tropiąc szaleńca, który posiadał umiejętność przestrajania ludzkich umysłów. Kluczem do zagadki są odnalezione po latach zapiski rosyjskiego magnetyzer a.

BOGINI Z LABRADORU

W przededniu 10. rocznicy odzyskania niepodległości marszałkiem Piłsudskim zaczyna interesować się sekta okulty-stów-patriotów. Rozpracowuje ich nad-komisarz Jerzy Drwęcki przy współpracy ekscentrycznego angielskiego detektywa Reginalda Pulteneya. Zaczynają ginąć ludzie. Klucz do zagadki znajduje się w kawiarni Ziemiańska. Tylko jak skłonić do współpracy z policją młodego prawnika i pisarza Witolda Gombrowicza czy Franciszka Fiszera?

ELEKTRYCZNE PERŁY

Śledztwo prowadzi Drwęckiego do Poznania tuż przed Powszechną Wystawą Krajową. Sprawa ma drugie, grząskie dno. Kariera Drwęckiego jest zagrożona. Nawet pułkownik Wieniawa-Długoszowski tym razem ma za krótkie ręce... Na domiar złego wychodzi na jaw mroczna tajemnica sprzed 30 lat, dotycząca kręgu krakowskich przyjaciół Stanisława Przybyszewskiego. Tadeusz Boy-Żeleński, chociaż cała Polska nuci jego Słówka, ma coraz mniej powodów do śmiechu.

W przygotowaniu

#### PERKALOWY DYBUK

Nadkomisarz Jerzy Drwęcki usiłuje pogodzić obowiązki młodego ojca z kierowaniem Urzędem Śledczym. Na przeszkodzie stają jednak przebudzone wojenne demony. Psychika oraz podwładni nadkomisarza zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Surowe decyzje personalne tylko pogarszają sytuację, aż wreszcie ofiarą makabrycznego mordu pada bliski współpracownik. Wykrycie zabójcy staje się kwestią honoru. Trop wiedzie do Łodzi - miasta z koszmarne go snu, gdzie Drwęckiemu przyjdzie do reszty zwątpić w zdrowie własnego umysłu oraz wszelką logikę.

Sprawa wyglądająca początkowo na mord rytualny ukazuje coraz mroczniejsze pokłady. Śledztwo komplikują lokalne powiązania polityczno-gangstersko-kabalistyczne. Drwęcki tym razem jest „mocnym człowiekiem z Warszawy”, którego jedni chcą zaszantażować i wykorzystać, drudzy dobić z nim targu, inni zamordować. Przychodzą mu z pomocą poeta Julian Tuwim, rezolutna żydowska nastolatka Bajle oraz absolutnie niezawodna w sytuacjach wymagających kobiecej intuicji babcia Irena...

#### KONRAD T. LEWANDOWSKI

ur. 1966, z wykształcenia inżynier i doktor filozofii, z zawodu pisarz, z powołania metafizyk (traktat Pochwała herezji), mimo woli notoryczny skandalista, czyli tzw. postać barwna, znany jako Przewodas. Debiutował w 1991 roku powieścią fantasy Ksin, której wznowienia i kontynuacje ukazują się do tej pory. Do kanonu polskiej SF weszło jego opowiadanie o wojnie polsko-amerykańskiej Noteka 2015, wyróżnione nagrodami literackimi im. Janusza Zajdla i Sfinks. Cały cykl note-kowski tworzy 11 opowiadań i powieść Bo kombinerki były brutalne, a ich główny bohater - Radosław Tomaszewski - dorobił się własnego hasła w Wikipedii.

Lewandowski jest autorem cenionym za prozę, np. powieści Most nad Otchłanią, Królowa Joanna d'Arc, Czarna psychoza oraz dziesiątki różnorodnych opowiadań, ale znienawidzonym za bezkompromisową publicystykę (ponad 400 artykułów w 60 czasopismach) przez działaczy klubów fantastyki (antynagroda Złoty Meteor), organy śledcze III RP (umorzona sprawa o zniesławienie prokuratury) oraz wszystkich potencjalnych pracodawców prasowych i akademickich.

W 2006 roku Lewandowski nawiązał współpracę z Wydawnictwem Dolnośląskim, tworząc cykl kryminałów retro dziejących się w czasach II Rzeczypospolitej, których głównym bohaterem jest nadkomisarz Jerzy Drwęcki: Magnetyzer, Bogini z labradoru, Elektryczne perły i Perkalowy dybuk (w przygotowaniu).

Bursztynowe Królestwo to powieść historyczno-przygodowa, w której autor żyjący tylko z wyobraźni i dla wyobraźni postanowił przejść samego siebie...